

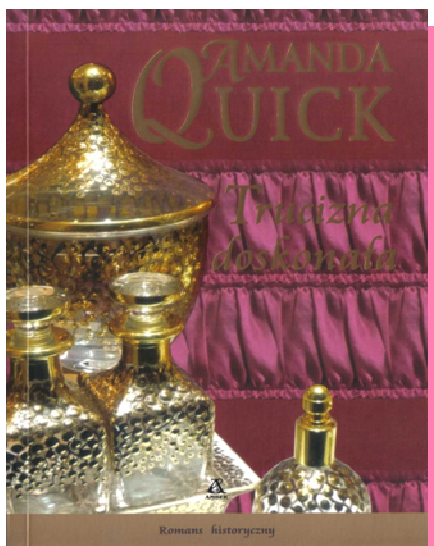


AMANDA QUICK

Trucizna doskonala



Romans historyczny



Nadprzyrodzony dar, ponura zbrodnia i wszechogarniająca namiętność w scenerii wiktoriańskich salonów w bestsellerze królowej romansu historycznego z Top 5 amerykańskich list.

Lucinda Bromley, piękna kobieta o niezwykłych zdolnościach, jest w rozpaczliwej sytuacji. Jeśli nie ustali, kto wykradł z jej cieplarni rzadkie zioła, za pomocą których dokonał morderstwa, może sama zostać oskarżona. Zwraca się więc o pomoc do detektywa Caleba Jonesa.

Niepospolita intuicja podpowiada mu, że Lucinda weszła w drogę tajnemu bractwu, które on tropi od lat. I nieopatrznie poznała sekret zabójczego eliksiru - trucizna doskonała.

AMANDA QUICK (pseudonim Jayne Ann Krentz, jednej z największych gwiazd literatury kobiecej) to największa mistrzyni romansów z czasów regencji i epoki wiktoriańskiej, wydanych w 35 milionach egzemplarzy i tłumaczonych na 28 języków (m.in.: Złota Orchidea, Alchemia, Kochanka). Romanse historyczne Od drugiego wejrzenia, Trzeci krąg, Trucizna doskonała oraz współczesne thrillery romantyczne

Białe kłamstwa, Siódmy zmysł to powieści z bohaterami, którzy władają parapsychicznymi umiejętnościami i należą do Towarzystwa Wiedzy Tajemnej.

Pełne zagadek, niebezpieczeństw i zmysłowości powieści Amandy Quick zawsze trafiają na najwyższe miejsca amerykańskich list bestsellerów.

AMANDA

QUICK

TRUCIZNA

DOSKONALA

*Mojej fantastycznej szwagierce, Wendy Brown,
z miłością i podziękowaniami za Ameliopteris amazoniensis.
I Barbarze Knapp, z wyrazami ogromnego uznania i wdzięczności za
to między innymi, że przedstawiła mnie panu Marcusowi Jonesowi.
Obu Wam jestem wdzięczna za otwarcie mi okna na
wspaniały świat XIX-wiecznej botaniki.*

Ostatnie lata panowania królowej Wiktorii...

Lucinda zatrzymała się kilka kroków od nieżyjącego mężczyzny. Próbowwała ignorować napięcie niemal rozsadzające wytwornie urządzoną bibliotekę.

Konstabl i członkowie pogrążonej w żalu rodziny dobrze wiedzieli, kim jest. Przyglądali się jej z fascynacją zmieszaną z ledwie skrywanym strachem. I, prawdę mówiąc, nie mogła ich za to winić. Swego czasu gazety rozpisywały się o niej. Kobieta zamieszana w sensacyjny skandal i szokujące morderstwo nie była mile widziana w towarzystwie.

- Nie wierzę własnym oczom! - wykrzyknęła wdowa, bardzo ładna i bardzo młoda. - Panie inspektorze, jak pan śmiał sprowadzić tę kobietę do mego domu?

- To zajmie tylko chwilę - zapewnił inspektor Spellar. Kiwnął głową Lucindzie. - Panno Bromley, czy zechciałaby pani podzielić się ze mną swoją opinią?

Lucinda starała się zachować spokój. Nie miała wątpliwości, że rodzina zmarłego będzie potem opowiadać przyjaciółom i znajomym, że była zimna jak lód, czyli dokładnie taka, jak przedstawiały ją gazety. Tymczasem sama myśl o tym, co miała właśnie zrobić, mroziła jej krew w żyłach. Zdecydowanie wolałaby być teraz w domu, w cieplarni, otoczona zapachami, barwami i energią ukochanych roślin. Ale z jakiegoś powodu - którego sama nie

potrafiła wyjaśnić – dała się uprosić Spellarowi i od czasu do czasu udzielała mu pomocy.

- Oczywiście, panie inspektorze - odrzekła - przecież po to tu jestem. Nie ulega chyba wątpliwości, że nie zostałam zaproszona na herbatę.

Siostra wdowy, stara panna o surowej twarzy, którą wcześniej przedstawiono Lucindzie jako Hannah Rathbone, aż sapnęła na te słowa.

- To oburzające - syknęła. - Czy naprawdę nie ma pani poczucia przyzwoitości, panno Bromley? Umarł człowiek. Mogłaby pani przynajmniej zachować się z godnością i opuścić ten dom tak szybko, jak to tylko możliwe.

Spellar posłał Lucindzie dyskretne spojrzenie, niemą prośbę, by uważała na to, co mówi. W odpowiedzi tylko westchnęła. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, to utrudnić śledztwo albo sprawić, by inspektor musiał zrezygnować z jej pomocy.

Na pierwszy rzut oka trudno było zgadnąć, czym właściwie zajmuje się Spellar. Był mężczyzną o zaokrąglonej sylwetce, życzliwej, pogodnej twarzy i ogromnych wąsach. Jego głowę otaczał wianek rzadkich siwiejących włosów. Wyglądał tak pospolicie, że niektórzy w ogóle nie zauważali malującej się w jego niebieskozielonych oczach inteligencji.

Ci, którzy go nie znali, nie domyśliliby się, że ma niezwykle talent. Dostrzegał każdą, najbardziej nawet niepozorną wskazówkę na miejscu przestępstwa. Dla kogoś w jego profesji to prawdziwy dar. Jednakże nawet jego zdolności nie zawsze wystarczały. Gdy w grę wchodziło otrucie, umiał rozpoznać tylko najbardziej oczywiste przypadki.

Ciało lorda Fairburna leżało na środku dużego kwiecistego dywanu. Spellar podszedł, schylił się i odciągnął prześcieradło, którym ktoś przykrył zwłoki.

Lady Fairburn znowu wybuchnęła płaczem.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytała drżącym głosem.

Hannah Rathbone ją przytuliła.

- Cicho, Annie - szepnęła. - Musisz się uspokoić. Wiesz przecież, że masz bardzo słabe nerwy.

W pokoju obecny był jeszcze trzeci członek rodziny, Hamilton Fairburn. Na jego przystojnej twarzy malował się głęboki smutek. Około dwudziestopięcioletni młody człowiek był synem Fairburna z poprzedniego małżeństwa. Według Spellara to właśnie on nalegał, by wezwano detektywa ze Scotland Yardu. Gdy rozpoznał nazwisko Lucindy, przeraził się. Mimo to nie odmówił jej wstępu do posiadłości. Najwyraźniej młody Fairburn chciał, by śledztwo posunęło się do przodu, nawet jeśli oznaczało to, że musi wpuścić do domu kobietę okrytą niesławą.

Przygotowała się na przykre odczucia, jakich zawsze doznawała, stykając się ze śmiercią, i podeszła do ciała. Ale to nie złagodziło dezorientującego uczucia kompletnej pustki, jaka ją ogarnęła, gdy popatrzyła na leżące na podłodze zwłoki. Kimkolwiek był Fairburn i cokolwiek sobą reprezentował za życia, wszystko to zniknęło.

Lucinda wiedziała jednak, że wciąż może odnaleźć ślady tego, co zabiło arystokratę. Spellar na pewno zresztą dostrzegł już większość z nich. A jeśli coś wskazywało, że użyto trucizny, to właśnie jej zadaniem było to odkryć. Ślady energii wydzielanej przez substancje toksyczne pozostawały nie tylko na ciele, lecz na wszystkim, czego ofiara dotknęła w ostatnich chwilach życia.

Często widać było także inne bardzo nieprzyjemne, a zarazem zupełnie oczywiste dowody. Z doświadczenia Lucinda wiedziała, że na ogół ludzie, umierający z powodu otrucia, wymiotują i zwijają się z bólu. Naturalnie zawsze istniały wyjątki od tej reguły.

Regularne i długotrwałe zażywanie niewielkich dawek arszeniku nie powodowało takich objawów.

Nic nie wskazywało, żeby lord Fairburn miał atak nudności, zanim skonał. Wyglądał, jakby śmierć była rezultatem wylewu lub ataku serca. Większość rodzin z wyższych sfer, a Fairburnowie się do nich zaliczali, zaakceptowałyby taką właśnie diagnozę, by uniknąć rozgłosu, jaki nieuchronnie towarzyszył każdemu dochodzeniu

w sprawie o morderstwo. Lucinda była ciekawa, co skłoniło Hamiltona Fairburna, żeby skontaktował się ze Scotland Yardem. Najwyraźniej coś podejrzewał.

Najpierw skupiła się na tym, co mogła zobaczyć gołym okiem. Niewiele jej to dało. Skóra zmarłego przybrała wyraźny popielaty odcień. Otwarte oczy patrzyły w nicłość. Usta były lekko rozchylone, jakby w ostatnim westchnieniu. Lucinda zauważyła, że lord był starszy od żony o co najmniej dwadzieścia lat. Bogaty wdowiec, gdy żenił się ponownie, wybrał zapewne debutantkę.

Ostrożnie zdjęła cienkie skórzane rękawiczki. Nie zawsze musiała dotykać ciała, lecz bezpośredni kontakt fizyczny pozwalał łatwiej wyczuć słabe, ledwo uchwytnie ślady energii, które inaczej mogłyby ująć jej uwagi.

Lady Fairburn i Hannah Rathbone głośnym westchnieniem dały wyraz swemu przerażeniu. Usta Hamiltona się zacisnęły. Lucinda wiedziała, że wszyscy dostrzegli na jej palcu pierścionek. Jak donosiła brukowa prasa, ukryła w nim truciznę, której użyła, by zamordować narzeczonego.

Pochyliła się i koniuszkami palców dotknęła czoła zmarłego. Jednocześnie starała się chłonąć wrażenia wszystkimi zmysłami.

W jednej chwili powietrze w bibliotece uległo subtelnej zmianie. Zapach wydobywający się z dużego słoja pełnego potpourri zalał ją nagle niczym wielka fala. Czuła w nim woń geranium, różanych płatków, goździków, skórki pomarańczowej, hinduskich ziół i fiołków.

Kolor róż stojących w dwóch okazałych wazonach stał się bardziej intensywny, przybierał odcienie, dla których brakowało nazw. I choć płatki wciąż były jasne i aksamitne, wyraźnie czuło się już odór zgnilizny. Lucinda nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie chętnie dekorowali pokoje ciętymi kwiatami. Może i były piękne przez pewien, bardzo krótki, czas. Ale w gruncie rzeczy umierały. Ona sama uważała, że jedynym odpowiednim miejscem dla takich kwiatów jest cmentarz. Jeśli chce się zachować cały potencjał jakiegś rośliny, należy ją zasuszyć, pomyślała ze smutkiem.

Wiotkie listki paproci zamkniętej za szkłem robiły bardzo przykre wrażenie - umierały. Lucinda wątpiła, by ten wyjątkowo delikatny okaz *Trichomanes speciosum* dotrwał do końca miesiąca. Miała wielką chęć zabrać roślinę do swojej cieplarni. Uświadomiła sobie jednak, że w całym kraju nie da się chyba znaleźć jednego domostwa, które nie mogłoby się chlubić paprocią w salonie. Nie można było ocalić ich wszystkich. Od kilku lat panowała moda na paprocie. Wymyślono nawet dla niej specjalną nazwę - pteridomania.

Dzięki długiej praktyce Lucindzie udało się bez trudu odsunąć od siebie to wszystko, co jej przeszkadzało - intensywne barwy i energię roślin. Skoncentrowała się na zwłokach. Jej zmysły wyczuły niewielkie pozostałości jakiejś złej energii. Dzięki swym zdolnościom potrafiła rozpoznać niemal każdą truciznę; energia substancji toksycznych pozostawała w powietrzu. Ale jej prawdziwą specjalnością były wszelkie rodzaje trucizn sporządzonych na bazie roślin.

Od razu się zorientowała, że zgodnie z podejrzeniami Spellara, lord Fairburn zażył truciznę. Zdumiał ją tylko fakt, że były w niej śladowe ilości pewnego bardzo rzadkiego okazu paproci. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Pozostała przy ciele chwilę dłużej, niż to było konieczne. Udawała, że nad czymś rozmyśla, ale w rzeczywistości próbowała się opanować i uspokoić oddech. Nie okazuj emocji, powtarzała sobie.

Kiedy już miała pewność, że nad sobą panuje, podniosła się i spojrzała na Spellara.

- Pańskie podejrzenia są w pełni uzasadnione. - Miała nadzieję, że zabrzmiało to profesjonalnie. - Na krótko przed śmiercią zmarły zjadł lub wypił coś, co było zatrute.

Lady Fairburn krzyknęła przeraźliwie.

- Dokładnie tak, jak się obawiałam. Mój ukochany mąż odebrał sobie życie. Jak mógł mi to zrobić?! - powiedziała po chwili zbolowanym głosem.

Po czym zemdlona osunęła się na podłogę.

- Annie! - wrzasnęła Hannah.

Rzuciła się na kolana u boku siostry i z ozdobnego łańcuszka przy talii zdjęła gustowny flakonik. Odkorkowała go i podsunęła pod nos lady Fairburn. Sole trzeźwiące podziały natychmiast. Wdowa zatrzepotała powiekami.

Na twarzy Hamiltona Fairburna odmalowało się oburzenie.

- Panno Bromley, twierdzi pani, że mój ojciec popełnił samobójstwo?

Lucinda pozwoliła zmysłom się wyłączyć i spojrzała na niego. Stał po drugiej stronie pokoju.

- Nie powiedziałam, że zmarły świadomie wypił truciznę. Zadaniem policji jest stwierdzić, czy zażył ją przez przypadek, czy też z własnej woli.

Hannah utkwiała w Lucindzie oburzone spojrzenie.

- Kimże pani jest, żeby twierdzić, że jego lordowska mość został otruty?! Z pewnością nie jest pani lekarzem, panno Bromley. Wszystkim nam zresztą wiadomo, czym pani się zajmuje. Jak pani śmie zjawiać się w tym domu i rzucać oskarżenia na prawo i lewo?

Lucinda czuła, że traci panowanie nad sobą. Jej praca miała czasami nieprzyjemne strony. Ludzie bali się trucizny, a to dlatego, że ostatnimi czasy prasa brukowa obudziła niezdrowe zainteresowanie tym tematem.

- Nie przyszedł tu, żeby kogokolwiek oskarżać - odparła, starając się mówić spokojnie. - Inspektor Spellar poprosił mnie o opinię. Wykonałam swoje zadanie. Teraz, jeśli państwo pozwolą, pójdę już.

- Odprowadzę panią do powozu, panno Bromley - zaofiarował się Spellar.

- Dziękuję, panie inspektorze.

We dwójkę wyszli z biblioteki i udali się do wejściowego holu, gdzie czekali gospodyni i lokaj, obydwójce mocno zaniepokojeni. Reszta służących, a było ich w tym domu niewątpliwie wielu, usunęła się dyskretnie. Lucinda wcale ich za to nie winała. Kiedy w grę wchodziła trucizna, zawsze podejrzewano służbę.

Lokaj pospieszył do drzwi, by je otworzyć. Lucinda wyszła na schody, a Spellar podążył za nią. Przed sobą ujrzeli szary mur. Było wczesne popołudnie, ale mgła tak bardzo się zagęściła, że zupełnie

skrywała niewielki park na środku placu i przesłaniała eleganckie domy naprzeciwko. Powóz Lucindy stał na ulicy. Shute, woźnica, czekał w pobliżu. Kiedy ją dostrzegł, oderwał się od balustrady i otworzył drzwi powozu.

- Nie zazdroszczę panu tej sprawy, panie inspektorze - powiedziała spokojnie.

- A więc to otrucie - stwierdził Spellar. - Tak myślałem.

- Obawiam się, niestety, że nie użyto arszeniku. Nie będzie pan mógł zastosować testu Marsha, żeby udowodnić, że to morderstwo.

- Przykro mi to stwierdzić, ale teraz, kiedy wszyscy wiedzą, że arszenik można wykryć prostym testem, trucizna ta wypadła nieco z łask.

- Niech się pan nie przejmuje. To stary, wypróbowany środek i zawsze będzie popularny, choćby tylko dlatego, że jest powszechnie dostępny. A w dodatku jeśli podawać go cierpliwie przez długi okres, wywołuje objawy, które z łatwością można przypisać wielu chorobom. W końcu nie bez powodu Francuzi nazywają go spadkowym proszkiem.

- To prawda - przyznał Spellar. Skrzywił się. - Ciekawe, ilu starszejących się rodziców i zniechęconych współmałżonków wyprawiono w ten sposób na tamten świat. Ale skoro to nie arszenik, to co? Nie poczułem zapachu gorzkich migdałów. Nie zauważyłem też innych objawów użycia cyjanku.

- Jestem pewna, że to trucizna sporządzona z roślin. Głównym jej składnikiem jest rycyna, która, jak pewnie panu wiadomo, jest bardzo toksyczna.

Inspektor zmarszczył czoło.

- Zdawało mi się, że zatrucie rycyną wywołuje przed śmiercią gwałtowne dolegliwości. Lord Fariburn najwyraźniej na nic takiego nie cierpiał.

Lucinda starannie dobierała słowa, chcąc ujawnić Spellarowi tyle prawdy, ile było możliwe.

- Ktokolwiek sporządził tę truciznę, wzmocnił śmiertelny efekt tak, by otrzymać substancję wysoce toksyczną, silną i działającą bardzo szybko. Serce lorda Fairburna przestało

pracować, zanim jego organizm spróbował pozbyć się specyfiku.

- Zdaje się, że zrobiło to na pani wrażenie, panno Bromley - zauważył Spellar, ściągając brwi. - Domyślam się, że potrzeba nie byle jakich zdolności, aby przygotować taką truciznę.

Przez moment zabłysła w jego oczach jakaś iskierka, jakby chciał przyjrzeć jej się uważniej. Zaraz jednak zgasła przesłonięta uprzejmym, nieco beztróskim wyrazem twarzy, jaki zwykle przybierał. Lucinda zrozumiała, że musi być ostrożna.

- Trzeba niepospolitych umiejętności - potaknęła. - Taką miksturę mógł sporządzić jedynie uczonego albo bardzo utalentowany chemik.

- Ktoś o genialnych zdolnościach, również psychicznych? - dopytywał się spokojnie Spellar.

- To możliwe. - Westchnęła i dodała: - Będę z panem zupełnie szczerą, inspektorze. Do tej pory nie zetknęłam się jeszcze z trucizną o tak specyficznym składzie.

To akurat jest prawda, pomyślała.

- Rozumiem. - Spellar wyglądał na zrezygnowanego. - Chyba będę musiał zacząć od aptek, może to naprowadzi mnie na jakiś ślad. W tego typu miejscach zawsze nielegalnie handlowano truciznami. Żona, która pragnie szybko zostać wdową, łatwo może się zaopatrzyć w jakąś toksyczną substancję. A gdy mąż umrze, wystarczy oświadczyć, że to wypadek. Przecież kupiła trutkę na szczury. Niestety traf chciał, że małżonek wypił trochę przez nieuwagę.

- W Londynie są tysiące aptek.

Spellar prychnął.

- I to nie licząc sklepów oferujących zioła i różne osobliwe medykamenty. Może uda mi się zawęzić poszukiwania, koncentrując się na tych, które znajdują się w najbliższej okolicy domu.

- A więc jest pan przekonany, że to morderstwo? - zapytała Lucinda, zakładając rękawiczki. - Nie samobójstwo?

W oczach inspektora znów zabłysła iskierka.

- To na pewno morderstwo - oświadczył spokojnie. - Czuję to.

Lucinda się wzdygnęła. Ani przez moment nie wątpiła w intuicję Spellara.

- Trudno nie zauważyć, że lady Fairburn będzie bardzo do twarzy w żałobie - mruknęła.

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem. - Inspektor uśmiechnął się lekko.

- Myśli pan, że to ona go zabiła?

- Nie byłby to pierwszy raz, kiedy nieszczęśliwa młoda żona marząca o wolności i bogactwie podaje truciznę o wiele starszemu mężowi. - Zakołysał się na piętach i dodał: - Ale w tym domu kryją się jeszcze inne możliwości. Najpierw muszę się dowiedzieć, skąd pochodziła trucizna.

Lucindę przebiegł dreszcz. Starła się nie okazywać przerażenia.

- No tak, oczywiście. Życzę powodzenia, inspektorze.

- Dziękuję, że zechciała mi pani pomóc. - Zniżywszy głos, dodał: - Przykro mi, że musiała pani znosić grubiańskie zachowanie ze strony Fairburnów.

- Nie było w tym pańskiej winy. - Uśmiechnęła się lekko. - Obydwojgu nam wiadomo, że przywykłam do tego.

- Co nie znaczy, że przyjemnie znosić podobne impertynencje. - Na twarzy Spellara odmalował się smutek, co było niezwykłym widokiem. - Fakt, że godzi się pani na nie narażać, by od czasu do czasu mi pomóc, czyni mnie pani dłużnikiem.

- Nonsens. Mamy wspólny cel. Żadne z nas nie chce, żeby mordercy cieszyli się wolnością. Obawiam się jednak, że tym razem będzie się pan musiał napracować.

- Na to wygląda. Do widzenia, panno Bromley.

Pomógł Lucindzie wsiąść do eleganckiego powozu i zamknął za nią drzwi. Usadowiła się wygodnie na poduszkach, opatulila połami płaszcza i zapatrzyła w zamglony krajobraz za oknem.

Fakt, że truciznę sporządzono z paproci, wstrząsnął nią do głębi. Nie była tak poruszona od śmierci ojca. W Anglii istniał przecież tylko jeden okaz *Ameliopteris amazoniensis*. I rósł on w jej prywatnej cieplarni - przynajmniej jeszcze w zeszłym miesiącu.

Kolorowe plakaty przed teatrem ochrzciły go Zdziwiającym Człowiekiem Tajemnicą i Mistrzem Zamków. W rzeczywistości nazywał się Edmund Fletcher i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kariera sceniczna raczej nie jest mu pisana. Gdyby miał do czynienia z zamkniętym domem, wślizgnąłby się do niego niezauważalnie. Jakby był powietrzem. A wewnątrz bez trudu odkryłby wszystko, co wartościowe, nawet gdyby było nie wiem, jak dobrze schowane. Bo naprawdę miał talent do otwierania wszelkich zamków. Problem polegał na tym, że po raz kolejny Edmund postanowił żyć uczciwie. Jednakże, podobnie jak wszystkie poprzednie, tak i obecne wysiłki spełzały na niczym.

Kiedy zaczynał występować, miał niewielką publiczność, a w miarę upływu czasu i ona coraz bardziej się przerzedzała. Tego wieczoru pustką świeciło trzy czwarte krzesel w niewielkiej sali teatralnej. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał wrócić do poprzedniego fachu, choćby po to, by móc zapłacić za mieszkanie. Przysłowie mówi, że przestępstwo nie popłaca. Ale okazało się, że jest bardziej dochodowe niż praca iluzjonisty.

- By państwa upewnić, że w tym, co robię, nie ma żadnego oszustwa, chciałbym poprosić na scenę ochotnika - oznajmił głośno.

W sali panowała pełna znudzenia cisza. W końcu ktoś podniósł rękę.

- Może ja? - zapytał mężczyzna w drugim rzędzie.

- Dziękuję panu. Proszę wejść na scenę. - Edmund gestem zaprosił nieznanego.

Muskularny mężczyzna w źle skrojonym surducie zaczął wchodzić po schodkach.

- Jak się pan nazywa?

- Spriggs. Co mam zrobić?

- Panie Spriggs, proszę wziąć ode mnie ten klucz - mówiąc to, iluzjonista podał nieznanemu ciężki żelazny klucz. - Kiedy wejdziesz do klatki, proszę zamknąć nim drzwi. Czy to jasne?

- Dam sobie radę. - Spriggs prychnął. - No już. Niech pan wchodzi.

Edmundowi przemknęło przez myśl, że nie najlepiej to wygląda, gdy widz wydaje polecenia magikowi.

Wszedł do klatki i przez kraty spojrzął na milczącą publiczność. Czuł się jak idiota.

- Może pan zamknąć, panie Spriggs - zachęcił widza.

- No to jest pan w środku. - Mężczyzna zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w dużym zamku. - Zamknąłem pana na cztery spusty. Ciekawe, czy uda się panu wydostać.

W sali zatrzeszczały krzesła. Publiczność zaczynała się niecierpliwie i Edmund wcale się temu nie dziwił. Nie miał wprawdzie pojęcia, czy widzom czas się dłużył, czy nie - choć fakt, iż kilka osób opuściło już salę, mógł być w tym względzie pewną wskazówką - ale jeśli chodziło o niego, przedstawienie ciągnęło się w nieskończoność.

Raz jeszcze powędrował wzrokiem w kierunku samotnej postaci w ostatnim rzędzie. W słabym świetle widział jedynie ciemną sylwetkę w fotelu przy przejściu. Twarz mężczyzny skryta była w cieniu. A jednak emanowało z niej coś złego. Edmund czuł się zagrożony. Nieznajomy nie nagradzał jego popisów oklaskami, ale też go nie wygwizdywał. Po prostu siedział na swoim miejscu cicho i nieruchomo, obserwując wszystko, co się działo na scenie.

Fletchera znowu przeszył dreszcz niepokoju. Może jeden z dłużników w końcu się zniecierpliwiał i nasłał na niego jakiegoś nieokrzesanego zbira, żeby odzyskał należność. Przyszła mu też do głowy inna, bardziej nawet przerażająca możliwość. Może jakiś dociekliwy detektyw ze Scotland Yardu znalazł trop łączący go ze śmiercią Jaspera Vine'a. No cóż, z takich właśnie powodów najlichszy nawet teatr miał tylne drzwi w głębi sceny. I zazwyczaj nader dogodnie prowadziły one wprost na ciemną alejkę na tyłach.

- Panie i panowie - zaintonował Edmund. Teatralnym gestem poprawił elegancką muszkę przy szyi, manipulując ukrytym w niej kawałkiem metalu. - Patrzcie uważnie. Za chwilę otworzę te drzwi samym tylko dotknięciem palców.

Magik skoncentrował się i przesunął ręką po zamku. Drzwi klatki stanęły otworem.

Rozległy się słabe, pozbawione entuzjazmu oklaski.

- Uliczny magik pokazuje zabawniejsze sztuczki! - krzyknął mężczyzna w drugim rzędzie.

Edmund go zignorował. Natomiast przed Spriggsem skłonił się głęboko.

- Dziękuję za pomoc - powiedziawszy to, wyprostował się, wyjął z kieszeni zegarek na łańcuszku i pomachał nim przed mężczyzną. - Zdaje się, że to należy do pana.

Spriggs się wzdrygnął, po czym wyrwał zegarek z rąk Fletchera.

- Niech go pan odda - zirytował się. Zszedł szybko po schodach i opuścił teatr.

- Jest pan tylko zręcznym kieszonkowcem, to wszystko! - krzyknął ktoś ze sceny.

Atmosfera robiła się coraz gorsza. Czas zakończyć przedstawienie. Edmund przesunął się na środek sceny tak, żeby znaleźć się w świetle reflektorów.

- Nadeszła pora, by się pożegnać, drodzy przyjaciele - oznajmił.

- Krzyżyk na drogę! - krzyknął ktoś.

Edmund skłonił się głęboko.

- Żądam zwrotu pieniędzy! - wrzasnął jakiś mężczyzna.

Nie zwracając uwagi na gwizdy, Edmund ujął brzegi czarnej satynowej peleryny. Uniósł ją i otulił się nią od stóp do głów, skrywając się przed wzrokiem publiczności. Skupił się, żeby wykonać ostatni zadziwiający numer. Peleryna opadła na podłogę. Na scenie nie było nikogo.

Widzowie w końcu wykrzesali z siebie nieco zdziwienia. Gwizdy umilkły w jednej chwili. Edmund przysłuchiwał się temu zza poszarpanej kotary z czerwonego aksamitu. Powinien wymyślić więcej takich błyskotliwych, przykuwających uwagę sztuczek. Niestety, dwie rzeczy stały mu na przeszkodzie. Po pierwsze, rekwizyty teatralne, dzięki którym można było wyrzucić wrażenie na widzach, były bardzo drogie. Po drugie, występy na scenie nie leżały w natu-

rze Edmunda. Wolał niezauważony iść przez życie. Nienawidził teatru, reflektorów i publiki. Czuł się źle, gdy oczy wszystkich skupiały się na nim. Powiedz sobie prawdę, Fletcher, urodziłeś się, żeby być przestępcą, a nie magikiem, pomyślał.

- Wyjdź i pokaż nam, jak to zrobiłeś - dobiegł jego uszu głos zza kotary.

Pomruk nagłego zdumienia, jakie ogarnęło widownię, przerodził się szybko w pełne oburzenia narzekanie.

- Jedna niezła sztuczka - zalił się ktoś. - Tylko na tyle go stać. Edmund ruszył w kierunku garderoby. Z ciemności wyłonił się Murphy, właściciel teatru. Obok niego stał mały, tłusty piesek, Pom. Tak pies, jak i jego pan mieli szerokie głowy i spłaszczone nosy, co czyniło ich dziwacznie podobnymi do siebie. Pom wyszczerzył zęby i warknął.

- Trudna publika... - zaczął Edmund.

- Nie mogę powiedzieć, żebym miał im za złe - odparł Murphy. Jego głos przypominał warknięcie Poma. Rumiana twarz właściciela teatru się zachmurzyła. - Byle magik potrafi uwolnić się z zamkniętej klatki albo z kajdanek. Ta pana ostatnia sztuczka jest całkiem niezła, ale to też nic nadzwyczajnego. Keller Wielki i Lorenzo Wspaniały znikają tak każdego wieczoru. I potrafią sprawić, żeby znikali inni, na przykład młode ładne damy.

- Jeśli zapłaci pan jakiejś młodej ładnej artystce, już ja się postaram, żeby zniknęła - odrzekł Edmund. - Przecież rozmawialiśmy o tym niejednemu raz, panie Murphy. Jeśli chce pan bardziej zadziwiających sztuczek, musi pan zainwestować w droższe rekwizyty i asystantkę. Nie stać mnie na to, żeby samemu to zorganizować.

Pom warknął. Murphy też.

- Już i tak za dużo panu płacę - burknął właściciel.

- Więcej bym zarobił, prowadząc powóz. Niech mi pan zejdzie z drogi, Murphy. Muszę się napić.

Ruszył korytarzem prowadzącym do maleńkiej garderoby. Murphy pospieszył za nim. Edmund słyszał odgłos psich pazurów drapiących deski podłogi.

- Niech się pan zatrzyma! - zawołał Murphy. - Musimy porozmawiać.

Pom zaszczeakał.

- Może później, jeśli nie ma pan nic przeciwko - odparł Fletcher, nie zwalniając kroku.

- A właśnie, że teraz, do diaska! Kończę tę farsę. Dzisiaj dał pan ostatnie przedstawienie. Proszę się spakować. Wynocha!

Edmund gwałtownie się zatrzymał i odwrócił na pięcie.

- Nie ma pan prawa mnie wyrzucić. Podpisaliśmy umowę.

Pom stanął w miejscu, po czym szybko się cofnął. Murphy wyprostował się, jak tylko mógł. Jego wielka łysa głowa znalazła się na wysokości ramion Fletchera.

- W kontrakcie jest wyraźnie powiedziane, że jeśli dzienne wpływy przez trzy kolejne wieczory spadają poniżej określonego minimum, mam prawo zerwać umowę. A niech pan wie, że wpływy nie sięgają minimum już od ponad dwóch tygodni.

- To nie moja wina, że nie potrafi pan reklamować występów magika.

- Nie moja wina, że z pana marny magik - odciął się Murphy. - Może pan sobie otwierać sejfy i sprawiać, żeby znikwały przedmioty i znowu się pojawiały, ale to staromodne sztuczki. Publiczność życzy sobie nowych zadziwiających numerów. Chcieliby na przykład zobaczyć, jak się pan unosi w powietrzu. A już przynajmniej, żeby przywołał pan kilka duchów z zaświatów.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem medium. Zatrudnił pan magika.

- I to takiego, co ma ledwie parę sztuczek w zanadrzu. Owszem, jest pan dobry w tych kuglarskich numerach, przyznaję. Ale publiczności to nie wystarcza.

- Niech mi pan pozwoli zostać jeszcze kilka wieczorów - poprosił Edmund zmęczonym głosem. - Obiecuję, że zaprezentuję coś wyjątkowego.

- W zeszłym tygodniu mówił pan to samo. Przykro mi, brak panu talentu. A ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby za każdym

razem dawać panu nową szansę. Mam rachunki do zapłacenia, a także żonę i troje dzieci do wyżywienia. Nasz kontrakt jest nieważny. Dokładnie od teraz.

Nie uda mi się. Mimo wszelkich starań do końca życia zostanę przestępcą, pomyślał Fletcher. Cóż, przynajmniej więcej zarobi, choć z drugiej strony, dużo więcej też ryzykuje. Bo być wylanym z pracy za kiepskie przedstawienia to jedno, ale trafić do więzienia za włamanie do domu to zupełnie co innego. Tyle że kiedy kradł, czuł przyjemny dreszczyk, a tego nie zapewniał żaden uczciwy sposób zarobkowania.

Edmund się skoncentrował. Wyostrzył zmysły, zebrał w sobie energię. Murphy nie posiadał żadnego zauważalnego talentu psychicznego, ale najgłupszy nawet i najbardziej denerwujący właściciel teatru ma pewną dozę intuicji.

- Jutro rano już mnie tu nie będzie - oznajmił Fletcher. - A teraz niech pan stąd idzie i zabierze psa albo sprawię, że obydwaj znikniecie. Na zawsze.

Pom zawył, przestraszony i schował się za Murphy'ego. Właściciel poruszył wąsami i wytrzeszczył oczy. Pospiesznie się cofnął, nadeptując na psa. Pom zaskowyczał. Murphy mu zawtórował.

- Nie może mi pan grozić - wyjąkał. - Bo wezwę policję.

- A niech tam - odrzekł Edmund. - Żeby pan zniknął, musiałbym użyć więcej energii, niż to warte. Ale, ale... zanim się pan stąd zabierze razem z tym swoim kundlem, chcę zapłaty.

- Chyba nie słuchał pan, co mówiłem. Dzisiaj nie było żadnych zysków.

- Naliczyłem w sali trzydzieści osób łącznie z mężczyzną, który się spóźnił i usiadł w ostatnim rzędzie. Nasza umowa przewiduje, że wypłaca mi pan połowę tego, co pan inkasuje przy sprzedaży biletów. Jeśli zamierza mnie pan oszukać, wezwę policję. - Były to tylko czcze pogroźki, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Może pan nie zauważył, że wielu widzów opuściło salę przed końcem spektaklu - upierał się Murphy. - Musiałem im zwrócić pieniądze.

- Nie wierzę, że oddał pan choć jednego pensa. Jest pan kuty na cztery nogi.

Murphy poczerwieniał na twarzy, ale sięgnął do kieszeni i wyjął pieniądze. Policzył je starannie, po czym połowę wręczył Fletcherowi.

- Proszę - mruknął. - Warto zapłacić, byle tylko pozbyć się takiej miernoty. I niech pan nie zapomni zabrać swoich rzeczy. To, co zostanie, przechodzi na moją własność.

Murphy podniósł psa, wsunął go sobie pod pachę i dumnym krokiem poszedł do biura mieszczącego się we frontowej części teatru.

Edmund wszedł do garderoby, zapalił gazową lampę i szybko przeliczył pieniądze. Wystarczy na butelkę wina i zostanie jeszcze trochę na jedzenie na jutro. Nie ulegało jednak wątpliwości, że musi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Jak najszybciej. Postanowił się spakować i opuścić budynek tylnym wyjściem na wypadek, gdyby nieznajomy z ostatniego rzędu czekał na niego przed teatrem.

Wyciągnął spod toaletki poobijaną walizkę i pospiesznie wrzucił do niej swój niewielki dobytek. Czarna peleryna została na scenie. Nie wolno mu o niej zapomnieć. Nie żeby miał zamiar korzystać z niej jeszcze w przyszłości. Ale zawsze można ją sprzedać jakiemuś zmagającemu się z losem magikowi.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Znieruchomiał. To mężczyzna z ostatniego rzędu, pomyślał. Intuicja nigdy go jeszcze nie zawiodła w takiej sytuacji.

- Do jasnej cholery, Murphy! Powiedziałem, że rano mnie nie będzie! - krzyknął.

- A może zainteresowałyby pana inna posada?

Mężczyzna był bez wątpienia świetnie wykształcony. Mówił przyciszonym, opanowanym głosem, w którym pobrzmiwała naturalna siła. Wydawało się, że nie jest jednym z osiłków wynajmowanych zazwyczaj do ściągania długów, lecz z jakiegoś powodu niespecjalnie uspokajało to Edmunda.

Wyostrzył zmysły, podniósł walizkę i ostrożnie otworzył drzwi. Nieznajomy stanął tak, żeby pozostać poza kręgiem słabego światła

gazowej lampy. Pograżona w cieniu postać była szczupła i miała w sobie coś z drapieżnika.

- Kim pan jest, do diabła?! - spytał Edmund. Zastanawiał się, jak wyplątać się z niezręcznej sytuacji.

- Pańskim nowym pracodawcą, mam nadzieję.

Może mimo wszystko nie będzie musiał znowu kraść.

- Chce pan wynająć magika? - zapytał Edmund. - Tak się składa, że jestem wolny.

- Nie potrzebuję magików, zadziwiają ludzi tylko dzięki zręczności i rekwizytom. Poszukuję kogoś, kto posiada nadprzyrodzony talent, kto potrafi wejść i wyjść przez każde drzwi. Zwłaszcza te zamknięte.

Edmunda przeszył strach.

- Nie wiem, o czym pan mówi - rzekł ostrożnie.

- Pan nie jest teatralnym artystą, panie Fletcher. Pan nie oszukuje, prawda?

- Nie rozumiem. Co pan chce przez to powiedzieć?

- Posiada pan niezwykle zdolności psychiczne pozwalające otworzyć najbardziej nawet skomplikowany zamek. Dzięki nim umie pan również odwrócić czyjąś uwagę, by nie widziano, co pan robi. Nie jest pan wprawdzie w stanie przejść przez mur, ale nietrudno uwierzyć, że byłby pan do tego zdolny.

- Kim pan jest? - spytał Edmund, starając się nie okazać zdumienia.

- Nazywam się Caleb Jones. Założyłem niedawno małą agencję detektywistyczną zajmującą się dyskretnymi, poufnymi sprawami. I zdążyłem się już przekonać, że czasami przydałaby mi się pomoc konsultanta posiadającego dość szczególne uzdolnienia.

- Konsultanta?

- W dochodzeniu, które obecnie prowadzę, potrzebuję partnera mającego takie właśnie niezwykle zdolności jak pan, panie Fletcher. Praca jest dobrze płatna, zapewniam.

- Nazywa się pan Jones? Z pewnością słyszałem to nazwisko. Ma pan jakieś powiązania z Towarzystwem Wiedzy Tajemnej?

- Niech mi pan wierzy, bywają dni, kiedy stają się one o wiele silniejsze, niżbym sobie tego życzył.

- Co miałbym dla pana zrobić?

- Chciałbym, żeby pomógł mi pan się włamać do pewnego dobrze strzeżonego budynku. Ukradniemy stamtąd pewien przedmiot.

Mimo wszystko serce Edmunda zabiło szybciej.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał popełniać przestępstwa - oświadczył.

- Ale dlaczego? - spytał Caleb Jones bardzo poważnym tonem.

- W końcu ma pan do tego prawdziwy talent.

3

Jedyną irytującą i nie do pokonania niedogodnością prowadzenia agencji detektywistycznej specjalizującej się w rozwiązywaniu spraw, w które zamieszani byli ludzie mający specyficzne umiejętności, był fakt, że każda agencja potrzebowała klientów.

Caleb wysiadł z powozu i stanął przed schodkami prowadzącymi do drzwi numer 12 przy Landreth Square. Podniósł ciężką kołatkę i kilkakrotnie nią zastukał.

Klienci stanowili największy minus w jego pracy, która bez nich byłaby jeszcze bardziej interesująca i fascynująca. Zawsze pociągało go odkrywanie schematów i znajdowanie odpowiedzi - zdaniem niektórych miał na tym punkcie obsesję. I choć od niedawna prowadził agencję detektywistyczną, zdążył już zauważyć, że jest to bardzo ekscytujące zajęcie. A w dodatku pozwalało mu ono zapomnieć o innej sprawie, dręczącej go ostatnimi czasy.

Szkoda, że nie było sposobu, żeby uniknąć kontaktu z ludźmi, którzy przychodzili do Agencji Jonesa ze swoimi problemami. Klienci zwykle przybierali dramatyczne pozy. I dawali się ponieść emocjom. A kiedy już zawarł z nimi umowę, nie dawali mu spokoju, dopytując się wiecznie, jakie postępy poczynił. Później, gdy

przedstawiał im rozwiązanie sprawy, zachowywali się na jeden z dwóch sposobów - jedni dostawali ataku wściekłości, inni załamywali się i zalewali łzami. Tak czy owak, rzadko trafiał się ktoś zadowolony. Niestety klienci wydawali się nieodłączną częścią tej profesji.

Tym razem jednak miał się spotkać z potencjalną klientką, która zdawała się zupełnie inna. I choć czuł do niej antypatię taką samą jak do wszystkich szukających u niego pomocy detektywistycznej, to perspektywa spotkania z tą kobietą nie była mu aż tak niemiła.

Naturalnie rozpoznał jej nazwisko, gdy tylko otworzył list. Lucinda Bromley, której brukowa prasa nadała przydomek „Lukrecja”, była córką sławnego Artura Bromleya. Ten wyjątkowo utalentowany botanik dotarł do najdalszych zakątków świata w poszukiwaniu rzadkich, egzotycznych roślin. Żona i córka często mu towarzyszyły. Amelia Bromley zmarła cztery lata temu, ale Lucinda nadal jeździła z ojcem na ekspedycje.

Do czasu, gdy jakieś półtora roku temu długoletni współpracownik Bromleya, Gordon Woodhall, zmarł nagle od zatrucia cyjankiem. Zaraz potem Artur Bromley popełnił samobójstwo. Wszystkie londyńskie gazety pisały o tym na pierwszych stronach, sugerując, iż uczeni musieli się poróżnić.

Jednakże artykuły na temat morderstwa Woodhalla i samobójstwa Bromleya były niczym w porównaniu z sensacją, jaką miesiąc później wywołała wieść, że narzeczony Lucindy, młody botanik Ian Glasson, został otruty.

Skandal spotęgowały nیکczemne plotki dotyczące wydarzeń bezpośrednio poprzedzających śmierć Glassona. Otóż w ogrodzie Towarzystwa Botanicznego Carstairs widziano Lucindę wybiegającą z jakiegoś odosobnionego zakątka i to w na wpół rozpiętej sukni! Niedługo potem z tego samego miejsca wyszedł niespiesznie Glasson, zapinając spodnie. Kilka dni później leżał już w trumnie.

Według sensacyjnych relacji, jakie można było znaleźć w gazetach, Lucinda podała narzeczonemu filiżankę zatrutej herbaty. Śmiertelną dawkę trucizny przemyciła w pierścieniu, który zawsze nosiła.

To właśnie po tym wydarzeniu prasa ochrzciła Lucinę mianem Lukrecji. Nawiązywała w ten sposób do okrytej złą sławą Lukrecji Borgii, która - jak wieść niesie - otruła wiele osób. Według starych opowieści, dama ta ukrywała truciznę w pierścieniu.

Drzwi się otworzyły. Groźnie wyglądająca służąca zmierzyła Caleba wzrokiem, jakby podejrzewała, że przyszedł ukraść domowe srebra.

- Mam się spotkać z panną Bromley - oznajmił, podając kobiecie wizytówkę. - Jestem umówiony.

Przez chwilę służąca przyglądała się wizytówce, krzywiąc się wyraźnie, po czym niechętnie zrobiła mu miejsce w drzwiach.

- Tak, panie Jones. Proszę za mną.

Caleb wszedł do wyłożonego marmurowymi płytami holu. Na ścianie nad pracowicie inkrustowanym stolikiem wisiało duże lustro w bogato złoconej ramie. Leżąca na stoliku srebrna taca na wizytówki była pusta.

Gość spodziewał się, że zostanie wprowadzony do salonu. Służąca poprowadziła go jednak na tyły domu przez bibliotekę pełną książek, map, globusów i rozmaitych papierów. Otworzyła rozsuwane szklane drzwi, znajdujące się w głębi pokoju, i Caleb znalazł się w ogromnej cieplarni. Fantazyjnie zaprojektowana budowla ze szkła i stali była wypełniona tropikalnymi roślinami. Owiało go ciepłe, wilgotne powietrze przesycone intensywnym zapachem żywej ziemi i kwiatów.

W powietrzu krążyły również i inne prądy - czuł wyraźną obecność energii. Orzeźwiło go to. Atmosfera cieplarni działała na jego zmysły tonizująco.

- Pan Jones przyszedł się z panią zobaczyć, panno Bromley - oznajmiła służąca wystarczająco głośno, żeby można ją było dosłyszeć w głębi cieplarni.

Roślinność była tak gęsta, że Caleb nie dostrzegł kobiety w ogrodowym fartuchu i skórzanych rękawiczkach, dopóki nie wyłoniła się zza kaskady purpurowych orchidei. Nagle ogarnęło go podekscytowanie, poczuł, jak wszystkie jego mięśnie i ścięgna się napinają. Opanowała go całkiem niezrozumiała nagła potrzeba... czegoś. Znów przyszło mu na myśl słowo „orzeźwienie”.

Nie wiedział, czego wcześniej oczekiwał, ale cokolwiek to było, Lucinda dokonała czegoś niesamowicie rzadkiego. Zaskoczyła go.

Znając jej reputację, spodziewał się ujrzeć bywałą w świecie damę o grzecznej fryzurze i uprzejmej, powabnej powierzchowności, za którą kryło się jadowite serce. W końcu Lukrecja Borgia też była piękna i śmiertelnie groźna.

Lucinda jednak przypominała roztargnioną uczoną Tytanie, królową wróżek. Jej włosy przywodziły na myśl zachodzące słońce. Były zupełnie nieokiełznane. Wprawdzie ich właścicielka próbowała przyglądać nieco wzburzone czerwone loki za pomocą spinek i wstążek, ale nie na wiele się to zdało.

Emanowała z niej inteligencja. A to z kolei sprawiało, że Lucinda, mogąca najwyżej uchodzić za niebrzydką, i tak skupiała na sobie wszystkie spojrzenia. Caleb uświadomił sobie, że nie może oderwać od niej wzroku. Panna Bromley przyglądała mu się zza połyskujących szkielek okularów w złotych oprawkach. Jej oczy miały odcień głębokiego fascynującego błękitu.

Miała na sobie długi skórzany fartuch z mnóstwem kieszonek, który przykrywał prostą szarą suknię. W ręku trzymała nożyce do przycinania roślin. Długie ostrza przypominały jakąś dziwną średniowieczną broń rycerza. Z kieszeni wystawały jej inne, równie niebezpiecznie wyglądające, narzędzia.

- Dziękuję, pani Shute - rzekła. - Proszę podać nam herbatę w bibliotece.

Ku swemu zadowoleniu Caleb stwierdził, że w głosie młodej kobiety nie ma uwodzicielskiej nuty. W przeciwieństwie do wielu dam, które miały denerwujący zwyczaj przemawiania cienkim, dziecinnym głosikiem, głos Lucindy brzmiał ciepło, zdecydowanie i budził zaufanie. Z jej niewidzialnej aury emanowała energia. Ta kobieta lubi władzę, pomyślał Caleb.

Spotykał już damy obdarzone niemałymi talentami. Wśród wyższych klas Towarzystwa Wiedzy Tajemnej nie było ich wcale mało. Ale energia Lucindy wyzwalała w nim jakieś nowe, dziwnie niepokojące reakcje. Walczył z pragnieniem zbliżenia się do niej.

- Przyniosę herbatę, proszę pani - zapowiedziała pani Shute, po czym odwróciła się i wyszła.

Lucinda posłała gościowi łagodny, uprzejmy uśmiech. Caleb czuł, że panna Bromley ma się na baczności. Prawdopodobnie nie była pewna, czy dobrze zrobiła, wzywając go. Wiedział, że wielu klientów umawiało się na spotkanie, ale później zaczynało mieć najróżniejsze wątpliwości.

- Dziękuję, że zechciał pan przyjść, panie Jones - powiedziała. - Domyślam się, że jest pan bardzo zajęty.

- To żaden kłopot - zapewnił, przebiegając w myślach długą listę pilnych spraw i różnych obowiązków, które go dzisiaj czekały. - Cieszę się, że mogę pani służyć pomocą. - Jeszcze nie powiedział czegoś takiego klientowi. I podejrzewał, że nigdy więcej tego nie zrobi.

- Może przejdziemy do biblioteki?

- Jak pani sobie życzy.

Lucinda odwiązała poplamiony fartuch i zdjęła go przez głowę. Zabrzęczały tkwiące w kieszeniach rozmaite narzędzia. Caleb patrzył, jak zdejmuje grube skórzane rękawice ogrodnicze. Na palcu miała pierścień, dokładnie tak, jak pisały gazety. Wykonany ze złota, przypominał grubą skomplikowaną plecionkę zdobioną ciemnoniebieskim lapis-lazuli i bursztynem. Wyglądał na bardzo stary. Może pochodził z renesansu. Na pewno był wystarczająco duży, żeby kryć w sobie schowek na truciznę, pomyślał zaintrygowany Caleb.

Lucinda zatrzymała się przed nim i przyjrzała mu się badawczo.

Caleb uświadomił sobie, że stoi w wejściu do oranżerii, gapiąc się na klientkę. Opanował się i zszedł na bok, pozwalając jej wejść do biblioteki. Gdy go mijała, wyostrzył wszystkie zmysły, chłonąc powiew energii, który poruszył atmosferę. O, tak! Ta kobieta zdecydowanie lubiła władzę.

Lucinda usiadła za mahoniowym biurkiem usianym szpargałami. Wskazała gościowi krzesło po drugiej stronie.

- Proszę spocząć, panie Jones.

Caleb z rozbawieniem uświadomił sobie, że to ona dyktuje - i to wyraźnie - jak ma wyglądać ich współpraca. Daje do zrozumienia,

że będzie dowodzić i nie zamierza zrezygnować z pozycji szefa. To delikatne niewypowiedziane wyzwanie rozgrzało jego krew tak samo jak jej aura. Usiadł.

- W liście wspomniała pani, że sprawa jest pilna.

- Taka właśnie jest - odparła, splatając dłonie na bibularzu i wpatrując się w niego spokojnie. - Czy doszły pana słuchy o śmierci lorda Fairburna?

- Widziałem coś na ten temat w porannej gazecie. Zdaje się, że to samobójstwo.

- Być może. To jeszcze nie jest ustalone. Rodzina, a w każdym razie jeden z jej członków, syn Fairburna, poprosiła Scotland Yard o przeprowadzenie dochodzenia.

- Nie miałem pojęcia - przyznał.

- Z oczywistych powodów rodzina woli, by śledztwo było przeprowadzone dyskretnie.

- A skąd pani o tym wie?

- Detektyw prowadzący dochodzenie zwrócił się do mnie z prośbą o opinię. Wielokrotnie już byłam konsultantką pana Spellara.

- Znam go. Jest członkiem Towarzystwa Wiedzy Tajemnej.

- To prawda. - Uśmiechnęła się lekko, prowokująco. - Ja również, panie Jones.

- Wiem o tym. Nikt, kto nie jest członkiem Towarzystwa, nie wiedziałby o istnieniu agencji, a już na pewno nie miałby pojęcia, jak się ze mną skontaktować.

- Tak, oczywiście - odparła, rumieniąc się. - Proszę mi wybaczyć. Obawiam się, że czasami reaguję nieco impulsywnie. - Odchrząknęła. - Moja rodzina jest dość znana. Jestem pewna, że i pan słyszał rozmaite plotki.

- Owszem - przyznał neutralnym tonem.

- Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. - Zacisnęła palce tak mocno, że jej dłonie zdawały się ściśle zwarte ze sobą, a nie po prostu splecione. - Czy te plotki wpłyną na pańską decyzję? Podejmie się pan tego zlecenia?

- Gdyby tak było, nie siedziałbym tutaj. Zdaje się, że powinno to być dla pani oczywiste, panno Bromley. Z pewnością wiadomo pani, że Towarzystwo Wiedzy Tajemnej nie zawsze stosuje się do zasad rządzących życiem towarzyskim. - Po chwili dodał: - Ja zresztą również nie.

- Rozumiem.

- Przypuszczam, że i pani słyszała o mnie różne plotki.

- Owszem, panie Jones - przyznała cicho. - I są one jednym z powodów, dla których tu pana zaprosiłam. Ludzie twierdzą, że pasjonują pana wszelkie tajemnice.

- Mówią nawet, że aż do przesady. Ale niech mi będzie wolno dodać na swoją obronę, że intrygują mnie jedynie te najciekawsze zagadki.

- No cóż, nie wiem, czy moją sprawę uzna pan za interesującą, ale zapewniam pana, że ogromnie mnie ona martwi.

- Proszę powiedzieć coś więcej.

- Naturalnie. - Wyprostowała się, unosząc ładne ramiona. - Być może wiadomo panu, że jestem utalentowana w dziedzinie botaniki. Wiem też wiele o truciznach i potrafię je rozpoznać. Jeśli mikstura została sporządzona na bazie roślin, umiem zazwyczaj określić dokładny skład toksyny.

- Wnioskuje pani, że lord Fairburn został otruty?

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Rzeczywiście trafił pan w sedno, muszę to przyznać. Tak, zmarły z pewnością wypił jakąś śmiertcioną miksturę. Pozostaje tylko ustalić, czy było to samobójstwo, czy też morderstwo. Szczerze mówiąc, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby inspektor Spellar zdołał wykazać to drugie.

- Oczywiście bardzo trudno jest udowodnić otrucie, nawet jeśli istnieją dowody na użycie trucizny, jak to bywa w przypadku arsenu czy cyjanku. Łatwo przekonać ławę przysięgłych, że zdarzył się wypadek albo że ofiara sama odebrała sobie życie.

- Tak, wiem. Lecz jeśli istnieją specjalne okoliczności... - przerwała.

- Panno Bromley, dlaczego tak bardzo przejmuję się pani tym śledztwem? To sprawa inspektora Spellara.

Lucinda odetchnęła głęboko. Widać było, że zbiera się na odwagę. Próbowwała wprawdzie ukryć napięcie, ale Caleb wyczuwał emanujące z niej prądy tak wyraźnie, jakby widział jej aurę. Ta kobieta nie tylko niepokoiła się o wynik śledztwa... Była przerażona.

- Wczoraj, kiedy inspektor Spellar poprosił mnie o konsultację - zaczęła powoli - potwierdziłam, że...

- Widziała pani ciało?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Naturalnie. Jak inaczej mogłabym stwierdzić użycie trucizny?

- Wielki Boże! Nie miałem pojęcia - odparł oszołomiony Caleb.

- Pojęcia o czym?

- Wiedziałem, że czasami Spellar prosi panią o konsultacje, lecz nie zdawałem sobie sprawy, że musi pani dotykać ciała, by wydać opinię.

Uniosła brwi.

- Jak inaczej miałabym to zrobić?

- Chyba w ogóle się nad tym nie zastanawiałem - przyznał. - Rzeczywiście. Po prostu zakładałem, że inspektor pokazywał pani jakiś materiał dowodowy. Na przykład filiżankę z resztkami trucizny albo ubranie ofiary.

- Mam wrażenie, że nie uznaje pan mojej pracy za zajęcie niegodne damy.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie ma takiej potrzeby - odrzekła, machnąwszy ręką, by zamilkł. - Zapewniam pana, że nie jest pan odosobniony w swych poglądach. Nikt, z wyjątkiem inspektora Spellara, nie aprobeuje tego, co robię. I, prawdę mówiąc, wydaje mi się, że w gruncie rzeczy on też tego nie akceptuje, ale jest tak bardzo oddany swej profesji, że bez słowa przyjmuje wszelką pomoc, jakiej mogę mu udzielić.

- Panno Bromley...

- Wziąwszy pod uwagę dość niecodzienną historię mojej rodziny, mogę powiedzieć, że przywykłam już do dezaprobaty.

- Do diabła, panno Bromley! Nie pozwolę, by wkładała pani w moje usta słowa, których nie wypowiedziałem. - Zerwał się z krzesła, zanim uświadomił sobie, co robi. Pochylił się nad biurkiem, opierając na nim obie dłonie. - Nie osądzam pani. Tak, zaskoczyło mnie, że konsultacje, jakich pani udziela, wymagają oględzin ciała ofiary. I chyba sama pani przyzna, że tego rodzaju zajęcie jest, w ogólnym pojęciu, dosyć nietypowe dla damy.

- Czyżby? - Rozplotła dłonie i szybko wyprostowała się na krześle. - A pańskim zdaniem kto w większości domów jest odpowiedzialny za zajmowanie się osobami obłożnie chorymi, które w końcu umierają? Większość ludzi nie umiera w szpitalach. Kończą życie w domu i to właśnie kobiety są przy nich, gdy wydają ostatnie tchnienie.

- Ale my mówimy o ofiarach morderstw, a nie o tych, którzy odchodzą z przyczyn naturalnych.

- Uważa pan, że ten pierwszy rodzaj śmierci jest gorszy od drugiego? Jeśli naprawdę pan tak myśli, to widocznie nie wzywano pana do wielu umierających. Zapewniam, że tak zwana śmierć z przyczyn naturalnych może być bardziej okropna, bolesna i powolna niż ta spowodowana w jednej chwili dawką trucizny albo strzałem z pistoletu.

- A niech to diabli! Trudno uwierzyć, że dałem się wciągnąć w tak idiotyczną sprzeczkę. Panno Bromley, nie przyszedłem tu, by omawiać różne aspekty udzielanych przez panią konsultacji. Wezwała mnie pani. Proponuję, byśmy wrócili do tematu.

- To pan zaczął tę kłótnię - oznajmiła, patrząc na niego zimnym wzrokiem.

- Niech mnie piekło pochłonie, jeśli to ja!

Zamrugnęła i wysunęła nieco podbródek.

- Czy zawsze używa pan takiego języka w obecności damy? A może pozwala pan sobie na stosowanie tak barwnego słownictwa tylko w moim towarzystwie?

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, panno Bromley - powiedział ponurym głosem. - Przyznaję jednak, że dziwi mnie fakt, iż czuje

się pani zszokowana nieco grubiańskim językiem. W końcu w pani profesji...

Posłała mu pełen chłodu uśmiech.

- Sugeruje pan, że nie jestem damą w pełnym znaczeniu tego słowa?

Caleb się wyprostował. Odwrócił się na pięcie i sztywnym krokiem podszedł do okna.

- Dawno już nie prowadziłem równie dziwacznej konwersacji. I równie bezcelowej. Jeśli zechciałaby pani wyjaśnić, po co mnie pani wezwała, może udałoby nam się przejść do meritum.

Przerwało mu ostre pukanie do drzwi. Odwrócił się i ujrzał służącą niosącą herbatę. Pani Shute posłała mu spojrzenie mrozące krew w żyłach, dając tym jasno do zrozumienia, że słyszała co nieco z ożywionej dyskusji.

- Dziękuję, pani Shute - powiedziała uprzejmie Lucinda, jakby gość wcale nie wyprowadził jej z równowagi. - Proszę postawić tacę na stole. Sama naleję herbaty.

- Dobrze, proszę pani.

Rzuciwszy Calebowi jeszcze jedno pełne dezaprobaty spojrzenie, służąca wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Caleb rzeczywiście zachował się grubiańsko. Fakt, zawsze znany był z braku salonowych manier. Nie miał cierpliwości do różnych towarzyskich ceremonii. Zazwyczaj jednak nie przeklinał w obecności kobiet, niezależnie od tego, jaki był ich status społeczny.

Lucinda wstała i podeszła do sofy. Usiadła i uniosła dzbanek z herbatą.

- Życzy pan sobie mleko i cukier? - spytała zupełnie spokojnie, jak gdyby wcale się nie kłócili. Ale jej policzki były nieco zarumienione, a w oczach błyszczała wojownicza iskierka.

Kiedy rozmowa wkracza na niebezpieczne tory, lepiej się zająć nalewaniem herbaty, pomyślał Caleb.

- Ani jedno, ani drugie, dziękuję - odparł wciąż trochę burkliwie.

Dostrzegł nową jaśniejącą energię, która emanowała z Lucindy. Kobieta była jakby bardziej ożywiona.

- Niech pan usiądzie - zaproponowała. - Mamy sobie jeszcze dużo do powiedzenia.

- Jestem zaskoczony, że chce mnie pani zatrudnić pomimo słownictwa, jakiego używam.

- Tak się składa, że nie mogę sobie pozwolić na to, by pana odprawić. - Eleganckim ruchem nałapała herbaty. - Usługi, jakie pan świadczy, nie są ogólnie dostępne, a ja potrzebuję detektywa o pana intuicji i talentach. - Odstawiła dzbanek na tacę. - Jestem zatem na pana skazana.

Nadal był zirytowany, ale mimo to kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu. Wziął do ręki filiżankę i spodek. Zajął miejsce w fotelu.

- A ja, panno Bromley, jestem skazany na panią - stwierdził.

- Bardzo wątpię. Może pan w każdej chwili odmówić zajęcia się moją sprawą. Obydwoje jesteśmy świadomi, że nie potrzebuje pan honorarium, jakiego jestem pewna, zażąda pan za swe usługi.

- Pieniądze rzeczywiście nie są najważniejsze - przyznał. - Ale nie mógłbym przegapić takiej sprawy.

Filiżanka Lucindy zastygła w powietrzu. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Przecież nie powiedziałam jeszcze, nad czym ma pan pracować.

- To bez znaczenia. Prawdę mówiąc, interesuje mnie nie tyle samo zlecenie, co pani, panno Bromley. - Upił łyk herbaty i odstawił filiżankę. - Jest pani niezwykle intrygującą osobą.

Nawet nie drgnęła.

- O czym właściwie pan mówi?

- Jest pani niezwykła i wiem, że doskonale zdaje sobie pani z tego sprawę. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego. Jest pani...

- przerwał, szukając odpowiedniego słowa. - Interesująca. - Chociaż „fascynująca” byłoby bliższe prawdy. - Dlatego właśnie mam nadzieję, że dochodzenie okaże się równie pasjonujące.

- Rozumiem. - Nie była obrażona, ale też nie widział oznak zadowolenia na jej twarzy. Jeśli już, to wyglądała na zrezygnowaną.

I może nieco rozczarowaną. W każdym razie starała się ukryć uczucia. - Wziąwszy pod uwagę fakt, jak dziwaczny wybrał pan zawód, to chyba ma jakiś sens.

Nie bardzo podobały mu się jej słowa.

- To znaczy?

- Jest pan dżentelmenem, którego pociągają zagadki. - Ostrożnie odstawiła filiżankę na spodek. - Obecnie stanowią dla pana tajemnicę, ponieważ nie pasuję do obrazu kobiety, akceptowanego powszechnie w towarzystwie. Dlatego właśnie jest pan mnie ciekaw.

- Nie o to chodzi... - odrzekł poirytowany. Przerwał jednak, uświadomiwszy sobie, że jej rozumowanie jest całkowicie poprawne. Stanowiła dla niego zagadkę i chciał ją rozwiązać. - W każdym razie niezupełnie - dodał.

- A właśnie, że tak - upierała się. - Ale skoro pije pan herbatę, którą panu nalałam, nie będę panu tego wypominać.

- O czym, do diabła, pani mówi?

Posłała mu kolejny chłodny uśmiech.

- Niewielu mężczyzn ma odwagę pić ze mną herbatę, panie Jones.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego ktoś miałby się przed tym zaważać? - Na jego ustach pojawił się błądy uśmiech. - To doskonała herbata.

- Plotki mówią, że trucizna, która zabiła mojego narzeczonego, została mu podana w herbacie nalanej moją ręką.

- Czymże byłoby życie bez odrobiny ryzyka? - Upił kolejny duży łyk i odstawił filiżankę. - A wracając do sprawy, którą mam się zająć... Czy zechciałaby pani wprowadzić mnie w szczegóły? Chyba że woli pani dalej się przekomarzać. Nie mam zresztą nic przeciwko tej drugiej ewentualności. To dość ekscytujące zajęcie.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, ale z jej oczu - ukrytych za szklami okularów - nie można było nic wyczytać. W końcu wybuchnęła śmiechem. I nie był to wcale salonowy chichot ani niski, uwodzicielski śmiech doświadczonej kobiety. Po prostu szczere, kobiece rozbawienie. Musiała odstawić filiżankę, żeby otrzeć oczy serwetką.

- Dobrze, panie Jones - zdołała wreszcie powiedzieć. - Jest pan tak niezwykle, jak mi o panu mówiono. - Zgniotła serwetkę i się opanowała. - Ma pan rację. Czas zająć się interesami. Jak już wspominałam, inspektor Spellar poprosił, żebym obejrzała ciało lorda Fairburna.

- I doszła pani do wniosku, że Fairburn został otruty.

- Tak. I powiedziałam to inspektorowi. Dałam mu także do zrozumienia, że truciznę sporządzono na bazie rycyny. W tym przypadku istnieją jednak pewne dość szczególne okoliczności. Po pierwsze, ktoś, kto przygotował śmiertelny napój, musiał się doskonale znać na botanice i chemii.

- A to dlaczego?

- Bo potrafił sporządzić substancję bardzo wyszukaną, działającą silnie i szybko. Lord Fairburn zmarł, zanim trucizna wywołała mdłości. Wśród roślinnych specyfików to rzadko spotykana właściwość. Zwykle ofiara doświadcza najpierw różnych dolegliwości fizycznych. .. Na pewno nie muszę wchodzić w szczegóły.

- Jak na przykład konwulsje, wymioty, rozwolnienie - powiedział, wzruszając ramionami. - Myślę, że zdołaliśmy już ustalić, iż lubię nazywać rzeczy po imieniu.

Lucinda mrugnęła. Już wcześniej zauważył, że robiła tak, gdy coś ją zaskoczyło. To niezwykle opanowanie wiele o niej mówiło.

- Rzeczywiście - przyznała.

- Pani zdaniem fakt, iż trucizna zadziałała tak szybko, pozwala się domyślać, że sporządził ją jakiś uczonec?

- Tak właśnie sędzę. Z pewnością wie pan, że wiele substancji toksycznych jest powszechnie dostępnych w aptekach. Arsenik czy cyjanek można kupić bez najmniejszego problemu. A kto wie, co się kryje w tych okropnych osobliwych medykamentach, które są obecnie tak popularne? Tyle że trucizny, którą podano Fairburnowi, nie można kupić. Nie da się też przygotować jej w prosty sposób.

Wrodzone zdolności odpowiedziały mu resztę.

- Chce mi pani dać do zrozumienia, że ten specyfik sporządzono w laboratorium, a nie na zapleczu apteki.

- Więcej nawet, panie Jones. Myślę, że wiem, kto to zrobił.

Caleb się nie poruszył. Nie spuszczał wzroku z Lucindy. Przyszło mu na myśl, że słowo „interesująca” nie oddaje choćby połowy prawdy. Nawet określenie „fascynująca” nie wystarczało do opisanie panny Bromley.

- Skąd pani to wie? - zapytał.

Wzięła głęboki oddech.

- Poza śladami obecności rycyny, rozpoznałam w tej truciznie inny składnik. Pochodzi on z bardzo rzadkiej paproci, jaka niegdyś rosła w mojej cieplarni. Jestem przekonana, że ten ktoś odwiedził mnie w zeszłym miesiącu, żeby ukraść roślinę.

W jednej chwili Caleb zrozumiał, o co naprawdę chodzi w tej sprawie.

- A niech to - odezwał się spokojnie. - Nie powiedziała pani Spellarowi ani o gościu, ani o kradzieży, prawda?

- Nie. Bałam się przyznać, że truciznę wypitą przez Fairburna sporządzono z *Ameliopteris amazoniensis*. Siłą rzeczy doszedłby do oczywistego wniosku...

- Że to pani sporządziła tę miksturę - dokończył Caleb.

4

Jego aurę zaburzała jakaś niepokojąca energia. Lucinda wyczuła ją w chwili, gdy Caleb wszedł do cieplarni. Podobny brak równowagi energetycznej wpędziłby innego, słabszego mężczyznę w chorobę psychiczną. Lucinda podejrzewała, że Caleb Jones nieświadomie kontrolował tę dysharmonię samą tylko siłą woli. Wątpiła, żeby wiedział o tych dziwnych, niezdrowych prądach, które krążyły wokół niego.

Powiedziała sobie jednak, że stan jego zdrowia psychicznego nie jest jej problemem. Chyba że nie pozwoliłby mu na przeprowadzenie śledztwa. Lecz intuicja podpowiadała jej, że to nie wchodzi w grę. Determinacja i stanowczość emanowały z niego znacznie silniej niż niezdrowe prąd. Caleb Jones zaliczał się do ludzi, którzy potrafią

doprowadzić do końca wszystko, czego się podejmą. Bez względu na koszty.

Spotkanie z tym człowiekiem było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. Znalazła się w okropnej sytuacji. W dodatku problem dotyczył jej nadnaturalnych zdolności. Oznaczało to, iż potrzebowała usług agencji detektywistycznej specjalizującej się w sprawach paranormalnych. A jedyną znaną jej agencją tego rodzaju była niedawno założona firma Jonesa.

Musiała zwrócić się do niego z prośbą o pomoc, a to z kolei pociągało za sobą konieczność spotkania z członkiem rodziny Jonesów, która cieszyła się sławą ekscentryków i ludzi niebezpiecznych. Towarzystwo Wiedzy Tajemnej słynęło z tego, że jego członkowie mieli wiele do ukrycia przed światem. Serce tej organizacji od niepamiętnych czasów stanowili członkowie klanu Jonesów, potomkowie założyciela Towarzystwa. Mówiono, że potrafili oni dobrze strzec ciemnych sekretów stowarzyszenia, a tym samym swoich własnych.

Lucinda doszła do wniosku, że Caleb Jones doskonale poradzi sobie z dręczącymi ją problemami. Wieść niesła, że wszyscy członkowie jego rodziny posiadali jakiś szczególny talent. Spodziewała się więc, że i Caleb wykaże się niepospolitymi zdolnościami w swej niezwyklej profesji.

Zdumiało ją jednak, że kiedy wyczuła jego obecność w cieplarni, przeszył ją jakiś dreszcz - coś jakby ogromna ciekawość, wręcz otwarta fascynacja. A delikatne porywające drżenie, jakie ogarniało jej ciało, można by określić jako... niepokojąco zmysłowe. Te emocje ją rozpraszały i przeszkadzały. Dałoby się je wybaczyć młodej niewinnej debutantce, ale u dwudziestosiedmioletniej doświadczonej kobiety były co najmniej nie na miejscu.

Na miłość boską, przecież oficjalnie jestem starą panną, myślała. A on należy do Jonesów. Co się, do diabła, ze mną dzieje?!

W Calebie drzemała jakaś nieodparta siła, lecz wyczuwała w nim także chłód i melancholię. Zupełnie, jakby - wykorzystując całą swą inteligencję i uzdolnienia - zastanowił się nad życiem i uznał, że niewiele radości ma mu ono do zaoferowania, ale mimo to wytrwa

do końca. Nawet gdyby nie wiedziała, że jest potomkiem Sylwestra Jonesa, założyciela Towarzystwa Wiedzy Tajemnej, rozpoznałaby w Calebie ogromny talent.

Czuła, że płonie w nim coś jeszcze. Coś intensywnego, pochłaniającego wszystko - szczere dążenie do celu, które, jak wiedziała, może się okazać obosiecznym mieczem. Doświadczenie mówiło jej, jak niewiele dzieli zdolność inteligentnego skupienia się na osiągnięciu celu od niezdrowej obsesji. Podejrzewała, że Caleb przekroczył tę granicę niejednokrotnie. Ta świadomość w połączeniu z dysharmonią jego aury ją przerażała. Ale nie miała wyboru. Prawdopodobnie tylko Jones potrafi ją uratować od oskarżenia o morderstwo.

Opanowała targające nią emocje i przystąpiła do realizacji swojego planu.

- Rozumie pan teraz, dlaczego poprosiłam pana o spotkanie - zaczęła. - Chciałabym, żeby znalazł pan złodzieja. Jestem przekonana, że gdy odkryje pan, kto to zrobił, okaże się, że ta sama osoba sporządziła truciznę, która zabiła Fairbuma. Proszę odnaleźć złoczyńcę i, wraz z odpowiednimi dowodami winy, przekazać w ręce inspektora Spellara.

Brwi Caleba się uniosły.

- A wszystko to bez mieszania w tę historię pani nazwiska, jak przypuszczam?

- Naturalnie - odrzekła, marszcząc czoło. - Po to przecież wynajmuje się kogoś takiego jak pan, by przeprowadził prywatne dochodzenie, nieprawdaż? W tego rodzaju kwestiach oczekuje się gwarancji, iż sprawa będzie załatwiona poufnie.

- Tak mi mówiono.

- Panie Jones.

- Prowadzenie śledztwa jest dla mnie wciąż pewną nowością, ale zdążyłem już zauważyć, że zdaniem klientów powinienem przestrzegać bardzo wielu zasad. To, czego wymagają, zazwyczaj okazuje się ogromnie nużące i denerwujące.

Lucinda była oburzona.

- Panie Jones, jeśli przyszedł pan tu tylko po to, żeby ze mnie kpić, może pan być pewien, że nie omieszkałam zwrócić się wprost

do nowego mistrza Towarzystwa, żeby na jego ręce złożyć oficjalną skargę dotyczącą świadczonych przez pana usług.

- Zdaje się, że akurat teraz lepiej nie zawracać głowy Gabe'owi. Ma pełne ręce roboty, bo stara się zreorganizować radę zarządzającą. Chyba wierzy, że może się pozbyć kilku z tych trzęsących się starych głupców, którzy wciąż bawią się w alchemię. Ostrzegłem go, że niektórzy mogą stać się niebezpieczni, jeśli się zorientują, iż tracą swe pozycje, ale on się upiera, że towarzystwo potrzebuje pewnej... demokracji, żeby wkroczyć w nowe stulecie.

- Panie Jones - zaczęła ostrym tonem. - Próbuję przedyskutować z panem moją sprawę...

- A... tak. O czym to mówiliśmy? O poufności?

- No więc? Czy może pan zagwarantować mi, że wszystko, co dotyczy mojej sprawy, potraktuje pan jako poufne?

- Panno Bromley, pewnie to panią zdziwi, ale niemal wszystko traktuję poufnie. Nie jestem człowiekiem towarzyskim. Wystarczy zapytać kogokolwiek, kto mnie zna. Pogardzam salonowymi konwersacjami i choć zawsze słucham plotek, bo często są źródłem cennych informacji, to sam nigdy się w nie nie angażuję.

Wcale nietrudno było jej w to uwierzyć.

- Rozumiem - odparła.

- Obiecuję, że zachowam dla siebie pani tajemnice.

Ogarnęła ją fala ulgi.

- Dziękuję.

- Z jednym wyjątkiem.

Lucinda zastygła w bezruchu.

- Jakim?

- Świadczę usługi wszystkim członkom Towarzystwa Wiedzy Tajemnej, ale jestem odpowiedzialny przede wszystkim za ochronę sekretów tegoż Towarzystwa.

Parsknęła niecierpliwie.

- Tak, wiem. Ogłaszając powstanie pańskiej firmy, Gabriel Jones wyraźnie zwrócił uwagę na tę kwestię. Ale w mojej sprawie chodzi

po prostu o kradzież rośliny i morderstwo. Jedyne cel, jaki mi przyświeca, to uniknąć więzienia.

W oczach Caleba błysnęła iskierka wesołości.

- Pani dążenia są bardzo rozsądne. - Z wewnętrznej kieszeni elegancko skrojonego surdutu wyjął mały notes i ołówek. - Proszę opowiedzieć mi o kradzieży.

Lucinda odstawiła filiżankę i spodek.

- Miesiąc temu odwiedził mnie człowiek, który przedstawił się jako doktor Knox. Twierdził, że skierował go do mnie stary przyjaciel mego ojca. Podobnie jak pan, panie Jones, nie utrzymuję zbyt wielu kontaktów towarzyskich. Niemniej jednak od czasu do czasu lubię spotkać kogoś, kto tak jak ja interesuje się botaniką.

- Założę się, że pan Knox był zaintrygowany przede wszystkim rzadkimi roślinami?

- Tak. Poprosił, żebym pokazała mu cieplarnię. Powiedział, że czytał wszystkie książki i artykuły, jakie napisał mój ojciec. Był nastawiony bardzo entuzjastycznie i miał dużą wiedzę. Nie widziałam powodu, by mu odmówić.

Caleb podniósł wzrok znad notatek.

- Czy często pokazuje pani obcym cieplarnię?

- Nie, oczywiście, że nie. W końcu to nie ogród Towarzystwa Botanicznego Carstairs czy Kew Gardens.

Odezwał się w niej na nowo stary gniew. Z trudem, lecz udało jej się tego nie okazać. Mimo to jej szczęki się zacisnęły. Podejrzewała, że uważny obserwator, taki jak pan Jones, zauważy ten odruch.

- Rozumiem - powiedział.

- W każdym razie od śmierci ojca i mojego narzeczonego rzadko kto prosi mnie, żebym oprowadziła go po cieplarni.

Lucinda odniosła wrażenie, że zobaczyła w jego oczach coś na kształt współczucia, ale ten dziwny wyraz zniknął tak szybko, że nie była tego pewna. Powiedziała sobie w końcu, że tylko jej się zdawało. Mało prawdopodobne, żeby Caleb Jones rozpoznał tak delikatne uczucie, nawet gdyby się o nie potknął.

- Proszę kontynuować, panno Bromley - zachęcił.

- Spędziłam w cieplarni prawie dwie godziny z doktorem Knoksem. Szybko się zorientowałam, że darzy szczególnym zainteresowaniem rośliny o właściwościach medycznych.

Caleb oderwał się od notatek i popatrzył na Lucindę uważnie i pytająco.

- Hoduje pani zioła?

- To moja specjalność, panie Jones.

- Nie wiedziałem o tym.

- Rodzice byli utalentowanymi botanikami. Dziedziną najbardziej interesującą matkę były właśnie badania tych właściwości roślin, które można wykorzystać w medycynie. Po jej śmierci nie zaprzestałam towarzyszenia ojcu w wyprawach mających na celu poszukiwanie nowych gatunków. Uwagę doktora Knoksa przykuła zwłaszcza niezwykle rzadka paproć, którą odkryliśmy podczas naszej ostatniej podróży do Amazonii. Nazwałam ją *Ameliopteris amazoniensis* na pamiątkę mojej matki. Miała na imię Amelia.

- To pani odkryła tę paproć?

- Niezupełnie. To zasługa pewnego niewielkiego plemienia mieszkającego w tamtej części świata. Po powrocie z ekspedycji przeglądałam rozmaite książki oraz artykuły i niczego na temat tej rośliny nie znalazłam. A mogę pana zapewnić, że moja biblioteka jest naprawdę bardzo bogata.

- To widać - stwierdził Caleb, przyglądając się półkom: były zapchane książkami.

- Uzdrowicielka plemienia zwróciła moją uwagę na tę paproć i wyjaśniła mi jej właściwości. Miejscowa ludność nadała tej roślinie nazwę, którą można przetłumaczyć jako „sekretne oko”.

- Jakie ma właściwości?

- Plemię wykorzystywało ją podczas ceremonii religijnych. Wątpię jednak, żeby doktor Knox był człowiekiem religijnym, a jeszcze bardziej, by odprawiał święte rytuały znane małej grupie ludzi żyjącej w zagubionej wiosce w Ameryce Południowej. Nie, panie Jones, on użył mojej paproci, by trucizna działała szybciej. I by zamaskować smak oraz zapach mikstury.

- Wiadomo pani, jaki efekt wywołuje ta roślina podczas religijnych obrzędów? - zapytał Caleb.

Pytanie ją zaskoczyło. Większość ludzi nie zwracałaby sobie głowy wierzeniami jakiegoś ludu zamieszkującego odległy zakątek świata.

- Uzdrowicielka twierdziła, że napar z liści paproci otwiera to, co jej plemię nazywa sekretnym okiem każdego człowieka. Ci ludzie wierzą, iż wchodzi w trans po wypiciu naparu, ale przecież prawdziwą rolę odgrywa tu religia, prawda? Wiara może wszystko.

- Czy orientuje się pani, co uzdrowicielka miała na myśli, mówiąc o otwieraniu sekretnego oka?

Jego wyraźne i zupełnie nieoczekiwane zainteresowanie właściwościami paproci zaczynało ją niepokoić. Wyglądało na to, że bardziej przejmuje się rośliną niż kradzieżą. Słyszała pogłoski na temat Caleba Jonesa, jakoby był nie zwykłym ekscentrykiem, lecz zupełnie kimś innym...

Tak czy inaczej, za późno, by pokazała mu drzwi. Zdążyła wyjawić swoją tajemnicę. W dodatku nikt inny nie mógł jej pomóc. Owszem, w Londynie było mnóstwo ludzi twierdzących, że posiadają szczególnie talent psychiczny. W końcu wszystko co paranormalne stało się ostatnim krzykiem mody. Ale każdy rozsądny człowiek w Towarzystwie Wiedzy Tajemnej zdawał sobie sprawę, że większość esmerystów to oszuści i szarlatani. Tak więc rozpaczliwie wręcz potrzebowała zdolności Caleba Jonesa.

- Nie jestem ekspertem w dziedzinie wierzeń religijnych - zaczęła ostrożnie. - Ale z tego, co mówiła ta kobieta, terminem sekret-oko mieszkańcy wioski określają to, co pan czy ja nazwalibyśmy raczej stanem marzeń. Caleb Jones zastygł na chwilę.

- To ten bękart - odezwał się lodowatym głosem. - To Basil Hulsey.

Lucinda spiorunowała go wzrokiem.

- Wciąż używa pan wyrażen niegodnych džentelmena, panie Jones. Aż tak pana dziwi, że ktoś poza Anglią może rozumieć

zjawiska paranormalne? Przecież nie jesteśmy jedynym narodem obdarzonym psychiką.

Przerwała nagle, bo Caleb zerwał się z krzesła z energią wybuchającego wulkanu. Podeszedł do sofy, poderwał Lucindę i wziął ją w ramiona.

- Panno Bromley, nie wie pani nawet, jak wielką okazała mi pomoc. Przysięgam, że z wdzięczności mógłbym panią pocałować.

Lucinda była tak zaskoczona, że nie potrafiła się zdobyć na godny damy protest. Z jej ust wymknął się tylko pisk zdziwienia, a zaraz potem poczuła jego wargi na swoich ustach. Przestrzeń dokoła nich wypełniła się energią.

5

Intuicja mówiła jej, że ten pocałunek niewiele znaczył. Był jedynie wynikiem ogromnego podekscytowania, jakie ogarnęło Jonesa. Niemniej jednak wiedziała, że powinna czuć się zszokowana takim naruszeniem etykiety.

Kradzione pocałunki kojarzyły jej się z łotrami wykorzystującymi niewinne dziewczęta lub ze śmiałymi kochankami wymykającymi się z sal balowych w zaułki mrocznych ogrodów. A jeśli takie całusy zdarzały się osobom pozostającym w związku małżeńskim, były niechybną oznaką romansów.

Istniało nawet słowo określające kobietę, która pozwalała mężczyźnie na tak skandaliczne zachowanie: latawica.

Tyle że ją nazywano już znacznie gorzej, pomyślała.

W każdym razie nie była to potajemna namiętność, jak w przypadku dwojga zakochanych, raczej przejaw niezwyklej wylewności mężczyzny, który - jak przypuszczała - rzadko pozwalał sobie na folgowanie silnym emocjom.

W zasadzie pocałunek powinien skończyć się równie szybko, jak się zaczął, pozostawiając po sobie jedynie chwilowe zakłopotanie. Zamiast tego - niczym ołów zamieniony w złoto w tyglu alchemika

- przerodził się w jednej chwili ze zwykłego całusa w ognistą namiętność.

Dłonie Caleba zacisnęły się na ramionach Lucindy. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować mocniej. Jego usta stały się gorące, napierały na jej wargi coraz silniej. Były upajające. Zupełnie jakby spijała z nich jakiś niebezpieczny eliksir i nie mogła się oprzeć jego działaniu.

Przeszył ją dreszcz. Nagle otworzyły się przed nią drzwi bajkowego ogrodu pełnego egzotycznych, niesamowicie pulsujących życiem roślin, kwiatów i ziół, który aż do tej pory istniał tylko w jej marzeniach. Był to świat energii i życia, tajemnicy i oczarowania.

Pierwsze zaskoczenie minęło. Zastąpiła je fala cudownie niepokojącego gorąca. To oszałamiające ciepło ogarniające jej ciało nie było jedynym nowym odczuciem. Wszystkie jej zmysły, psychiczne i fizyczne, wyostrzyły się aż do granic. Uświadomiła sobie, że cała jej istota skupiona jest na Calebie Jonesie.

Caleb mruknął coś, czego nie mogła zrozumieć - słowa, które z pewnością przynależały nocy, które były zbyt podniecające, by mogły zostać wymówione za dnia. Jego oddech stał się chrapliwy. Gdy ustami rozchylił jej wargi, Lucindę ogarnęła kolejna fala podniecenia. A potem jego ręce przesunęły się w dół i, otoczywszy ją, przycisnęły mocno do jego silnego ciała.

Lucinda drżała - nie ze strachu, ale z radosnego oczekiwania. Kuśił ją magiczny ogród przepelniony dziką, pełną życia zielonością, emanujący cudownie uwodzicielską energią. Zaplotła ramiona wokół szyi Caleba i pozwoliła sobie zatopić się w tym uścisku i niebezpiecznych prądach energii wirujących wokół nich.

A więc to jest namiętność, pomyślała. Och, mój Boże! Nie miałam o tym pojęcia!

Caleb puścił ją tak gwałtownie, że aż się zatoczyła.

- A niech to diabli! - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Jeśli jeszcze przed chwilą jej pożądał, teraz trudno było się tego domyślić. Żelazna samokontrola trzymała w ryzach jego emocje niczym zamki więziennej celi. - Proszę o wybaczenie, panno Bromley. Nie wiem, co mi się stało.

Potrzebowała chwili, żeby odzyskać głos.

- Proszę się nie przejmować - odrzekła w końcu, mając nadzieję, że przemawia beztróskim głosem kobiety światowej. - Rozumiem, że nie było pańskim zamiarem mnie obrazić. Z pewnością opanował pana nagle profesjonalny entuzjazm.

Zamilkła. Caleb nie spuszczał z niej oczu.

- Profesjonalny entuzjazm? - powtórzył dziwnie beznamiętnym tonem.

Lucinda uświadomiła sobie, że ma przekrzywione okulary. Skupiła całą uwagę na ich poprawieniu.

- Naturalnie. Doskonale to rozumiem.
- Naprawdę? - Nie sprawiał wrażenia zadowolonego.
- O, tak. Takie rzeczy przytrafiały mi się już niejednokrotnie.
- Czyżby? - Teraz wydawał się zafascynowany.
- Wie pan, to wpływa na stan nerwów.
- Co wpływa na stan nerwów?

Odchrząknęła i odpowiedziała:

- Nagłe owładnięcie profesjonalnym entuzjazmem. To może się zdarzyć nawet człowiekowi tak opanowanemu jak pan. - Podeszła do biurka i osunęła się na krzesło, wciąż starając się uspokoić oddech i bicie serca. - Nie ulega wątpliwości, że nadmierne pobudzenie, jakiego doświadczył pan przed chwilą, wywołane zostało czymś, co powiedziałam, nieświadomie naprowadzając pana na jakiś trop. Myślę, że to dobra wróżba dla naszego śledztwa.

Przez kilka niepokojących sekund Caleb stał w bezruchu. Wpatrywał się w nią, jakby była nieznanym do tej pory okazem. Pasjonującym eksponatem w gabinecie Darwina.

Kiedy już miała wrażenie, że nie wytrzyma dłużej jego wzroku, Caleb odwrócił się do szklanych drzwi i, zamyślony, przyglądał się ścianie zieleni.

- Bardzo wnikliwa uwaga, panno Bromley - zauważył. - Rzeczywiście naprowadziła mnie pani na pewien trop. Poszukuję takiego powiązania od przeszło dwóch miesięcy.

Lucinda splótła dłonie na biurku, próbując opanować wzburzenie. Zdawało jej się, że wciąż czuje, jak zmysłowa energia krąży po pokoju. Ten pocałunek zdecydowanie pobudził jej wyobraźnię.

- Naprawdę sądzi pan, że kradzież paproci ma coś wspólnego z tym człowiekiem? - zapytała.

- Jestem tego pewien. Ale, dla pewności, proszę opisać doktora Knoksa.

- Był raczej niski. Całkiem łysy. Dość niechlujny i w wygniecionym ubraniu. Pamiętam, że koszulę miał poplamioną jakimiś chemikaliami. I nosił okulary. - Zawahała się. - Miał w sobie coś z wrzeciona.

- Z wrzeciona?

- Przypominał mi wielkiego owada.

- To zdecydowanie zgadza się z opisem, jaki mi podano. - Wyraźnie widziała zadowolenie na jego twarzy.

- Byłabym wdzięczna za wyjaśnienie, panie Jones - zaczęła Lucinda.

Caleb popatrzył na nią. Z jego twarzy i postawy były chłodne opanowanie i stanowczość. Ale pod tą powłoką Lucinda wyczuwała podniecenie myśliwego, który właśnie wytropił zwierzynę.

- To długa historia - odparł. - Nie chcę teraz wdawać się w szczegóły. Wystarczy, jeśli powiem, że dwa miesiące temu pewien nieprawdopodobnie błyskotliwy i psychicznie utalentowany naukowiec, doktor Basil Hulsey, przysporzył naszemu Towarzystwu mnóstwa kłopotów. W grę wchodziło morderstwo. Może czytała pani w prasie doniesienia o Mrocznym Potworze?

- Tak, naturalnie. Cały Londyn śledził tę okropną historię w gazetach. Wieść o śmierci tego złoczyńcy była dla wszystkich prawdziwą ulgą - przerwała, próbując sobie coś przypomnieć. - Ale nie pamiętam żadnej wzmianki o doktorze Hulseyu.

- Sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana, niż myślała prasa czy Scotland Yard. Musi mi pani jedynie uwierzyć na słowo, gdy mówię, że w sprawę był zamieszany Hulsey. Niestety uciekł, zanim

zdołano go aresztować. Poszukiwałem go, ale w końcu ślad się urwał. Aż do tej chwili.

- Czy nie powinna się tym zająć policja?

- Nie ma sensu przekazywać tej sprawy władzom, dopóki nie odnajdę tego łotra i nie udowodnię mu winy - stwierdził Caleb. - Niestety, nawet jeśli uda mi się go wytropić, zebranie dowodów, które mają wartość w sądzie może się okazać niemożliwe.

- Więc co pan zamierza? - spytała zdeorientowana.

Spojrzał na nią beznamiętnie.

- Na pewno coś wymyślę.

Przeszył ją kolejny dreszcz. Tym razem jednak nie miał nic wspólnego z namiętnością. Lucinda uznała, że lepiej będzie nie dopytywać się o plany Caleba dotyczące Hulseya. To była sprawa Towarzystwa Wiedzy Tajemnej. Ona miała własne problemy. Najlepiej zmienić temat.

- Ale dlaczego Hulsey miałby ukraść moją paproć? - zaciekała się.

- Bo to właśnie ten rodzaj rośliny, który go interesuje. Hulsey specjalizuje się w badaniach nad snem. Jakiś czas temu sporządził miksturę, która wywoływała śmiertcionośne koszmary. Większość ofiar zmarła.

- To straszne. - Wzdrygnęła się.

- Kiedy Hulsey zniknął, natrafiłem na jego notatki. Wynika z nich, że już od pewnego czasu fascynują go sny. Jest przekonany, że gdy śpimy, granica między tym co normalne i tym co paranormalne niemal nie istnieje. Chce manipulować tym stanem. Na przeszkodzie stanął mu jednak pewien problem natury czysto finansowej.

- Co pan przez to rozumie?

Caleb zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Jego ostre rysy ściągnęły się, co było oznaką koncentracji.

- Wszystko wskazuje na to, że Hulsey pochodzi z biedoty. Nie wydaje mi się, żeby miał jakieś kontakty wśród arystokracji, a już na pewno nie ma pieniędzy. Dobrze wyposażone laboratorium jest kosztowne.

- Innymi słowy, potrzebuje kogoś, kto finansowałby jego badania.

Caleb obejrzał się na nią przez ramię, jakby chciał ją pochwalić. Zupełnie jakbym była utalentowanym dzieckiem albo inteligentnym pieskiem, który nauczył się nowej sztuczki, pomyślała Lucinda. To naprawdę denerwujące.

- Dokładnie tak. - Wciąż krążył po pokoju. - Tylko że żaden z jego ostatnich protektorów nie interesował się specjalnie badaniami nad snem. Przyświecał im całkiem inny cel, zatrudnili Hulseya, żeby odtworzył eliksir Sylvestra.

Stanął i zaczął się jej uważnie przyglądać, wyraźnie czekając na jakąś reakcję. Nie bardzo wiedziała, czego się po niej spodziewa, więc tylko skinęła głową.

- Proszę mówić dalej - zachęciła uprzejmie.

Zmarszczył brwi.

- Nie sprawia pani wrażenia zdziwionej, panno Bromley.

- A powinnam?

- Większość członków Towarzystwa uważa, że eliksir Sylvestra nie - jest niczym więcej jak legendą, związaną z osobą Sylvestra Alchemika.

- Pamiętam, że kilkakrotnie moi rodzice zastanawiali się nad składem takiego specyfiku. Czy to takie dziwne? Przecież ten narkotyk, o ile kiedykolwiek istniał, musiał być sporządzony na bazie roślin. Moi rodzice byli zdolnymi botanikami, to naturalne, że się nim interesowali.

- O, do diabła! - W głosie Caleba zabrzmiała frustracja. - Mówimy o najlepiej strzeżonych sekretach Towarzystwa.

Lucinda zamilkła i spojrzała na niego znacząco, ale nie doczekała się przeprosin za przekleństwo. Uznała, że chyba będzie musiała przywyknąć do braku manier swego towarzysza.

- Jeśli to pana pocieszy, rodzice doszli w końcu do wniosku, że narkotyk wzmagający czyjeś talenty psychiczne byłby niezwykle niebezpieczny, a jego działanie siłą rzeczy okazałoby się nieprzewidywalne - oznajmiła. - Po prostu zbyt mało jeszcze wiemy o zmysłach psychicznych, by nimi manipulować.

- Pani rodzice byli bardzo mądrymi ludźmi - przyznał Caleb.

- W zasadzie mieli pewność, że jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by Sylwestrowi udało się sporządzić taki specyfik. Ale na pewno próbował. W końcu żył pod koniec XVII wieku. W tamtych czasach wciąż wierzono w alchemię. Nie mógł korzystać z osiągnięć nowoczesnej nauki, więc pewnie mu się nie udało.

- Niestety, pani rodzice się mylili - stwierdził ponuro Caleb. - Sylvester rzeczywiście wynalazł recepturę narkotyku. Ten piekielny eliksir działa, ale jak słusznie się domyślali, ma bardzo niebezpieczne efekty uboczne.

Była tak zaskoczona, że przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa.

- Jest pan tego pewien?

- Tak.

- Na czym polegają efekty uboczne, o których pan wspomniał? - Jej zainteresowanie było uzasadnione, przecież studiowała botanikę pod okiem ojca.

Caleb zatrzymał się w głębi pokoju i popatrzył na nią.

- Ten narkotyk wywołuje między innymi silne uzależnienie - odrzekł. - Wciąż jednak wiemy o nim za mało, a w dodatku ta wiedza pochodzi jedynie ze starych dzienników Sylwestra i notatek tych, którzy sporządzili sproszkowany eliksir.

- To Hulsey nie jest pierwszym, który stara się odtworzyć narkotyk?

- Niestety, nie. Jakiś czas temu podobne eksperymenty prowadził John Stilwell. Skończyło się to jego śmiercią. Jego dzienniki i wszelkie notatki skonfiskował nowy mistrz Towarzystwa.

- Gabriel Jones, pański kuzyn.

Caleb skinął głową na znak, że Lucinda ma rację, po czym ciągnął dalej:

- Zapiski są zabezpieczone w wielkiej krypcie, w siedzibie Towarzystwa. Przeglądałem je. I od razu uderzyło mnie kilka rzeczy. Zdaniem Stilwella, kiedy już ktoś zacznie zażywać eliksir, nie może przestać. A jeśli przerwie, popadnie w obłąd.

- Bardzo niebezpieczna trucizna, prawda? - zastanawiała się nad tym, co usłyszała. - I twierdzi pan, że naprawdę istnieje.

Wahał się. Wyglądał, jakby wołał zapomnieć, że to prawda.

- Oczywiście - przyznał w końcu. - Chociaż trudno powiedzieć, czy jest silna i jak długo działa. Z osób, które brały narkotyk, żadna nie pożyła na tyle długo, by móc nam dostarczyć tych cennych informacji.

Lucinda bębniła palcami o oparcie fotela.

- Chce pan powiedzieć, że żadna z tych, które zna pan osobiście. Popatrzyl na nią ostro, badawczo.

- Nie chciałbym pani obrazić, ale w tych okolicznościach to dość dziwne stwierdzenie.

- A co panu wiadomo o samym wynalazcy, Sylwestrze Jonesie?

W pierwszej chwili Caleb wyglądał na zaskoczonego, ale zaraz - ku jej zdziwieniu - uśmiechnął się lekko. Zdaniem Lucindy był to czarujący uśmiech. Szkoda, że nie pojawiał się częściej na jego ustach. Tyle że rozmawiali o morderstwie i związanych z nim tematach. A one raczej nie powodują rozbawienia.

Caleb przemierzył pokój i zatrzymał się przed biurkiem.

- Panno Bromley, zdradzę pani sekret rodziny Jonesów. Wszyscy jesteśmy przekonani, że naszego przodka zabił właśnie ten narkotyk. Jednakże był on już starym człowiekiem, więc nie można udowodnić, że jego śmierć została spowodowana czymś innym niż przyczyny naturalne.

- Hm...

- Wiadomo jednak, że stary alchemik zażywał eliksir niedługo przed śmiercią, spodziewając się dzięki niemu wydłużyć życie o kilka dziesięcioleci. Można śmiało stwierdzić, że specyfik nie wywołał zamierzonego efektu, ale nie da się ustalić, czy ta mikstura zabiła Sylwestra, czy nie.

- Hm...

- Pani zainteresowanie tym tematem zaczyna mnie niepokoić - oznajmił sucho Caleb. - Może powinienem przypomnieć, że rozmawiamy o sprawie uznanej przez mistrza i radę za najbardziej strzeżony sekret Towarzystwa?

- Pan mi grozi, panie Jones? Bo jeśli tak, to przyjdzie i pańska kolej. W tej chwili bardziej mnie martwi perspektywa pójścia do więzienia niż ewentualne konsekwencje obrażenia mistrza czy rady.

Kąćki jego ust znów uniosły się w uśmiechu, a w oczach zabłyśło rozbawienie.

- Tak, rozumiem.

- Mówiliśmy o Hulseyu - przypomniła.

- A, tak. Hulsey. Jak już wspomniałem, ten człowiek ma obsesję na punkcie swojej pracy. Zniszczyliśmy jego stare laboratorium i tak się składa, że ludzie, którzy płacili za jego eksperymenty, nie mogą go dłużej finansować. Spodziewałem się jednak, że szybko znajdzie innych sponsorów. Bezczyność nie leży w jego naturze.

Lucinda była ciekawa, co właściwie się stało z dotychczasowymi mecenasami Hulsey'a, lecz uznała, że rozsądniej o to nie pytać.

- Myśli pan, że znalazł sobie nowego protektora? - zainteresowała się.

- Albo ktoś, kto próbuje sporządzić narkotyk, znalazł jego.

- Hulsey nie zawahałby się przed niczym, byle dopiąć celu. - Lucinda zrozumiała wreszcie powagę sytuacji.

- Może i jest nowoczesnym naukowcem, ale lektura jego notatek przekonała mnie, że myśli jak alchemik. Są ludzie, którzy zaprzedałiby duszę diabłu, byle tylko zdobyć złoto. Hulsey sprzedałby swoją za dobrze wyposażone laboratorium.

- Wspominał pan, że poszukiwał Hulsey'a, ale stracił ślad?

Caleb potarł ręką kark. Ten gest wyrażał frustrację.

- W notatkach Hulsey'a znalazłem listę wielu rzadkich narkotyków, korzeni i ziół, jakich używał w swych eksperymentach. Miałem więc oko na londyńskie apteki i sklepy zielarskie w nadziei, że prędzej czy później pojawi się tam w poszukiwaniu niezbędnych składników. Okazało się jednak, że to zadanie przekracza możliwości tak małej agencji jak moja. Czy orientuje się pani, ile jest w tym mieście sklepów handlujących leczniczymi napojami, ziołami i korzeniami? Dośłownie setki, jeśli nie tysiące.

Na twarzy Lucindy pojawił się smutny uśmiech.

- Niedawno rozmawiałam o tym z inspektorem Spellarem. To rzeczywiście tysiące sklepów. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę handlarzy różnych specyfików. Niektórzy z nich sprzedają bardzo rzadkie egzotyczne mikstury i eliksiry. Że nie wspomnę już o ziołarach.

Caleb mocniej zacisnął szczęki.

- Pewnie się pani domyśla, że na razie nie udało mi się natrafić na sklep, który sprzedałby rzeczy niezbędne Hulseyowi.

- A skąd pewność, że moją paproć ukradł właśnie doktor Hulsey?

- Być może chwytam się tej możliwości jak tonący brzytwy. Ale wszystko układa się dość logicznie. Ten, kto ukradł paproć, musiał być świadomy jej niezwykłych właściwości. Złodziej na pewno ma też ogromną wiedzę. Mało prawdopodobne, żeby w Londynie było wielu ludzi odpowiadających temu opisowi. No i wszystko doskonale pasuje w czasie. Hulsey zniknął jakieś osiem tygodni temu. To wystarczająco długi okres, żeby mógł sprzedać swoje umiejętności nowemu mecenasowi.

- Przypuszczam, że tak.

Caleb wyjął z kieszeni zegarek i, zerknąwszy na niego, zmarszczył czoło.

- O, do diabła!

- Co się stało, panie Jones?

- Mam do pani jeszcze mnóstwo pytań, panno Bromley, ale będą musiały poczekać do jutra. Dziś wieczorem powinienem się zająć pilnym dochodzeniem. Muszę się do tego odpowiednio przygotować.

- Schował zegarek. - Jak tylko zakończę dzisiejszą sprawę, będę mógł się w pełni skoncentrować na Hulseyu.

Ruszył do drzwi bez pożegnania.

Zaniepokojona Lucinda poderwała się na nogi.

- Chwileczkę, panie Jones.

Odwrócił się, trzymając już silną dłoń na klamce. Niecierpliwie uniósł brwi.

- Tak, panno Bromley?

- Chciałabym wyjaśnić jedną bardzo istotną kwestię - zaczęła stanowczym głosem. - Angażuję pana do przeprowadzenia

dochodzenia w sprawie skradzionej paproci. Jeśli rzeczywiście to ten szalony naukowiec, Hulsey, ukradł roślinę i przygotował truciznę, która zabiła Fairburna, to dobrze się składa. Ale nie mam zamiaru zatrudniać pana po to, żeby doprowadzić do aresztowania zwariowanego alchemika, próbującego udoskonalić recepturę eliksiru Sylvestra. Pańskie zadanie to nie dopuścić, bym trafiła do więzienia. Czy dobrze zrozumieliśmy się w tej kwestii?

Obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- Jak najbardziej, panno Bromley - zapewnił.

Otworzył drzwi.

- Ponadto nalegam, by często i regularnie składał mi pan raporty na temat postępów w śledztwie! - krzyknęła jeszcze za nim.

- Nie ma obawy, panno Bromley. Na pewno się odezwę, i to wkrótce.

Wyszedł do przedpokoju.

Serce w niej zamarło. Jestem skazana, pomyślała.

Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że dla Caleba Jonesa interesy Towarzystwa Wiedzy Tajemnej zawsze będą stać na pierwszym miejscu. Pozostawało jej się tylko modlić, żeby jej desperacka próba uniknięcia oskarżenia o morderstwo szła w parze z planami Caleba, dotyczącymi schwytania Hulseya. Bo jeśli byłby zmuszony do dokonania wyboru między jednym a drugim, przegrałaby z kretesem. I dobrze o tym wiedziała.

6

Od mężczyzn odzianych w peleryny z kapturami wprost biło niezdrowe podekscytowanie. W starej kamiennej sali panowała posępna atmosfera. Drgające cienie, rzucone przez latarnie, wyglądały jak żywe, oddychające istoty - dygotały i drżały w jakimś strasliwym rytmie, niczym dziwaczne drapieżne bestie, czekające tylko, by chleptać obiecaną im krew.

Caleb z wysiłkiem odsunął od siebie myśli o wymyślonych potworach. Ale nie przyszło mu to łatwo. Miał dar postrzegania niebezpiecznych układów i różnych ciemnych powiązań tam, gdzie inni widzieli tylko przypadkowy związek. Ten dar był również jego przekleństwem. Bo choć zdolność intuicyjnego łączenia kilku zaledwie niejasnych poszlak czy śladów była zdecydowanie użyteczna, to miała niestety pewne efekty uboczne. Od jakiegoś czasu obawiał się, że te oszalamiające, wielowymiarowe labirynty, jakie tworzył w swym umyśle, pracując nad sprawą, są nie tyle wytworem jego talentu, co raczej wynikiem halucynacji.

Z miejsca w drugim rzędzie dobrze widział ołtarz i łukowate osłonięte kotarą drzwi z boku. Na kamiennej posadzce leżał dwunasto- lub trzynastoletni chłopiec ze związanymi rękami i nogami. Nie spał. Był oszołomiony ze strachu albo po zażyciu dużej dawki opium. Prawdopodobnie w grę wchodziło to drugie, pomyślał Caleb. I cieszył się, że tak jest. Chłopiec nie myślał na tyle jasno, żeby zrozumieć, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Wprawdzie zamierzał zająć się tą sprawą zupełnie inaczej, ale gdy dostał wiadomość od informatora, było już zbyt późno, żeby przygotować inny plan. Właściwie ledwie starczyło czasu na podjęcie akcji ratunkowej.

Pogłoski o sekcje doszły go ledwie kilka dni temu. Ale kiedy zdał sobie sprawę, że człowiek, który ją założył, ma bardzo silną osobowość i że jest najprawdopodobniej chory umysłowo, natychmiast zasięgnął rady Gabe'a. Nie mieli dowodów, że zostało popełnione przestępstwo, więc nie mogli przekazać sprawy policji. Dlatego postanowili, że śledztwem zajmie się Agencja Jonesa.

Zakapturzone postacie w pierwszym rzędzie zaintonowały pieśń. Dołączyli do nich członkowie z kolejnych rzędów. Między łamaną łaciną wplataną co jakiś czas greckie słowa, pewnie dla lepszego efektu. Caleb wątpił, by ludzie stojący wokół niego rozumieli z tego cokolwiek. Wszyscy byli młodymi mężczyznami, którzy nie skończyli jeszcze dwudziestu lat; a sądząc po akcencie, wywodzili się z nizin społecznych.

Wchodząc wraz z innymi do sali, przeliczył szybko zgromadzonych. Przed ołtarzem stało piętnaście postaci ustawionych w trzech rzędach. Po obu stronach kamiennej płyty trzymało wartę dwóch ludzi. Jeden z nich był dość wysoki i dobrze zbudowany. Raczej mężczyzna niż młodzieniec. Ani przywódca, ani jego towarzysze jeszcze się nie pojawili.

Śpiew przybrał na sile. Obserwując zasłonięte drzwi, Caleb od ruchowo tłumaczył tekst pieśni.

„...Wielki Charunie, duchu demonie, chcemy otrzymać władzę, jaką obiecujesz tym, co idą ścieżką prawdy...”

„...Chwała naszemu mistrzowi, słudze Charuna, który przewodzi siłom ciemności...”

Nagle odsunęła się aksamitna kotara przesłaniająca drzwi. Do sali wkroczył uroczyście młodzieniec w za dużej pofałdowanej szarej szacie. W obie ręce ujął rękojeść wysadzanego kamieniami sztyletu. Światło latarni zajaśniało mocniej. Zabłyśło na broni. Zmysły Caleba się wyostrzyły.

Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie odnaleźli sztylet, używany niegdyś przez starożytną sektę etruską. Okropny paranormalny rekwizyt, o ile kiedykolwiek coś takiego istniało naprawdę.

W sali zapadła cisza. Niezdrowa energia pożądania przybrała na sile. Caleb wsunął ręce między fałdy szaty i zacisnął dłoń na rewolwerze. Niewielki będzie z niego pożytek w walce z bandą młodych mężczyzn. Uda mu się wystrzelić raz czy dwa, ale potem członkowie sekty go obezwładnią. Bezmyślnie oddani przywódcy, gotowi byli poświęcić dla niego życie. Nie wątpił w to. Poza tym ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było postrzelenie biednego chłopca, który miał pecha ulec hipnotyzującemu wpływowi mistrza sekty.

- Ujrzyj sługę Charuna i okaż mu cześć - zaintonował chrapliwym głosem chłopiec ze sztyletem. - Sięgnie dziś przez zasłonę, by wezwać wielkie moce.

W drzwiach pojawiła się kolejna postać, wysoka i szczupła, drżąca pod czarną szatą. Na jej palcach połyskiwały duże pierścienie. Kaptur zakrywał jej całą twarz.

Nawet ze swego miejsca Caleb wyczuwał ciemną, chorobliwą energię, emanującą od sługi Charuna.

Członkowie sekty padli na kolana. Caleb uczynił to samo.

Sługa Charuna spojrział na młodzieńca trzymającego sztylet.

- Czy ofiara jest gotowa?
- Tak, panie - odrzekł chłopak.

Przyszła ofiara ocknęła się z wywołanego narkotykiem otępienia.

- Co to? - wymamrotał niewyraźnie dzieciak. - Gdzie jestem?
- Cisza - nakazał młodzieniec dzierżący sztylet.

Ofiara, wciąż zdezorientowana, mrugnęła kilkakrotnie.

- To ty, Arnie? Dlaczego masz na sobie tę idiotyczną suknię?
- Cisza! - krzyknął Arnie. Był bardzo młody i bardzo przestraszony.

- Dostyc tego! - oświadczył przywódca. - Gdzie knebel i opaska? Nie przystoi, żeby ofiara spoglądała w twarz sługi Charuna.

O dobrych pracowników zawsze trudno, pomyślał Caleb. Odczuwał niemalże współczucie. Sam stracił już rachubę służących, którzy przewinęli się przez jego dom ostatnimi laty.

- Tak, panie - odparł pospiesznie Arnie. - Dopilnuję tego.

Chłopiec zawahał się, niepewny, co zrobić ze sztyletem. W końcu odłożył go na ołtarz.

- Daj mi sztylet - polecił sługa Charuna.

Wyższy z dwóch stojących przy ołtarzu zakapturzonych nowicjuszy zrobił krok do przodu, jakby chciał wziąć sztylet i podać go przywódcy. Musnął ostrze ręką. Powietrze wokół niego zmętniało lekko, jakby pojawiła się mgła. Chwilę później broń zniknęła z ołtarza.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy, łącznie ze sługą Charuna, stali, wpatrując się w miejsce, gdzie leżał sztylet. Korzystając z tego, Caleb zerwał się na nogi. Podszedł do ołtarza.

Ciągle nie pojmując, co się stało, sługa Charuna podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się Caleba. W końcu zrozumiał, że nie wszystko poszło po jego myśli.

- Kim jesteś?! - krzyknął. Cofnął się o krok, podnosząc rękę, jakby chciał powstrzymać demona.

Caleb wyciągnął rewolwer.

- Mamy małą zmianę w przedstawieniu.

Mężczyzna wpatrywał się w broń.

- Nie! To niemożliwe! Charun nie pozwoli mnie skrzywdzić.

Chłopiec usiadł na ołtarzu. Liny krępujące jego ręce i nogi były przecięte.

- Co tu się dzieje? - dopytywał się.

Sztylet pojawił się w ręku wyższego nowicjusza.

- Idziemy - oznajmił wesoło.

Podniósł chłopca, zarzucił go sobie na ramię i zniknął w przesłoniętych kotarą drzwiach.

- Zatrzymać go! - ryknął sługa Charuna.

Zrobiło się zamieszanie, kilka zakapturzonych postaci próbowało naraz wybiec przez drzwi.

Rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Caleb uświadomił sobie, że jedna z latarni spadła na posadzkę. Usłyszał syk palącej się tkaniny. Płomienie skakały wysoko, chwytając kolejne połacie materiału.

- Pożar! - krzyknął chłopiec.

Ochryple, przerażone wrzaski wypełniły salę, odbijając się echem od kamiennych ścian. Rozległ się donośny tupot butów, bo przestraszeni nowicjusze rozbiegli się do wyjść i tłoczyli się przy nich.

Spanikowany młodzieniec szukający drogi wpadł na Caleba. Jones rozciągnął się na podłodze jak długi. Rewolwer wypadł mu z ręki i, ślizgając się po podłodze, zatrzymał się daleko poza jego zasięgiem.

- Psiakrew - mruknął Caleb. Sprawy przybrały zły obrót.

Gdy stanął na nogach, zobaczył sługę Charuna biegnącego w kierunku zasłoniętych drzwi. Rzucił się za nim i zdołał go chwycić za kaptur. Szarpnął mocno.

Mężczyzna nie przewrócił się wprawdzie, ale zatoczył się do tyłu, uderzając o ołtarz. Kaptur zsunął mu się z głowy, odsłaniając orli nos. Przywódca sekty miał niewiele po trzydziestce. Zanurzył rękę w fałdach szaty i wyciągnął pistolet.

- Niech cię diabli wezmą! - wrzasnął. - Nie powinienes się wtrącać w sprawę Charuna.

Nacisnął spust, lecz stracił równowagę. W dodatku był oszalały z wściekłości. Nic dziwnego, że chybił. A zanim zdążył oddać kolejny strzał, Caleb rzucił się na niego.

Runęli na kamienną posadzkę. Echo powtórzyło odgłos upadku z głośnym dudnieniem. Długa szata przeszkadzała w zadawaniu ciosów. W coraz silniejszym blasku ognia Caleb dostrzegł na podłodze pistolet przeciwnika.

Przywódca sekty walczył tak, jakby rzeczywiście sam diabeł użył mu siły. Tyle że jego działanie nie było wyćwiczone. Po prostu walił na oślep i krzyczał. Rzucił jakieś dziwaczne przekleństwa.

- Spłoniesz w ognistym lochu Charuna, niewierny! Potęgą Charuna rozkazuję ci umrzeć!

Ten człowiek jest naprawdę szalony, pomyślał Caleb. To nie jeden z tych groźnych utalentowanych kryminalistów, którzy stają na czele sekty dla własnych korzyści. Ten rzeczywiście wierzył w potężnego demona, którego wytworzyła jego własna chora wyobraźnia.

- Musimy się stąd wydostać - rzucił Caleb, starając się przemówić do rozsądku oszalałemu mężczyźnie.

- To Charun! - Przywódca sekty rzucił się na kolana, nagle zafascynowany płomieniami. - On jest tutaj. - W blasku ognia widać było strach na jego twarzy pomieszany z euforycznym podziwem. - Przybył, żeby uratować mnie przed tobą. Zapłacisz własną duszą za to, że porwałeś się na sługę demona.

Płomienie zaczęły lizać pokryty sukniem stół. Czarna tkanina szybko zajęła się ogniem. Ciężki dym wypełniał salę. Przywódca wydawał się zupełnie sparaliżowany widokiem tego szalejącego piekła.

Caleb podniósł pistolet i uderzył nim w głowę mężczyzny. Ten upadł na twarz.

Caleb wsunął broń do kieszeni. Schyliwszy się, żeby uniknąć najgęstszej chmury dymu, wyciągnął chusteczkę i zakrył nią nos i usta. Rozejrzał się szybko i stwierdził, że on i przywódca sekty byli jedynymi ludźmi wewnątrz sali.

Chwycił nieprzytomnego za kaptur i pociągnął go po kamiennej posadzce. Wkrótce znaleźli się za czarną aksamitną kotarą w drzwiach. Powietrze było tam o wiele świeższe, ale korytarz

nie był oświetlony. Wokół panowała ciemność.

Caleb upuścił chustkę i położył dłoń na ścianie kamiennego tunelu. Usłyszał za sobą skwierczenie, gdy kotara zajęła się ogniem. Nie obejrzał się. Macając stare kamienie i kierując się powiewem świeżego powietrza, podążał wzdłuż tunelu, ciągnąc za sobą przywódcę sekty.

Nagle rozbłysło przed nim światło latarni. Chwilę potem pojawiła się jakaś postać. Jasny żółtawy blask oświetlił znajomą twarz.

- Wyobraź sobie podobne spotkanie, kuzynie - powiedział Caleb.

- Co, u diabła, cię zatrzymało?! - Gabriel Jones sięgnął w dół, żeby pomóc Calebowi ciągnąć nieprzytomnego człowieka. - Miałeś wyjść razem z Fletcherem i chłopcem.

- Nie chciałem ryzykować życia tego łotra. - Caleb wciągnął haust świeżego powietrza. - A potem pojawił się mały problem.

- Kto to?

- Nie znam jego nazwiska. Sam nazywa siebie sługą Charuna, ale kimkolwiek jest, oszalał. Fletcher i chłopak są bezpieczni?

- Tak. Czekają na nas na zewnątrz. Podobnie jak Spellar i kilku policjantów. Zatrzymali już kilku członków sekty.

- Nie ma sensu ich aresztować. To wszystko młodzi, naiwni chłopcy z ulicy. Jestem pewien, że nawet jeśli wierzyli w potęgę demonicznego przywódcy, to ta wiara właśnie upadła.

Wyłoniwszy się z tunelu, ujrzeni kilku przestraszonych członków sekty i mnóstwo policjantów krzątających się po podwórzu starej, opuszczonej oberży, w której urządzono świątynię. Chaotyczną scenę oświetlały latarnie.

Edmund Fletcher podszedł do nich pospiesznie. Dreptał za nim uratowany chłopiec.

- Nic się panu nie stało? - zatroskał się Edmund.

Emanowało z niego radosne podniecenie. Caleb rozpoznał typową reakcję, jaką daje otarcie się o niebezpieczeństwo połączone

z silnym dreszczem emocji. Sam zaczynał odczuwać podobne pod-ekscytowanie.

Nie pierwszy już raz doświadczył tego uczucia. Nie rozumiał tylko, dlaczego nagle zaczął myśleć o Lucindzie Bromley.

- Nie, nic mi nie jest - zapewnił. Chwycił go kaszel, ale zdołał poklepać Edmunda po ramieniu. - Doskonale się pan spisał. Wprowadził nas pan do środka przez wszystkie te pozamykane drzwi, i to bez zwracania czyjejkolwiek uwagi, i uratował pan chłopca. Wspaniałe przedstawienie.

- Będzie pan miał dla mnie następne zlecenia? - zapytał Edmund, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Proszę się nie martwić. Jestem pewien, że Agencja Jonesa znajdzie od czasu do czasu okazję do wykorzystania pańskich talentów.

Chłopiec popatrzył na Caleba.

- Pan Fletcher i ja rozmawialiśmy trochę o pańskiej agencji detektywistycznej. To bardzo ciekawa praca. Może potrzebowałby pan kogoś z moimi umiejętnościami?

Caleb spojrział na młodzieńca.

- Jak się nazywasz?

- Kit, proszę pana. Kit Hubbard.

- A co umiesz?

- Nie potrafię sprawić, żeby rzeczy znikwały tak, jak to umie robić pan Fletcher - zaczął poważnie dzieciak - ale doskonale sobie radzę z ich odnajdowaniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nauczyłem się tego jakiś rok temu. Wcześniej mi się to nie udawało, a w każdym razie nie tak jak teraz.

Zdolności psychiczne pojawiały się często w okresie dojrzewania.

Caleb i Gabe wymienili spojrzenia. Do niedawna do Towarzystwa Wiedzy Tajemnej można było wstąpić przez urodzenie lub małżeństwo. Utrzymanie jego istnienia w tajemnicy było niezwykle istotne dla przetrwania Towarzystwa. W dawnych czasach ci, którzy twierdzili, że mają jakieś uzdolnienia psychiczne, bywali oskarżani o czarnoksiężstwo. I właśnie niebezpieczne doświadczenia z przeszłości powstrzymywały Towarzystwo od przyjmowania

w swe szeregi ludzi z zewnątrz, niezależnie od tego, z jakiej klasy społecznej pochodzili.

Ale świat się zmieniał. Nastaly nowe czasy i mistrz Towarzystwa szedł z ich duchem.

Gabe przyjrzał się chłopcu uważnie.

- Zdaje mi się, że to bardzo interesująca umiejętność, Kit.

Młodzieniec wskazał ozdobiony klejnotami sztylet, który Edmund trzymał w ręku.

- To ja go znalazłem dla pana Hatchera, proszę pana. Wszyscy spojrzeli na zakapturzonego przywódcę sekty, który zaczynał się poruszać.

- To jego nazwisko? - spytał Caleb. - Hatcher?

- Tak mówił o nim Arnie - odparł Kit. - Bo, rozumie pan, Arnie dla niego pracuje. Powiedział mi, że jeśli znajdę dla pana Hatchera ten sztylet, to dostanę więcej pieniędzy, niż widziałem kiedykolwiek w życiu. No to go znalazłem. Był w starym domu przy ulicy Skidmore. Właściciel zmarł dawno temu i nikt nigdy nie posprzątał piwnicy. A potem obudziłem się na tej kamiennej płycie i Arnie stał ze sztyletem nad moją głową.

- Możesz opowiedzieć mi coś więcej o swoich zdolnościach? - poprosił Caleb. - Jestem pewien, że w mojej agencji przydałby się młody człowiek, który umie znaleźć różne rzeczy.

- A dobrze pan płaci? - Kit się uśmiechnął.

- Bardzo dobrze. Zapytaj Fletchera.

Edmund się zaśmiał i zwichrzył chłopcu czuprynę.

- Jedno zlecenie w Agencji Jonesa pozwoli ci opłacić czynsz przez kilka miesięcy. I zostanie ci jeszcze trochę na kapelusze dla matki.

- Mamie by się to spodobało - oświadczył zadowolony Kit.

- Pewnie by pomyślała, że zdobyłeś te pieniądze w niezbyt uczciwy sposób - stwierdził Caleb. - Co może nie być tak dalekie od prawdy.

Z ciemności wyłonił się Spellar. Skinieniem dał znak Gabe'owi.

- Pomyślałem, że lepiej będzie pana uprzedzić. Ludzie już zaczęli plotkować - rzekł. - Lada chwila zjawi się tu jakiś dżentelmen

z prasy. Za dzień czy dwa ta historia zrobi sensację w gazetach. Wiem, że o ile to możliwe, wolałby pan, żeby nie pojawiła się w niej wzmianka o Towarzystwie czy o rodzinie Jonesów.

Mimo że czasy się zmieniły to, zdaniem Caleba, wciąż istniały ważne powody, by unikać kontaktów z prasą.

- Dziękuję, inspektorze - odparł Gabe. - Rzeczywiście powinniśmy opuścić to miejsce. - Spojrzał na Kita i na Edmunda. - Wy dwaj pójdziecie z nami. Odprowadzimy was do domu. Matka Kita pewnie bardzo się o niego martwi.

Chłopak spojrzał na Hatchera.

- Co się z nim stanie? Pójdzie do więzienia?

Akurat w tej chwili Hatcher zaczął coś mamrotać do inspektora.

- Charun przybył, by mnie ocalić - oznajmił. - Stworzył ogromne morze ognia. Ale duch z zaświatów go powstrzymał. - Spojrzał na Caleba szeroko otwartymi, błyszczącymi z wściekłości oczami. - Drżysz, przerażony fantomie. Wkrótce dosięgnie cię gniew demona.

Spellar popatrzył na Kita.

- Moim zdaniem bardziej prawdopodobne, że ten džentelmen trafi do domu wariatów.

Caleb poczuł, że przepelniająca go dotychczas energia zupełnie go opuściła. Jej miejsce zajął lodowaty chłód.

- Los gorszy niż śmierć - powiedział cicho.

7

Caleb wszedł do pogrążonego w ciemnościach holu i ruszył schodami na górę. Kiedy znalazł się na piętrze, przemierzył przedpokój i otworzył drzwi biblioteki i laboratorium zarazem. Wewnątrz zapalił gazowe lampy i obrzucił spojrzeniem wielki pokój - jego schronienie lub prywatne piekło zależnie od okoliczności i nastroju, w jakim się znajdował. Od pewnego czasu miejsce to wydawało się raczej piekłem.

Większa część kolekcji artefaktów Towarzystwa przechowywana była w jego siedzibie - dużej posiadłości na wsi. Ale wiele najstarszych zapisków organizacji, datujących się na koniec XVII wieku, kiedy to Towarzystwo zostało założone, znajdowało się w tym pokoju. Rodzina Jonesów była znana od wieków.

Najcenniejsze eksponaty kolekcji, do których zaliczały się prywatne dzienniki Sylwestra Jonesa, leżały w dużym sejfie wbudowanym w kamienną ścianę starego domostwa.

Laboratorium, połączone z biblioteką, wyposażone było w najnowocześniejszą aparaturę. Caleb nie był wprawdzie nadnaturalnie utalentowanym naukowcem - uzdolniony był w innym kierunku - lecz potrafił bez problemu przeprowadzić wiele rozmaitych eksperymentów. Umiał się posługiwać wszelkimi przyrządami i narzędziami, które tu zgromadził.

Tajemnice kryjące się w tym, co paranormalne, pociągały go od zawsze. Ostatnio jednakże to, co było kiedyś żywym zainteresowaniem, przerodziło się, zdaniem jego najbliższych i przyjaciół, w niezdrową obsesję.

Mówili, że ma to we krwi, że w tym pokoleniu Jonesów właśnie on jest prawdziwym spadkobiercą błyskotliwego, ekscentrycznego Sylwestra. Martwili się, że pożąda zakazanej wiedzy tak samo jak jego przodek. Twierdzili, że ta niebezpieczna obsesja nie pojawia się w każdej generacji ich rodu. Według legend odrodziła się tylko raz po Sylwestrze, w pradziadku Caleba, Erasmusie Jonesie. Erasmus urodził się z takim samym talentem, jaki posiadał Caleb. Niestety niecałe dwa lata po ślubie i po tym jak spłodził syna, zaczął nagle przejawiać skłonność do ekscentryzmu, która stopniowo przybierała na sile. W końcu popadł w obłąd i odebrał sobie życie.

Caleb wiedział, że wszyscy w rodzinie Jonesów byli przekonani, iż zmiany, jakie w nim obserwowali, zapoczątkowane zostały przez odkrycie grobu Sylwestra, a w nim dzienników z opisem alchemicznych sekretów. Jednakże całą prawdę znali tylko on sam i jego ojciec. Bo nawet w tak dużej i paranormalnie utalentowanej rodzinie, jaką byli Jonesowie, możliwe było zachowanie sekretu. O ile

oczywiście dobrze się go pilnowało.

Caleb przeszedł między półkami wypełnionymi grubymi tomami i zatrzymał się przed zimnym kominkiem. Stały przed nim łóżko i dwa krzesła. Zazwyczaj tu właśnie sypiał i jadał posiłki. I tu przyjmował rzadkich gości. Nieczęsto korzystał z innych pokoi. Tak więc większość mebli w domu osłonięta była przed kurzem płachtami materiału.

Na małym stoliku stały karafka i dwie szklanki. Nalał sobie whisky i podszedł do okna, wpatrując się w ciemność.

Myślni powędrował ku innej ciemnej nocy, kiedy to - jak się wszystkim zdawało - umierał jego ojciec. Fergus Jones odprawił tych, którzy czuwali przy łożu - pielęgniarkę, rozmaitych krewnych i służbę. Kazał jednak zostać Calebowi.

- Podejdź bliżej, synu - powiedział słabym, chropowatym głosem.

Stojący w nogach łoża Caleb przesunął się, żeby zająć miejsce z boku. Wciąż nie mógł się nadziwić, że kryzys przyszedł tak nagle. Jeszcze trzy dni temu ojciec był zupełnie sprawnym, zdrowym sześćdziesięcioletnim człowiekiem niecierpiącym na żadne dolegliwości z wyjątkiem niewielkich kłopotów ze stawami, które leczył salicyną. Myśliwy, jak większość mężczyzn w rodzinie Jonesów, cieszył się dobrym zdrowiem i wyglądało na to, że - podobnie jak wcześniej jego ojcu - dane mu będzie dożyć dziewięćdziesiątki.

Caleb pomagał akurat Gabe'owi w śledztwie dotyczącym kradzieży oryginalnej receptury eliksiru Sylvestra, gdy dostał wiadomość, że ojciec zachorował nagle na płuca. Zostawił kuzyna, żeby samotnie kontynuował dochodzenie, i pospieszył do rodzinnego majątku.

Bardzo się niepokoił, ale mimo wszystko miał nadzieję, że ojciec wróci do zdrowia. Dopiero, gdy wszedł do domu - gdzie panowała powaga, a wszystkie okna były pozastłaniane - i gdy dowiedział się od lekarza, jak ponure są rokowania, wtedy zrozumiał, że ojciec jest obłożnie chory.

Zawsze świetnie się rozumieli, zwłaszcza od czasu przedwczesnej śmierci matki. Alice zmarła po upadku z konia, gdy Caleb miał dwadzieścia jeden lat. Fergus nigdy się powtórnie nie ożenił. A Caleb był jego jedynym dzieckiem.

Na kominku palił się ogień. Pokój był przegrzany, gdyż chory - choć w dotyku ciało jego było gorące - skarżył się na zimno. Jak wyjaśniła z ponurą miną pielęgniarka, nienaturalne uczucie zimna jest nieomylnym znakiem zbliżającego się końca.

Wsparty na poduszkach, Fergus popatrzył na syna. I choć przez większą część dnia majaczył, to teraz, mimo gorączki, wydawał się dość przytomny. Chwycił dłoń Caleba.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć - wyszeptał.
- Co takiego? - spytał syn, mocniej ściskając rękę ojca.
- Umieram, Calebie.
- Nie.

- Przyznaję, że zamierzałem opuścić ten świat jak tchórz. Myślałem, że nie zdobędę się na powiedzenie ci prawdy. Ale stwierdziłem, że mimo wszystko nie mogę pozostawić cię w niewiedzy. Zwłaszcza że jest może niewielka szansa...

Wstrząsnął nim męczący kaszel. Gdy atak się skończył, chory leżał przez chwilę spokojnie, z trudem łapiąc oddech.

- Proszę, ojcze, nie wysilaj się - błagał Caleb. - Nie wolno ci tracić sił.

- Do kroćset! To ja umieram i spożytkuję siły, jakie mi jeszcze zostały tak, jak mi się podoba.

Mimo przygnębienia Caleb nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu. Dziwnie uspakajająco podziałała na niego tak dobrze znana gburowata determinacja ojca. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety w rodzinie Jonesów umieli walczyć o swoje.

- Tak, ojcze - odrzekł.

Fergus zmrużył oczy.

- Ty i Alice to dwie wielkie łaski, jakie dane mi były na tym świecie. Chcę, żebyś wiedział, że zawsze byłem wdzięczny Panu Bogu za to, że pozwolił mi żyć z wami.

- Mając ciebie za ojca, jestem najszcześliwszym z synów.
- Z przykrością muszę stwierdzić, że gdy powiem ci prawdę, nie będziesz mi wdzięczny, że cię spłodziłem. - Pograżony w bólu, Fergus zamknął oczy. - Twojej matce nigdy o tym nie powiedziałem. To był mój prezent dla niej. Alice zmarła, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie ci grozi.

- Ojczy, o czym ty mówisz? - Caleb pomyślał, że ojciec znowu majączy.

- Wciąż jeszcze się waham, czy powiedzieć ci prawdę - szepnął Fergus. - Ale jesteś moim synem i dobrze cię znam. Gdybym zachował dla siebie tak ważną wiadomość, przeklinałbyś mnie do końca swych dni. Chociaż biorąc pod uwagę to, co mam ci powiedzieć, będziesz mnie nienawidził tak czy owak.

- Ojczy, bez względu na to, co to jest, wiedz, że nigdy cię nie znienawidzę.

- Poczekaj, aż usłyszysz, co mam ci do powiedzenia. Potem osądzisz - przerwał mu kolejny atak kaszlu. Dyszał przez chwilę, lecz w końcu odzyskał oddech. - Sprawa dotyczy twego pradziadka, Erasmusa.

- Co takiego? - Przeszył go zimny dreszcz.

- Masz talent bardzo podobny do tego, który on miał.

- Wiem o tym.

- Wiadomo ci także, że Erasmus oszalał. Podpałił bibliotekę i laboratorium, po czym skończył ze sobą.

- I myślisz, ojczy, że mnie czeka taki sam los - powiedział Caleb cicho. - Czy to właśnie próbujesz mi przekazać?

- Twój pradziadek był przekonany, że do szaleństwa doprowadził go właśnie posiadany przez niego talent. Napisał o tym w swym ostatnim dzienniku.

- Nigdy nie słyszałem, żeby Erasmus prowadził jakieś dzienniki.

- To dlatego, że wszystkie, z wyjątkiem tego jednego, wrzucił do ognia. Uważał, że cała ta ogromna praca i liczne badania, jakie przeprowadził dzięki swemu talentowi, nie miały żadnego sensu. Jeden dziennik się zachował, bo Erasmus nie potrafiłby zniszczyć

z trudem odkrywanych sekretów.

- Gdzie jest ten dziennik?

Fergus odwrócił głowę i skierował wzrok w głąb pokoju.

- Znajdziesz go w tajnym schowku w sejfie. Obok leży notatnik, który zachował się z dziennikiem. Syn Erasmusa, a twój dziadek, przekazał mi je na łożu śmierci. A teraz ja daję je tobie.

- Czytałeś je ojciec?

- Nie. Ani ja, ani twój dziadek. Nie mogliśmy.

- Dlaczego?

Fergus sapnął.

- Erasmus był spadkobiercą Sylvestra. Przypominał go w każdym calu. Podobnie jak tamten stary łotr, on też wynalazł swój własny szyfr, którego używał w dziennikach. Notatnik też napisany jest szyfrem. Nie ośmieliliśmy się pokazać tych książek komuś z rodziny, kto mógłby rozszyfrować kod, bo baliśmy się zawartych tam sekretów.

- Dlaczego w takim razie zachowaliście i dziennik, i notes?

Fergus popatrzył na syna oczami, w których błyszczała gorączka. Mimo to w jego spojrzeniu był spokój.

- Bo pierwsza strona dziennika napisana jest czystą angielszczyzną. Erasmus prosił syna i przyszłych potomków, żeby przechowywali obydwa zeszyty do czasu, gdy w rodzinie pojawi się potomek posiadający talent Sylvestra.

- Czyli ktoś taki jak ja.

- Obawiam się, że tak. Erasmus wierzył, że notes zawiera sekret, dzięki któremu mógłby odzyskać zdrowie. Ale nie udało mu się odkryć tego sekretu wystarczająco wcześnie, by się uratować. Był przekonany, że w przyszłości jeden z jego potomków będzie cierpiał na podobny problem. I miał nadzieję, że uda mu się odmienić swój los dzięki rozwiązaniu tajemnic, ukrytych w tym piekielnym notesie.

- Czyje to właściwie zapiski? - spytał Caleb.

- Zdaniem Erasmusa, to ostatni notes Sylvestra.

Caleb pozostał przy łożu ojca aż do świtu. Kiedy pojawiły się pierwsze blaski dnia, Fergus otworzył oczy.

- Dlaczego, u diabła, tak tu gorąco? - zaczął narzekać. Wściekłym wzrokiem spojrzał na huczący w kominku ogień. - Co wy tu wyprawiacie? Chcecie spalić dom?

Oślupiały Caleb wyprostował się na niewygodnym krześle, na którym spędził noc. Spojrzał ojcu w oczy i od razu zauważył, że gorączka go opuściła. Kryzys minął. Ojciec przeżył. Caleba opanowała ulga, jakiej nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu.

- Dzień dobry, ojcie - powiedział. - Mocno nas wystraszyłeś. Jak się czujesz?

- Zmęczony. - Fergus pogładził ręką nieogolony od kilku dni podbródek. - Ale chyba jednak pożyję jeszcze trochę.

Caleb się uśmiechnął.

- Na to wygląda, ojcie. Jesteś głodny? Poślę kogoś do kuchni po herbatę i tosty.

- I po jajka na bekonie - dodał Fergus.

- Oczywiście, ojcie. - Caleb sięgnął po wiszący przy łóżku sznur, żeby zadzwonić na służbę. - Chociaż będziesz musiał przekonać pielęgniarkę, że gotów jesteś na prawdziwe śniadanie. Między nami mówiąc, ta kobieta ma wygląd tyrana.

Fergus się skrzywił.

- Poczuję się zawiedziona, że nie spełniłem jej oczekiwań. Była pewna, że przed świtem wyciągnę kopyta. Zapłać jej i odeślij do innego biednego umierającego łotra.

- Tak zrobię - zapewnił Caleb.

8

Caleb odnalazł błyszczący czarno-kasztanowy pojazd przy Guppy Lane dokładnie w miejscu, które wskazała mu pani Shute. Był wczesny ranek. Okolica sprawiała wrażenie miejsca, gdzie żyją

ludzie dumni, ciężko pracujący i godni szacunku. Od Landreth Street dzieliła ją niewielka odległość, lecz w sensie statusu społecznego znajdowała się o wiele mil dalej. Co, u diabła, robiła tu Lucinda?

Wzdłuż żelaznego ogrodzenia przed jednym z domów przechadzał się szczupły mężczyzna w kapeluszu woźnicy i obszernej pele-rynie. Caleb wysiadł z powozu, krzywiąc się lekko, gdy obolałe żebra zaprotestowały przeciw nagłemu wstrząsowi. Zapłacił dorożkarzowi i ruszył w kierunku woźnicy.

- Pan Shute?

- Tak, proszę pana. - Mężczyzna popatrzył na niego z ukosa.

- Przysłała mnie tu pańska żona - oznajmił Caleb. - Szukam panny Bromley.

Woźnica odwrócił głowę w kierunku domu.

- Jest w środku. - Wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził czas. - Już od godziny. To może jeszcze chwilę potrwać.

Caleb przyjrzał się drzwiom.

- To wizyta towarzyska? - zapytał obojętnym tonem.

- Niezupełnie. Panna Bromley ma tam pewne sprawy do załatwienia.

- Ach tak?

- Przyjechał pan tu, bo jest pan ciekaw, co sprowadza do takiej dzielnicy damę?

- Bystry z pana człowiek, panie Shute.

- Myślał pan, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, co?

- Przeszło mi to przez głowę. - Oczywiście Lucinda mogła też mieć romans z kimś mieszkającym w tym domu. Nie wiadomo dla-czego ta opcja bardzo go niepokoiła.

- Pani Shute i ja wychowaliśmy się w tej okolicy. - Woźnica obrzucił wzrokiem rząd wąskich domów wzdłuż ulicy. - Ciotki pani Shute mieszkają pod numerem 5. Przeszły na emeryturę po prawie czterdziestu latach służby w bogatym domu. Kiedy zmarł ich pracodawca, spadkobiercy wyrzucili je bez żadnej renty. Panna Bromley płaci im czynsz za mieszkanie.

- Rozumiem - rzekł Caleb.

- Przy końcu tej alejki mieszka kilkoro moich kuzynów. Panna Bromley zatrudnia dziewczęta jako pokojówki. Pani Shute i ja mamy syna. Mieszka razem z żoną i dwojgiem małych dzieci przy sąsiedniej ulicy. Pracuje u drukarza. To ojciec panny Bromley znalazł mu tę pracę kilka lat temu.

- Chyba zaczynam rozumieć, panie Shute.

- Moje wnuki chodzą do szkoły. Panna Bromley pomaga nam w płaceniu chesnego. Mówi, że w nowoczesnym świecie tylko dzięki wykształceniu można coś osiągnąć.

- Najwyraźniej to dama o postępowych poglądach.

- Tak. - Shute wskazał dom za sobą. - Tam mieszka córka mojej siostry z rodziną.

- Przekonał mnie pan, panie Shute. Mój niepokój o bezpieczeństwo panny Bromley był całkowicie nieuzasadniony. Nic jej tu nie grozi.

- W okolicy mieszkają ludzie, którzy bez wahania zdarliby skórę z każdego, kto próbowałby ją skrzywdzić. - Shute zmrużył oczy. - Bił się pan, czy co?

- Wdałem się w pewną sprzeczkę ostatniej nocy - wyjaśnił Caleb. Starał się wprawdzie zasłonić podbite oko, podciągając kołnierz płaszcza i wyginając rondo kapelusza, ale, jak widać, nie bardzo mu się to udało.

Shute skinął tylko głową, nie przejmując się zanadto siniakami Caleba.

- Zakładam, że to pan był górą.

- Chyba można tak powiedzieć. Mój przeciwnik trafi do domu wariatów.

- Nietypowe zakończenie bijatyki.

- To nie była typowa bijatyka.

Shute przyjrzał mu się uważnie.

- Tak przypuszczam.

Drzwi małego domu się otworzyły. W progu pojawiła się Lucinda. Trzymała w ręku dużą torbę z czarnej skóry, nie miała rękawiczek. Plecami zwrócona była do Caleba, bo rozmawiała

z kobietą w zniszczonej sukni przykrytej fartuchem.

- Nie przejmuj się, jeśli nie będzie chciał jeść - mówiła Lucinda.
- Najważniejsze, żeby wypił parę łyków co godzinę.

- Dopilnuję tego - zapewniła kobieta.

- Maluchy bardzo szybko się odwadniają, gdy zapadną na dolegliwości żołądkowe. Ale jestem pewna, że Tommy wyzdrowieje za dzień czy dwa, jeśli tylko będzie pił lekarstwo.

- Nie wiem, jak pani dziękować, panno Bromley. - Na twarzy kobiety malowała się ulga. - Nie miałam pojęcia, co zrobić, więc wezwałam panią. Lekarz na pewno odmówiłby przyjścia do tej dzielnicy. - Skrzywiła się. - Wie pani, jak to jest. Uznałby, że nas na niego nie stać. A w końcu Tommy nie złamał sobie nogi ani nic takiego. Myślę, że zachorował od czegoś, co zjadł. A wszyscy tu wiedzą, że na tym pani zna się lepiej niż jakikolwiek lekarz.

- Tommy wyzdrowieje. Jestem tego pewna. Tylko podawaj mu napar do picia.

- Będę o tym pamiętać, panno Bromley. Niech się pani nie martwi. - Kobieta wychyliła się na zewnątrz i pomachała do Shute'a. - Dzień dobry, wujku Jed. Niech wujek pozdrowi ode mnie ciocię Bess.

Oparty o ogrodzenie, Shute się wyprostował.

- Pozdrowię ją, Sally.

Lucinda się odwróciła i dopiero teraz zobaczyła Caleba.

- A co pan tu robi, panie Jones?

- Przyjechałem do pani o ósmej, żeby złożyć raport z postępów śledztwa i zadać pani kilka pytań - odrzekł. - Ale nie było pani w domu.

- Na miłość boską. - Wpatrywała się w niego oszołomiona. - Przyjechał pan do mnie o ósmej rano? Przecież nikt nie prowadzi interesów o tej porze.

- Pani najwyraźniej tak. - Skinął głową w stronę domu, który przed chwilą opuściła.

- To zupełnie inna sprawa.

Caleb wziął od niej torbę. Zdziwił się, jaka była ciężka.

- Kiedy się przekonałem, że nie ma pani w domu, postanowiłem panią wytropić. Przypomina sobie pani na pewno, że nalegała, żebym składał raporty codziennie.

- Nie przypominam sobie, bym użyła słowa „codziennie - odparła. - Zdaje mi się, że powiedziałam: „często i regularnie”.

- Uznałem, że to oznacza codziennie.

Lucinda popatrzyła na niego spod ronda małego kapelusza.

- Chyba nie zamierza pan przyjeżdżać do mnie każdego dnia o ósmej rano. To by było okropne - przerwała, a jej oczy się rozszerzyły. - Co się panu stało? Miał pan wypadek?

- Coś w tym rodzaju.

Pomógł jej wsiąść do powozu, po czym sam zajął miejsce tak ostrożnie, jak mógł. Mimo to obolałe żebra zaprotestowały na tę gimnastykę. Wiedział, że nie uszło to uwagi Lucindy.

- Jak tylko dotrzemy do domu, dam panu coś na ból - powiedziała.

- Dziękuję. - Postawił torbę na podłodze. - Będę pani bardzo wdzięczny. Wziąłem trochę salicyny, ale niezbyt mi to pomogło.

Maleńkie skórzane siedzenia nie były przeznaczone dla mężczyzny rozmiarów Caleba. Zajął jedno z nich na wprost Lucindy. Nie mógł jednak odsunąć się tak daleko, by jego spodnie nie ocierały się o fałdy jej sukni. A gdyby powóz podskoczył na kamieniach, Lucinda wylądowałaby na jego kolanach. Podeszeptywane przez wyobraźnię obrazy rozgrzały mu krew i zapomniał o obolałych żebrach.

- Poza środkiem przeciwbólowym dam panu jeszcze jeden napar - oznajmiła Lucinda.

- A w jakim celu? - zapytał, marszcząc brwi.

- Widzę jakieś zawirowania w pańskiej aurze.

- Niewiele spałem ostatniej nocy.

- Sen nic nie pomoże na brak równowagi, który wyczuwam. Jego przyczyną jest problem natury psychicznej. Myślę, że napar panu pomoże. Przygotowałam go wczoraj, gdy pan wyszedł.

Caleb wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno.

- Wygląda na to, że cieszy się pani pewną sławą w tej okolicy, panno Bromley.

- I to zupełnie inną niż ta, którą mam w Towarzystwie, czy tak? - Uśmiechnęła się do kobiety w drzwiach, która pomachała jej w odpowiedzi. Gdy spojrzała na Caleba, na jej ustach nie było już uśmiechu. - Najwyraźniej mieszkańcy Guppy Lane wierzą, że ich nie otruję.

- Ja też pani ufam. - Był zbyt zmęczony i obolały, żeby dać się sprowokować.

- Oczywiście - odparła, rozluźniając się trochę. - Co ma mi pan do powiedzenia?

Odkrył, że trudno mu myśleć o czymś innym niż delikatny zapach perfum Lucindy i subtelne nęcące prądy, które od niej emanowały i które zwodziły jego zmysły. Fakt, iż siedział tak blisko niej, mącił jego zazwyczaj uporządkowane myśli. Powiedział sobie, że to pewnie z powodu braku snu.

A może wyjaśnienie było jeszcze prostsze. Od dawna już nie doświadczył satysfakcji, jaką daje bliskość kobiety. Luźny związek z pewną atrakcyjną wdową skończył się kilka miesięcy temu. Jak to zwykle bywa z takimi związkami, nie czuł żalu z tego powodu.

Tym bardziej dziwiło go, że nie tęsknił za namiętnością aż do wczoraj, kiedy to ni stąd, ni zowąd ogarnęła go nieodparta chęć pocałowania Lucindy. To samo silne niewyjaśnione pragnienie przepętniało go właśnie teraz. Zdaje się, że naprawdę potrzebował snu.

- Panie Jones? - odezwała się Lucinda ostrym tonem.

Caleb próbował się skupić.

- Powiedziałem pani wczoraj, że zanim będę mógł poświęcić pani sprawie całą moją uwagę, muszę uporać się z innym śledztwem. Ostatniej nocy je zakończyłem.

W jej oczach zabłysła ciekawość.

- Pomyślnie, mam nadzieję?

- Owszem.

Przyjrzała się jego twarzy.

- Czy słusznie się domyślam, że wczorajszej nocy dorobił się pan tych siniaków?

- Sprawy nieco się skomplikowały - przyznał.
- Była jakaś bójka?
- Można to tak nazwać.
- Na miłość boską, co się stało?
- Ta sprawa jest zamknięta. Mam już plan, który pozwoli złapać sprawcę.

- O której godzinie położył się pan wczoraj spać? - Nie dała się zbić z tropu.

- Co takiego?

- Jak długo pan spał?

- Parę godzin, chyba. Nie patrzyłem na zegarek. A jeśli chodzi o mój plan...

- Ile godzin spał pan ostatniej nocy?

- A dlaczego, u diabła, chce pani to wiedzieć?!

- Podczas wczorajszej rozmowy zauważyłam, że niewiele pan spał także poprzedniej nocy. Widziałam to w pańskiej aurze.

Caleb zaczynał się irytować.

- Zdawało mi się, że w mojej aurze wyczuła pani napięcie.

- Owszem. Może to właśnie ono uniemożliwia panu nocny wypoczynek.

- Powiedziałem przecież, że pracowałem nad tamtą sprawą. Sytuacja stała się naprawdę fatalna. Ostatnio niewiele miałem czasu na sen. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, to chciałbym pani zadać kilka pytań, panno Bromley.

- Śniadanie?

- Co takiego?

- Czy jadł pan śniadanie?

- Piłem kawę. - Zmrużył oczy. - Kiedy wychodziłem dziś rano, moja nowa gospodyni dała mi na drogę ciastko. Nie miałem czasu na normalny posiłek.

- Dla mężczyzny pańskiej postury solidne śniadanie jest bardzo ważne.

- Mojej postury?

Lucinda odchrząknęła.

- Jest pan silnym, krzepkim człowiekiem, panie Jones i to nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie. Potrzebuje pan wiele energii. Sen i obfite śniadanie są niezbędne dla pańskiego dobrego samopoczucia.

- Do diabła, panno Bromley, nie po to szukałem pani o ósmej rano, żeby wysłuchiwać wykładu na temat moich nawyków dotyczących spania i jedzenia. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, może wrócimy do kwestii zaginionej paproci.

Lucinda wyprostowała się na małej ławce i splótła dłonie na kolanach.

- Tak, oczywiście - odparła. - Cóż więc sprowadza pana do mnie o ósmej rano?

Choć było to śmieszne, nie mógł się powstrzymać od powiedzenia czegoś na swoją obronę.

- Panno Bromley, kiedy prowadzę dochodzenie, nie mogę pozwolić, żeby ograniczały mnie zwyczajnie towarzyskie dyktujące właściwy czas składania wizyt. - Zdawał sobie sprawę, że jest gburowaty, ale ciągnął dalej: - Nie będę przepraszał za metody, jakich używam. Pracuję tak, a nie inaczej. I to niezależnie od sprawy, jakiej się podjąłem. To szczególne dochodzenie jest, jak wczoraj powiedziałem, niezwykle ważne dla mnie i dla Towarzystwa.

- Rzeczywiście, dał mi pan jasno do zrozumienia, że bardzo interesuje pana doktor Knox - zauważyła chłodno. - Co w takim razie chciałby pan wiedzieć?

- Powiedziała mi pani wczoraj, że Hulsey...

- Knox.

- By wszystko było jasne, będziemy nazywać Knoksa Hulseyem - oznajmił Caleb. - A przynajmniej do czasu, gdy znajdę jakiś dowód na to, że nie jest to jedna i ta sama osoba.

Lucinda przyglądała mu się z powagą.

- Jest pan pewien, że Knox to doktor Hulsey, którego pan szuka, prawda?

- Tak.

- Czy to dzięki swoim uzdolnieniom doszedł pan do tego przekonania?

- Dzięki nim i faktom - odpowiedział niecierpliwie, jak zawsze, gdy ktoś prosił, by wyjaśnił, jak działają jego uzdolnienia. Bo też niech go diabli wezmą, jeśli sam to wiedział. - To właśnie zawdzięczam memu talentowi, panno Bromley. Umiem znaleźć związek między przypadkowymi faktami.

- Rozumiem. Czy zdarza się panu mylić?

- Bardzo rzadko, panno Bromley.

Lucinda skłoniła głowę.

- Dobrze. Proszę kontynuować.

- Powiedziała pani, że Hulseya skierował do pani dawny znajomy ojca.

- Lord Roebuck, starszy dżentelmen od dawna interesujący się botaniką. Niestety w ostatnich latach bardzo się postarzał.

- Czy Roebuck wiedział o właściwościach paproci i o tym, że ma pani ten okaz w cieplarni?

- Nie mam pojęcia, skąd mógłby się o tym dowiedzieć. Jak już wspomniałam, mój ojciec, pan Woodhall i ja przywieźliśmy tę paproć oraz wiele innych roślin z naszej ostatniej ekspedycji. To było jakieś półtora roku temu. Biedny lord Roebuck już wówczas był bardzo schorowany. Prawie nie wychodził z domu. I na pewno nigdy nie był w mojej cieplarni. Nie, naprawdę nie sądzę, żeby wiedział o paproci.

- A jednak miesiąc temu Hulsey dowiedział się jakoś o istnieniu tego okazu. Zakładam, że tylko ekspert umiałby rozpoznać własności tej rośliny, czy tak?

- I to nie pierwszy lepszy ekspert, ale taki, który ma paranormalny talent - odrzekła.

- A więc tę paproć musiał widzieć ktoś inny. I osoba ta doniosła o niej Hulseyowi.

- Cóż, ostatnimi czasy pokazywałam cieplarnię kilku osobom.

Caleb zmarszczył brwi.

- Tylko kilku?

- Jak już panu wczoraj powiedziałam, od śmierci ojca nie miałam wielu gości. Z całą pewnością potrafię panu podać nazwiska wszystkich, którzy byli u mnie w ciągu ostatnich paru miesięcy.

- Skoncentrujmy się na tych, którzy oglądali rośliny niedługo przed wizytą Hulseya.

- To będzie krótka lista.

- Doskonale. - Wyjął notes i ołówek. - Jest coś, czego nie rozumiem w całej tej sprawie, panno Bromley.

Uśmiechnęła się lekko.

- Zdumiewa mnie, że jest coś, czego pan nie rozumie, panie Jones.

Zmarszczył czoło, ale zignorował jej słowa.

- W pani cieplarni znajduje się zadziwiająca kolekcja roślin. Dlaczego nie przychodzi więcej zwiedzających?

- Zdziwiłby się pan, jak duży wpływ na życie towarzyskie może mieć kilka plotek o truciźnie.

- Rozluźnienie więzi towarzyskich jest zrozumiałe. Ale zdawałoby się, że żaden szanujący się botanik nie oparłby się możliwości zobaczenia pani kolekcji.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Czy kiedykolwiek przyszło panu do głowy, że nie każdy posiada pańską umiejętność oddzielenia logiki od emocji?

- Nawet często, panno Bromley - zapewnił. - Przyznaję, że to jedna z rzeczy, które utrudniają mi pracę detektywa. Potrafię znaleźć powiązania, intuicyjnie dojść do pewnych konkluzji, ale przekonałem się, że nie zawsze umiem wyjaśnić, dlaczego ludzie działają w taki, a nie inny sposób. Do diabła, mogę przewidzieć nawet, jak zareagują klienci, gdy przedstawię im wyniki śledztwa. Oniemiałyby pani, wiedząc, jak wielu z nich dostaje na przykład ataku wściekłości. Mnie w każdym razie brak słów, gdy widzę ich zachowanie.

Lucinda ściągnęła usta.

- Rozumiem, że emocje mogą być czynnikiem utrudniającym pańską pracę.

- Cóż, wrócimy do kwestii pani reputacji przy innej okazji. Na razie skupimy się na Hulseyu.

- Co pan powiedział, panie Jones?

- Że na razie powinniśmy zająć się Hulseyem.

- Tak, słyszałam to. Ale dlaczego, na miłość boską, chce pan dyskutować o mojej reputacji?

- Bo to bardzo interesujący temat - odparł cierpliwie.

9

Ledwie Lucinda skończyła wyliczać osoby, które odwiedziły cieplarnię na krótko przed wizytą Knoksa, gdy Shute zatrzymał pojazd przy Landreth Square.

Caleb wyjrzał przez okno.

- Możliwe, że pani życie towarzyskie jest bardziej ożywione, niż się to pani wydaje.

Lucinda podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła śliczną młodą blondynkę w prostej brunatnej sukni podróżnej. Dama wysiadła właśnie z wynajętego powozu. Woźnica zmagął się z ogromnym kufrem.

- To moja kuzynka Patrycja! - krzyknęła Lucinda. - Będzie u mnie gościć przez miesiąc. Ale spodziewałam się jej dopiero po południu. Pewnie złapała wcześniejszy pociąg.

- Panna Patrycja! - zawołał Shute z kozła. - Witamy w Londynie. Miło znowu panią widzieć.

- Mnie też jest bardzo miło, Shute - odrzekła Patrycja. - Wieki całe się nie widzieliśmy. Rodzice prosili, żebym przekazała tobie i twojej rodzinie najserdeczniejsze pozdrowienia.

- Dziękuję, panienko.

Drzwi pod numerem 12 się otworzyły. Pojawiła się w nich pani Shute.

- Panna Patrycja! - krzyknęła. - Dobrze, że znów nas pani odwiedziła.

- Dziękuję, pani Shute - powiedziała dziewczyna. - Przepraszam, że was zaskoczyłam. Wiem, że spodziewaliście się mnie dużo później.

Pani Shute promieniała.

- Nonsens, przygotowałam pani pokój już kilka dni temu.

Caleb otworzył drzwi powozu i kopnięciem rozłożył składane schodki. Z największą ostrożnością wygramolił się z maleńkiego pojazdu, po czym się odwrócił, żeby podać rękę Lucindzie.

- Lucy! - Patrycja rzuciła się w stronę kuzynki.

Lucinda przyjęła ją z otwartymi ramionami.

- Tak się cieszę, Patrycjo, że przyjechałaś. Zdecydowanie za długo się nie widziałyśmy. - Zrobiła krok w tył. - Chciałabym ci przedstawić pana Jonesa. Panie Jones, to moja kuzynka, panna Patrycja McDaniel. Jeśli interesuje się pan badaniami przedmiotów o paranormalnych właściwościach, to z pewnością słyszał pan ojej ojcu.

Caleb pochylił się nad dłonią Patrycji z gracją, która zdumiała Lucinę. Może i nie chciało mu się okazywać dobrych manier na co dzień, ale najwyraźniej umiał się zachować w towarzystwie dam.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno McDaniel - powiedział, puszczając odzianą w rękawiczkę dłoń Patrycji. - Przypuszczam, że pani ojciec to Herbert McDaniel?

Patrycja uśmiechnęła się do niego.

- Widzę, że zna pan grono archeologów, sir.

- Na pewno tych, którzy należą do Towarzystwa Wiedzy Tajemnej i są równie błyskotliwi jak McDaniel - przyznał Caleb. - Zaintrygował mnie jego artykuł poświęcony egipskim zwyczajom pochówku. Fascynujące spostrzeżenia na temat niektórych aspektów starożytnej religii egipskiej.

Twarz Lucindy rozpromienił dumny uśmiech.

- Może słyszał pan, że rada powierzyła rodzicom Patrycji zadanie skatalogowania zabytkowych egipskich przedmiotów, jakie znajdują się w muzeum Towarzystwa w jego siedzibie?

- Pamiętam, że Gabe wspominał, iż McDaniel i jego żona rozpoczną wkrótce prace nad tym projektem. Czas już najwyższy, by ta kolekcja została skatalogowana.

- Patrycja także będzie nad tym pracować - dodała Lucinda. - Ma talent do odczytywania martwych języków.

- Bardzo potrzebujemy ludzi z takimi uzdolnieniami - stwierdził Caleb. - Jak długo zostanie pani w Londynie?

- Dopóki nie znajdę męża - odrzekła z uśmiechem dziewczyna. Lucinda otworzyła usta, ale przez dobrą chwilę nie była w stanie powiedzieć ani słowa.

- Co takiego? - spytała piskliwie.

- Zdaniem rodziców powinnam wyjść za mąż - stwierdziła Patrycja. - Prawdę mówiąc, zgadzam się z nimi. Nie ma czasu do stracenia.

Po raz pierwszy w życiu Lucinda poczuła, że potrzebuje soli trzeźwiących. Zapomniała zupełnie o istnieniu Caleba, Shute'ów i woźnicy wynajętego powozu. Wpatrywała się w Patrycję z rosnącym przerażeniem.

- Jesteś w ciąży? - wykrztusiła w końcu.

10

Przepraszam, że tak cię przerażałam, Lucy. - Patrycja dołożyła sobie jajek ze srebrnej tacy stojącej na kredensie. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Łatwiej byłoby mi przyjąć twoje przeprosiny, gdybyś się ze mnie nie śmiała - złażała ją Lucinda. - Byłam bliska ataku nerwowego.

- Nonsens - odrzekła Patrycja. - Jesteś ulepiona z solidnej gliny. Przypuszczam, że gdybym zjawiała się u ciebie jako ciężarna kobieta desperacko poszukująca męża, to znalazłabyś mi go czym prędzej. Zgadza się pan ze mną, panie Jones?

- Jestem pewien, że panna Bromley umie osiągnąć wszystko, co sobie założy - odrzekł Caleb, smarując grzankę masłem.

Lucinda posłała mu przez stół groźne spojrzenie. Niewątpliwie zaproszenie go na śniadanie było błędem, ale jakże mogła tego nie zrobić? Wiedziała, że Jones próbuje przezwyciężyć zmęczenie, ból siniaków i dziwną dysharmonię w swojej aurze. I to wszystko, polegając jedynie na swej ogromnej sile woli. A przecież jak każdy potrzebował solidnego posiłku i snu. To pierwsze mogła mu zaofiarować. Jej powinnością było pomagać ludziom.

Niemniej jednak spodziewała się, że Caleb odmówi przyjęcia zaproszenia na śniadanie. Ku jej zaskoczeniu zgodził się skwapliwie, jakby zwykł regularnie jadać w jej towarzystwie. A teraz siedział u szczytu stołu, przepełniając słoneczną poranną atmosferę pokoju męską obecnością i zajadając jajecznicę i grzanki z miną człowieka, który nie pamięta, kiedy ostatnio miał cokolwiek w ustach.

Sąsiedzi na pewno już plotkują, pomyślała Lucinda. Wziąwszy jednak pod uwagę opinię, jak cieszył się jej dom, wizyta tajemniczego dżentelmena była ledwie bagatelką.

- Chyba nie musimy kontynuować tak delikatnego tematu - ucięła ostro Lucinda. - Proponuję porozmawiać o czymś innym. O czymkolwiek. Już sobie pożartowałam, Patrycjjo.

- Ale ja wcale nie żartowałam, Lucy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

Patrycja przyniosła do stołu pełen jedzenia talerz i usiadła.

- Nie będę cię więcej drażnić moim rzekomym odmiennym stanem. Ale byłam zupełnie poważna, mówiąc, że chcę sobie znaleźć męża. Miesiąc chyba mi na to wystarczy, prawda?

Mało brakowało, żeby Lucinda upuściła filiżankę. Siedzący po drugiej stronie stołu Caleb połknął kolejny kęs jajek, po czym przyjrzał się Patrycji z zainteresowaniem.

- A jak zamierza się pani zabrać do tego zadania? - spytał szczerze zaciekawiony.

- W taki sam sposób jak kuzynka Lucy. - Patrycja naląła sobie nieco kawy. - Było to podejście bardzo skuteczne i bardzo logiczne.

Caleb przeniósł wzrok na Lucinę.

- To była katastrofa - burknęła Lucinda niezadowolona. - Chyba nie umknęło twej uwagi, Patrycjjo, że nie tylko nie jestem szczęśliwą mężatką, lecz mój narzeczony zmarł otruty i wszyscy myślą, że to ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć.

- Owszem, rozumiem, że sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak zaplanowałaś - odparła spokojnie Patrycja. - Ale to nie znaczy, że metoda była zła.

Caleb sprawiał wrażenie zafascynowanego.

- Proszę opisać mi tę metodę, panno Patrycjo.
- Jest zupełnie prosta - zaczęła dziewczyna, zapalając się wyraźnie do tematu. - Lucy sporządziła listę cech, jakie powinien mieć jej mąż. Następnie wręczyła tę listę ojcu, a on poszukał wśród znajomych oraz ich synów tego, który spełniał wymagania.
- Kandydatem, którego wybraliśmy, był Ian Glasson - wtrąciła Lucinda chłodno. - Okazał się jednak znacznie mniej niż satysfakcjonujący.
- Rozumiem. - Patrycja nie dawała się zbić z tropu. - Wydaje mi się jednak, że powodem był fakt, iż na swojej liście pominęłaś jedną cechę.
- Jaką?
- Zgodność pod względem psychicznym - oświadczyła Patrycja skromnie, lecz triumfująco. - To właśnie tego brakowało.
- A jak niby miałabym stwierdzić, czy on spełnia ten warunek? - spytała Lucinda.
- Otóż to - stwierdziła Patrycja. - Nie mogłaś. W tej dziedzinie działałaś całkiem na ślepo. Ale mama mówiła mi, że do naszego Towarzystwa wstąpiła swatka, która potrafi ocenić taką zgodność.
- To lady Milden - potwierdził Caleb.
- Obie kobiety popatrzyły na niego.
- Zna ją pan? - spytała Patrycja podekscytowana.
- Oczywiście. To stryjeczna ciotka mego kuzyna, Thaddeusa Jonesa. - Caleb zmarszczył brwi. - Co znaczy, że jest spokrewniona i ze mną, ale nie jestem pewien, w jakim stopniu.
- Czy byłby pan tak uprzejmy i mnie przedstawił? - poprosiła Patrycja.
- Caleb zjadł nieco wędzonego łososia.
- Jeszcze dziś wyślę jej liścik z zawiadomieniem, że chciałaby pani skorzystać z jej usług.
- Patrycja promieniała podekscytowana.
- To bardzo uprzejme z pana strony.
- Lucinda wyglądała na zakłopotaną.
- Patrycjo, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Mnie się wydaje doskonały - oświadczył Caleb. Spojrzał na Patrycję. - Jakie wymagania znajdują się na pani liście?

- Prawdę mówiąc, przyjąłem te same kryteria co Lucinda - przyznała Patrycja. - I dodałam do nich zgodność pod względem psychicznym.

- A jakie cechy znajdowały się na liście panny Bromley? - zainteresował się Caleb.

- Cóż, między innymi, kandydat musi wyznawać nowoczesne poglądy na temat równości kobiet - zaczęła Patrycja.

Caleb skinął, zgadzając się wyraźnie z tym warunkiem.

- Proszę kontynuować - zachęcił.

- Odpowiedni kandydat powinien mieć zainteresowania intelektualne idące w parze z moimi - ciągnęła dziewczyna. - W końcu przecież będziemy spędzać ze sobą większość czasu. Chciałabym móc dyskutować z mężem nie tylko o archeologii, lecz także o jej aspektach paranormalnych.

- To ma sens - zgodził się Caleb.

- Musi cieszyć się dobrym zdrowiem fizycznym i psychicznym.

- To słuszny warunek, skoro ma się w planach dzieci - wtrąciła szybko Lucinda, widząc, że Caleb marszczy czoło.

- Musi też mieć tolerancyjny stosunek do mego talentu - wyliczała Patrycja. - Przykro mi to stwierdzić, ale nie każdy mężczyzna potrafi się pogodzić z faktem, że jego żona dysponuje paranormalnymi zdolnościami.

- W takim razie najlepiej będzie szukać kandydata pośród członków Towarzystwa - zauważył Caleb.

- Też mi się tak zdaje - przyznała Patrycja. - No i ostatnia cecha, lecz wcale nie mniej ważna od innych, to pozytywne i pogodne nastawienie do życia.

- Oczywiście - zgodziła się Lucinda. - To się rozumie samo przez się.

Zaintrygowanie zniknęło z twarzy Caleba. Zastąpiła je powaga.

- Rozumiem, dlaczego ważne są wszystkie wcześniej wymienione kryteria, lecz dlaczego, u diabła, liczy się pozytywne i pogodne nastawienie do życia?

- Ależ wydaje mi się, że to całkiem oczywiste - odezwała się żywo Lucinda. - Miłe usposobienie to jedna z najważniejszych cech u małżonka. Już sama myśl o konieczności znoszenia mężczyzny mającego skłonności do melancholii i czarnych nastrojów może skłonić inteligentną kobietę do pozostania w staropanieństwie przez całe życie.

Caleb sprawiał wrażenie spiętego.

- Mężczyzna ma prawo popaść od czasu do czasu w zły nastrój.

- Oczywiście - odrzekła Lucinda. - Określenie „od czasu do czasu” jest tu kluczowe. Żadna kobieta nie powinna być zmuszana do tolerowania tego typu zachowania na co dzień.

- Najlepiej więc uniknąć podobnego problemu, wybierając właściwego męża - osądziła Patrycja. - Pogodne, pozytywne usposobienie jest zdecydowanie bardzo ważną cechą.

- Hm... - Caleb z niezadowoloną miną zajął się jajkami.

Lucinda odniosła wrażenie, że Jones popadł w zdecydowanie zły humor. Popatrzyła na Patrycję.

- Dodanie do tej listy zgodności pod względem psychicznym jest doskonałym pomysłem. I rzeczywiście zatrudnienie profesjonalnej swatki to także bardzo mądre posunięcie. Obawiam się jednak, że największą przeszkodą w realizacji twoich planów okaże się moja osoba.

Patrycja wpatrywała się w kuzynkę szeroko otwartymi oczami.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Lucinda westchnęła.

- Ty i twoi rodzice spędziliście ostatnich osiemnaście miesięcy we Włoszech i Egipcie. Nie rozumiesz więc, jak wielkiej zmianie uległa moja sytuacja od śmierci ojca, jego współnika i mojego narzeczonego. Mam na myśli plotki o otruciu.

- I co z tego? - zdziwiła się Patrycja. - Chyba nie powiesz, że twoi przyjaciele i sąsiedzi uwierzyli w te brednie.

- Obawiam się, że większość z nich tak - odrzekła Lucinda. - A w dodatku możemy chyba też założyć, że tak długo, jak będziesz mieszkać ze mną, lady Milden nie zgodzi się z tobą spotkać i znaleźć

ci męża. Musiałaby przewyciężyć złą sławę, jaką okryty jest mój dom, a to zbyt duże wyzwanie dla jakiegokolwiek swatki.

Caleb podniósł wzrok znad talerza z jajkami.

- Pani nie zna lady Milden.

11

Muszę przyznać, Lucy, że polubiłam pana Jonesa. - Patrycja zatrzymała się na chwilę przed grządką z naparstnicą. - Ale też zdecydowanie jest on niepospolity, prawda?

- Delikatnie to ujętaś - odparła Lucinda. Znajdowały się w tej części cieplarni, gdzie rosły tradycyjne zioła i rośliny o właściwościach leczniczych. - Lecz podejrzewam, że to zasadniczy aspekt jego niezwyklej natury psychicznej.

- Prawdopodobnie. - Patrycja pochyliła się nad okazem maruny, by się jej przyjrzeć.

- Myślę, że on dysponuje ogromną siłą - powiedziała Lucinda. Zatrzymała się przy aloesie, którego używała do leczenia drobnych zranień i oparzeń. - Taka siła wymaga żelaznego panowania nad sobą. To zaś z kolei może się stać źródłem ekscentryzmu i rozmaitych kaprysów.

Caleb wyszedł godzinę temu, zabierając ze sobą zioła na napar. Patrycja udała się do swego pokoju, żeby dopilnować rozpakowywania kufra. A kiedy zeszła na dół, koniecznie chciała odwiedzić cieplarnię.

- Można oczywiście zrozumieć pewną dozę ekscentryzmu. - Patrycja przeszła dalej, by podziwiać bladioróżowe kwiatki wysokich pędów waleriany. - Papa mówi, że ludzie, którzy mają duży talent i nie kontrolują swych paranormalnych zdolności, narażeni są na to, że to one przejmą nad nimi kontrolę.

- To bardzo popularna teoria wśród członków Towarzystwa i sądzę, że rzeczywiście istnieje takie ryzyko. - Lucinda przesunęła pal-

cami po szerokich owalnych liściach kokoryczki. - W mojej pracy spotkałam kilkakrotnie osoby niezrównoważone umysłowo i chore psychicznie. I nie umknęło mej uwagi, że ludzie ci w większości posiadali rzadkie uzdolnienia.

Patrycja lekko odchrząknęła.

- Krążą pewne plotki na temat rodziny Jonesów. Nie ulega wątpliwości, że w ich krwi jest więcej niż pewna doza ekscentryzmu. W końcu wywodzą się od założyciela Towarzystwa.

- Tak, wiem, Patrycjo. Jeśli jednak chcesz mi dać do zrozumienia, że panu Jonesowi pomieszało się w głowie, to się mylisz. - Sama nie wiedziała, dlaczego staje w obronie Caleba, ale nie mogła się przed tym powstrzymać. - To silny mężczyzna, panujący nad niezwykłym i bardzo silnym talentem. Ten fakt tłumaczy wszelkie dziwactwa, które mogłaś u niego zaobserwować.

- Czy wyjaśnia również siniaki na twarzy? - zapytała Patrycja prosto z mostu.

- Ostatniej nocy pan Jones miał jakiś wypadek. Zioła, jakie mu przygotowałam, mają uśmierzyć ból. - Lucinda pomyślała, że lepiej będzie nie wspominać o zaburzeniach aury, które ma złagodzić drugi napar. Coś jej podpowiadało, że Caleb Jones nie życzyłby sobie, by wszyscy plotkowali o dziwnych zawirowaniach w jego aurze.

- Rozumiem. - Patrycja przesunęła się, by obejrzyć żółte kwiatki ziela świętego Jana. - Powinien chyba być już żonaty. Nie wydaje ci się dziwne, że wciąż jest kawalerem? - Popatrzyła na Lucindę z uprzejmym zainteresowaniem. - Bo jest kawalerem, prawda?

- Tak. - Lucinda zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym. - Ale dlaczego, nie mam pojęcia.

- Bez względu na to, jak bardzo wydaje się ekscentryczny, to jednak Jones - zauważyła Patrycja, prostując się. - Dziedziczny fortunę i pochodzi w prostej linii od Sylwestra Alchemika. Mężczyźni w jego wieku na ogół są już dawno żonaci.

- Pan Jones nie jest aż tak stary - stwierdziła Lucinda ostro. Wiedziała jednak, że Patrycja ma rację. Caleb nie mógł sobie pozwolić na to, by odkładać małżeństwo. Dżentelmen miał pewne

zobowiązania wobec rodziny.

Tylko dlaczego ta myśl ją przygnębiła?

- Musi się zbliżyć do czterdziestki - stwierdziła Patrycja.
- Nonsens. Myślę, że ma około trzydziestu pięciu lat.
- Raczej bliżej czterdziestu.
- Chcesz przez to powiedzieć, że jest za stary na męża? Przecież to bzdura. Widać jak na dłoni, że pan Jones jest w kwiecie wieku.

- Przypuszczam, że to zależy od punktu widzenia - stwierdziła poważnie dziewczyna.

- Masz dziewiętnaście lat, Patrycjo. Poczekaj, aż osiągniesz mój wiek. Wówczas innymi oczami spojrzysz na dżentelmena po trzydziestce.

- Nie chciałam wcale sugerować, że jesteś stara. - Patrycja się odwróciła, a jej twarz oblała się rumieńcem. - Wybacz mi, proszę, Lucy. Wiesz, że nie miałam takich intencji.

- Oczywiście. - Lucinda się roześmiała. - Nie przejmuj się. Nie zraniłaś moich uczuć - przerwała i uniosła brwi. - Rozumiem, że pan Jones jest zbyt zaawansowany w latach, by wpisać go na listę kandydatów?

Patrycja się skrzywiła.

- Zdecydowanie tak.
- Wiesz przecież, że w wyższych sferach dziewczęta w twoim wieku często są wydawane za mąż za mężczyzn, którzy mogliby być ich ojcami, a nawet dziadkami.

Patrycja się wzdrygnęła.

- Na szczęście moi rodzice wyznają nowoczesne poglądy. Nigdy nie zmusiliby mnie do poślubienia człowieka, którego nie kocham. - Splotła ręce z tyłu i przyjrzała się kępie krzaczastego piołunu. - Od jak dawna znasz pana Jonesa?

Lucinda uświadomiła sobie, że nie nadarzyła się jeszcze okazja, żeby wyjaśnić kuzynce znajomość z Calebem. Zastanawiała się, czy zdradzić Patrycji, że grozi jej oskarżenie w sprawie o morderstwo.

Uznała jednak, że lepiej przemilczeć, przynajmniej na razie, tę kwestię. Prawda przestraszyłaby tylko dziewczynę i odwróciła jej uwagę od najistotniejszej dla niej sprawy.

- Spotkałam go zupełnie niedawno - odrzekła.
- Chyba kilka tygodni temu? Nie wspominałaś o nim w listach.
- Znamy się od dwóch dni. Dlaczego pytasz?
- Co? - Patrycja obróciła się na pięcie szczerze zaszokowana. - Znasz go od dwóch dni, a już jada u ciebie śniadanie?
- Cóż, ostatniej nocy nie spał, a rano zapomniał o posiłku. Chyba zrobiło mi się go żal.

Oczy Patrycji otworzyły się jeszcze szerzej. W końcu zaczęła chichotać.

- Naprawdę, kuzynko, zaskakujesz mnie.
- Co cię tak rozbawiło?
- Dałaś mu zajęcie na całą noc? - Mrugnęła. - Masz poglądy bardziej postępowe, niż myślałam. Czy mama o tym wie? Podejrzewam, że nie.
- Źle mnie zrozumiałaś - powiedziała Lucinda, zmieszana reakcją dziewczyny. - To nie ja wypełniałam mu czas ostatniej nocy. Zajmował się inną sprawą aż do świtu.

Patrycja przestała chichotać.

- Zajmował się kimś innym? Jak możesz się nim dzielić?
- No cóż, jest profesjonalistą - stwierdziła Lucinda. - Jestem pewna, że pracuje obecnie dla kilku osób jednocześnie. Nie mogę sobie pozwolić na to, by swoje usługi świadczył wyłącznie mnie.
- Swoje usługi? - Patrycja podniosła głos. - Ty mu płacisz?
- Tak, oczywiście - odparła Lucinda, ściągając brwi.
- Czy nie jest to, hm, dość niezwykle?
- Niby dlaczego?

Patrycja rozłożyła ręce.

- No cóż, zawsze mi się zdawało, że jeśli w tego typu związkach wchodzi w grę sprawy pieniężne, to zazwyczaj mężczyzna płaci kobiecie, a nie odwrotnie. Chociaż jeśli się nad tym dobrze zastanowić i wziąć pod uwagę nowoczesne poglądy, rozumiem...

- Związek? - Lucinda była tak przerażona, że po raz drugi tego dnia była bliska omdlenia. - Ależ... nic nas nie łączy! Wielkie nieba! Patrycjjo, skąd ci to przyszło do głowy?

- Niech pomyślę - odparła sucho dziewczyna. - Najpierw przyjeżdżasz z nim powozem wcześniej rano. Miałam wszelkie powody, by przypuszczać, że spędziliście tę noc razem w jakimś odosobnionym miejscu.

- Mylisz się.

- A potem zaprosiłaś go na śniadanie. Co innego miałam sobie pomyśleć?

Lucinda się wyprostowała i rzuciła kuzynce lodowate spojrzenie.

- Nie mogłaś się bardziej pomylić w swych przypuszczeniach. Dziś rano pan Jones odnalazł mnie na Guppy Lane, żeby porozmawiać o pewnym wspólnym interesie. Omawialiśmy sprawę w drodze powrotnej, a gdy odkryłam, że w ogóle nie spał i nie jadł śniadania, postanowiłam zaoferować mu posiłek. To wszystko.

- Dlaczego? - dopytywała się Patrycja.

- Dlaczego co?

- Dlaczego postanowiłaś zaoferować mu posiłek? Przecież to Jones. Ma pewnie kuchnię pełną służących, którzy tylko czekają, by podawać do stołu.

Pytanie było tak logiczne, że zastanawiało Lucindę dłużej, niż powinno. Dlaczego właściwie zaprosiła Caleba na śniadanie?

- On najwyraźniej nie dba o siebie - odparła. - A w moim najlepszym interesie leży, by był zdrow i zdolny do pracy.

- Dlaczego? - spytała znów Patrycja.

Lucinda podniosła rękę do góry. To tyle w kwestii utrzymania w tajemnicy jej współpracy z Calebem.

- Bo jest jedyną osobą, która może uratować mnie od więzienia, a może nawet od stryczka.

Drzwi laboratorium otworzyły się w chwili, gdy Basil Hulsey miał wstawić najnowszą próbkę eliksiru Sylvestra do naczynia z wodą. Podskoczył, zaskoczony nagłym wtargnięciem. Ręka mu zdrząła i odrobinę narkotyku spadło na podłogę. Sześć szczurów obserwowało go przez pręty klatki, a ich złowrogie oczy błyszczały w świetle gazowej lampy.

- Co u licha?! - zawył z wściekłością Hulsey.

Odwrócił się z zamiarem ukarania nieszczęśnika, który odważył się wdrzeć do jego królestwa bez zaproszenia. Ale kiedy zobaczył, kim była ta osoba, musiał przełknąć gniew.

- Ach, to pan, panie Norcross - wymamrotał. Poprawił okulary na nosie. - Myślałem, że to jeden z tych chłopców z ulicy, przez których aptekarz przysyła mi zioła.

Jego nowi mecenasi byli równie aroganccy, jak poprzedni. I mieli taką samą obsesję na punkcie eliksiru Sylvestra. Wszyscy oni są tacy sami, myślał Hulsey. Ci bogacze i wysoko postawieni, których interesowała jedynie moc, jaką mogli uzyskać dzięki narkotykowi. Nie potrafili docenić tajemnic i cudów chemicznych reakcji z tym związanymi. I nie pojmowali, jak wiele trudności trzeba było pokonać.

Niestety bogatych dżentelmenów chętnych finansować interesujące go eksperymenty nie było wielu. Dwa miesiące temu w wyniku upadku Trzeciego Kręgu Zakonu Szmaragdowej Tablicy znalazł się sam, pozbawiony mecenasa. Cały sprzęt i kilka cennych notatników zostało skonfiskowanych przez Towarzystwo. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było znów mieć do czynienia z Zakonem Szmaragdowej Tablicy. Tyle że jego członkowie wydawali się jedynymi ludźmi w okolicy, którzy gotowi byli płacić za jego unikatowy talent.

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że dziś rano widziano Caleba Jonesa w domu Lucindy Bromley - zaczął Allister Norcross.

Przestrzeń dzielącą obu mężczyzn wypełniła niebezpieczna energia. Hulsey się zaniepokoił. Allister Norcross nigdy nie był

człowiekiem, którego można by nazwać normalnym. A teraz jego talent, wyostrzony narkotykiem, czynił go przerażającym.

Norcross nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jego rysy przyciągały uwagę kobiet, lecz nie był aż tak ładny, by mężczyźni uważali go za zniewieściałego. Kasztanowate włosy przycięte były zgodnie z panującą modą, a eleganckie, dobrze skrojone spodnie i surdut podkreślały giętką wysportowaną sylwetkę. Trzeba było podejść do niego blisko, żeby zdać sobie sprawę, że ten człowiek jest niespełna rozumu.

Czując, jak wali mu serce, Hulsey instynktownie cofnął się o krok. Uderzył plecami o klatkę. Usłyszał za sobą energiczne drapanie uzbrojonych w pazury łapek i szybko odsunął się od szczurów.

Zerwał okulary z nosa i sięgnął do kieszeni po zaplamioną chusteczkę. Nieraz już przekonał się, że przecieranie szkieł uspokaja mu nerwy.

Norcross popatrzył na klatkę spode łba, po czym odwrócił wzrok. Nie lubił szczurów. Prawdopodobnie dlatego, że niełatwo było je przestraszyć, pomyślał Hulsey. A może po prostu czuł, że gdyby je do niego porównać, okazałyby się, że ma z nimi sporo wspólnego.

Hulsey włożył z powrotem okulary. Starął się uspokoić.

- Nie rozumiem - powiedział. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, że nie dostrzega czegoś bardzo ważnego. Nie podobało mu się to. - Czy to znaczy, że mamy problem?

- Ty głupcze! Caleb Jones zainteresował się nami! To twoja wina.

Hulsey ogarnęło przerażenie. I wściekłość.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparł, jękając się. - Nie może mnie pan obwiniać za to, że Jones zainteresował się waszym Zakonem. Mogę pana zapewnić, że w żaden sposób nie przyczyniłem się do tego, co się stało.

- W zasadzie jesteśmy pewni, że jak dotąd Jones nie wie o istnieniu Siódmego Kręgu. I zamierzamy dopilnować, żeby tak pozostało. Musimy podjąć pewne kroki.

- Jakie? - spytał Hulsey, jeszcze bardziej zdenerwowany Wprawdzie Siódmy Krąg bardzo sobie cenił jego talent, lecz podczas krótkiej współpracy z Trzecim Kręgiem nauczył się, że w Zakonie Szmaragdowej Tablicy nikt nie toleruje porażki czy błędu.

- To nie twoja sprawa - odrzekł Norcross. - Zapamiętaj sobie jednak, że to ty jesteś odpowiedzialny za problem z Calebem Jonesem. Przesłano mnie tu, żebym ci zakomunikował, że przywódca Zakonu jest bardzo niezadowolony z twojego nierozważnego postępowania. Zrozumiałeś mnie, Hulsey?

- Ale jak możecie obwiniać mnie za to, że Jones złożył wizytę panie Bromley? - wyjąkał Hulsey zdezorientowany.

- Przecież ukradłeś tę przeklętą paproć z jej cieplarni.

- A cóż, u diabła, to ma wspólnego z Jonesem? Zabrałem paproć miesiąc temu! Wątpię, żeby panna Bromley zauważyła, że jej nie ma. A już na pewno nie wezwała wtedy Jonesa, żeby prowadził dochodzenie.

- Nie wiemy jeszcze, z jakiego powodu spotkali się dzisiaj, ale przywódca podejrzewa, że ma to coś wspólnego z tą cholerną paprocią. To jedyne rozsądne wytłumaczenie.

Hulsey popatrzył niespokojnie na paproć. Stała w doniczce na stole, a jej delikatne liście spadały w dół kaskadą soczystej zieleni. Był to wspaniały i niezwykle okaz, mający rozmaite ciekawe właściwości. Dotychczasowe eksperymenty wykazały, że dzięki tej roślinie będzie mógł przejść do następnego etapu w badaniach nad snem. Zostawić tę paproć w cieplarni panny Bromley byłoby niewybaczalnym marnotrawstwem.

- Naprawdę nie widzę żadnego związku między tą wizytą a faktem, że zabrałem paproć - odparł, próbując załagodzić sprawę. - Może zainteresowanie Jonesa panną Bromley spowodowane jest pobudkami czysto osobistymi.

- Należy do rodziny Jonesów. Człowiek o jego pochodzeniu i statusie społecznym nie ma najmniejszego powodu, by składać prywatną wizytę córce truciciela, kobiecie, o której się mówi, że poszła w ślady ojca. Na ile udało nam się zorientować, nikt liczący się

w najlepszym towarzystwie nie odwiedza panny Bromley. Jedynymi ludźmi, z jakimi się spotyka, są jej krewni i kilku odważnych botaników.

- Mo... może chciał zwiedzić jej cieplarnię - zasugerował Hulsey z nadzieją w głosie. - Wszystkim członkom Towarzystwa wiadomo, że Jones ma szerokie zainteresowania intelektualne i naukowe.

- Jeśli okaże się, że Caleb Jones postanowił złożyć wizytę Lucindzie Bromley wiedziony jedynie naukową ciekawością, będzie to naprawdę zadziwiający zbieg okoliczności. A wiesz dobrze, co my, ludzie z talentem, myślimy o zbiegach okoliczności.

- W tej cieplarni jest całe mnóstwo roślin. Nawet gdyby panna Bromley odkryła, a to jest mało prawdopodobne, że jej paproć zniknęła, to śmieszne zakładać na tej podstawie, że posunęłaby się do zaangażowania prywatnego detektywa, by ją odnalazł. A jeszcze bardziej absurdalne jest myślenie, że Jones przyjąłby tak głupią sprawę. W końcu chodzi o roślinę, nie o diamentowy naszyjnik.

Norcross zrobił kilka kroków do przodu. Gazowa lampa rzucała nierówne cienie na podłogę.

- Dla twojego dobra lepiej, żebyś miał rację. Bo kradzież paproci prowadzi bezpośrednio do ciebie, a ty do nas.

Hulsey zadrzał.

- Zapewniam, że Jonesowi nigdy się nie uda odkryć, kto zabrał paproć. Odwiedziłem pannę Bromley pod innym nazwiskiem. Ona nie ma pojęcia, kim jestem.

Norcross wykrzywił usta z pogardą.

- Jesteś idiotą, Hulsey. Wracaj do swoich eksperymentów i do szcurków. Sam się zajmij problemem, który na nas sprowadziłeś.

Złość wzięła górę nad strachem. Hulsey nagle wyprężył się jak struna.

- Nie podobają mi się pańskie uwagi. W całej Anglii nie ma człowieka, który mógłby równać się ze mną w dziedzinie badania chemii zjawisk paranormalnych. Nikogo. Trzeba by drugiego Newtona, żeby konkurować ze mną.

- Tak, wiem o tym, Hulsey. I to twoja jedyna karta przetargowa. Wierz mi, gdyby był gdzieś jakiś Newton... Co tam, do diabła! Gdyby znalazł się ktokolwiek inny posiadający twoje umiejętności i twój talent, to przywódca kazałby cię wykończyć.

Hulsey patrzył na niego, przerażony.

Norcross wyjął z kieszeni złotą tabakierkę, eleganckim ruchem podniósł jej wieko i wziął w palce szczyptę sproszkowanego eliksiru. Zaciągnął się nim szybko i sprawnie. Potem na jego ustach pojawił się nieznaczny, okropny uśmiech.

- Rozumiesz mnie, Hulsey? - spytał łagodnie.

Silny powiew energii uderzył Hulseya z ogromną siłą, druzgocząc jego i tak już zszarpane nerwy. Teraz nie był już przerażony, ale wręcz sparaliżowany strachem. Norcross robił właśnie użytek ze swego talentu i Hulsey od razu poczuł, że serce zaczyna mu bić tak szybko i chaotycznie, iż jest bliski omdlenia. Walczył o oddech, ale miał wrażenie, że całe powietrze zostało wypompowane z pomieszczenia.

Czuł się, jakby walczył z jakimś strasznym potworem z ciemności, z wytworem koszmarów. Rozsądek mu mówił, że nie stoi przed nim żaden wampir ani nadprzyrodzony stwór. Że to tylko Norcross używa swego dziwnego talentu, żeby wzbudzić w nim uczucie paniki. Ale ta świadomość w żaden sposób mu nie pomagała.

Nie był w stanie utrzymać się dłużej na nogach. Upadł na kolana i zaczął się kiwać w przód i w tył. Usłyszał ostry, piskliwy krzyk i uświadomił sobie, że ten głos wydobył się z jego własnego gardła.

- Zadałem ci pytanie, Hulsey.

Wiedział, że musi odpowiedzieć, ale nie był w stanie tego zrobić. Kiedy otworzył usta, wydobył się z nich jedynie jęklivy odgłos.

- Tak - wyjąkał.

Norcross, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią, posłał mu kolejny ostry jak brzytwa uśmiech. Hulsey zdziwił się nieco, że w ustach Allistera nie pojawiły się pełne jadu kły. Uświadomił też sobie, że paraliżujący go strach zaczyna powoli ustępować. Odkrył, że znów może oddychać.

- Doskonale - oznajmił Norcross. Schował tabakierkę do kieszeni. - Teraz wiem, że rzeczywiście dobrze mnie zrozumiałeś. Podnieś się, głupcze.

Hulsey chwycił się krawędzi laboratoryjnego stołu i podciągnął na nogi. Nie było to wcale łatwe. Musiał się mocno trzymać, żeby nie upaść.

Norcross wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi - ostrożnie i powoli, co na swój sposób było równie denerwujące jak dzika, drażniąca satysfakcja pałająca w jego oczach chwilę wcześniej.

Hulsey odczekał, aż serce przestanie mu walić, po czym osunął się na taboret.

- W porządku - powiedział. - Możesz wyjść. Poszedł sobie.

Drzwi skrzypnęły i się otworzyły. Bertram wszedł ostrożnie do pokoju. Był wyraźnie wstrząśnięty.

- On jest szalony - wyszeptał.

- Tak, wiem. - Hulsey masował obolałą głowę.

- Jak sądzisz, co miał na myśli, mówiąc, że musi podjąć pewne kroki, żeby Jones nie powiązał sprawy paproci z tobą?

Hulsey spojrział na syna. Bertram był jego lustrzanym odbiciem z czasów, gdy sam miał dwadzieścia trzy lata i posiadał ogromny talent. Zdolności psychiczne chłopaka, a w związku z tym jego zainteresowania, były nieco inne od tego, czym pasjonował się ojciec. Nigdy dwa talenty nie są identyczne. Ale w laboratorium uzupełniali się doskonale. Bertram był wspaniałym asystentem. Pewnego dnia, myślał Hulsey z ojcowską dumą, jego syn wniesie ogromny wkład w badania tajemnic świata paranormalnego.

- Nie wiem, co miał na myśli - odparł Hulsey. - Najważniejsze, że cokolwiek mają zamiar zrobić, nie dotyczy to nas.

- Skąd wiesz?

- Bo gdyby tak było, obydwaj bylibyśmy już martwi.

Hulsey z trudem podniósł się z taboretu i podszedł do klatki. Szczury wpatrywały się w niego uważnie. Były świeżym nabytkiem, zastąpiły sześć innych, które zdechły w zeszłym tygodniu. Chemik

wziął do ręki buteleczkę i wlał jej zawartość do poidelka. Spragnione szczury zaczęły pospiesznie pić.

- Czy wszyscy mecenasi są pomyleni? - zapytał Bertram.

- Jak wynika z mego doświadczenia, tak. Wszystkim brak piątej klepki.

13

Victoria Milden uwielbiała prostotę i elegancję. Już na pierwszy rzut oka widać było, że ubiera się u najlepszych krawcowych. Srebrzyste włosy upięła w elegancki kok. Miała na sobie kosztowną pięknie udrapowaną szarą suknię.

Rolę swatki traktowała nie tylko z entuzjazmem, ale też z niezwykłą powagą. Przyjęła Lucindę i Patrycję w przytulnym gabinecie W swoim nowym domu w mieście.

- Jestem pod wrażeniem, odkąd zobaczyłam twoją listę - powiedziała do Patrycji. - Z mojego doświadczenia wynika, że niewielu młodych ludzi podchodzi do małżeństwa z tak dużą dozą logiki.

- Dziękuję - odrzekła Patrycja. - To Lucy zainspirowała mnie w tej kwestii.

- Ach tak? - Victoria przyjrzała się uważnie Lucindzie, po czym wróciła do listy. - Cóż, muszę przyznać, że pomyślałaś o wszystkim. Szczególną przyjemność sprawia mi fakt, że świadoma jesteś znaczenia zgodności pod względem psychicznym.

- Mama powiedziała, że jej zdaniem to najważniejsze.

- Twoja matka jest bardzo mądra. - Victoria odłożyła kartkę i zdjęła okulary. - Gdyby tylko więcej par zwracało uwagę na ten aspekt związku. Przecież to klucz do małżeńskiego szczęścia, zwłaszcza jeśli w ten związek wstępują osoby dysponujące ponadprzeciętnymi talentami.

- Jest coś, co chciałabym wyjaśnić - odezwała się Lucinda. - Co właściwie oznacza zgodność pod względem psychicznym?

Victoria zrobiła mądrą minę.

- Wiadomo pani, że każdy z nas wytwarza właściwe sobie prądy energii.

- Tak, oczywiście - przyznała Lucinda. - Czy potrafi pani odczytać aury?

- Tylko do pewnego stopnia - odrzekła Victoria. - Dostrzegam jedynie niektóre długości fal. Ale tak się składa, że są to akurat te fale, które mają zasadnicze znaczenie dla relacji intymnych.

Patrycja zafascynowana pochyliła się nieco do przodu.

- A w jaki sposób?

- To bardzo proste - oświadczyła Victoria. - Jeśli długości fal dwojga ludzi nie są ze sobą zestrojone, pewne jest, że para ta nie dozna nigdy szczęścia czy prawdziwej bliskości w sensie emocjonalnym. Dzięki swemu talentowi umiem stwierdzić, czy fale są ze sobą zgodne, czy nie.

- Dobrze wiedzieć, że stosuje pani w swojej pracy tak naukowe podejście, lady Milden - zauważyła Patrycja.

- Problem polega na tym, że choć mogę korzystać z kwestionariuszy i przeprowadzać bezpośrednie rozmowy, by ocenić, na ile dwoje ludzi do siebie pasuje, to muszę zobaczyć potencjalną parę razem, by mieć pewność, iż ich fale są zgodne.

- Jak pani to robi? - spytała Lucinda, zaintrygowana.

- Najpierw muszę przygotować listę kandydatów dla Patrycji. - Victoria puknęła kilkakrotnie w leżącą przed nią kartkę. - Będę oczywiście miała przy tym na uwadze jej wymagania. Ostrzegam jednak, Patrycjo, że spełnienie wszystkich z nich może się okazać niemożliwe.

Dziewczyna po raz pierwszy wyglądała na zaniepokojoną.

- Nie wiem, czy mogłabym zrezygnować z którejs z tych cech u mojego przyszłego męża. Każda z nich jest dla mnie ogromnie ważna.

- Nie przejmuj się - powiedziała Victoria. - Jeśli wasze fale będą ze sobą wystarczająco zharmonizowane, przekonasz się, że potrafisz przymknąć oko na to lub owo.

Patrycja nie wyglądała na uspokojoną.

- Jak zamierza pani sporządzić listę kandydatów?

Victoria wskazała ręką długi rząd szufladek na akta.

- Tak się składa, że odkąd rozeszła się wieść, iż prowadzę tego typu konsultacje, zostałam dosłownie zalana listami od członków Towarzystwa. Przejrzę moje notatki i wyszukam młodych mężczyzn, którzy według mnie będą dla ciebie najodpowiedniejsi, po czym zorganizuję kilka spotkań.

- Zdaje się, że to zabierze dużo czasu - stwierdziła Patrycja. - Miałam nadzieję, że uda mi się zaręczyć w ciągu miesiąca.

- Och, nie sądzę, żeby to stanowiło jakiś problem. - Victoria się uśmiechnęła. - Z doświadczenia wiem, że gdy spotyka się dwoje ludzi obdarzonych talentem i ich fale są ze sobą zgodne, jedno natychmiast ulega urokowi drugiego. - Prychnęła delikatnie. - Niestety zdarza się, że żadne z nich nie chce się do tego przyznać, nawet przed samym sobą, a cóż dopiero przed tą drugą osobą.

- Jestem pewna, że bez trudu od razu rozpoznam właściwego kandydata - oznajmiła Patrycja.

- Czasami też rodzice stawiają przeszkody, bo z takiego czy innego powodu nie podoba im się przyszła panna młoda czy pan młody - ciągnęła Victoria. - Często muszę włożyć sporo wysiłku w to, żeby doprowadzić do skutku wymarzony związek.

- Moi rodzice wyznają bardzo nowoczesne poglądy, jeśli chodzi o małżeństwo - zapewniła Patrycja. - Już pani wspomniałam, że to właśnie moja mama zasugerowała, żebym przyjechała do Londynu skorzystać z pani usług.

- To dobrze - stwierdziła Victoria. - To dobry znak.

Nagle Lucinda coś sobie uświadomiła.

- A co się dzieje, gdy dwoje ludzi, którzy do siebie pasują, jest już w związku małżeńskim z kimś innym?

Na twarzy Victorii odmalowała się dezaprobatą.

- To bardzo smutna sytuacja i niestety nic nie mogę wtedy poradzić. Przykro mi to stwierdzić, ale biorąc pod uwagę fakt, że wiele osób żeni się z powodów finansowych czy też powiązań towarzyskich, ten problem pojawia się bardzo często. W rezultacie

powszechnie stają się związki pozamałżeńskie.

- Och - szepnęła cicho Lucinda. - Tak, przypuszczam, że to tłumaczy, dlaczego tylu ludzi miewa romanse.

- Jak będzie wyglądało spotkanie z kandydatami, których pani wybierze? - chciała wiedzieć Patrycja.

- Istnieje kilka bardzo skutecznych sposobów, żeby przedstawić sobie obydwie strony - zapewniła Victoria.

- Jakich? - spytała Lucinda.

- To metody tradycyjne, oczywiście. Bale, przyjęcia, teatr, wykłady, zwiedzanie galerii, herbatki i tak dalej. Ludzie od wieków używali tego typu sposobów, by poznawać innych. Różnica polega na tym, że zwykle towarzyszę klientom w tego rodzaju spotkaniach, by ocenić ich zgodność z nowo poznanymi osobami.

Lucindę zmroziło.

- Obawiam się, że bale i przyjęcia nie wchodzą w grę.

Victoria popatrzyła na nią.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Lady Milden, będę z panią szczerą. Mogę sobie pozwolić na wydanie dla Patrycji balu czy przyjęcia, lecz wie pani z pewnością, jaką sławą cieszy się moja rodzina, wątpię, by ktokolwiek z listy, jaką pani sporządzi, przyjął moje zaproszenie. Nie mogę niestety zaofiarować nic w kwestii życia towarzyskiego.

- Tak, panno Bromley, słyszałam te plotki. Nie sądzę jednak, byśmy pozwoliły, aby kilka godnych pożałowania pogłosek uniemożliwiło pani kuzynce znalezienie odpowiedniego męża.

- Godnych pożałowania pogłosek? - Lucinda nie wierzyła własnym uszom. - Lady Milden, mówimy przecież o otruciu człowieka i tak zwanym samobójstwie mego ojca. Cała ta gadanina jest zupełnie bezpodstawna, zapewniam panią, niemniej jednak niełatwo zapomnieć, jaki skandal wywołały tamte wydarzenia. Sama pani wie, jak to jest w towarzystwie.

- Wiem, jak to jest w naszym towarzystwie, pośród członków Towarzystwa Wiedzy Tajemnej - powiedziała Victoria spokojnie. -

Nie musi się pani niepokoić, w tym gronie zaproszenie wystosowane przez kogoś z rodziny Jonesów nie może zostać zignorowane.

- Nie rozumiem - odrzekła Lucinda zupełnie zdezorientowana.

- Tak się składa, że pod koniec tygodnia będzie miało miejsce ważne wydarzenie dla całego Towarzystwa - ciągnęła Victoria. - Mój syn i jego żona wydają duże przyjęcie z okazji zaręczyn mego siostrzeńca Thaddeusa Ware'a i jego uroczej narzeczonej Leony Hewitt. Obecnych będzie wielu wysoko postawionych członków Towarzystwa, włączając w to nowego mistrza i jego żonę. Dopilnuję, by pani, panna Patrycja oraz wybrani przeze mnie dzentelmeni znaleźli się wśród gości.

- Wielkie nieba - wyszeptła Lucinda, przestraszona śmiałością Victorii.

Patrycja zaczęła się nagle wahać.

- Wykłady i zwiedzanie galerii to bardzo ciekawe propozycje, ale obawiam się, lady Milden, że nie jestem zbyt obyta w towarzystwie.

- Nie masz się czego bać - zapewniła Victoria. - Będę przy tobie cały czas. I to w ramach usług, jakie świadczę.

- Ale jeśli będzie mi pani wszędzie towarzyszyć, wszyscy szybko zrozumieją, że szukam męża - zauważyła Patrycja. - Czy sytuacja nie stanie się nieco niezręczna?

- Ani trochę - odrzekła Victoria. - W ramach moich usług zapewniam również dyskrecję. Wierz mi, jestem zapraszana na każdą ważniejszą imprezę organizowaną przez Towarzystwo. - Puściła oczko. - I wcale nie będziesz moją jedyną klientką na tym balu.

- Chyba będzie lepiej, jeśli się na nim nie pojawię - odezwała się Lucinda zdesperowanym głosem. - Moja obecność wywoła tylko plotki i spekulacje. Patrycja nosi nazwisko McDaniel. Jeśli mnie nie będzie, całkiem możliwe, że nikt z gości nie domyśli się, iż jest moją kuzynką.

- Nonsens, panno Bromley. - Victoria wsunęła na nos okulary do czytania i sięgnęła po pióro. - Zapewniam panią, że pośród śmietanki towarzyskiej nieśmiałość nigdy nie popłaca. Słabi zostają

słamszeni. Przetrwac udaje się tylko silnym, odważnym i bardzo sprytnym.

Mimo zakłopotania Lucinda niemal się roześmiała.

- Mówi pani tak, jakby podpisywała się pod teoriami Darwina.
- Cóż, nie mogę wypowiadać się w kwestii wszystkich gatunków żyjących na ziemi - zaczęła Victoria, maczając pióro w kałamarzu - ale nie ulega wątpliwości, że teorie pana Darwina na pewno można zastosować do arystokracji.

Lucinda przyglądała jej się przez chwilę.

- Coś mi mówi, że prawdziwym powodem, dla którego uda nam się przeprowadzić ten plan, jest fakt, że będziemy mieć poparcie rodziny Jonesów.

Victoria popatrzyła na nią znad oprawek okularów.

- W Towarzystwie Wiedzy Tajemnej, panno Bromley, to rodzina Jonesów dyktuje zasady.

- A poza Towarzystwem? - kontynuowała Lucinda.

- Poza Towarzystwem Jonesowie przestrzegają swych własnych zasad.

14

Następnego ranka, dokładnie w chwili, gdy Lucinda i Patrycja siadały do stołu, by zjeść śniadanie, rozległo się pukanie do drzwi. Pani Shute odstawiła dzbanek z kawą i rzuciła niezadowolone spojrzenie w kierunku holu wejściowego.

- Nie mam pojęcia, któż to może być o tej godzinie - powiedziała, wycierając ręce w fartuch.

- Może ktoś zachorował i potrzebuje pomocy Lucy - zasugerowała Patrycja, sięgając po grzanekę.

Pani Shute złowieszczo pokręciła głową.

- Ludzie z sąsiedztwa, którzy posyłają po pannę Bromley, pukają zawsze do drzwi kuchennych. Pójdę zobaczyć, kto to.

Wyszła z pokoju śniadaniowego z ponurą twarzą.

Patrycja się uśmiechnęła.

- Współczuję temu, kto ma nieszczęście stać teraz na frontowych schodach.

- Ja też, ale dobrze mu tak, skoro puka o ósmej trzydzieści rano powiedziała Lucinda. Sięgnęła po gazetę. Duży tytuł na pierwszej stronie „Latającego Szpiega” sprawił, że zaparło jej dech. - Wielkie nieba, Patrycjo, posłuchaj...

Przerwała w pół zdania, słysząc przyciszony, lecz znajomy męski głos.

- To chyba pan Jones! - zauważyła Patrycja, tryskając entuzjazmem. - Pewnie ma jakieś wieści. Może rozwiązał już zagadkę i odszukał, kto otruł lorda Fairburna?!

- Wątpię. - Lucinda odłożyła gazetę, starając się stłumić nagłą radość, jaka ją ogarnęła. - Na pewno nie miał wystarczająco dużo czasu, żeby przesłuchać wszystkie osoby z listy, jaką mu dałam.

Caleb pokazał się w drzwiach.

- Ma pani rację, panno Bromley. Zdążyłem odwiedzić zaledwie część z nich. Dzień dobry paniom. Obie wyglądacie dziś wspaniale. - Z zainteresowaniem obrzucił wzrokiem półmisek z jajecznicą oraz gotowaną rybą. - Czyżbym przerwał paniom śniadanie?

Przecież to oczywiste, pomyślała Lucinda. W końcu był detektywem i powinien wiedzieć takie rzeczy. Przyjrzała mu się uważnie i z ulgą dostrzegła, że wyglądał lepiej niż poprzedniego dnia. Siniaki na twarzy były odrobinę jaśniejsze. Z zadowoleniem zauważyła, że napięcie w jego aurze osłabło. Lekarstwa najwyraźniej działały.

- Proszę się nie przejmować - powiedziała szybko. - Zakładam, że skoro pan przyszedł, ma pan dla mnie jakieś wieści?

- Niestety, śledztwo toczy się bardzo wolno. - Caleb obdarzył błyszczący srebrny dzbanek z kawą takim spojrzeniem, jakby było to rzadkie dzieło sztuki. - Pojawiło się jednak kilka pytań. Miałem nadzieję, że będzie pani w stanie udzielić mi na nie odpowiedzi.

- Z pewnością - odparła Lucinda. Uświadomiła sobie nagle, że Caleb wygląda na głodnego. Zmarszczyła czoło. - Jadł pan już śniadanie?

- Nie udało mi się - przyznał otwarcie. - Moja nowa gospodyni nie przyzwyczała się jeszcze do tego, że wcześniej wstaję. Nigdy im się to nie udaje.

Patrycja najwyraźniej nie rozumiała.

- Komu nigdy się nie udaje i co?

- Gospodyniom - odrzekł, przesuając się w kierunku półmisek z jedzeniem. Zrobił to tak, jakby się skradał. - Pracuję o najdziwniejszych porach i śniadanie nigdy nie jest gotowe, gdy chcę je zjeść. Spodziewam się, że pani Perkins wkrótce mi wymówi, tak jak wszystkie poprzednie gospodynie. - Popatrzył na rybę w wyrazem czci na twarzy. - To wygląda bardzo smakowicie.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko zaprosić go do stołu, uznała Lucinda.

- Proszę się do nas przyłączyć - powiedziała szorstko.

Niespodziewanie Caleb uśmiechnął się do niej. Jego twarz zmieniła się przy tym nie do poznania. Lucindzie zaparło dech. Ten mężczyzna od początku ją fascynował, lecz teraz uświadomiła sobie, że potrafi ją oczarować. A to było niepokojące uczucie. Myślała, że odkąd Ian Glasson ją oszukał, stała się odporna na męskie sztuczki.

- Dziękuję, panno Bromley, chętnie skorzystam - odrzekł.

Wziął talerz i zaczął sobie ochoczo nakładać jedzenie. Wyglądało to dość podejrzanie. Wczoraj rano, wychodząc, zapytał, o której godzinie Lucinda jada zazwyczaj śniadanie. Podała ósmą trzydzieści, przekonana, że Caleb nie chce ponownie przeszkodzić jej w porannym posiłku. Spojrzała na duży zegar. Była ósma trzydzieści dwie. Doszła do wniosku, że to nie może być zbieg okoliczności. Caleb Jones nie należał do mężczyzn popełniających podobne błędy.

Patrycja z trudem powstrzymywała śmiech. Lucinda zgromiła ją spojrzeniem, po czym zerknęła na Caleba.

- Przymuszam, że służba w pańskim domu często się zmienia, panie Jones - powiedziała chłodno.

- Nie chodzi o to, że potrzeba mi dużo służby. - Nałożył sobie pokąsną porcję jajek. - Mieszkam sam. Większość pokoi jest w ogóle nieużywana. Potrzebuję tylko gospodyni i kogoś, kto zajmie się ogrodem. Nie lubię, jak kręci się wokół mnie dużo ludzi, kiedy chcę, pracować. To mnie dekoncentruje.

- Rozumiem - oświadczyła Lucinda. Teraz i ona z trudem tłumila śmiech.

- Zupełnie tego nie pojmuję. - Caleb podszedł do stołu i usiadł. - Gospodynie przychodzą i odchodzą niczym pociągi na stacji. Zostają przez miesiąc, najwyżej dwa i składają wymówienie. I znów muszę pisać do agencji z prośbą o nową gospodynię. Naprawdę, to bardzo denerwujące, mogę panie o tym zapewnić.

- A jaka jest najczęstsza skarga? - zapytała Lucinda.

- Właśnie ta, że wszystkie składają wymówienie.

- Miałam na myśli gospodynie. Na co skarżą się najczęściej i dlatego odchodzą?

- Och, jest wiele powodów - odrzekł wymijająco. Włożył do ust duży kęs jajek, przeżuł je z entuzjazmem i połknął. - Kilka służących wiedziało, że boją się, słysząc, jak późno w nocy chodzę po bibliotekę i laboratorium. Mówią, że to tak, jakby dom był nawiedzony. Przecież to zabobonne bzdury.

- Raczej tak - mruknęła Lucinda.

- Inne narzekają, że przestraszyły je pewne doświadczenia, jakie od czasu do czasu przeprowadzam. Jakby odrobina huku i błysk mogły komuś zrobić krzywdę.

- Prawdę mówiąc, to się zdarzało - zauważyła Lucinda. - Wśród fotografów miało miejsce wiele wypadków, gdy eksperymentowano z mieszaniną, która pozwala odpowiednio naświetlić zdjęcie.

Caleb spojrział na nią, poirytowany.

- Jeszcze nie spaliłem domu, panno Bromley.

- To naprawdę miło.

Caleb zajął się jedzeniem.

- Najczęściej jednak gospodynie skarżą się na mój plan dnia.

- To znaczy? - spytała uprzejmie Lucinda.

- Na to, że codziennie się zmienia, w zależności od sprawy, nad jaką pracuję. Nie jest to przecież moja wina.

- Hm...

Patrycja, uznawszy najwyraźniej, że czas zmienić temat, szybko włączyła się do rozmowy.

- Lucy miała właśnie zamiar przejrzeć gazetę - powiedziała.

- Co pani prenumeruje? - spytał Caleb. Rzucił okiem na czasopismo w ręku Lucindy i gdy zobaczył tytuł, pokręcił z dezaprobatą głową. - A tak. „Latający Szpieg”. Niech pani nie wierzy w ani jedno słowo wydrukowane w tym szmatławcu. Pismaki żywią się sensacją.

- Być może. - Lucinda przyjrzała się głównemu tytułowi. - Musi pan jednak przyznać, że to niezwykle porywająca relacja i że dotyczy dziwnego przestępstwa. Proszę posłuchać.

Zaczęła czytać na głos:

- „Krwawa ofiara z człowieka udaremniona przez duchy

Autorstwa Gilberta Otforda

Niewidzialne dłonie z zaświatów nie dopuściły do makabrycznego tajnego rytuału, ratując życie niewinnego chłopca. Świadkowie opowiedzieli naszemu korespondentowi to straszliwe wydarzenie.

Choć wydaje się to niewiarygodne, policja potwierdziła, iż od kilku tygodni w samym sercu Londynu praktykowano dziwny kult poświęcony siłom demonicznym.

Wtorkowej nocy sekta ta zamierzała złożyć ofiarę z chłopca porwanego w tym celu na ulicy. Według relacji świadków niewidzialne siły paranormalne przybyłe z zaświatów interweniowały w ostatniej chwili, by ocalić życie niedoszłej ofiary.

Przywódcą sekty nazywał siebie sługą Charuna. Policja zidentyfikowała go jako pana Wilsona Hatchera zamieszkałego przy Rhone Street. Chłopiec, którego miano złożyć w ofierze, uciekł przerażony i nie udało nam się z nim porozmawiać.

Policja aresztowała kilka osób, łącznie z panem Hatcherem, który zdaniem władz jest niespełna rozumu.

Nasz korespondent dowiedział się z pewnego źródła, że niedoszła ofiara została uratowana nie przez duchy, ale przez członków tajnego Towarzystwa zajmującego się badaniami psychiki...”

- Hm... - Caleb kończył grzankę. - Gabe'owi się to nie spodoba. Ale przypuszczam, że nic nie można poradzić na plotki.

Lucinda opuściła gazetę.

- Wczoraj była środa - zauważyła.

- Owszem. - Caleb uśmiechnął się do pani Shute, która właśnie przyniosła mu filiżankę i srebrne sztucce. - Dziękuję, pani Shute. A przy okazji, ryba jest dzisiaj doskonała.

- Cieszę się, że panu smakuje, sir. - Rozpromieniona służąca podażyła do kuchni.

Patrycja spojrzała na Caleba.

- Panie Jones, dlaczego przeszkadza panu fakt, że jakiś dziennikarz opisał parę plotek o Towarzystwie Wiedzy Tajemnej?

- Członkowie rady są przekonani, że lepiej, by Towarzystwo nie stało się głównym tematem dla bazującej na sensacji prasy.

Caleb nabrał sobie konfitury ze słoiczka.

- A ja się z tym zgadzam. Nawet jeśli wątpię, żeby kilka plotek mogło wyrządzić jakąś szkodę. W końcu w Londynie powstało całe mnóstwo grup i organizacji zajmujących się badaniami zjawisk paranormalnych. Cóż znaczy jedno więcej?

- To właśnie dlatego nie spał pan wtorkowej nocy, prawda? - spytała Lucinda, stukając palcem w gazetę. - To pan był tymi „niewydzielnymi rękoma z zaświatów”, które uratowały chłopca. To wyjaśnia pańskie posiniaczone żebra i oko.

- Byłem tam, ale nie sam. - Caleb rozsmarował konfiturę na grzance. - Pewien młody dżentelmen posiadający niezwykły talent wprowadził mnie do środka, a potem zabrał chłopca w bezpieczne miejsce. Ja musiałem tylko dopilnować, żeby przywódca sekty nie uciekł przed przybyciem policji. Czy zechciałaby pani podać mi kawę, panno Bromley?

- A jak udało wam się tam wejść? - zapytała Patrycja.

- Talent mojego przyjaciela pozwala tak manipulować energią, żeby zmylić oko. W pewnym sensie człowiek ten potrafi sprawić, by różne rzeczy, a nawet on sam, zniknęły, przynajmniej na krótko. Poza tym specjalizuje się w otwieraniu wszelkich zamków. Krótko mówiąc, to najwyższej klasy magik - Caleb przerwał na chwilę, zastanawiając się. - Choć nie wiadomo, dlaczego nigdy nie był dobry na scenie. Zdaje się, że to z powodu tremy.

- Czy on naprawdę potrafi sprawić, by przedmioty zniknęły? - chciała wiedzieć Patrycja. - To zadziwiające.

- Pewnie nosi w kieszeni nasiona paproci - orzekła sucho Lucinda.

Patrycja się skrzywiła.

- Przecież nasiona paproci nie istnieją. Te rośliny rozmnażają się przez zarodniki.

- Och, ale kiedyś ludzie wierzyli, że wszystkie rośliny wyrastają z nasion - wyjaśniła Lucinda. - A ponieważ nie udało im się znaleźć nasion paproci, doszli do wniosku, że są one niewidzialne. Ekstrapolując, uwierzyli, że jeśli ktoś nosi przy sobie nasiona paproci, to też stanie się niewidzialny. Pamiętasz ten werset z *Henryka IV* Szekspira?

- „Mamy nasiona paproci” - zacytował Caleb pomiędzy kęsami jajecznicy. - „Jesteśmy niewidzialni”.

Patrycja była oczarowana.

- Pański przyjaciel to chyba bardzo interesujący dżentelmen. Zakładam, że pracuje obecnie dla pańskiej agencji, panie Jones.

- Tylko okazjonalnie. - Caleb nalał sobie kawy. - Wolę nie pytać o inne źródła jego dochodów.

Lucinda przyglądała się siniakowi otaczającemu oko Jonesa.

- Jak często praca detektywa naraża pana na niebezpieczeństwo?

- Zapewniam panią, że nie codziennie angażuję się w potyczki z wariatami, którzy przewodzą sektom.

Lucinda wstrząsnął dreszcz.

- Mam taką nadzieję.

- Zazwyczaj mam lepsze pomysły na wypełnienie wolnego czasu - dodał Caleb.

- Dlaczego zaangażował się pan w tę sprawę? - spytała Patrycja. Caleb wzruszył ramionami.

- Gabe przekonał radę, że Towarzystwo ma obowiązek rozprawić się ze szczególnie groźnymi kryminalistami posiadającymi zdolności psychiczne. Obawia się, że policja nie zawsze potrafi sobie poradzić z takimi łotrami.

- Prawdopodobnie ma rację - stwierdziła Lucinda, dolewając sobie kawy. - W dodatku, biorąc pod uwagę to, że ludzie są obecnie zafascynowani zjawiskami paranormalnymi, nie byłoby dobrze, gdyby w prasie zaczęły się pojawiać doniesienia o przestępcach ze zdolnościami paranormalnymi. Ciekawość i zainteresowanie szybko przerodziłyby się w strach i panikę.

Caleb przerwał jedzenie i spojrzał na nią, zdziwiony.

Lucinda uniosła brwi.

- O co chodzi?

Przełknął kęs, który miał w ustach.

- Caleb powiedział dokładnie to samo. Wy dwoje macie najwyraźniej podobne poglądy na te sprawy.

- Jakiego talentu używał przywódca sekty? - spytała Patrycja.

- Hatcher potrafił wabić, oszukiwać i manipulować innymi w sposób, który można określić jako hipnotyczny, choć w ścisłym tego słowa znaczeniu nie był to talent, który może wprowadzić w hipnozę - wyjaśnił Caleb. - Prawdopodobnie trzeba by go potraktować raczej jako swego rodzaju medyka. Ten człowiek zwrócił moją uwagę, gdy zaczął werbować chłopców z ulicy.

- Dlaczego mówi pan o talencie Hachera w czasie przeszłym? - spytała Lucinda.

Twarz Caleba się zmieniła.

- Bo wygląda na to, że teraz nie może robić z niego użytku.

Oczy Patrycji się rozszerzyły.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Stał się ofiarą własnego oszustwa - wyjaśnił Caleb. - Nie ulega wątpliwości, że Hatcher od początku był niezrównoważony umysłowo, ale wydarzenia wtorkowej nocy popchnęły go jeszcze głębiej w wymagany świat, jaki stworzył na potrzeby sekty. Ten człowiek rzeczywiście wierzy, że udało mu się pokonać granicę dzielącą ten świat od zaświatów, lecz nie zdołał wezwać demona, którym mógłby się posłużyć. Zamiast tego siły ciemności przybyły, by go zniszczyć.

- Cóż za przynębiające zdarzenie - szepnęła Patrycja.

- Tak - odrzekł Caleb głosem nagle zobojętniałym. - Chyba można tak powiedzieć.

Wypił nieco kawy i popatrzył na wiszące na wprost niego lustro, jakby mógł tam dojrzeć jakiś inny wymiar. Cokolwiek zobaczył, nie podniosło go to na duchu, pomyślała Lucinda. Coś w środku szepnęło jej, że Caleb boi się, że spotka go taki sam los, jak Hachera. To przecież był nonsens! Powiedziała wcześniej Patrycji: Caleb doskonale panował nad swym talentem.

Tylko czy ktokolwiek potrafi całkowicie panować nad swymi zmysłami?

Odłożyła gazetę na stół.

- A co z pańskimi pytaniami, panie Jones? - zagadnęła.

Caleb oderwał się od lustra i mrocznych myśli, które przyciągnęły jego uwagę. Spojrzał na Lucinę.

- Wczoraj rozmawiałem z trzema botanikami z pani listy. Z Weeksem, Brickstonem i Morganem. Wszyscy twierdzili, że nie znają nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi Hulsey'a, i jestem skłonny im wierzyć.

- Zgadza się - przyznała Lucinda. - Zostaje nam aptekarka, pani Daykin, która zwiedzała cieplarnię jakiś tydzień przed wizytą Hulsey'a.

- Tak. - Wyciągnął z kieszeni notes i go otworzył. - Zamierzam się z nią dzisiaj spotkać. Jest coś, co mnie w niej interesuje.

- Cóż takiego przyciągnęło pańską uwagę?

- To tylko przecucie.

Lucinda się uśmiechnęła.

- Chce pan powiedzieć, że odezwał się pański talent.

Odgryzł wielki kęs grzanki.

- To też. Sprawdziłem już akta. Ta dama nie jest zarejestrowana jako członkini Towarzystwa. Mimo to zastanawia mnie, czy posiada talent podobny do tego, który ma pani?

- Zdecydowanie tak - oznajmiła Lucinda. - Chociaż nie aż tak duży jak mój. Rozmawiałam z nią kiedyś i zrobiłam aluzję do jej ewentualnych zdolności psychicznych, ale zachowała się tak, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi.

- Może nie zdaje sobie z nich sprawy - orzekł Caleb. – Wiele osób posiadających niewielki talent uważa swoje umiejętności za zupełnie normalne i przechodzi nad nimi do porządku dziennego. Zaczyna je kwestionować dopiero wtedy, gdy szczególnie się rozwiną bo zaczną budzić niepokój.

- Chyba rzeczywiście tak jest.

Caleb sięgnął do kieszeni po ołówek.

- Dobrze. Zakładałam więc, że pani Daykin w jakimś stopniu obdarzona jest talentem. Czy może mi pani powiedzieć o niej coś więcej?

- Obawiam się, że niewiele. Spotkałam ją tylko raz, gdy poprosiła, żebym oprowadziła ją po cieplarni. Sądząc po wyglądzie, zbliża się do pięćdziesiątki. Przedstawiła się jako pani Daykin, ale odniosłam wrażenie, że mieszka samotnie w mieszkaniu nad apteką.

To zwróciło uwagę Caleba.

- Pani zdaniem ona nie jest mężatką?

Lucinda zawahała się, rozmyślając nad tym pytaniem.

- Nie jestem pewna, ale takie odniosłam wrażenie. Może jej mąż nie żyje. Tyle że nie nosi po nim żałoby. Raz wspomniała, że ma syna. Kobieta z nieślubnym dzieckiem najprawdopodobniej tytułowałaby się właśnie panią, a nie panną.

- Dobrze jej się powodzi?

- Nie wiem tego na pewno. Nigdy nie zaglądałam do jej apteki. Ale była dobrze ubrana i miała na sobie dość kosztowny naszyjnik z kameą. Powiedziałabym nawet, że świetnie jej się powodzi.

- Dobrze wam się rozmawiało?

- Nie mogę jej zaliczyć do najsympatyczniejszych ludzi, jakich spotkałam - odrzekła sucho Lucinda. - Nasz jedyny wspólny temat to zainteresowanie leczniczymi właściwościami ziół.

- Jak dowiedziała się o pani cieplarni?

Patrycja posłała mu pełne zdziwienia spojrzenie.

- Cały botaniczny świat wie o kolekcji Lucy, panie Jones. Nie ma nic dziwnego w tym, że aptekarka prowadząca dobrze działający interes słyszała o cieplarni mojej kuzynki ani że chciała ją zwiedzić.

- Pani Daykin na pewno zajmuje się aptekarstwem od dłuższego czasu - stwierdził Caleb. Zwrócił się do Lucindy: - Czy kontaktowała się z panią kiedykolwiek wcześniej?

- Nie, to była jej jedyna wizyta.

- Jakiego dnia ją złożyła? - chciał wiedzieć Caleb.

Lucinda się skrzywiła.

- Obawiałam się tego pytania. Nie mogę sobie przypomnieć dokładnej daty, choć pamiętam, że zanotowałam ją w dzienniku, wszystko, co mogę teraz powiedzieć, to że ta kobieta była tu na krótko przed wizytą Hulseya.

- Pokazywała jej pani paproć?

- Tak, wraz z wieloma innymi roślinami. Ale nie zauważyłam, żeby wykazywała niezdrowe zainteresowanie moją *Ameliopteris amazoniensis*.

Patrycja opuściła filiżankę.

- Może celowo ukrywała ciekawość.

- Po co miałyby to robić? - spytała Lucinda.

Dziwny błysk pojawił się w oczach Caleba.

- Bo ma powiązania z Hulseyem - oświadczył spokojnie. - Wiedziała, że ten człowiek będzie zainteresowany pani paprocią. Gotów jestem się założyć, że to on ją tu przysłał.

- Naprawdę tak pan myśli? - spytała Patrycja.

- Jej wizyta zbiega się w czasie z upadkiem Trzeciego Kręgu. Hulsey pozostał wtedy bez mecenasa, a koniecznie chciał wznowić badania nad snem. Myślę, że przysłał tu panią Daykin ze swego ro-

dzaju misją zwiadowczą. Prawdopodobnie zresztą wysłał ją także do wielu innych ogrodów botanicznych w poszukiwaniu ziół i roślin, które mógłby wykorzystać. - Popatrzył na Lucindę. - Tylko że pani kolekcja interesowała go najbardziej.

- Dlaczego? - spytała Patrycja.

- Ponieważ Hulsey jest członkiem Towarzystwa - wyjaśnił Caleb. - Wiadomo mu więc, że rodzice panny Bromley nie byli zwykłymi botanikami. Że mieli talent. Dlatego przypuszczał, że wśród kolekcji roślin tej cieplarni znajdzie kilka okazów mających ciekawe właściwości. Wysłał panią Daykin, żeby je obejrzała, bo nie chciał ryzykować pokazywania się tu, gdyby nie okazało się to konieczne. Jest przecież poszukiwany przez Towarzystwo.

Lucinda zastanowiła się nad tym.

- A kiedy aptekarka mu doniosła, że hoduję paproć o szczególnych właściwościach, on sam poprosił o pokazanie mu kolekcji, żeby osądzić, czy roślina przyda mu się, czy też nie, i sprawdzić, jak ją ukraść.

Caleb skinął głową.

- Wszystko pasuje.

- I co dalej? - chciała wiedzieć Patrycja.

Caleb zamknął notes.

- Złożę wizytę pani Daykin, jak tylko skończę to wyśmienite śniadanie.

- Pójdę z panem - oświadczyła Lucinda.

Caleb zmarszczył czoło.

- Dlaczego, u diabła, chciałyby pani to zrobić?

- Bo coś mi mówi, że pani Daykin może się czuć nieco niezręcznie w pańskim towarzystwie. Moja obecność ją uspokoi.

- Czy sugeruje pani, że mógłbym ją zdenerwować?

Lucinda uśmiechnęła się do niego łaskawie.

- Może pan być pewien, że pańskim manierom i ogładzie niczego nie brakuje. Chodzi o to, że w niektórych kobietach widok dzentelmena, wyglądającego, jakby niedawno się bił, budzi strach. - Chrząknęła znacząco. - A pan naprawdę bił się niedawno.

Zrobił zachmurzoną minę.

- Nie pomyślałem o tym.

- Oznaki użytej ostatnio przemocy są trudne do zignorowania - ciągnęła łagodnie Lucinda. - Nie uwierzyłby pan, lecz wiem z pewnego źródła, że niektóre osoby o słabych nerwach wpadają w szok w podobnej sytuacji.

Caleb zerknął znów w lustro i westchnął zrezygnowany.

- Może ma pani rację. Dobrze się składa, że pani nie ma aż tak wrażliwych nerwów, panno Bromley.

15

Wąska ulica spowita była mgłą. Z wnętrza powozu trudno było dojrzeć ciemny rząd sklepów, nie mówiąc już o odczytaniu napisów na szyldach. Caleb czuł w żyłach pulsującą krew. Odkryje tutaj coś bardzo ważnego. Czuł to.

- Można sięgnąć wzrokiem zaledwie na jard czy dwa - powiedział do Lucindy.

Spojrzała na niego.

- Domyślam się, że uznaje pan to za okoliczność korzystną dla nas?

- Pani Daykin nie zauważy nas, dopóki nie otworzymy drzwi i nie wejdziemy do sklepu.

- Jest pan święcie przekonany, że ta kobieta jest zamieszana w sprawę kradzieży paproci?

- Tak. I jeśli się nie mylę, ma wszelkie powody, by się nas obawiać. Mnie, bo mnie nie zna i w dodatku mam ślady bijatyki na twarzy. A pani z powodu kradzieży.

- A jeśli nie ma pan racji i pani Daykin jest niewinna?

- Wtedy bez obaw odpowie na nasze pytania. Zwłaszcza że pani obecność przekona ją, iż nie należę do świata przestępczego.

Otworzył drzwi, kopnięciem rozłożył schodki i wysiadł, starając się nie urazić bolących żeber. Wprawdzie dzięki naparowi Lucindy czuł się już znacznie lepiej, ale siniaki nie znikły od razu.

Myśl, że za chwilę poznają większość odpowiedzi, była podniecająca. Lodowaty dreszczyk polowania przyszywał mu ciało. Wyczuł, że Lucinda też jest podekscytowana. Energia pulsowała w powietrzu wokół nich. Fakt, że odczuwali to samo, go podniecił. Był ciekaw, czy jego towarzyszka ma podobne zmysłowe doznania.

Lucinda opuściła woalkę, żeby zakryć twarz i podała mu dłoń. Ujął jej palce, wyczuwając ich delikatny kobiecy kształt. Przez tkaninę rękawiczki czuł także jej pierścień. Kiedy ścisnęła mu mocniej rękę, by złapać równowagę na schodkach, zdziwił się, z jaką siłą to zrobiła. To prawdopodobnie z powodu prac ogrodniczych w cieplarni, pomyślał. Była znacznie silniejsza, niż na to wyglądała.

Podeszli do drzwi sklepu. W oknach nie było światła.

- Można by się spodziewać, że przy dzisiejszej mgle, wewnątrz okaże się oświetlone - zauważyła Lucinda. - Przecież tam musi być zupełnie ciemno.

- Tak - potwierdził Caleb, czując, że przez jego świadomość przemyka niczym duch jakaś zimna pewność. - Rzeczywiście, zupełnie ciemno. - To ciemność śmierci, podszepnęły mu zmysły.

Nacisnął klamkę. Drzwi się nie otworzyły.

- Zamknięte - orzekła Lucinda, skonsternowana. - Straciliśmy tylko czas.

- Niekoniecznie. - Sięgnął do kieszeni i wyjął wytrych.

Lucinda aż sapnęła.

- Wielkie nieba, panie Jones! Chyba nie zamierza się pan włamywać do tego sklepu.

- Na drzwiach nie ma tabliczki „Zamknięte” - stwierdził. - Jest ani znajomą po fachu. To chyba normalne, że w trosce o panią Daykin, która mogła ulec wypadkowi czy też zachorować, wchodzi pani o środka, by sprawdzić, co się stało.

- Ale nic nie wskazuje na to, że coś mogło się stać.
- Ostrożność nie zawadzi. Apteki to niebezpieczne miejsca.
- Ale...

Otworzył drzwi, chwycił Lucindę za ramię i wepchnął ją do środka, zanim zdążyła skończyć zdanie.

- Cóż, niewielkie włamanie to chyba nic w porównaniu z ryzykiem aresztowania za otrucie Fairburna - doszła do wniosku Lucinda. Głos miała nieco cieńszy i troszkę wyższy niż zazwyczaj, ale poza tym była zupełnie spokojna.

- Otóż to, panno Bromley - powiedział. - Trzeba umieć patrzeć na sprawy z różnych stron.

- Mam przeczucie, że mówi pan to pierwszy raz w życiu, panie Jones.

- Ludzie obdarzeni wesołym, pozytywnym usposobieniem zawsze mówią tego typu idiotyzmy

Nie mógł wprawdzie zobaczyć jej oczu z powodu woalki, lecz czuł, że patrzy na niego uważnie.

- Jest pan podniecony, prawda?

Zaparło mu dech. Wielki Boże! Odkąd ją spotkał, wiedział, że jest niezwykłą kobietą. Niemniej jednak, nawet jak na nią, pytanie było bardzo bezpośrednie.

- Co takiego? - spytał, bo nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

- Pańskie zmysły psychiczne - wyjaśniła spokojnie. - Są podniecone. Czuję wirującą wokół pana energię.

- Moje zmysły? A, tak. Podniecone. Można to i tak określić. - Rozejrzał się po pomieszczeniu. - Nie takiego słowa bym użył, lecz dość dobrze oddaje prawdę. Na swój sposób.

- A jakie słowo pan woli?

- W szczytowej mocy, otwarte, rozgrzane.

- Rozgrzane. Hm... Tak, to dobre określenie stanu, w jakim człowiek się znajduje, gdy wykorzystuje swój talent maksymalnie. W grę wchodzi rzeczywiście rozgrzanie podobne do tego, gdy się idzie, biegnie czy wspina bardzo szybko po schodach. Taka aktyw-

ność przynosi uczucie ciepła. Serce zaczyna bić szybciej. Można się nawet spocić.

W wyobraźni Caleba powstał przykuwający wzrok obraz jej ciała rozgrzanego pożądaniem, że aż wilgotnego. Serce zaczęło mu bić szybciej.

- Energia to energia - wymamrotał - niezależnie od tego, w jakiej części spektrum powstaje.

- Nigdy nie patrzyłam na tę kwestię z punktu widzenia fizyki.

Poczuł, że zęby mu się zaciskają.

- Panno Bromley, zastanawiam się, czy moglibyśmy kontynuować tę niezwykle interesującą rozmowę przy innej okazji. W tej chwili ogromnie mnie ona rozprasza.

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

Spróbował skupić się na wnętrzu apteki. Było pogrążone w głębokim cieniu tak, że mrok wydawał się gęsty i namacalny podobnie jak mgła za oknami. Powietrze przesycone było zapachem suszonych ziół, korzeni i kwiatów, a także cierpką wonią środków medycznych.

- O Boże! - szepnęła Lucinda. - Moja paproć.

- Co? Gdzie?

- Obawiam się, że pani Daykin sporządza tu truciznę. - Wyprostowała się. - I to na bazie mojej paproci.

- Jest pani pewna?

- Czuję ją. - Przeszła powoli przez pomieszczenie i zajrzała za kontuar. - Tutaj są jej ślady.

Caleb obserwował Lucinę.

- Czy to trucizna, która uśmierciła lorda Fairburna?

- Tak. - Lucinda zaczęła zaglądać do szuflad i szafek. - Nie sądzę jednak, żeby miała tu zapas. Czuję tylko śladowe ilości. Pani Daykin sprzedawała też inne rodzaje trucizny. Te mikstury również wyczuwam.

- To chyba wyjaśnia, dlaczego jej się tak dobrze powodziło.

Caleb zaczął krążyć po aptece, próbując wykorzystać swe - jak je nazywał - drugie oczy, by dostrzec szczegóły, które mógłby pominąć, posługując się jedynie zwykłymi pięcioma zmysłami.

Cegielka po cegielce budował w swoim umyśle wielowymiarowy labirynt.

- Czego pan szuka? - spytała Lucinda.

- Rzeczy - odparł nieobecny głosem. - Detali. Tego, co nie pasuje i tego, co jest na swoim miejscu. Przykro mi, Lucindo, ale nie potrafię wyjaśnić przystępniej.

- Co będzie, jeśli pani Daykin wróci, zanim się stąd zabierzemy?
- spytała, zaniepokojona.

- Nie wróci.

- Skąd ta pewność?

Przekartkował stosik rachunków.

- Nie wydaje mi się, żeby pani Daykin pozostawała jeszcze wśród żywych.

- Umarła?

- Jestem tego pewien.

- Wielki Boże, skąd pan to wie? - Lucinda wcisnęła woalkę za brzeg kapelusza i popatrzyła na Caleba z wyrazem najwyższego zdumienia. - Co w atmosferze tego pomieszczenia mówi panu o śmierci?

- Wrogie siły i akty przemocy pozostawiają po sobie bardzo charakterystyczne psychiczne ślady.

- I pan potrafi je wyczuć?

- Na tym między innymi polega mój talent. - Otworzył szufladę i wyjął z niej stos papierów. - Czy też klątwa, zależnie od punktu widzenia.

- Rozumiem - odparła uprzejmie. - To musi być okropne, biorąc pod uwagę, jak wiele jest na świecie przemocy.

Popatrzył na nią zza lady i poczuł nieodpartą chęć powiedzenia jej całej prawdy, nawet gdyby miała nim za to pogardzać.

- Z pewnością przerazi panią fakt, że w sytuacjach takich jak ta doświadczam uczucia, które można określić jako radosna ekscytacja.

Nawet się nie wzdrygnęła.

- Rozumiem.

Gapił się na nią przez kilka sekund. Może źle usłyszała.

- Bardzo w to wątpię.

- Nie ma nic dziwnego w pańskiej reakcji, wykorzystuje pan swe zmysły tak, jak chciała natura. Sama doświadczam podobnej satysfakcji, gdy uda mi się sporządzić jakiś leczniczy tonik, który poprawi czyjeś samopoczucie albo nawet uratuje życie.

- W przeciwieństwie do pani, ja nie ratuję niczyjego życia ani zdrowia - stwierdził. - Poszukuję tylko odpowiedzi na pytania zrodzone przez przemoc.

- A tym samym ratuje pan kogoś - upierała się - zupełnie jak w przypadku tego chłopca porwanego przez sektę.

Nie był pewien, jak na to odpowiedzieć.

- Może mi pani wierzyć, że ten, kto przyszedł tu ze złymi zamiarami, odszedł ze świadomością, że nie fatygował się na próżno.

- To też pan wyczuwa?

- Tak.

Popatrzyła na stos papierów, które wyjął z szuflady.

- Co pan tam ma?

- Kwity. Ostatni z wczoraj. Nie ma ani jednego z dzisiejszego dnia. - Wrzucił papiery z powrotem do szuflady i sięgnął po leżącą na półce za ladą gazetę. - Ta gazeta też ma wczorajszą datę. Jakby czas się zatrzymał.

- Jest pan pewien, że pani Daykin nie wyjechała po prostu w wielkim pośpiechu?

Caleb otworzył kasę. Wyjął z niej zwitek banknotów i kilka monet.

- Gdyby stąd uciekła, na pewno zabrałaby ze sobą utarg.

Lucinda wpatrywała się ponuro w pieniądze.

- No tak. - Na jej twarzy odmalował się szok. - Chce pan powiedzieć, że ona wciąż tu jest?

Caleb przyjrzał się rzędowi małych starannie oznaczonych aptekarskich słoiczków.

- Niewątpliwie na górze.

- I przechadza się pan, rozglądając się spokojnie, skoro wie pan, że na górze leży martwa kobieta?

Po raz pierwszy Lucinda była naprawdę zszokowana. Nie, była oburzona!

Popatrzył na nią, krzywiąc się lekko.

- Tak właśnie pracuję. Lubię mieć całościowy obraz sprawy. Ciałem zajmę się oczywiście we właściwym czasie...

- Na miłość boską! - Lucinda ruszyła w stronę schodów. - Zajmiemy się ciałem teraz. Niech pan wie, że umarli mają pierwszeństwo. Ślady mogą zaczekać.

- Ale dlaczego? - spytał, zmieszany. - Ta kobieta zmarła wiele godzin temu. Prawdopodobnie w nocy. Zajęcie się nią kilka minut później nie zrobi żadnej różnicy.

Ale Lucinda była już na schodach. Omiatające podłogę falbanki u brzegu jej sukni szeleściły na każdym stopniu, odsłaniając buty na wysokich obcasach.

- To kwestia przyzwoitości i szacunku dla zmarłych - oświadczyła stanowczo.

- Hm... - Podążył za nią po schodach. - Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

- Naturalnie. Zbyt jest pan zajęty zbieraniem dowodów i poszlak.

- Właśnie tym się zajmuję. Za to mi pani płaci.

Niemniej jednak szedł za nią. Nie chciał, żeby sama odkryła ciało. Mogłaby niechcący zatrzeć jakieś ważne ślady.

- Naprawdę jest pan przekonany, że znajdziemy ciało pani Daykin w jej mieszkaniu? - spytała Lucinda, gdy stanęła na piętrze.

- Ciało trudno jest ukryć i przewieźć. Zresztą po co zabójca miałby się trudzić usuwaniem ofiary z miejsca przestępstwa?

- Ofiary? - Zatrzymała się z odzianą w rękawiczkę ręką na klamce. - Pana zdaniem to morderstwo?

- Oczywiście, że tak. Czyż nie o tym rozmawialiśmy?

Uchyliła drzwi.

- Myślałam, że może sama odebrała sobie życie.

- Samobójstwo? A dlaczego, u diabła, miałyby to robić?

- Z poczucia winy? Bo sprzedała tyle śmiercionośnych trucizn?

- Wygląda na to, że zajmowała się tym od dawna, wątpię, by nagle w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Zaniepokoił się trochę. Lucinda popadła w bardzo dziwny nastrój. Może dlatego, że mieli właśnie zobaczyć ciało. Chociaż nie, to nie to, uznał. Chodziło o coś innego. Nie potrafił wyjaśnić silnych emocji, lecz zdecydowanie umiał je rozpoznać, gdy był ich świadkiem. Pozornie spokojna Lucinda była do głębi wstrząśnięta. Caleb sięgnął w kierunku klamki i położył rękę na jej dłoni.

- O co chodzi? Co się stało?

Popatrzyła na niego ze strachem w oczach.

- A jeśli pani Daykin została zamordowana z mojego powodu?

- Psiakrew! - Nie zdejmując rękawiczek, ujął jej twarz w obie ręce i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Niech pani posłucha, Lucindo. Cokolwiek zaszło w tym pokoju, nie ma w tym pani winy. Jeśli pani Daykin nie żyje, a tak mi się wydaje, to dlatego, że w jakiś sposób była zamieszana w sprawę otrucia.

- Może była tylko niewinną uczestniczką wydarzeń. Może po prostu popełniła błąd, mówiąc Hulseyowi, że mam paproć o niezwyklej właściwościach.

- Niech pani przestanie, Lucindo. Nie wiem, kim była pani Daykin, ale na pewno nie niewinną uczestniczką wydarzeń. Sama pani powiedziała, że od dawna zajmowała się handlem truciznami.

- A jeśli to ktoś inny sprzedawał truciznę? Może jakiś pracownik? Może pani Daykin nie miała pojęcia, co się tu dzieje.

- Owszem, miała.

- Była przecież aptekarką, kobietą obdarzoną prawdziwym talentem do leczenia, z pewnością nigdy by...

- Zna pani stare powiedzenie: Ten, kto potrafi uleczyć, potrafi też zabić. Handel truciznami niewątpliwie bardzo się opłaca. A chciwość to motyw, który rozumiem doskonale.

Ostrożnym, lecz zdecydowanym ruchem zdjął z klamki jej dłoń i sam otworzył drzwi. Natychmiast poczuli odór śmierci.

- Wielkie nieba! - Lucinda wyszarpnęła z kieszeni elegancką chusteczkę zdobioną koronką i zakryła nią nos i usta. - Miał pan rację.

Caleb wyjął własną chustkę, by zrobić to samo. Nic niestety nie było w stanie złagodzić wstrząsu psychicznego. Z ciała nie emanowała już wprawdzie aura ani jakakolwiek inna energia, ale śmierć pozostawiła w całym pokoju swój ślad.

Nic nie wskazywało, żeby użyto przemocy. Kobieta na podłodze wyglądała tak, jakby upadła. Tylko jej oczy i usta były szeroko otwarte w wyrazie przerażenia.

- To pani Daykin - powiedziała cicho Lucinda.

- Została otruta? - spytał Caleb.

Lucinda zbliżyła się do zmarłej kobiety. Stała przez chwilę, przyglądając się jej. Caleb czuł delikatne prądy psychiczne i wiedział, że Lucinda wyostrza swe zmysły.

- Nie - odrzekła pewna siebie. - Ale nie widzę też żadnej rany na ciele. Może miała wylew czy atak serca.

- To trochę dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pani?

- Tak. Ale jeśli nie zmarła z przyczyn naturalnych, to jak?

- Nie wiem. Z pewnością została zamordowana. A co więcej, wpuściła mordercę do tego pokoju.

- To też może pan wyczuć dzięki swemu talentowi? - spytała wyraźnie pod wrażeniem.

- Nie. Wydedukowałem to, bo nie ma żadnych oznak, które wskazywałyby na użycie siły.

- Ach, tak. Rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Może więc to jej kochanek?

- Albo wspólnik. W ciągu mojej krótkiej kariery detektywa zdążyłem się przekonać, że i jedni, i drudzy chętnie zdradzają.

Wciąż rozglądając się uważnie, szybko i metodycznie przeszukał pokój. Kątem oka dostrzegł, że Lucinda podeszła do stolika i wzięła o ręki oprawioną w ramki fotografię.

- To pewnie jej syn - orzekła. - Wspominała o nim, gdy u mnie była. Jest w nim coś znajomego.

Caleb wyprostował się i przyjrzał zdjęciu. Przedstawiało dwudziestoparoletniego mężczyznę. Stał sztywno ubrany w ciemny surdut. Zaczynał już lekko łysieć. Wpatrywał się prosto w obiektyw, jak to czynią osoby pozujące do portretów.

- Poznaje go pani? - spytał Caleb.

- Nie. Tylko przez chwilę, gdy pierwszy raz spojrzałam na zdjęcie, miałam ulotne wrażenie, że przypomina mi kogoś, kogo spotkałam. - Pokręciła głową i odstawiła fotografię. - Prawdopodobnie zauważyłam podobieństwo do matki.

Caleb spojrzął na panią Daykin.

- Nie bardzo jest do niej podobny, ale przypuszczam, że ma coś po niej.

- Tak. - Patrzyła, jak Caleb otwiera szufladki małego biurka. - Znalazł pan coś ciekawego?

- Rachunki, listy do firm, które dostarczały jej zioła i chemikalia.

- Przerzucił inny stos papierów. - Nic natury osobistej. - Już zamykał biurko, ale zatrzymał się, gdy dostrzegł wetknięty w róg małeńki zwitek papieru. Wziął go do ręki.

- Co to? - spytała Lucinda.

- Szereg liczb. Wygląda na szyfr do sejfu.

- Nie widzę tu żadnego - stwierdziła Lucinda

Ogarnęła go nagła pewność, że się nie mylił.

- Gdzieś tutaj jest.

Znalazł go chwilę później, ukryty za wezglowiem małego łóżka. Dzięki serii liczb zapisanych na skrawku papieru otworzył sejf od razu. Wewnątrz leżały notes i trzy paczuszki.

Znów odczuł przepływ energii i intuicyjnie ją rozpoznał. To Lucinda.

Wyciągnęła rękę, by go powstrzymać.

- Niech pan będzie ostrożny. W tych paczuszkach jest trucizna, ta sama, jakiej użyto do zabicia lorda Fairburna.

Nie kwestionował tego, co powiedziała. Ogarnęło go zadowolenie.

- Powiedziałem, że pani Daykin nie była niewinną uczestniczką wydarzeń - przypomniał. Wyjął z sejfu notes i przekartkował go szybko.

- Co tam jest? - spytała Lucinda, zaglądając mu przez ramię. - Pismo wygląda dość bezsensownie.

- To szyfr. - Przez kilka sekund przyglądał się zakodowanym notatkom, po czym się uśmiechnął, bo szybko odkrył kod. - Ale bardzo prosty. Myślę, że znaleźliśmy zapiski dotyczące transakcji, jakie pani Daykin przeprowadziła, sprzedając truciznę. Spellar będzie zachwycony. Ten notes to dla niego źródło informacji niezbędnych do zamknięcia sprawy Fairburna i może wielu innych.

- Dlaczego, u diabła, pani Daykin zapisywała wszystkie te transakcje? Przecież to dowody jej zbrodni.

Znów doświadczył tego samego uczucia.

- Musiała dojść do wniosku, że korzyści są większe niż ryzyko.

- Co pan przez to rozumie?

Podniósł zeszyt.

- Ten notes to doskonały materiał do szantażu.

- Wielkie nieba. Pani Daykin czerpała zyski z czego tylko mogła. Najpierw zarabiała, sprzedając truciznę, a potem wyłudzała pieniądze od tych, którzy ją kupili.

- Prawdziwa kobieta interesu.

16

Trzy dni później o pierwszej nad ranem Lucinda siedziała w towarzystwie Victorii na wyłożonej aksamitną poduszką ławce. Ławka znajdowała się na balkonie usytuowanym nad rozświetloną salą balową.

Razem przyglądały się wspaniałej scenerii. Przyjęcie wydane z okazji zaręczyn Thaddeusa Ware'a i jego narzeczonej Leony Hewitt toczyło się w najlepsze. Ale to nie honorowych gości obserwowały Lucinda i Victoria.

- Bardzo ładna z nich para - stwierdziła lady Milden, zerkając przez lorgnon. - Obawiam się jednak, że skojarzenie ich nie wchodzi w grę. Młody pan Sutton się nie nadaje.

- Szkoda - powiedziała Lucinda. - Robi wrażenie bardzo miłego dżentelmena.

- Bo nim jest. - Victoria opuściła lorgnon i upiła łyk szampana. Ale nie jest właściwym mężczyzną dla pani kuzynki.

- I może pani stwierdzić nawet z tego miejsca?

- Z tej odległości widzę jedynie zarys przepływających między nimi prądów, ale to wystarczy, żebym miała pewność, że nie jest dla niej odpowiedni. - Zrobiła jakiś znak w karneciku, po czym jeszcze raz zlustrowała gości.

Lucinda podażyła za jej wzrokiem. W dole liczne pary, a wśród nich Patrycja i nieodpowiedni dla niej pan Sutton, tańczyły walca. Patrycja wyglądała niewinnie, a zarazem zachwycająco w blad różowej satynowej sukni, obramowanej kaskadą różowego tiulu. Długie różowe rękawiczki osłaniały jej ręce. Delikatne spinki tej samej barwy, w kształcie kwiatów, połyskiwały w jej włosach.

Lucinda zdawała sobie sprawę, że ona sama prezentuje się zupełnie inaczej. Słowo „niewinnie” na pewno do niej nie pasowało. Krawcowa Victorii wybrała dla niej jedwab w kolorze kobaltowego błękitu, który idealnie pasował do jej rudych włosów i niebieskich oczu, jak oświadczyła madame LaFontaine. Kobieta miała okropny francuski akcent, który wyniosła raczej gdzieś z pobliza doków niż z Paryża.

Suknia miała głęboki dekolt, który odsłaniał ramiona, a nawet odrobinę piersi. Lucinda protestowała przeciwko takiemu krojowi, ale madame LaFontaine odmówiła zmniejszenia wycięcia choćby o pół cala. A Victoria całkowicie się z nią zgadzała. „Wziąć górę nad złą reputacją można jedynie, pyszniąc się nią - powiedziała Lucindzie. - Musi pani być zuchwałą”.

Lucinda nie była przekonana, że to słuszna postawa, lecz nie mogła zaprzeczyć, iż w kwestii kojarzenia par Victoria doskonale dawała sobie radę. Karnecik Patrycji był zapełniony. Będzie wykończona, gdy bal dobiegnie końca, pomyślała Lucinda,

uśmiechając się do siebie. A w podeszwach jej pantofelków pojawiają się pewnie dziury. Ilekroć Patrycja schodziła z parkietu, ledwie miała czas napić się lemoniady, gdy zjawiał się kolejny młodzieniec, prosząc o należny mu taniec.

- Lady Milden, co pani widzi, patrząc na salę pełną ludzi? - zainteresowała się Lucinda.

- Wiele par, które nigdy nie powinny były się pobrać, i tyle samo innych, które mają ze sobą romans.

- To musi być dość przygnębiające.

- Owszem. - Victoria odłożyła lorgnon i wypła łyk szampana. - Odkryłam jednak, że moje nowe zajęcie działa na mnie bardzo budująco. Bo widzi pani, dobrze skojarzona para jest jak odtrutka.

- Według moich obliczeń, Patrycja tańczyła już z dziewięcioma różnymi kawalerami - powiedziała Lucinda. - Ilu jeszcze zostało?

- Dwóch, których wybrałam z moich akt. Ale jest jeszcze kilku dżentelmenów, którzy nie są moimi klientami, lecz udało im się zarezerwować taniec z Patrycją. Mnie to zupełnie nie przeszkadza. Lubię uwzględnić również to, co niezaplanowane. Czasami dwoje ludzi po prostu się odnajduje bez żadnego udziału swatki. Nie byłoby dobrze wykluczyć taką ewentualność. Zresztą Thaddeus i Leona tak się właśnie poznali.

- Na podobnym balu?

- Cóż, niezupełnie - przyznała Victoria. - To była akurat sala muzealna.

- Ach, obydwójce interesują się sztuką.

- Nie - odrzekła Victoria. - Był środek nocy i to nie wspólne zainteresowania ich tam przywiodły. Mieli ukraść pewien zabytek bardzo złemu człowiekowi. O mało nie stracili przy tym życia.

- Wielkie nieba. Jakież to... - przerwała, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. - Niezwykłe.

- Tworzą rzeczywiście niezwykłą parę. On ma talent do hipnotyzowania. Ona czyta w kryształach.

Lucinda popatrzyła na narzeczonych. Nie była swatką, ale nawet z tej odległości wyczuwała, jak bardzo są sobie bliscy. Poznała

to po tym, jak Thaddeus adorował dziewczynę i jak ona się do niego uśmiechała.

- Mają szczęście, że się spotkali - stwierdziła cicho.

- O tak - przyznała Victoria. - Gdy tylko zobaczyłam ich razem, wiedziałam, że doskonale do siebie pasują.

- Co pani robi, jeśli żaden z dzisiaj poznanych przez Patrycję dżentelmenów nie będzie dla niej odpowiedni?

- Zaplanowałam już rozmaite herbatki, wykłady, zwiedzanie muzeów i galerii oraz kolejny bal w przyszłym tygodniu. Niech się pani nie martwi, znajdę kogoś dla pani kuzynki.

- Widzę, że cieszy się pani swoją pracą.

- To łatwe, jeśli ma się klientkę równie czarującą jak pani kuzynka - odrzekła Victoria.

- A co się dzieje, gdy ma pani do czynienia z potencjalnym klientem, który nie jest zbyt czarujący?

Victoria rzuciła jej uważne, badawcze spojrzenie.

- Dlaczego pani pyta?

Lucinda się zarumieniła.

- To było tylko hipotetyczne pytanie.

Victoria wzięła do ręki lorgnon i po raz kolejny przyjrzała się sali balowej.

- Jeśli ma pani na myśli Caleba Jonesa, to problem ten chyba nigdy się nie pojawi.

- Dlaczego?

- Caleb Jones to człowiek bardzo skomplikowany i z każdym dniem dziwaczeje coraz bardziej.

- Czy to uprzejmy sposób powiedzenia, że nigdy nie znajdzie odpowiedniej dla siebie kobiety?

- Rozumiem, że ostatnio spędziła pani nieco czasu w jego towarzystwie. Z pewnością zauważyła pani, że on nie patrzy na świat w sposób, który większość ludzi określiłaby jako normalny. I nigdy nie wiadomo, czy w danej sytuacji zachowa się tak, jak trzeba.

Lucindzie przyszedł na myśl zwyczaj Caleba wpadania do niej każdego ranka.

- Nie stosuje się do uznanych powszechnie zasad etykiety - powiedziała. - Ma pani rację.

- Och, umie się zachować. W końcu jest Jonesem. Ale jego maniery są godne pożałowania. Jest wobec innych tak niecierpliwym, że aż niegrzecznym. I gdy tylko może, unika wszelkich zebrań towarzyskich. Wiem to z pewnego źródła, że kiedy jest u siebie w domu i nie śpi, spędza każdą chwilę w laboratorium. Ileż kobiet mogłoby zaznać szczęścia z takim mężczyzną?

- Cóż...

- Ożeni się, oczywiście. Jest przecież Jonesem. To jego obowiązek. Ale wątpię, by poprosił mnie o znalezienie mu kandydatki. - Victoria prychnęła. - I dzięki Bogu.

- Naprawdę nie wierzy pani, żeby udało się znaleźć mu odpowiednią żonę?

- Powiedzmy, że uważam za wysoce nieprawdopodobne, by Caleb Jones i kobieta, którą w końcu poślubi, kiedykolwiek cieszyli się prawdziwym szczęściem małżeńskim. Nie chodzi o to, że stanowiliby swego rodzaju unikat. W sumie takie związki nie są niczym dziwnym w wyższych sferach.

- Zgadza się, że pan Jones potrafi być nieco szorstki. Ale moim zdaniem to, co nazywa pani jego trudną osobowością, wynika jedynie z jego talentu oraz samokontroli, jakiej używa, by nad nim panować.

- To pewnie prawda, moja droga, ale gdy będziesz w moim wieku, przekonasz się, że żelazna samokontrola nie jest u mężczyzn aż tak pożądana. Czyni ich twardymi, nieustępliwymi i nieugiętymi.

To prawda. Lucinda sama wysuwała podobne twierdzenia przed Patrycją. Niemniej jednak przykro było rozwodzić się na temat przy czyn, dla których Caleb nigdy nie zaznał szczęścia.

- Jeśli chce pani wiedzieć, bardzo wątpię, by Caleb zauważył, że jego małżeństwo nie jest idealne. Ba! Pewnie nawet nie dostrzeże braku satysfakcji - ciągnęła Victoria, jakby potrafiła czytać w myślach Lucindy. - Zakochanie się nie leży w jego naturze. On po prostu wsunie obrączkę na palec jakiejś kobiety, uczyni ją ciężarną,

po czym schroni się w laboratorium.

- Chce pani powiedzieć, że Caleb Jones jest niezdolny do intensywnych emocji? - spytała Lucinda, zszokowana.

- Krótko mówiąc, tak.

- Proszę się nie gniewać, lecz bardzo się pani myli.

Tym razem to Victoria była zaskoczona.

- Chyba nie wierzy pani, że Caleb Jones może odczuwać jakiegokolwiek subtelne emocje?

- „Subtelne” może nie jest właściwym określeniem, ale zapewniam panią, że jest zdolny do naprawdę silnych emocji i głębokich uczuć.

Oczy Victorii rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Cóż, panno Bromley, nie wiem, co na to odpowiedzieć. Poza panią nigdy nie spotkałam osoby, która wysuwałaby tego typu stwierdzenia na temat Caleba.

- Podejrzewam, iż jest on człowiekiem zupełnie nierozumianym nawet na łonie własnej rodziny.

- Fascynujące - mruknęła Victoria. - A skoro o nim mowa, ciekawa jestem, gdzie się podziewa. Wprawdzie, jak już powiedziałam, unika spotkań towarzyskich, ale ma jednak poczucie odpowiedzialności w stosunku do rodziny. Spodziewałam się, że pojawi się tutaj przynajmniej na kilka minut. Mimo wszystko Thaddeus jest jego kuzynem.

- Zdaje mi się, iż pan Jones jest bardzo zajęty dochodzeniem, które obecnie prowadzi - zauważyła Lucinda.

Zdaje się, że stawanie w obronie Caleba zaczynało jej wchodzić w nawyk. I bez wątplenia nie było to dla niej najlepsze. Bo jeśli istniał człowiek, który potrafił sam się o siebie zatroszczyć, który mógł się nie przejmować tym, co inni o nim powiedzą, to na pewno był nim Caleb Jones.

Prawda wyglądała tak, że Lucinda nie miała pojęcia, gdzie jest Caleb ani co teraz robi. Nie widziała go od śniadania. Zjawił się punktualnie o ósmej trzydzieści, zjadł okazałą porcję jajek i grzanek,

powiedział coś o konferencji z inspektorem Spellarem, po czym pospiesznie odjechał powozem.

Choć Caleb sypiał już zdecydowanie lepiej, Lucinda przejęła się jeszcze bardziej, gdyż niewielkie, niezdrowe zawirowania w jego aurze nie ustępowały. Zastanawiała się, czy nie zmienić składników naparu, choć z drugiej strony miała pewność, że dobrała je tak, jak trzeba.

Nagle coś wyrwało ją z zamyślenia. Spojrzała w dół na salę balową i od razu dostrzegła Caleba. Stał w pogrążonej w cieniu wnęce, schowany nieco za dekoracyjną ścianką. Przyglądał się tańczącym, niczym lew obserwujący stado nieświadomych niczego antylop przy wodopoju.

- Jones się pojawił - oznajmiła.

- Który? - spytała obojętnie Victoria. - Jest ich tu dzisiaj kilku.

- Caleb - odparła Lucinda, wskazując go wachlarzem. - Tam, za palmami.

- A tak, widzę go. - Victoria wychyliła się do przodu, patrząc przez lorgnon. - To właśnie w jego stylu, wślizgnąć się bocznymi drzwiami, by uniknąć ceremonii powitania. Mówiłam pani, ten człowiek nie cierpi spotkań towarzyskich. Jeśli doświadczenie mnie nie myli, to zostanie tu jakieś pięć minut, po czym zniknie.

Może i nie zamierzał zostać na przyjęciu zbyt długo, niemniej jednak znalazł czas, by przebrać się w strój wieczorowy, zauważyła Lucinda. Eleganckie dobrze skrojone spodnie i surdut oraz śnieżnobiała batystowa koszula podkreślały jego urodę. Dokoła niego czuło się aurę władzy.

Caleb wyszedł z cienia i ruszył, omijając tłum bokiem i od czasu do czasu kłaniając się komuś uprzejmie, lecz unikając angażowania się w rozmowę. Zatrzymał się przy Thaddeusie i Leonie, porozmawiał z nimi chwilę, a następnie spojrział w kierunku balkonu.

Spostrzegł ją od razu. Aż wstrzymała oddech. Zupełnie, jakby wiedział, gdzie mnie znaleźć, pomyślała.

Powiedział coś jeszcze do Thaddeusa, skłonił się elegancko przed Leona, a potem zniknął w drzwiach prowadzących do holu dla służ-

by. Lucinda wyprostowała się na ławce, starając się stłumić ostry ból rozczarowania. Ale czego się właściwie spodziewała? Że ją odszuka i porozmawia przez chwilę czy dwie?

Victoria strzeliła palcami.

- Puf! I już go nie ma. Typowe. I jak tu szukać odpowiedniej partnerki dla mężczyzny, który nawet nie zwraca sobie głowy zaproszeniem damy do tańca?

- To zdecydowanie byłoby trudne - przyznała Lucinda.

Ale wolę już, by sobie poszedł, niż gdybym miała patrzeć, jak prowadzi na parkiet jedną z tych dam, pomyślała. Zaniepokoiło ją to. Mocniej ścisnęła w dłoni wachlarz. Nie wolno jej zakochać się w Calebie Jonesie.

- Ach! Do Patrycji podszedł pan Riverton - zauważyła Victoria. W głosie jej pojawił się entuzjazm. - Wiążę z nim duże nadzieje. To typ uczonego. I ma bardzo postępowe poglądy na równouprawnienie kobiet.

Lucinda przyglądała się młodemu człowiekowi poprzez balustradę balkonu.

- Wygląda bardzo sympatycznie.

- O tak. Jest też utalentowany. - Victoria obserwowała parę przez chwilę. - Zdaje się, że ich energia jest przynajmniej częściowo zgodna ze sobą. - Odłożyła lorgnon i zanotowała coś w karneciku. - Zdecydowanie warto przyjrzeć mu się dokładniej.

Lucinda pochyliła się bardziej do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się Rivertonowi. Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie. Odwróciła się i zobaczyła Caleba, który wyłonił się ze słabo oświetlonego holu.

- Cóż, u diabła, robi pani tu na górze, panno Bromley? - spytał, nie zwracając sobie głowy uprzejmościami. - Myślałem, że będzie pani na sali.

- Panu również życzę miłego wieczoru, panie Jones - wtrąciła Victoria sucho.

- Victorio - powiedział Caleb z miną człowieka, który teraz dopiero ją zauważył. Ujął jej dłoń i skłonił się nad nią z zadziwiającą gracją. - Bardzo przepraszam. Nie widziałem pani.

- Oczywiście, że pan widział - stwierdziła. - Ale całą uwagę skupił pan na pannie Bromley.

Brwi Caleba uniosły się lekko.

- Owszem, szukałem jej.

- Czy ma pan jakieś wieści? - spytała Lucinda.

- Prawdę mówiąc, tak.

Oparł się o balustradę i przez moment przyglądał się tańczącym, jakby nagle zafascynowały go taneczne figury. Gdy znów spojrział na Lucindę, błyski w jego oczach zdawały się przybierać na sile.

- Jeśli zaszczyci mnie pani tańcem, opowiem pani, czego się dowiedziałem - oświadczył.

Oszołomiona, wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Podejrzewała, że na jej twarzy maluje się teraz zachwyt, który przystoi raczej pensjonarce.

- Och! - wykrztusiła po nieskończonej długiej chwili.

- Idź, moja droga - powiedziała Victoria, uderzając w dłoń Lucindy wachlarzem. - Zajmę się Patrycją.

Uderzenie wyrwało Lucindę z transu. Odzyskała panowanie nad sobą.

- Bardzo dziękuję, panie Jones - odrzekła. - Ale dawno już nie tańczyłam walca. Obawiam się, że zapomniałam, jak się to robi.

- Ja także, ale kroki są bardzo łatwe. Jestem pewien, że uda nam się nie deptać sobie po nogach.

Caleb pociągnął ją i musiała wstać z miękkiej ławki, zanim zdążyła użyć innych argumentów. Obejrzała się jeszcze przez ramię, ale okazało się, że nie może liczyć na ratunek ze strony Victorii. Dama przyglądała im się natomiast z dość osobliwym wyrazem twarzy.

Lucinda uświadomiła sobie, że Caleb prowadzi ją przez długie pogrążony w półmroku korytarz i wąskie ciasne schody dla służby. Kiedy zeszli na dół, otworzył jakieś drzwi i pociągnął ją w stronę rozświetlonej sali balowej. Z charakterystycznym dla siebie zdecydowaniem utorował im drogę przez tłum.

Zaraz potem znalazła się w jego ramionach zupełnie jak wtedy w bibliotece, gdy ją pocałował.

Poprowadził ją do walca. Lucinda wiedziała, że ludzie - zarówno ci na parkiecie, jak i poza nim - oglądają się za nimi. Zdawała sobie sprawę, że zwraca na siebie uwagę w sposób, którego miała nadzieję uniknąć. Ale już się tym nie przejmowała. Czuła na swych plecach silną i ciepłą dłoń Caleba i widziała, że patrzy na nią tak, jakby nikogo innego nie było w sali. Spowijały ich energia i uczucie gorąca splecione nierozzerwalnie z muzyką.

- Widzi pani? - odezwał się. - Kroków walca tak łatwo się nie zapomina.

Lucinda pomyślała, że nie tańczy. Wprost unosiła się nad podłogą.

- Na to wygląda, panie Jones. A teraz proszę mi powiedzieć, jakie ma pan wieści?

- Przed przyjściem tutaj rozmawiałem z inspektorem Spellarem. Aresztował kogoś na podstawie dowodów zawartych w notatniku pani Daykin.

- Lady Fairburn?

- Nie, jej siostrę, Hannah Rathbone. Kobieta załamała się i przyznała do wszystkiego, gdy Spellar pokazał jej notes aptekarki. Figurowało tam jej nazwisko.

- Rozumiem. Przypuszczam, że zabiła Fairburna, żeby uczynić siostrę bogatą wdową.

- To by było logiczne. Ale Spellar powiedział, że ta Hannah otruła szwagra dlatego, iż zerwał romans, który ich łączył od dłuższego czasu.

- Wielkie nieba. A więc to zbrodnia w afekcie, a nie dla pieniędzy.

- Jak już wspomniałem, niezbyt to logiczny motyw, ale tak się stało. Nie grozi już pani posądzenie o morderstwo.

- Panie Jones, naprawdę nie wiem, jak panu dziękować...

- Pozostaje jednak jeden problem. Truciznę, którą sprzedawała pani Daykin, sporządzono, używając pani paproci.

Przeszył ją strach.

- Ale przecież pani Daykin nie żyje. Nikt o tym nie wie.

- Co najmniej jedna osoba doskonale zdaje sobie z tego sprawę - oświadczył Caleb.

- Ma pan na myśli doktora Hulseya.

- Możemy z dużą dozą pewności założyć, że Hulsey i pani Daykin dobrze się znali. On sporządził przynajmniej część trucizny, którą sprzedawała.

Przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Myśli pan, że to Hulsey ją zabił?

- Nie - odrzekł Caleb.

- A skąd ta pewność?

- Hulsey specjalizuje się w niebezpiecznych chemikaliach. Gdyby chciał kogoś zabić, skłonny byłby raczej użyć dobrze sobie znanej broni.

- Trucizny?

- Tak.

Przeszedł ją dreszcz.

- Nie wyczułam w jej ciele żadnej toksyny.

- Co znaczy, że zabił ją ktoś inny.

- Ktoś, kogo szantażowała?

- Możliwe - przyznał. - Ale z jej notatek wynika, że prowadziła ten interes od lat. Fakt, że dopiero teraz ktoś postanowił się jej pozbyć...

- Tak, wiem. To zbyt duży zbieg okoliczności. To samo pomyślałam o tak zwanym samobójstwie mojego ojca. Nie mogłam uwierzyć, że zastrzelił się akurat wtedy, gdy jego współnika znaleziono martwego.

- Do diabła, co takiego?! - Caleb zatrzymał się nagle na środku sali. - To pani ojciec się nie otruł?

Zdając sobie sprawę, że ludzie wokół wpatrują się w nich z otwartą ciekawością, Lucinda zniżyła głos do szeptu.

- Nie - odrzekła.

- Psiakrew. Zamordowano go. Dlaczego, u diabła, nie powiedziała mi pani o tym?

Wziął ją za rękę i pociągnął przez tłum w stronę wyjścia z sali do pogrążonego w ciemności ogrodu. Gdy zostali sami, chwycił ją za ramiona.

- Chcę dokładnie wiedzieć, co spotkało pani ojca – powiedział.

- Został zastrzelony - odrzekła. - Upozorowano to na samobójstwo, ale jestem przekonana, że ktoś go zabił. Czuła przepływ energii i potęgę talentu Caleba.

- Ma pani rację, oczywiście - przyznał.

Ogarnęła ją niezwykła ulga.

- Panie Jones, nie wiem, co powiedzieć. Jest pan jedynym człowiekiem, który mi uwierzył.

17

To wszystko się ze sobą łączy - orzekł Caleb łagodnym tonem.

- Co takiego? - spytała Lucinda, zadyszana nieco z powodu tańca. - Znalazł pan jakieś powiązanie?

- Tak, i to dzięki pani. - Zacisnął usta. - Powinienem był zadać oczywiste pytanie zaraz na początku tej sprawy. Ale za bardzo skupiłem się na szukaniu Hulseya.

- Co to za pytanie?

- Jaki jest związek między zamordowaniem pani ojca, jego współnika i kradzieżą paproci?

- Co takiego? - Roztrzęsiona próbowała przyjrzeć się jego pogrążonej w cieniu twarzy. - Nie rozumiem. W jaki sposób te wydarzenia miałyby być ze sobą powiązane?

- To właśnie, panno Bromley, muszę dopiero odkryć.

- Ale czuje pan, że są?

- Jak już wspomniałem, powinienem był zauważyć to wcześniej. Mogę tylko powiedzieć, że byłem nieco roztargniony.

- Cóż, nie można twierdzić, że brakowało panu zajęć, skoro rozgromił pan tę złowrogą sektę i odkrył, że człowiek, którego poznałam jako doktora Knoksa, to w rzeczywistości poszukiwany przez pana szalony naukowiec. Że nie wspomnę o takich drobnostkach jak znalezienie ciała pani Daykin i dopilnowanie, bym nie została oskarżona o morderstwo. Był pan naprawdę dość zajęty ostatnimi czasami. Nietrudno zrozumieć, że nie zwracał pan sobie głowy zabójstwem dwóch mężczyzn sprzed półtora roku.

- To wcale nie najważniejsze - stwierdził. - Przeszkodziło mi zupełnie co innego.

- Co takiego?

- Skoro już o tym mówimy, wydaje się, że śmierć pani narzeczonego również się z tym wszystkim łączy. Musi zresztą.

Znów poczuła się zaskoczona.

- Chyba nie myśli pan, że morderstwo Glassona jest z tym powiązane?

- To wszystko elementy tej samej łamigłówki - powiedział po prostu. - Widzę to teraz wyraźnie. Problem w tym, że coś nie pozwoliło mi się skupić.

- Naprawdę? - Uniosła brwi. - A cóż takiego jest na tyle potężne, by sprawić, że niezwykle utalentowany Caleb Jones popełnił błąd?

- Pani - odrzekł.

Lucinda nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Co takiego? - wykrztusiła w końcu.

Caleb ujął jej twarz silnymi rękoma.

- To pani rozprasza moją uwagę, Lucindo. Nigdy dotąd nie spotkałem osoby, która by wprowadzała takie zamieszanie w moich myślach.

- To nie brzmi jak komplement.

- Bo to wcale nie był komplement, tylko stwierdzenie faktu. W dodatku nie sądzę, bym się mógł skoncentrować, dopóki nie zyskam pewności, iż moja osoba rozprasza panią w takim samym stopniu, jak pani mnie.

- Och - szepnęła. - Tak. Rozprasza mnie pan. Nawet bardzo.
- Ogromnie się z tego cieszę.

Przywarł ustami do jej warg.

W jednej chwili zmysły Lucindy zapłonęły ogniem. Pograżony w ciemności ogród ożył i zaczął lśnić opalizującym światłem. Jeszcze kilka sekund wcześniej kwitnące na brzegu tarasu kwiaty były niewidoczne w mroku. Teraz przeobraziły się w czarodziejskie lampki pulsujące światłem o niezliczonych odcieniach, dla których brakowało nazw. Z trawy unosiła się szmaragdowa zorza. Wysokie żywopłoty przekształciły się w połyskujące ściany. Energia życia śpiewała w rytm wyznaczony przez zmysły Lucindy.

Caleb przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej. Jego usta ześlizgnęły się z jej warg na szyję.

- Chcesz mnie, Lucindo? - spytał chrapliwie. - Muszę to wiedzieć. Nie uda mi się skupić na niczym, dopóki nie dostanę odpowiedzi na to pytanie.

Lucinda dawno przestała wierzyć, że kiedykolwiek doświadczy namiętności. A teraz ta straszna siła wirowała w niej niczym burza. Nie zdradzi przecież nikogo, pozwalając porwać się tym potężnym wiatrom. Ryzykowała tylko własne serce. Owszem, to poważna sprawa, ale myśl, że nie pozna nigdy miłości, która - czuła to - czekała ją w ramionach Caleba, wydała jej się znacznie bardziej przerażająca. Lepiej już kochać i stracić.

Dotknęła jego twarzy.

- Pragnę cię, Calebie. Czy to jest odpowiedź, jaką chciałeś usłyszeć?

- Niczego bardziej nie pragnąłem w całym moim życiu.

Jego wargi, twarde i wygłodniałe, znów przywarły do jej ust. Muzyka i przytłumione odgłosy z sali balowej zdawały się dobiegać z jakiegoś innego wymiaru. Zdawało się, że noc pulsuje jakimś potężnym, gorącym rytmem. Fala jasnej, niepokohamowanej energii pociągnęła Lucindę w upajający chaos.

Otoczyła ramionami szyję Caleba i rozchyliła usta. Owiało ją chłodne powietrze. Nie od razu uświadomiła sobie, że Caleb uniósł

ją w ramionach i zabiera gdzieś z dala od tarasu w głąb fosforyzującego ogrodu.

- Czuję twój ogień - powiedział chrapliwie. - Twoje zmysły płoną, prawda?

- Tak. - Przesunęła palcem po jego brodzie. - I twoje też.

- Ogród to twoja domena. Jak teraz wygląda?

- Jest magiczny, pełen życia. Każda roślina, każde najmniejsze źdźbło trawy świeci delikatnym blaskiem. Liście mienia się tysiącem odcieni. Kwiaty rozświetlone są własnym światłem.

- Jak bajkowy krajobraz.

- Bo taki jest - odrzekła. - A ty co widzisz?

- Tylko ciebie. - Zatrzymał się przed niskim ciemnym budynkiem. - Otwórz drzwi.

Lucinda odnalazła klamkę i ją nacisnęła. Drzwi otworzyły się do środka. Poczowała przyjemne ciepło i mieszaninę intensywnych woni: suszoną lawendę, róże, rumianek, miętę, rozmaryn, tymianek i wawrzyn. W blasku księżyca widziała zwisające z sufitu ciemne bukiety ziół i kwiatów. Na podłodze stały koszyki pełne wonnych roślin.

- Szopa do suszenia ziół - powiedziała oczarowana. - Ja też mam taką.

- Tutaj nikt nam nie przeszkodzi.

Caleb postawił ją ostrożnie na ziemi. Znalazł krzesło i postawił je pod drzwiami, blokując klamkę. Potem wrócił do Lucindy.

- Myślisz o wszystkim - zauważyła.

- Staram się.

Ostrożnie zdjął jej okulary i odłożył na bok. Potem znów ją przytulił.

Podniecenie i oczekiwanie przyprawiło ją o tak silne drzenie, że musiała się trzymać ramion Caleba, by nie upaść.

Pocałował ją, po czym łagodnie odwrócił plecami do siebie. Zaczął rozpinać haftki stanika. Chwilę później suknia była całkowicie rozpięta.

Ucałował nagie ramię Lucindy.

- Na szczęście nie nosisz tego okropnego stalowego gorsetu.
- Towarzystwo Rozsądnych Strojów uważa, że gorsety są bardzo niezdrowe - wyjaśniła.

Roześmiał się nisko, gardłowo.

- A w dodatku bardzo przeszkadzają w chwilach takich jak ta.

Odwrócił ją twarzą ku sobie i powoli zsunął stanik sukni wraz z warstwami starannie upiętych spódnic, które miękkimi falami opadły wokół jej stóp. Lucinda stała przed nim jedynie w cienkiej koszulce, pończochach i butach.

Rozpięła jego surdut i wsunęła ręce pod koszulę, ciesząc się ciepłem jego ciała. Szybkimi, niecierpliwymi ruchami Caleb zerwał z siebie surdut, rozluźnił halsztuk i rozpiął koszulę. Lucinda położyła dłonie na jego nagiej piersi.

- Potrzebne nam łóżko - powiedział.

Odsunął się od niej, podniósł najbliżej stojący kosz i go wyrzucił. Na podłogę posypała się cała masa ziół i kwiatów - geranium, płatki róż, eukaliptusa i melisy. Opróżnił jeszcze drugi kosz, po czym trzeci i czwarty, aż powstało aromatyczne posłanie. Wyostrzone zmysły Lucindy sprawiły, że niezwykle silnie odczuwała energię emanującą z roślin. Nogi się pod nią ugięły.

Caleb rozłożył surdut na posłaniu z ziół i pociągnął Lucindę w dół. Delikatne płatki i liście zaszeleściły pod ich ciężarem, wyzwalaając jeszcze więcej eterycznej, upajającej energii.

Caleb ułożył się obok Lucindy, na wpół przykrywając ją swoim ciałem. Położył dłoń na jej krągłej piersi. Coś w niej zadrżało i poruszyło jej zmysły. Usłyszała cichy, zduszony krzyk i uświadomiła sobie, że dobył się on z jej własnego gardła.

- Ciii - upomniał ją łagodnie. W jego głosie zabrzmiał ni to śmiech, ni to jęk. - Jesteśmy tu sami, ale nie ryzykujemy, że ściągniemy jakichś ciekawskich gości przechadzających się po ogrodzie.

Jego słowa wyrwały ją na moment z cudownego transu. Wprawdzie jej reputacja w oczach innych nie mogła już być mniej warta, ale dać się przyłapać w ramionach mężczyzny?! Przerazało ją to. Na pewne rzeczy kobieta po prostu nie mogła sobie pozwolić.

- Nie bój się - uspokoił ją Caleb. - Usłyszę, jeśli ktoś się tu zbliży. Nie jestem wprawdzie myśliwym, lecz doskonały słuch to dość powszechna cecha w naszej rodzinie.

- Jesteś pewien? - spytała.

- Ochronię cię, wierzysz mi?

Był twardy jak granitowa skała. Skoro coś przyrzekł, to tego dotrzyma, pomyślała.

- Wierzę - wyszeptała zdziwiona, że wypowiada te słowa. Poruszyły ją one do głębi. - Naprawdę ci ufam, Calebie.

Pochylił się nad nią i zaczął ją całować powoli, niemal z czcią. Lucinda wiedziała, że tak przypieczętował obietnicę.

Rozluźniła się i poczuła ciężar jego silnego ciała na sobie. Dotykał ją, jakby była rzadką egzotyczną orchideą. Między ich ciałami przepływała energia, pulsując i mieszając się z silną wonią suszonych ziół i kwiatów.

Jej ciało przeszył dreszcz, gdy Caleb wsunął dłoń między jej uda. Znieruchomiła.

- Chcę poczuć, jaka jesteś podniecona - wyszeptał.

Rozchyliła dla niego uda - początkowo z wahaniem, a potem z rosnącą ekscytacją. Czowała jego ciepłą dłoń sunącą wzdłuż pończochy aż do nagiej skóry nad podwiązką. Wrażenie wywołane jego dotykiem było nie do zniesienia. Drżała z podniecenia.

- Masz w sobie wszystko to, co prawdziwy alchemik chciałby kiedykolwiek wynaleźć - powiedział Caleb. W jego słowach brzmiał podziw. - Wszystkie tajemnice północy i ognia.

Pięścił ją delikatnie, zmysłowo docierając do najwrażliwszych miejsc jej ciała - tych odkrytych i ukrytych - oczarowując ją zupełnie. Wciągnęła powietrze. Napięła wszystkie mięśnie. Ekscytacja i pożądanie mieszały się z egzotyczną energią wydzielaną przez to miejsce. I nagle nie wiedziała już, gdzie się kończy realny świat i zaczyna to, co paranormalne.

Chciała poznać Caleba tak samo, jak on poznawał ją. Sięgnęła instynktownie w dół. Gdy dotknęła spodni, przekonała się, że są już rozpięte. Jej palce natrafiły na wyprężoną męskość. Zaskoczona, cofnęła dłoń.

Caleb znieruchomiał.

- Jestem dla ciebie niezbyt... odpowiedni? - spytał. Jego głos wydał jej się jakby bezbarwny. Wyczuła ból ukryty pod maską silnego opanowania.

- Jesteś bardziej niż... odpowiedni. - Przyłgnęła twarzą do jego piersi, wdzięczna za ciemność przysłaniającą jej rumieniec. - Tylko nie spodziewałam się, że... to tak...

Poczuła, że jego pierś drży.

- Nie waż się ze mnie śmiać, Calebie.
- Nigdy bym się nie ośmielił - odparł.
- Przecież czuję, że się śmiejesz.
- Uśmiecham się, a nie śmieję. To duża różnica.

Chciała się jeszcze o to sprzeczać, ale zaczął ją znowu pieścić. Jej ciało przeszywały dreszcze tak wspaniałe, że nie mogła myśleć. Czowała, że zaraz uleci w samo serce niesamowitej burzy. Wiedziona impulsem ujęła w dłoń jego męskosc, nie przejmując się wielkoscia. Usłyszała chrapliwy oddech Caleba.

- Sprawiałam ci ból - powiedziała, puszczając go natychmiast.
 - Nie - odparł, zgrzytając zębami.
- Spróbowała go znowu dotknąć. Jęknął i ją pocałował.
- Chodź do mnie - powiedział.

Pieścił ją powoli, aż samo ciepło jego rąk wyzwoliło w niej tyle pasji, że wszystko wokół niej zawirowało. Zgromadzone w niej napięcie znalazło ujście w postaci rozgrzanego do białości błysku energii, który nie przypominał niczego, co do tej pory znała. Caleb wszedł w nią szybkim ruchem.

Przez jeden trudny do zniesienia moment ból mieszał się w niej z niewysłowioną wprost rozkoszą i cała masa ognistych dreszczy przeszła jej ciało. Zalewały ją kolejne gwałtowne fale. Zrozumiała wtedy, że to Caleb wyzwolił tę energię.

Zupełnie jakby puściła tama. Namiętność porwała ją w swe odmęty, zatapiając ból i grożąc stępieniem zmysłów. Gwałtowne prądy pulsowały w niej coraz silniej, w miarę jak Caleb wchodził w nią raz po raz. Miała wrażenie, że powinna w jakiś sposób na to odpowiedzieć.

Wbiła paznokcie w jego ramiona i zebrała w sobie całą moc. W mroku nocy zderzyły się przeciwne prądy. W uścisku walczyły ze sobą dwa rodzaje energii. Caleb miał wprowadzić siłę fizyczną, lecz ona odkryła szybko, iż dysponuje własną kobiecą bronią.

Przez jedną pełną udręki chwilę bała się, że zniszczą się nawzajem. Tak gwałtownie energia każdego z nich reagowała na rozkosz, której doświadczali.

A gdy katastrofa zdawała się nieunikniona, Lucinda poczuła, że dwa strumienie mocy spletają się razem, że wzajemnie się wzmacniają i podtrzymują, wytwarzając wspólnie siłę znacznie większą, niż każde z nich było zdolne wytworzyć osobno.

- Lucindo. - Głos miał chrapliwy, jakby był bardzo słaby albo cierpiący.

Otworzyła oczy. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że niemal widziała iskry w jego źrenicach.

- Lucindo.

Tym razem w jego głosie brzmiało zaniepokojenie.

Mięśnie pleców miał twarde jak granit. Z jego ust wyrwał się stłumiony krzyk. A potem osiągnął spełnienie, wyzwalał w jej ciele kolejną, słabszą tym razem falę przyjemności. Lucinda poczuła, że w tej jednej chwili ich aury zlewają się w jedność.

18

Czyjeś przytłumione głosy - szept i miękki, namiętny śmiech kobiety - wyrwały Caleba z zadumy. Przez kilka sekund nasłuchiwał, starając się ustalić, skąd dobiegają hałasy. Nadchodząca para znajdowała się jeszcze dość daleko, ale kierowała się zdecydowanie w stronę szopy.

Usiadł, wyswobadzając się ostrożnie z objęć Lucindy. Poślanie z ziół zaszeleściło pod jego surdudem. Woń kwiatów pomieszała się z zapachem ekstazy.

Lucinda poruszyła się i otworzyła oczy. W świetle księżyca Caleb działał jej rozmarzone spojrzenie. Uśmiechnęła się. Wyglądała na bardzo z siebie zadowolona. Przyłożyła palec do jego ust.

Chwycił jej rękę, ucałował ją szybko i wyszarpnął z kieszeni chustkę. Ostrożnie wytarł nią Lucindę, pomógł jej się podnieść i podał jej okulary.

- Musisz się ubrać - powiedział jej wprost do ucha.

- Mm...

Zupełnie się nie spieszyła. Schylił się więc, podniósł suknię i zabrał się do ubierania Lucindy. Wprawdzie zdążył już w swoim życiu rozebrać kilka kobiet, lecz nigdy dotąd nie próbował żadnej ubierać. Teraz odkrył, że jest to znacznie bardziej skomplikowane, niż mu się wydawało. Od razu dał się zauważyć jego brak doświadczenia.

- Dlaczego, u diabła, kobiety noszą takie ciężkie stroje? - wymamrotał, zapinając haftki.

- Możesz być pewien, że moja suknia jest o wiele lżejsza niż większość tych, które mają na sobie damy na sali balowej. Wiedz też, że nie dość, iż nie noszę gorsetu, to moja bielizna i halki spełniają wymagania stawiane przez Towarzystwo Rozsądnego Stroju. Ważą mniej niż trzy i pół kilo.

- Wierzę ci na słowo - odrzekł.

Wyczuł, że Lucinda powstrzymuje śmiech. Wciąż nie zdawała sobie sprawy, iż grozi im niebezpieczeństwo. Przyszło mu do głowy, że może nie słyszała głosów zbliżającej się pary.

- Są tu w pobliżu dwie osoby - powiedział, przykładając usta do jej ucha. - Idą do szopy, zamierzając niewątpliwie wykorzystać ją w podobny sposób, jak my. Drzwi są zabezpieczone, ale oni mogą nas usłyszeć.

Te słowa przyciągnęły jej uwagę.

- Wielkie nieba. - Pospieszenie schyliła się, podniosła spódnice i poprawiła pończochy.

Caleb zajął się zapinaniem spodni. Następnie włożył koszulę i kamizelkę i zawiązał halsztuk. Szybko i z łatwością, bo mężczyźni w rodzinie Jonesów nie mieli cierpliwości do korzystania z usług

lokaja. Podniósł surdut ze sterty pogniecionych ziół i szybko go włożył. Uśmiechnął się do siebie, gdy poczuł ciężki, aromatyczny zapach Lucindy.

- Moje włosy! - szepnęła przerażona. Nerwowymi ruchami próbowała spiąć długie pasma, które wymknęły się ze starannie ułożonej fryzury. - W żaden sposób nie uda mi się doprowadzić ich do ładu!

Caleb słyszał teraz bardzo wyraźnie głosy na zewnątrz. Położył dłoń na ustach Lucindy. Znieruchomiała w mgnieniu oka. Ktoś szarpnął za klamkę.

- Jasny gwint! - jęknął mężczyzna. - Ta cholerna szopa jest zamknięta. Musimy gdzie indziej poszukać sobie spokojnego miejsca, moja droga.

- O nie! Nie ma mowy o jakimś ciemnym zakątku w ogrodzie - powiedziała ostro kobieta. - Kompletnie zniszczę sobie suknię. Plamy z trawy nigdy nie schodzą.

- Jestem pewien, że znajdziemy coś odpowiedniego - rzekł szybko mężczyzna.

- Równie dobrze możemy wrócić do sali. I tak odeszła mi już ochota na amory. Wolałabym raczej kieliszek szampana.

- Ależ moja droga...

Głosy cichły w miarę, jak para się oddalała.

- Nie sądzę, żeby wieczór tego mężczyzny skończył się równie miło jak mój - stwierdził Caleb.

Lucinda zignorowała tę uwagę.

- Nie mogę wrócić do sali w takim stanie. Musisz odprowadzić mnie do powozu. Lady Milden odwiezie Patrycję do domu.

- Nie ma potrzeby panikować, Lucindo. - Caleb czuł, że znowu całkowicie panuje nad sytuacją. Usunął krzesło spod klamki. - Zajmę się wszystkim.

Fakt, rozwiązywanie problemów przychodziło mu bez wysiłków, co stwierdził nie bez pewnej dumy. Wziął Lucindę za rękę i wyprowadził ją z szopy.

Na szczęście znalazł posiadłość Ware'a równie dobrze, jak swoją własną. Bez trudu przeszli bocznymi alejkami, obok kuchni i wejścia sprzedawców, aż na podjazd.

Przed domem stało kilka karoc i powozów, widząc Lucindę i Caleba, Shute przerwał rozmowę z innymi woźnicami. Na powitanie dotknął palcami kapelusza.

- Jest pani gotowa wracać, madame? - spytał. Szybkim spojrzeniem obrzucił jej wymiętą suknię i potargane włosy, ale powstrzymał się od komentarzy.

- Tak - odrzekła zdecydowanym tonem. - Pospieszmy się.

Shute otworzył drzwi i opuścił schodki.

- A co z panną Patrycją?

- Pan Jones poprosi, żeby lady Milden odwiozła ją do domu. Prawda, panie Jones?

- Nie omieszka - zapewnił Caleb, rozbawiony jej zdenerwowaniem.

- Aha! I gdyby pan był łaskaw poprosić również, żeby zabrała mój płaszcz.

- Zrobię to - obiecał Caleb.

Lucinda zebrała pogniecione spódnice i weszła po schodkach do powozu. Caleb oparł się o drzwi i zajrzał do środka, wdychając jeszcze przez chwilę jej zapach.

- Przyjadę jutro o zwykłej porze - powiedział.

- Co? - Sprawiała wrażenie lekko zaskoczonej. - A tak, chodzi o raport.

- I śniadanie. To bardzo ważny posiłek, tak mi powiedziano. Dobranoc, panno Bromley. Miłych snów.

Zamknął drzwiczki i odsunął się od pojazdu. Shute skinął mu głową, wspiął się na kozioł i wziął do ręki wodze.

Caleb patrzył za powozem, dopóki nie zniknął we mgle. A potem zawrócił w stronę domu. Wszedł bocznym wejściem.

Kierował się właśnie ku schodom dla służby, prowadzącym na balkon, gdy zatrzymał go znajomy głos dobiegający z holu.

- Może miałbyś ochotę na kieliszek porto? - spytał Gabe. - Zaproponowałbym ci też partyjkę bilarda, ale wiem, jaki jest ostatnio twój stosunek do gier hazardowych.

Odwrócił się i zobaczył kuzyna w drzwiach pokoju bilardowego. Za Gabe'em stał Thaddeus z kijem w rękę. Obaj mężczyźni nie mieli na sobie surdutów, zdążyli już rozluźnić halsztuki, a rękawy ich koszul były podwinięte.

- Co wy tu robicie, u diabła? - zdziwił się Caleb. - Myślałem, że krązycie po sali balowej.

- Leona i Venetia zlitowały się nad nami. Zrobiliśmy sobie krótką przerwę, gdy one zajmują się podstarzałymi matronami - wyjaśnił Thaddeus.

- Kieliszek porto to świetny pomysł. - Caleb ruszył w stronę mężczyzn. - Partyjka bilardu też. Zakładam, że stawka jest interesująca?

Thaddeus i Gabe wymienili spojrzenia.

- Od miesiący nie grałeś z nami w bilard - stwierdził Gabe.

- Bo byłem zajęty. Nie miałem czasu. - Caleb zdjął surdut i powiesił go na oparciu krzesła. - Jaka jest stawka?

Gabe i Thaddeus znów popatrzyli na siebie.

- Przecież nigdy nie robisz zakładów - zauważył Gabe. - Uważasz, zdaje się, że gry hazardowe są zbyt nieprzewidywalne.

- Bilard nie jest grą hazardową. - Caleb podszedł do stojaka i wybrał sobie kij. - Nie mam nic przeciwko zakładom od czasu do czasu, pod warunkiem że mogę ocenić prawdopodobieństwo wygranej.

- Dobrze - powiedział Thaddeus, spoglądając na Caleba stojącego po drugiej stronie stołu. - Powiedzmy... sto funtów? W końcu to tylko przyjacielska partyjka między nami kuzynami.

- Raczej tysiąc - zaproponował Caleb. - W ten sposób partyjka stanie się bardziej interesująca.

Thaddeus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Taki jesteś pewien wygranej?

- Dziś nie mogę przegrać - odparł Caleb.

Jakiś czas później Caleb ustawił kij w stojaku.

- Dziękuję wam. To była świetna rozrywka. Teraz, jeśli nie macie nic przeciwko, muszę odszukać lady Milden, a potem pojedę do domu. Ostatnimi czasy wcześniej wstaję.

- Z powodu dochodzenia? - zaciekawiał się Thaddeus.

- Nie - odrzekł Caleb. - Z powodu śniadania.

Gabe oparł się o stół.

- Od miesiący nie grałeś w bilard, a jednak dzisiaj udało ci się wygrać tysiąc funtów od każdego z nas. Skąd taka zmiana?

Caleb zdjął surdut z krzesła i go włożył.

- Czułem po prostu, że szczęście mi sprzyja. - Ruszył w stronę drzwi.

- Jeszcze jedno, kuzynie, zanim wyjdiesz - odezwał się Gabe.

Caleb obejrzał się przez ramię. Stał już w drzwiach.

- Co takiego?

- Chyba powinieneś strzepnąć te suche liście z surduta, zanim wrócisz do sali - zaproponował Thaddeus z poważną miną.

- Czyż to nie zgniecione kwiaty masz we włosach? - dodał Gabe.

- Jestem pewien, że w tym sezonie nie są modne.

19

Pani Shute otworzyła drzwi, zanim jeszcze jej mąż zatrzymał powóz. Zbiegła po schodach odziana w szlafrok i nocny czepek. W ręku miała czarną skórzaną torbę. W blasku pobliskiej lampy gazowej Lucinda zobaczyła, że na jej twarzy maluje się niepokój.

- Nareszcie pani wróciła, panno Bromley! - wykrzyknęła gospodyni. - Spodziewałam się pani dużo wcześniej. Posłałabym wiadomość, ale nie było nikogo, kto mógłby ją doręczyć o tej porze.

- O co chodzi? - spytała Lucinda szybko.

- Moja siostrzenica z Guppy Lane - zaczęła pani Shute - zawiadomiła mnie godzinę temu, że chłopiec sąsiadów, mały Harry, ma

wysoką gorączkę i trudności z oddychaniem. Jego matka jest przerażona do nieprzytomności.

- Zaraz tam pojedę - oznajmiła Lucinda uspokajająco. - Daj mi torbę.

- Dziękuję pani. - Z wyrazem ulgi na twarzy pani Shute podała jej torbę. Zrobiła krok do tyłu i stanęła w miejscu, marszcząc brwi. - Pani włosy, madame. Co się z nimi stało?

- Miałam wypadek - odrzekła krótko Lucinda.

Shute strzelił lejcami. Powóz potoczył się w mglistą noc. Lucinda zapaliła lampę, otworzyła torbę i szybko sprawdziła jej zawartość. Były tam wszelkie fiołki i paczuszki, które zazwyczaj zabierała, łącznie z tymi, których używała do sporządzenia pary przynoszącej ulgę przy zastoju płuc u dzieci. Gdyby potrzebowała czegoś silniejszego, Shute pojedzie do domu, żeby to przywieźć.

Zadowolona, że jest dobrze przygotowana, usiadła wygodnie i zaczęła obserwować krajobraz za oknem. Budyńki i powozy wyłaniały się z mgły, by po chwili ponownie się w niej pogryźć. Szare tumany tłumiły stukot końskich podków i turkot powozu.

Wezwanie z Guppy Lane wyrwało ją z marzeń, w jakich się pogryzła, wracając z balu. Ledwie mogła uwierzyć, że oddała się Calebowi. I to ni mniej, ni więcej, tylko w szopie do suszenia ziół. Czytała wiele powieści romantycznych, lecz w żadnej z nich nie znalazła sceny, w której główni bohaterowie urządzają sobie schadzkę w szopie!

Schadzka. Miała schadzkę z Calebem. Ta świadomość przyprawiła ją o zawrót głowy.

Lucinda wiedziała, że to nie fizyczne zbliżenie - choć ekscytujące - wzburzyło jej zmysły. Jej ciało uspokoiło się już po tym wspaniałym przeżyciu, ale wciąż czuła się zdezorientowana i dziwnie oszołomiona. Jej zmysły nadal były rozbudzone. Miała wrażenie, że psychiczna energia, jaką ona i Caleb wyzwolili, kochając się, wciąż ją wypełnia. Intuicja mówiła jej, że ta więź będzie ich łączyć do końca życia. Zastanawiała się, czy Caleb także odczuwa coś podobnego.

Shute zatrzymał powóz przed małym domkiem. Był to jedyny budynek, w którym paliło się światło, wszystkie inne pograżone były

w mroku, a ich mieszkańcy spali od dawna. Za godzinę lub dwie, kiedy arystokraci będą wracać z przyjęć i klubów, mieszkańcy tej dzielnicy zaczną się budzić. Zjedzą proste śniadanie, po czym wyruszą do londyńskich sklepów, fabryk i rezydencji do pracy. To znaczy ci, którzy mieli szczęście, pomyślała Lucinda. Bo w Londynie pracy zapewniającej środki do życia nie było znowu tak wiele.

Shute otworzył drzwi.

- Zaczekam przy koniu, jak zwykle, panno Bromley.

- Dziękuję. - Wzięła do ręki torbę i uśmiechnęła się blado. - Nie wygląda na to, żeby któreś z nas miało spać tej nocy.

- Nie pierwszy raz, prawda?

Drzwi domu się otworzyły. Pojawiła się w nich zaniepokojona Alice Ross w czepku i splewiałym szlafroku.

- Dzięki Bogu, to pani, panno Bromley - powiedziała. - Przepraszam, że wezwałam panią o takiej porze, ale nie bałam się tak, odkąd Annie zachorowała na Boże Narodzenie.

- Nie przejmuj się porą, Alice. Przykro mi, że nie mogłam przyjść od razu, ale nie było mnie w domu, gdy przyszła wiadomość.

- Tak, madame, to widać. - Kobieta obrzuciła nieśmiałym, lecz pełnym podziwu wzrokiem suknię w kolorze kobaltowego błękitu. - Ślicznie pani wygląda.

- Dziękuję - odrzekła Lucinda. Wyminęła Alice i podeszła do małej postaci na leżance przy kominku. - Tu jesteś, Harry. Jak się czujesz?

Chłopiec popatrzył na nią. Twarz miał zarumienioną od gorączki.

- Trochę mi słabo, panno Bromley.

Oddech miał charczący i ciężki, często słyszała taki u chorych dzieci.

- Wkrótce będzie lepiej - zapewniła. Postawiła torbę na piecu, otworzyła ją i wyjęła paczuszkę. - Alice, zagotuj trochę wody. Podamy mu lekarstwo i szybko mu się poprawi.

Harry zerknął na nią spod oka.

- Bardzo ładnie pani wygląda, panno Bromley.

- Dziękuję, Harry.
- Ale co się stało z pani włosami?

Caleb zdjął surdut, kamizelkę i krawat. Zagapił się na duże łóżko z baldachimem. Akt miłosny przyniósł mu uczucie pogody ducha i rozluźnienia, jakich nie zaznał od miesięcy. Początkowo zamierzał to wykorzystać i położyć się w sypialni, której nieczęsto używał.

Teraz jednak się wahał. Chciało mu się spać, ale optymizm, który ogarnął go po fizycznym odprężeniu, zaczął go opuszczać.

Jego miejsce zajęło inne uczucie i podstępnie pozbawiło go krótkiej chwili wytchnienia. Znow miał wrażenie, że jest zupełnie bezbronny. Uczucie to było jeszcze słabe i różniło się od zwykłej melancholii, ale wiedział, że nawet jeśli się teraz położy, i tak nie zaśnie.

Wyszedł z sypialni i zszedł na dół do laboratorium. Zapalił jedną z lamp i ruszył w stronę sejfu. Pokręcił gałką, wprowadzając skomplikowany szyfr i otworzył drzwiczki. Wyjął z sejfu dziennik Erasmosa Jonesa oraz notes.

Usiadł przed zimnym kominkiem, zdjął złote spinki i podwinął rękawy koszuli. Siedział tak przez chwilę, wpatrując się w zeszyty. Każdy z nich czytał kilkakrotnie od początku do końca. Papierowe zakładki zaznaczały fragmenty, które wydawały mu się ważne.

Początkowo zabrał się do tego zadania z dużym entuzjazmem - jak zawsze, gdy miał przed sobą skomplikowany problem czy zagadkę. Na pewno znajduje jakiś schemat, powtarzał sobie. Zawsze jest jakiś schemat.

Odcyfrowanie skomplikowanego kodu, którym pradziadek napisał swój dziennik, zajęło mu miesiąc. Tyle samo potrzebował, żeby rozpracować kod w notesie Sylwestra. Ten szyfr w żaden sposób nie przypominał innych, jakich ten stary drań używał w pozostałych dziennikach i dokumentach.

Jednakże w ślad za tymi budzącymi nadzieję sukcesami nie przyszło nic, co zachęciłoby go do dalszej pracy. Dziennik Erasmosa był relacją człowieka, który stopniowo stawał się coraz większym ekscentrykiem i powoli pograżał się w obłądnie. Notes Sylwestra

natomiast okazał się zupełnie niezrozumiały. Zdawał się zawierać zagadki wplecione w jeszcze inne zagadki... Niekończący się labirynt bez wyjścia. A jednak do końca życia Erasmus wierzył, że w tym notesie kryje się sekret, który wyleczy go z obłądu.

Otworzył notes na chybił trafił i w myślach przetłumaczył fragment tekstu.

„...Przeobrażenie czterech elementów fizycznych nie będzie osiągnięte, dopóki nie zostaną rozwikłane tajemnice piątego elementu, znanego starożytnym jako eter. Tylko ogień może ujawnić tajemnice...”

Typowe alchemiczne bzdury, pomyślał. Notes wydawał się ich pełen. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że coś umyka jego uwagi. Co tak fascynowało Erasmusa w tym cholernym notesie?

Nieprzyjemne uczucie niepokoju przybierało na sile. Pojawił się strach. Nie mogąc się skoncentrować, Caleb zamknął notes i wstał zza biurka.

Stał tak przez chwilę, próbując się skupić na sprawie Hulseya. Ale gdy nie udało mu się uporządkować myśli, ruszył w stronę karafki z brandy, stanowiącej ostatni ratunek, do którego od pewnego czasu uciekał się coraz częściej.

W połowie pokoju się zatrzymał. Może raczej powinien przygotować trochę naparu zaleconego przez Lucindę. Tego, który miał łagodzić zaburzenia aury. Uznał, że dziś rzeczywiście odczuwa pewne napięcie. Nie był wprawdzie przekonany, że diagnoza Lucindy była słuszna, ale nie ulegało wątpliwości, że po poprzedniej porcji naparu poczuł się lepiej.

Lucinda. Wspomnienie chwil spędzonych w szopie nie rozgrzewało mu już krwi. Właściwie czuł teraz lodowate zimno w żyłach.

Lucinda!

I nagle jakiś głos, ten którego nigdy nie śmiał kwestionować, powiedział mu, że Lucindzie grozi niebezpieczeństwo.

Inhalacja szybko przyniosła efekty i po kilku minutach Harry zaczął miarowo oddychać, zamiast spazmatycznie łąpać powietrze.

- To powinno wystarczyć. - Lucinda wstała, szamocząc się nieco z zawadzającymi jej obfitymi spódnicami. Uśmiechnęła się do Alice Ross. - Zostawię ci tyle ziół, ile trzeba, by przetrwał kryzys. Ale sądzę, że szybko wyzdrowieje.

- Nie wiem, jak pani dziękować, panno Bromley - cieszyła się Alice. Ulga złagodziła nieco rysy jej zmęczonej twarzy.

- W charakterze podziękowania proszę wysłać Harry'ego do szkoły, gdy tylko wróci do zdrowia.

Z ust leżącego na łóżku chłopca wydobył się pełen niechęci jęk.

- Wolę sprzedawać na rogu „Latającego Szpiega”, przynajmniej coś zarobię.

- Szkoła to inwestycja. - Lucinda zamknęła torbę. - Jeśli teraz będziesz do niej chodził, to w przyszłości zarobisz o wiele więcej pieniędzy, niżbyś zdołał, sprzedając gazety.

Gilbert Ross, postawny mężczyzna trudniący się stolarstwem, wyłonił się z ciemności za plecami Alice.

- Wróci do szkoły, jak tylko wyzdrowieje - obiecał. - Nie musi się pani o to martwić, panno Bromley.

Lucinda się roześmiała i pochyliła, by zmierzić chłopcu włosy.

- Bardzo się cieszę. - Wyprostowała się, podniosła torbę i ruszyła do wyjścia. - Życzę wam wszystkim dobrej nocy, choć zdaje mi się, że jest już prawie ranek.

Gilbert otworzył przed nią drzwi.

- Bardzo dziękuję. Zapłacę pani za uprzejmość tak jak zwykle. Jak tylko będzie pani miała jakieś prace stolarskie, proszę po mnie przysłać.

- Wiem. Dziękuję, Gilbercie.

Wyszła z domu i stwierdziła, że gdy zajmowała się Harrym, mgła zrobiła się gęstsza. Ledwie dostrzegąca zarys swojego powozu.

Ruszyła do pojazdu, gdy coś ją zaniepokoiło. Było to intensywne uczucie chłodu. Powinnam była zabrać płaszcz, zanim pozwoliłam Calebowi odprowadzić się do powozu, pomyślała. Dlaczego o tym zapomniała? Och, dobrze znała odpowiedź na to pytanie. Myślała jedynie o tym, co stało się między nią a Calebem i o więzi, która ich łączyła.

Wspomnienia namiętnego zbliżenia pojawiły się jej w głowie, ale - dziwna rzecz - wcale jej nie rozgrzały. Właściwie to nawet zrobiło jej się chłodniej i to w jakiś nienaturalny sposób.

Spowita w płaszcz postać przy balustradzie wyprostowała się szybko podeszła do powozu. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, tylko otworzył drzwi i opuścił schodki.

Shute zawsze ją witał. I zwykle miał też coś do powiedzenia osobie, od której wychodziła. Ale tym razem nie pomachał nawet ręką Gilbertowi, który nadal stał w progu.

Poczucie, że coś jest nie w porządku, przybierało na sile.

Usłyszała, jak drzwi zamykają się za jej plecami. Najwyraźniej Gilbert był już spokojny, że znalazła się pod opieką Shute'a. Ze strachu ścisnęła jej się żołądek.

Chciała się już znaleźć w przytulnym wnętrzu powozu, ale bez żadnego logicznego powodu zatrzymała się nagle, ledwie jard od schodków. Ten mężczyzna nie przypominał Shute'a. Płaszcz nie leży na nim tak, jak powinien, pomyślała. Był za ciasny w ramionach, a także za krótki. Kapelusz też nie pasował. Shute nosił swój przekrzywiony zupełnie inaczej.

Kimkolwiek był ten mężczyzna, na pewno nie był Shute'em.

Zawróciła, zamierzając pobiec do domu Rossów i walić w drzwi.

- Nie, nie robi pani tego - warknął fałszywy Shute.

Silna ręka w rękawiczce zakryła jej usta i przyciągnęła do muskułarnej klatki piersiowej.

Lucinda wyrywała się jak oszalała, próbując kopnąć napastnika, lecz nogi zaplątały jej się natychmiast w spódnicę i halki.

- Przestań się rzucać, durna damulko, albo rozwałę ci łeb. - Bandyta mówił przyciszonym głosem. Pociągnął ją bliżej powozu. - Do stu diabłów! Pomóż mi, Sharpy - powiedział do kogoś. - Te piekielne spódnice mi przeszkadzają. Ciągle się o nie potykam.

- Wezmę ją za nogi - zaproponował drugi mężczyzna. - Uważaj, żeby nie przestraszyć konia. Ostatnie, czego nam trzeba, to żeby powóz odjechał.

Lucinda uświadomiła sobie, że wciąż trzyma torbę w lewej ręce. Nerwowo próbowała ją otworzyć. Napastnicy nie zwracali na to uwagi. Dla nich liczył się tylko fakt, że przestała się wrywać. Drugi mężczyzna chwycił ją teraz za stopy i je podniósł. Udało jej się odpiąć pierwszy pasek torby.

- Szybciej. - Człowiek w płaszczu Shute'a przytrzymał otwarte drzwi. - Wsadź ją do środka i zaknebluj, zanim ktoś wyjrzy przez okno.

Drugi z napastników, ten nazywany Sharpym, próbował przepchnąć Lucinę przez drzwi powozu. Jej tymczasem udało się rozpiąć drugi pasek torby.

Zanurzyła rękę we wnętrzu, próbując wymacać małą paczuszkę i modląc się w duchu, by się udało.

- Te przekłete spódnice zaczepiły się w drzwiach - syknął jeden z napastników.

- Nie przejmuj się, Perrett, wepchnę ją. Wsiadaj na kozła i zabieraj nas stąd czym prędzej.

Lucinda miała już w ręku paczuszkę. Rozerwała ją, wstrzymała oddech i zamknęła oczy.

Następnie rzuciła garść tego, co było w środku, w twarz mężczyzny trzymającego jej nogi.

Sharpy zawył, gdy sproszkowana mieszanka ostrej suszonej papryki zasypała mu oczy, nos i usta. Puścił stopy Lucindy i zaczął wrzeszczeć. Strasznie kaszlał i z trudnością łapał oddech.

- Co, u diabła? - zaklął zniecierpliwiony Perrett, nic nie rozumiejąc.

Wciąż nie otwierając oczu i czując, że pozbawione powietrza płuca rozsada jej ból, Lucinda cisnęła kolejną garść proszku za siebie w kierunku Perretta.

Mężczyzna krzyknął i natychmiast ją puścił. Lucinda upadła na ziemię, tłukąc sobie ramię i biodro. Suknia złagodziła nieco upadek, ale i tak ciało przeszły ból. Instynktownie zaczerpnęła powietrza, wdychając trochę proszku. Gardło zaczęło ją piec. Wturlała się pod powóz i ostrożnie otworzyła oczy.

Nie łzaawiły, ale obraz był zamazany - szamocząc się, Lucinda zgubiła okulary.

- Ta czarownica mnie oślepiła! - ryknął jeden z mężczyzn. - Nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać!

Jego kompan wył z bólu.

Lucinda usłyszała jeszcze inny głos. To Gilbert Ross, zaniepokojony wrzaskami, wyrzwał na ulicę.

- To jacyś obcy! - zawołał głośno. - Chcą porwać pannę Bromley!

Otworzyło się więcej drzwi. Pojawili się w nich mężczyźni w nocnych koszulach i szlafmycach. Widząc zamieszanie wokół znajomego powozu, ruszyli przed siebie.

Niedoszli porywacze zrozumieli chyba, że grozi im niebezpieczeństwo. Potykając się, uciekali przed rozwścieczonymi mieszkańcami Guppy Lane.

Kilku mężczyzn rzuciło się w ślad za nimi, lecz szybko zrezygnowali, przekonując się, że gołe stopy nie spisują się zbyt dobrze na kocich łbach.

- Panno Bromley! - krzyknęła Alice Ross.

Chwyciwszy spódnice, zbiegła pospiesznie po schodach do Lucindy.

Lucinda usiadła z dużym trudem z powodu niewielkiej, lecz sztywnej turniury. Pomyślała, że balowe suknie zdecydowanie nie nadają się do takich energicznych wyczynów. A po tym, co wyczyniała w szopie i po próbie porwania śliczny kobaltowy jedwab już nigdy nie odzyska urody.

- Panno Bromley, nic się pani nie stało? - spytała zaniepokojona Alice.

- Nie... chyba nie. - Zastanowiła się szybko. Serce waliło jej jak młotem, a gardło miała ściśnięte i piekące z powodu odrobiny paprykowego proszku, który wciągnęła z powietrzem. Była obolała po upadku na bruk. Ale żadna z tych dolegliwości nie była poważna.

Alice wyciągnęła ku niej rękę.

- Pomogę pani.

- Dziękuję. - Lucinda stanęła na nogach, uświadamiając sobie, że cała się trzęsie. Próbowwała skoncentrować się na obecnej sytuacji. - Gdzie jest Shute? Boję się, że te łobuzy zrobiły mu coś strasznego. Jeden z nich ukradł mu płaszcz. Może go zabili.

Przerwał jej stukot końskich kopyt i łoskot kół pędzącego powozu. Wierzchem dłoni Lucinda przetarła oczy, próbując dojrzeć coś z rozmazanej sceny przed sobą.

Z mgły wyłonił się powóz. Zatrzymał się tuż przy nich i wyskoczyła z niego jakaś postać. Bez okularów Lucinda nie mogła rozpoznać twarzy, ale zmysły podpowiedziały jej, kto to jest.

- Caleb - wyszeptała.

Podbiegł do niej przez opary szarej porannej mgły. Długi płaszcz powiewał za nim niczym ciemna aura. Zdawał się nie zauważać zgromadzonych wokół ludzi. Jakby za sprawą czarów znikali po prostu z jego drogi.

Gdy dotarł do Lucindy, objął ją i mocno przytulił.

- Nic ci się nie stało? - spytał chrapliwie.

Syknęła, gdy jego dłonie ścisnęły jej obolałe ramię.

- Nie, proszę. Moje ramię.

- Niech to diabli! - Puścił ją szybko. - Jesteś ranna?

- Tylko trochę posiniaczona. Co tu robisz?

- Co się stało? - spytał, ignorując jej pytanie.

Dopiero teraz Lucinda zastanowiła się nad tym, co zaszło. Zmarszczyła czoło.

- Myślę, że ci dwaj mężczyźni chcieli mnie porwać. Podejrzewam, że mieli zamiar mnie obrabować.

- Bardziej prawdopodobne, że chcieli ją sprzedać do jakiegoś burdelu - stwierdziła grobowym tonem sąsiadka Alice. - W prasie ciągle piszą o takich historiach.

- Och, naprawdę, nie wydaje mi się - sprzeciwiła się Lucinda.

- Pani Badget ma rację - zawtórowała inna kobieta. - Nie dalej jak dwa dni temu był w „Latającym Szpiegu” artykuł o tym, że porwają eleganckie damy, a potem doprowadzają je do takiego stanu, że nie mają innego wyjścia, jak tylko pracować w burdelu.

Lucinda zgromiła ją wzrokiem.

- Może mi pani wierzyć, pani Childers, że nawet porwana i doprowadzona, jak to pani mówi, do takiego stanu, nie rozpocząłabym kariery w domu publicznym. Wręcz przeciwnie, bardzo by mnie to rozżłościło. Dokładnie tak. Zresztą nie jestem bezbronna. Proszę tylko spytać tych dwóch rzeźmieszków.

Kobiety wpatrywały się w nią z podziwem.

- Panna Bromley ma rację - odparła żywo Alice. - Ci dwaj płakali jak dzieci, gdy uciekali.

- Gdzie jest Shute? - spytała Lucinda, wpatrując się w mgłę.

- Znalazłem go! - krzyknął ktoś.

Wszyscy popatrzyli w kierunku, z którego dochodził głos. U wyjścia wąskiej alejki pojawił się Shute w towarzystwie jednego z sąsiadów. Chwiał się nieco, lecz szedł o własnych siłach, jak z ulgą zauważyła Lucinda.

Chciała podbiec do woźnicy, ale już po pierwszym kroku się potknęła. Upadłaby na ziemię, gdyby Caleb jej nie złapał.

- Skręciłaś sobie nogę? - spytał, jakby to była jej wina. Wziął ją na rękę.

- Nie, ale chyba złamałam obcas. Proszę, postaw mnie. Muszę zobaczyć, co z Shute'em.

- Jesteś pewna, że nie masz jakichś poważnych obrażeń?

- Tak, Calebie - zapewniła. - Jestem pewna. A teraz mnie postaw.

Niechętnie zrobił to, o co prosiła. Po chwili podbiegła do niej jakaś kobieta.

- Znalazłam pani okulary, panno Bromley - powiedziała. - Ale są pęknięte.

- W domu mam zapasową parę. - Lucinda pokuśtykała w stronę Shute'a, świadoma, że Caleb idzie tuż za nią. - Co ci zrobili, Shute?

- Bardzo przepraszam, panno Bromley. - Woźnica ostrożnie dotknął swojej głowy. - Zaszli mnie od tyłu. Leżałem na ziemi, zanim zrozumiałem, że oberwałem po głowie.

Lucinda obejrzała go uważnie, na tyle, na ile pozwalało jej słabe światło.

- Straciłeś przytomność?

- Nie. Tylko mnie oszołomili. Ale zanim zdążyłem zareagować, związali mnie jak kurczaka i zakneblowali.

- Rana ciągle krwawi i na pewno jesteś w szoku. Musisz znaleźć się w jakimś ciepłym pomieszczeniu.

- Niech pani go zabierze do naszego domu - zaproponowała Alice. - U nas jest bardzo ciepło.

- Dobrze. - Lucinda ostrożnie poprowadziła woźnicę do budynku. - Alice, czy mogłabyś przynieść moją torbę? Znajdziesz ją na ziemi obok powozu.

- Zaraz przyniosę - obiecała kobieta.

Z pomocą Caleba Lucinda pokierowała Shute'a do drzwi.

- Przyjrzałaś się napastnikom? - zapytał Caleb.

- Obawiam się, że nie mogę ich dokładnie opisać - odrzekła. - Wszystko działo się tak szybko. Ale obydwaj śmierdzieli tytoniowym dymem.

- Ten opis pasuje do każdego rzezimieszka w Londynie - mruknął Caleb.

- Jeden z nich nazywał się Sharpy, a drugi Perrett - dodała.

- Nie pochodzą z tej okolicy - stwierdził Gilbert Ross. - Jestem tego pewny.

- To nie ma znaczenia - oświadczył Caleb. - Znajdę ich.

- Jak? - spytała Lucinda, nie tyle kwestionując jego zobowiązanie, ile z zaciekawienia, jak też zamierza je zrealizować.

- W światku kryminalnym plotki rozchodzą się równie szybko, w klubach i salonach tak zwanych wyższych klas. - W oczach Caleba było coś ciemnego i dzikiego. - Wierz mi, Lucindo. Odnajdę ich.

21

Co, u diabła, zrobiłaś tym dwóm mężczyznom, że uciekli jak niepyszni? - spytał Caleb, zaintrygowany.

Lucinda spojrzała na niego znad filiżanki herbaty. Miała na nosie zapasowe okulary, które zwykle leżały w biurku, więc wyraźnie widziała twarz mężczyzny. Malowały się na niej surowość i powaga, law oczach - nieprzejednanie.

Znajdowali się w bibliotece. Była z nimi Patrycja, która wróciła do domu ledwie chwilę wcześniej i wciąż jeszcze miała na sobie balową suknię.

Caleb stał odwrócony plecami do okna. Zdążył już zdjąć długi płaszcz. Ku swemu zdumieniu Lucinda odkryła, że jest ubrany w te same koszulę i spodnie, które miał na balu. Najwyraźniej w ogóle nie kładł się spać. Koszula była rozpięta pod szyją, a rękawy podwinięte.

Musiał wyjechać z domu w wielkim pośpiechu, uznała Lucinda. Niestety ten strój przypominał jej o tym, co zaszło w szopie. Przypomniało jej się, jak wyglądał Caleb, gdy się nad nią pochylał. Gdy na niej leżał, wciskając ją w pachnące łóżko. Ledwie mogła się skoncentrować na rozmowie.

W końcu Patrycja odpowiedziała na pytanie Caleba.

- Przypuszczam, że Lucinda sypnęła im w twarze paprykowym pudrem. - Spojrzała na kuzynkę. - Mam rację?

- Tak. - Lucinda odstawiła filiżankę na spodek. - Matka i ja zawsze zabierałyśmy go ze sobą, gdy podróżowałyśmy z ojcem za granicę. Weszło nam to w nawyk. Oryginalną recepturę wynalazła mama, ale z biegiem czasu zmieniłam ją nieco, by wzmocnić efekty.

- Ja też go ze sobą noszę - powiedziała Patrycja do Caleba. - I moja matka także. Dama musi być ostrożna.

- Zazwyczaj mam pudełeczko z pudrem przy sobie - wyjaśniła Lucinda. Obrzuciła wzrokiem poplamiony i porwany błękitny jedwab balowej sukni. - Ale zapomniałam uprzedzić madame La-Fontaine, żeby wszyła w tę suknię kieszonkę. Musiałam zмагаć się z torbą, co bardzo skomplikowało sprawę.

Caleb pokręcił głową.

- Przypuszczam, że powinienem być zaskoczony, ale jakoś nie jestem. Wygląda na to, że kobiety w waszej rodzinie są bardzo niezależne.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że niemal cię dzisiaj porwano. - Patrycja aż się wzdrygnęła. - Nie mogę znieść tej myśli. I to w dodatku akurat na Guppy Lane. Zawsze mówiłaś, że jesteś tam bezpieczna.

- Bo jestem - powiedziała Lucinda. - Zapewniam cię, że ci bandyci nie mieszkają w tamtej okolicy. Rossowie lub ich sąsiedzi od razu by ich rozpoznali. Przypuszczam, że po prostu włóczyli się w nadziei, że trafi im się jakaś nieostrożna ofiara. Kiedy zobaczyli mój powóz, musieli dojść do wniosku, że będę łatwym celem. Można by powiedzieć, że po prostu trafiła im się okazja.

- Nie. - Caleb powiedział to cichym, poważnym głosem. - Nie była pani przypadkową ofiarą. To, co się dziś stało, było zaplanowaną próbą porwania. I gdyby im się powiodło, nie wątpię ani przez chwilę, że zostałyby pani zamordowana. Jutro czy pojutrze wyciągnięto by pani ciało z rzeki.

Lucinda zaniemówiła z wrażenia i wpatrywała się w niego. Filiżanka Patrycji głośno stuknęła o spodek. Dziewczyna spojrzała na Caleba z otwartymi z przerażenia ustami. Pierwsza doszła do siebie Lucinda.

- Dlaczegoż ci dwaj mieliby chcieć mnie zamordować? Jestem pewna, że nigdy wcześniej żadnego z nich nie spotkałam.

- Sądząc po opisie podanym przez mieszkańców Guppy Lane, ci dwaj to zwykłe uliczne rzezimieszki. Takich ludzi nie interesują

damy w powozach ani porwania. Za to ten, kto ich wynajął, pragnie pani śmierci.

Ramię Lucindy przeszył ból.

- Obawiałam się, że pan to powie.

- Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie - przypomniała Patrycja. - Dlaczego ktoś chciałby zabijać Lucy?

Caleb wydawał się doskonale opanowany i spokojny. Lucinda czuła emanującą od niego siłę. Na swój sposób Caleb był na polowaniu.

- Myślę, że nie ulega wątpliwości, iż osoba, która zleciła porwanie, odkryła, że prowadzę dochodzenie na rzecz pani kuzynki - odrzekł. - Ten ktoś obawia się, że pani kuzynka mogłaby mi udzielić cennych wskazówek pozwalających na odnalezienie doktora Basila i Hulsey'a. A jeśli uda mi się go odnaleźć, dotrę jednocześnie do ludzi, którzy finansują jego badania nad eliksirem Sylvestra.

Lucinda siedziała nieruchomo na sofie.

- Innymi słowy, ktoś z Zakonu Szmaragdowej Tablicy próbował mnie porwać i zamordować.

Caleb przytaknął lekkim skinieniem głowy.

- To bardzo prawdopodobne.

Lucinda zadrżała.

- Cóż, nie owija pan niczego w bawełnę.

- Nie mam tego zwyczaju, Lucindo. Wolałaby pani, żebym to zrobił?

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nie, oczywiście, że nie.

Skinął głową, usatysfakcjonowany.

- Tak też myślałem. Pod tym względem jest pani podobna do mnie. Woli pani prawdę.

- Przeważnie tak - powiedziała półgłosem.

Patrycja popatrzyła na kuzynkę.

- Ale to znaczy, że jesteś w niebezpieczeństwie, Lucy. Ten, kto wynajął opryszków, na pewno spróbuje jeszcze raz.

- Ale raczej nie w biały dzień - powiedział Caleb, zastanawiając się nad czymś. - I prawdopodobnie nie w tym domu. Biorąc pod uwagę sąsiadów i służbę, byłoby to zbyt ryzykowne. Proszę pamiętać, że nie bez powodu zaatakowali dopiero na Guppy Lane.

- Musieli obserwować dom - uznała Lucinda. - A potem śledzili mnie, czekając na okazję.

- Tak - przyznał Caleb. - I wątpię, by jeszcze kiedykolwiek zobaczyła pani któregoś z nich. Zakon Szmaragdowej Tablicy nie toleruje porażki.

Lucinda się wzdrygnęła.

- Myśli pan, że ich zabiją?

Caleb wzruszył ramionami.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło, choć możliwe, że pożyją jeszcze przez jakiś czas. Prawdę mówiąc, mam taką nadzieję.

- Dlaczego? - zainteresowała się Patrycja.

- Bo chciałbym im zadać kilka pytań. Jeśli mają choć trochę rozumu w głowie, to gdzieś się przyczają. Z tego co wiem, członkowie Zakonu rekrutują się spośród arystokracji. A takie osoby raczej nie mają kontaktów niezbędnych, żeby wytropić zwykłych rzezimieszków, jeśli ci chcą pozostać w ukryciu.

Lucinda uniosła brwi.

- Ale pan ma tego typu kontakty?

- Jeden lub dwa - odparł. - Daleko od liczby, której, jak myślę, będę potrzebował w przyszłości. Wydaje się rzeczą oczywistą, iż agencja nie obejdzie się bez ich usług.

- Niezbyt miła perspektywa - zauważyła Lucinda.

- W każdym razie nie mogę towarzyszyć pani i panie Patrycji przez cały czas - ciągnął. - Dlatego zamierzam zatrudnić kogoś, żeby was pilnował.

Lucindę ogarnął strach.

- Myśli pan, że Patrycji też grozi niebezpieczeństwo?

- Celem jest pani - oświadczył. - Ale na miejscu osoby, która kryje się za dzisiejszymi wydarzeniami, uznałbym pani kuzynkę za doskonałą przynętę.

- Tak, oczywiście - wyszeptła Lucinda. - Nie pomyślałam o tym.

Patrycja była zdecydowanie pod wrażeniem.

- Nie chciałabym pana obrazić, panie Jones, ale pański sposób rozumowania jest dość pokrętny.

- Nie pani pierwsza zwraca mi uwagę na ten niefortunny nawyk - przerwał i zerknął na zegarek. - Dochodzi siódma. Muszę natychmiast wysłać wiadomość. Chcę, żeby strażnik zjawił się tu jak najwcześniej. Sam muszę zająć się innymi aspektami dochodzenia.

Lucinda odstawiła filiżankę.

- Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z ochroną. Nie bardzo wiem, jak należy postępować z taką osobą.

- Niech go pani uważa za lokaja - oznajmił Caleb. Otworzył szufladkę biurka i wyjął kartkę. - Innymi słowy, proszę zawsze mieć go u boku.

22

Ira Ellerbeck podniósł umocowane na delikatnych zawiasach wieko maleńkiej złotej tabakierki wysadzanej szmaragdami. Wyćwiczonym ruchem wziął szczyptę żółtawego proszku, posypał nim wierzch dłoni, uniósł do nosa i wciągnął.

Odkąd wynaleziono papierosy i cygara, wdychanie tabaki wyszło z mody. Osobiście zresztą uważał ten nałóg za obrzydliwy i to w każdej formie. I to nie sproszkowany tytoń nosił w małej tabakierce. Narkotyk, który tam przechowywał, był znacznie silniejszy i o wiele bardziej niebezpieczny.

Natychmiast poczuł, jak wyostrzają mu się zmysły i skupił się na wchłanianiu prądów energii wypełniających cieplarnię. Grządki wywołujących wizje kaktusów, grzybów psylocybionowych, belladonna, mięty tureckiej, lulka czarnego, maków i wielu innych gatunków - wszystkie starannie wyhodowane i skrzyżowane dzięki

jego unikalnemu talentowi tak, by wzmocnić ich toksyczne i oszłamniające właściwości. Rośliny wydzierały do atmosfery swoją mroczną energię. Nagle jego nerwy się uspokoiły, a pewność siebie powróciła.

Spojrzał na syna. Allister przechadzał się wzdłuż stołu z wyrazem rozmarzenia na twarzy

- Co nie wyszło? - spytał Ellerbeck, panując znów nad sobą. Przynajmniej na razie.

- Tych dwóch opryszków, których wynająłem, nawaliło. - Usta Allistera wykrzywiły się z pogardą. - Z tego co mówią na Guppy Lane, panna Bromley oszołomiła ich jakąś substancją, która piekła w oczy i sprawiła, że nie mogli oddychać. Zrobiło się zamieszanie i mieszkańcy przyszli jej z pomocą.

Irę ogarnęła wściekłość. Wielkim wysiłkiem woli opanował to uczucie. Narkotyk miał pewne przykre efekty uboczne - poza chwilowym wzmocnieniem zmysłów psychicznych nasilał też gwałtowne emocje. Niestety Ira odkrył ten problem dopiero po tym, jak zaczął go podawać Allisterowi. Dla nich obu było już za późno. Nadzieja malała z każdym dniem. Zostało mu najwyżej kilka miesięcy życia. A jeśli Hulsey szybko nie dopracuje receptury, to samo spotka jego syna.

- Musisz się ich pozbyć - oświadczył. - Bo jeśli Jones do nich dotrze...

- O to się nie martw. - Allister uśmiechnął się, ciesząc się już z perspektywy dwóch kolejnych zabójstw. - Dziś wieczorem zajmę się Sharpym i Perrettem. Mało prawdopodobne, żeby przedtem poszli na policję. Musieliby się przyznać, że chcieli porwać tę babkę. A nawet gdyby Jones ich odnalazł, nic nam nie grozi. Nie mają pojęcia, kim jestem. Zostali zatrudnieni, żeby porwać pannę Bromley i sprzedać ją potem do burdelu. Jak widzisz, pomyślałem o wszystkim.

- Psiakrew, czy ty niczego nie rozumiesz?! Problem w tym, że Caleb Jones wie, iż ktoś chciał porwać córkę Bromleya. Dlatego zatrudnił osiłka, który ma jej pilnować.

Myślał, że wyeliminowanie aptekarki wszystko załatwi. Że jak tylko wyjdzie na jaw, iż Daykin zajmowała się sprzedażą trucizny. Jones uzna sprawę za zakończoną. Ale on kontynuował dochodzenie.

Ellerbeck, zdesperowany, postanowił pozbyć się Lucindy. A teraz i ten plan spalił na panewce.

Godzinę temu dostał wiadomość od Thaxtera. Tego ranka plotkowano w klubach, że Caleb Jones wydaje się żywo zainteresowany Lucinda Bromley. Istniało tylko jedno logiczne wyjaśnienie tego stanu rzeczy. I to takie, któremu daleko od romantyczności. Najwyraźniej Jones polował.

- Dlaczego myślisz, że Edmund Fletcher ma ją ochraniać? - spytał Allister. - Dziś po południu rozmawiałem z pokojówką przy Landreth Square. Powiedziała, że to przyjaciel rodziny i zostanie jakiś czas u panny Bromley.

Ira opanował chęć rzucenia ciężką konewką w szklaną ścianę cieplarni. Zamiast tego wziął słoik i ruszył w stronę kolekcji mięsożernych roślin. Zauważył, że jedna z dużych *Nepenthes rajah* - o liściach w kształcie dzbanka - wciąż przetrawiała swój ostatni posiłek, maleńką myszkę.

Zatrzymał się przed intensywnie zieloną *Dionaea*.

- To nie jest zwykły zbieg okoliczności - powiedział. - Mówimy o Calebie Jonesie. Na pewno odkrył, co w rzeczywistości wydarzyło się ostatniej nocy. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że Fletcher jest strażnikiem.

- Mogę się go łatwo pozbyć.

Ellerbeck westchnął.

- Wtedy Jones zatrudniłby kilku ludzi, żeby strzegli jej dniem i nocą.

- Nim też mogę się zająć.

- Nie bądź tego taki pewien.

Allister uniósł się gniewem, jak zawsze, gdy ojciec sugerował, że jego talent ma jakieś granice.

- Sam powiedziałeś, że Jones ma jedynie zdolności intuicyjne - oświadczył. - Może i jest dobry w szachach, ale to go nie ochroni przed moimi umiejętnościami.

Ellerbeckiem zawładnęła irytacja, która kipiała jak gorący kwas. Miał ochotę krzyknąć, ale starał się, żeby jego głos nie zdradzał emocji. Niezupełnie mu się to udało.

- Do diabła ciężkiego, nie rozumiesz? Gdyby udało ci się zabić Caleba Jonesa, mielibyśmy jeszcze większy problem niż obecnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Ellerbeck próbował stłumić frustrację. I pomyśleć, że wierzył kiedyś, iż narkotyk może uleczyć syna. Allister zawsze był niebezpieczny. Fakt, że dotknięty jest obłądem, zmanifestował się dość wcześnie w jego życiu. Przez kilka pierwszych tygodni po rozpoczęciu kuracji narkotykiem wydawał się spokojniejszy. Ale niedługo potem dały o sobie znać efekty uboczne.

- Zastanów się nad tym - zaczął Ira. - Jeśli zamordujemy Caleba Jonesa, zwrócimy uwagę mistrza, rady i całej rodziny Jonesów. A to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba.

- Ale przecież nikt się nie domyśli, że Jones został zabity - upierał się Allister. - Wiesz, jak działałam. Będzie to wyglądało na atak serca jak w przypadku tej Daykin.

- Mężczyzna w kwiecie wieku nie umiera na atak serca.

- Czasami się to zdarza.

- Nie w rodzinie Jonesów. Cieszą się końskim zdrowiem. Twoje metody może nie wzbudziłyby podejrzeń członków rady, ale możesz mi zaufać, bez wiarygodnego wyjaśnienia nikt w rodzinie Jonesów nie uwierzyłby, że Caleb Jones zmarł z przyczyn naturalnych. Ani przez chwilę. Mistrz i cała ta przeklęta rodzina nie zostawiłaby kamienia na kamieniu w całym Londynie, dopóki nie odkryliby prawdy.

- I niczego by nie znaleźli.

- Nie bądź tego taki pewien. Wątpię, żeby któryś z nas przeżył takie śledztwo. A nawet gdyby Jonesom nie udało się do nas dotrzeć, to Pierwszy Krąg byłby wściekły. I na pewno dopilnowaliby, żebyśmy nie dostali więcej sproszkowanego eliksiru.

- Mamy Hulseyę. Może go dla nas sporządzić.

- Pierwszy Krąg szybko pozbawiłby nas Hulseyę.

Allister przechadzał się wzdłuż jednej z alejek.

- A więc wymyślimy jakieś wiarygodne wyjaśnienie. Do diabła! Skąd ci się wziął ten nienaturalny strach przed Jonesami?

- Nie bez powodu każdy mistrz Towarzystwa Wiedzy Tajemnej od chwili jego założenia należał do ich rodziny.

- Oczywiście, że tak. Wszystko dlatego, że sam założyciel był Jonesem. Jego potomkowie mieli zawsze takie duże wpływy w Towarzystwie tylko ze względu na tradycję.

Owszem, tradycja była jednym z powodów takiego stanu rzeczy, pomyślał Ira. Lecz liczyły się też władza i talent. A nie można było zaprzeczyć, że Jonesowie mieli i jedno, i drugie. W tym klanie pełno było myśliwych. I chociaż Caleb Jones nie był obdarzony akurat tym szczególnym talentem, to wielu innych Jonesów, mogących poszukiwać jego zabójcy, posiadało te nadprzyrodzone zdolności.

Jeśli nawet tylko niektóre z legend krążących o tej rodzinie były prawdziwe, to nie ulegało wątpliwości, że Jonesowie uczyniliby terenem polowania każdy skrawek ziemi, aż do granic piekła.

Tyle że wyjaśnianie tego Allisterowi nie miało sensu. Był nie tylko szalony, ale też przepełniała go arogancja właściwa wszystkim dwudziestolatkom. Cokolwiek by powiedział, nie zdoła zachwiać przekonaniem syna. Jedynej nadziei dla nich obu upatrywał w tym, że Hulseyowi uda się sporządzić ulepszoną wersję narkotyku.

Muszę kupić nam trochę czasu, pomyślał.

Zastanowił się nad słowami Allistera. „Wymyślimy jakieś wiarygodne wytłumaczenie”.

Przyjrzał się pająkowi na dnie słoika. Owad popatrzył na niego zimnym wzrokiem. Członkowie Pierwszego Kręgu okazaliby taką samą obojętność, gdyby wiedzieli, że sytuacja aż tak się skomplikowała.

Wiarygodne wytłumaczenie. To było ryzykowne, ale mogło się udać. I tak nie mieli nic do stracenia. On sam umierał, a jego syn pogrążył się w obłądzenie.

- Może i masz rację - powiedział w końcu. - Może powinniśmy zlikwidować Caleba Jonesa.

- Wiem, że wolałbyś unikać kontaktów z Towarzystwem i z rodziną Jonesów - przekonywał Allister, czując swoją szansę. - Ale nie mamy wyboru. Czy ci się to podoba, czy nie, dzięki Lucindzie Bromley Caleb Jones został wciągnięty w tę sprawę. A sam wiesz, jaki jest niebezpieczny.

- To Jones - stwierdził spokojnie Ira.

- A więc, o ile nie wymyślisz sposobu, żeby go przekonać, iż powinien się wycofać z tej sprawy, nie pozostaje nam nic innego, jak się go pozbyć, zanim odkryje cokolwiek, co doprowadzi go do Hulsey. Bo Hulsey od razu by wszystko wygadał.

- Od początku był słabym punktem naszego planu. Ale potrzebujemy go, Allisterze. To jedyny człowiek, jakiego znam, który jest na tyle utalentowany, żeby zredukować efekty uboczne eliksiru Sylvestra.

- Jeśli o mnie chodzi, ten specyfik działa doskonale.

Bo już jesteś obłąkany, pomyślał Ellerbeck. Czuł, że ogarnia go depresja. Jego jedyny syn był szaleńcem i uwielbiał zabijać.

Odstawił słoik na stół, wyjął tabakierkę i wciągnął kolejną szczyptę sproszkowanego eliksiru.

W jednej chwili zniknęły czarne myśli. Gdyby dać mu więcej czasu, Hulsey udoskonaliłby narkotyk i Allister byłby uratowany. Allister i Ira.

Potrzebowali jedynie czasu.

- Podsunąłeś mi właśnie pewien pomysł. - Ogarnęła go radosna nadzieja. - Może do tej pory byliśmy zbyt nieśmiali. Specyficzne sytuacje wymagają zastosowania specyficznych środków.

Allister był zaskoczony tym nagłym ustępstwem, ale szybko doszedł do siebie.

- Nie martw się, pozbycie się Caleba Jonesa nie sprawi mi żadnego kłopotu.

- Wierzę ci. Ale będziesz musiał przeprowadzić tę sprawę w sposób, który powstrzyma Jonesów od wszelkich spekulacji. Trzeba stworzyć wrażenie, że nie ma żadnej tajemnicy do wyjaśnienia. Śmierć w wyniku ataku serca czy wylewu nie wchodzi w grę.

Allister się zachmurzył.

- Masz jakiś pomysł?
- Przyszło mi do głowy, że jest coś, co w wypadku śmierci Caleba Jonesa zdołaloby powstrzymać jego rodzinę przed wywróceniem do góry nogami całego Londynu w poszukiwaniu mordercy.

- Co takiego?

- Śmierć mordercy.

Allister zmarszczył czoło.

- Chcesz rzucić podejrzenia na kogoś innego?

- Tak. - W przeszłości podobny plan już zadziałał, pomyślał Ellerbeck. Nie było powodu, żeby zawiódł ich tym razem.

Na twarzy Allistera malował się sceptycyzm.

- Podoba mi się ten pomysł, ale żeby to było przekonujące, ten ktoś musiałby mieć oczywisty motyw.

- Nie tylko motyw, ale i inne morderstwa na swoim koncie. Najlepiej, żeby użył do tego celu trucizny. Innymi słowy, potrzebujemy idealnego podejrzanego.

Przez kilka sekund Allister wyglądał na zmieszanego. Potem zrozumiał.

- Lucinda Bromley? - spytał z pewnym zdziwieniem.

- Wygląda na to, że mają romans. A panna Bromley już raz otruiła kochanka. Dlaczegoż nie miałyby otruć kolejnego?

Na twarzy Allistera pojawił się lekki zimny uśmiech.

- To diabelski plan. Nie będzie problemu z upozorowaniem wszystkiego tak, by wyglądało na otrucie.

- Wiem, że uważasz, iż Caleb będzie łatwym celem, ale musisz starannie zaplanować każdy szczegół. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne błędy.

- Nie przejmuj się, zajmę się wszystkim.

Ellerbeck znów sięgnął po słoik. Zdjął pokrywkę i odwrócił go do góry nogami. Pająk wpadł prosto w krwistoczerwoną paszczę muchołówki. Kolczasty liść zamknął się w mgnieniu oka, przypieczętowując w ten sposób smutny los owada.

Przez chwilę Ellerbeck przyglądał się bezcelowym wysiłkom pająka. Ten plan na pewno się powiedzie. Musi się powieść.

Pan Fletcher na pewno nie jest lokajem - wyrażała po cichu swoją złość Patrycja, siedząc w salonie następnego dnia po południu. - A w dodatku nawet nie wie, jak powinien się zachowywać lokaj. Popatrzcie na niego, stoi oparty o ścianę i zajada kanapki, jakby był tu gościem!

Lucinda i lady Milden wymieniły szybkie, rozbawione spojrzenia. Wpół do czwartej po południu salon był pełen elegancko ubranych młodych mężczyzn. Przez okno dostrzegły jeszcze dwóch pełnych entuzjazmu i nieco zaniepokojonych dżentelmenów, którzy z bukietami w rękach wchodzili po schodach.

Pokój wypełniały kwiaty. Lucinda zmuszona była przytłumić nieco swe zmysły, żeby nie odczuwać tak dotkliwie przykrego zapachu zgnilizny, ale Patrycja i lady Milden najwyraźniej nie miały nic przeciwko ciętym kwiatom.

Ale zmysły Lucindy drażnił nie tylko zapach kwiatów. W pokoju pulsowały lekko delikatne prądy psychicznej energii. Wszyscy admiratorzy Patrycji byli członkami Towarzystwa. A to znaczyło, iż każdy z nich posiadał w mniejszym czy większym stopniu jakiś talent. A jeśli, pomyślała Lucinda, zebrać tylu psychicznie utalentowanych ludzi w jednym miejscu, to nawet mało wrażliwa osoba poczuje, że powietrze jest czymś przesycone.

Pani Shute i dwie jej siostrzenice, sprowadzone do obsługi spodziewanego tłumu konkurentów, krzątały się bez przerwy, przynosząc świeżo zaparzoną herbatę i niezliczoną liczbę kanapek oraz ciasteczek. To zadziwiające, uznała Lucinda, ile mogą zjeść młodzi zdrowi mężczyźni.

Zwyczaje rządzące tego typu spotkaniami towarzyskimi były ściśle określone. Patrycja siedziała na sofie tuż przy stoliczku z herbatą. Lucinda i lady Milden zajmowały krzesła po obu jej stronach, otaczając ją w ten sposób, ale też zostawiając wystarczająco miejsca, by konkurenci mogli zbliżyć się do młodej damy i z nią porozmawiać.

Żaden z kawalerów nie powinien zostać dłużej niż dziesięć czy piętnaście minut, ale upłynęło już pół godziny, a nie tylko nikt nie wyszedł, lecz wciąż przybywali nowi kandydaci. Po kolei komplementowali Patrycję, lecz pod czujnym okiem lady Milden i Lucindy niewielu udało się porozmawiać z nią dłużej niż chwilę.

- Zgadza się, że trudno uznać pana Fletchera za lokaja - powiedziała spokojnie Lucinda. - Właśnie dlatego lady Milden i ja postanowiłyśmy przedstawić go jako przyjaciela rodziny.

- Ale on nie jest przyjacielem rodziny! - burknęła Patrycja. - Ma uchodzić za służącego, a wcale nie słuca poleceń. Kazałam mu zostać w przedpokoju. Mógłby przecież bez problemu mieć na nas oko stamtąd. A uparł się, że posiedzi tutaj.

Lucinda musiała przyznać, że Edmund Fletcher bardzo odbiegał od obrazu strażnika. Zdawało się, że ludzie wybierający tego typu zawód pochodzą z ulicy. Fletcher tymczasem nie tylko ubierał się modnie jak džentelmen, ale też miał odpowiednie maniery, wygląd i - co najtrudniejsze do naśladowania - sposób mówienia człowieka dobrze wychowanego i wykształconego. Miał też, jak wyczuła Lucinda, dość duży talent.

- Zapomnij o nim - poradziła wesoło lady Milden. - Myślę, że po prostu stara się dobrze wykonać swoją pracę.

- On nie tylko nie słuca rozkazów, ale próbuje je wydawać - mruknęła Patrycja. - Miał czelność powiedzieć mi, że nie powinnam stać przed oknem. Wyobrażacie sobie?

Młodzieniec o rumianej twarzy z pustą filiżanką w rękę zbliżył się do Patrycji. Dziewczyna posłała mu promienny uśmiech.

- Jeszcze trochę herbaty, panie Riverton? - spytała.

- Tak, poproszę, panno McDaniel. - Rozpromieniony Riverton nadstawił filiżankę. - Zrozumiałem z tego, co powiedziała pani na balu, że interesuje się pani archeologią.

- To prawda. - Pełnym gracji ruchem Patrycja nalała mu herbaty. - To moja pasja.

- Ja również bardzo się interesuję tym tematem - przyznał ochoczo Riverton.

- Ach tak? - Dziewczyna posłała mu kolejny oszałamiający uśmiech.

Stojący po drugiej stronie pokoju Edmund Fletcher wyrwał oczami i połknął ostatni kęs kanapki. Lucinda odniosła wrażenie, że widząc jego zachowanie, Patrycja zdwoiła wysiłki, by oczarować Rivertona.

W drzwiach pojawiła się pani Shute.

- Pan Sutton i pan Dodson.

Nowo przybyli zostali wprowadzeni do salonu. Lucindzie wydało się, że energia w pokoju lekko się zagęściła, gdy obecni obrzucili wzrokiem nowych konkurentów. Lady Milden wyglądała na nadzwyczaj zadowoloną z siebie. A Edmund Fletcher zjadł kolejną kanapkę z jeszcze większym znużeniem na twarzy.

Lucinę coś tknęło i wyrzała przez okno. Zobaczyła, że z powozu wysiada Caleb i idzie w kierunku schodów. Chwilę później usłyszała krótką wymianę zdań w holu i pani Shute ponownie pojawiła się w drzwiach.

- Pan Jones.

Caleb wkroczył do salonu z siłą żywiołu. Przyciszone męskie głosy umilkły. Młodzi dżentelmeni odsunęli się na bok, robiąc mu przejście. Przyglądali mu się z rezerwą, podziwem i zazdrością, niczym lwiątko obserwujące dorosłego lwa. Energia w salonie po prostu kipiała.

Caleb skinął w kierunku Edmunda Fletchera, który odpowiedział na to powitanie pełnym szacunku pochyleniem głowy.

Nie zwracając uwagi na innych mężczyzn, Caleb podszedł wprost do Lucindy, Patrycji i lady Milden.

- Szanowne panie - zaczął - Czy pozwolicie, że pozbawię was na chwilę panny Bromley? Ogromnie chciałbym zwiedzić jej cieplarnię.

- Ależ oczywiście - odrzekła lady Milden, zanim Lucinda zdążyła się odezwać. - Idź, moja droga. Patrycja i ja doskonale damy sobie radę we dwie.

Lucinda wstała i ruszyła za Calebem w stronę drzwi.

- Chcesz zwiedzić moją cieplarnię? - spytała ze zdziwieniem.
- Wydało mi się, że to całkiem rozsądny powód, by wyciągnąć z salonu.

- Bardzo dziękuję. Potrzebuję chwili przerwy. To naprawdę męczące, przyglądać się, jak ci wszyscy ochoczo nastawieni dżentelmeni siłą się na uprzejmą rozmowę z Patrycją.

- Zdaje się, że w kwestii swatania wszystko idzie jak najlepiej zauważył.

- O tak. Lady Milden spodziewa się znaleźć odpowiedniego kawalera w ciągu kilku dni.

- A panna Patrycja? Czy wykazała szczególne zainteresowanie którymś z kandydatów? - spytał Caleb.

- Dla wszystkich jest jednakowo czarująca i zdaje się lubić ich towarzystwo. Natomiast jeśli chodzi o silne emocje, to zauważyłam jedynie niezrozumiałą wrogość w stosunku do pana Fletchera.

- Dlaczegoż, u diabła, go nie lubi?

- Po części to chyba jego wina. Dał nam jasno do zrozumienia, że nie ma zbyt wysokiego mniemania o konkurentach Patrycji ani o całym tym projekcie. Uważa chyba, że Patrycja ma zbyt komercyjalne podejście do kwestii znalezienia męża. Powiedział nawet coś w tym guście, że czuje się jak na aukcji rasowych koni u Tattersalla.

Caleb zmarszczył brwi.

- To rzeczywiście dziwne. Skorzystanie z usług lady Milden wydało mi się bardzo logicznym i efektywnym podejściem.

- Owszem, tak właśnie powiedziałeś. - Poprowadziła go do biblioteki.

- Jak się miewa dzisiaj twoje ramię?

- Jeszcze trochę boli, ale to było do przewidzenia. Shute też już dochodzi do siebie. Zakładam, że przyszedłeś dlatego, że masz jakieś wieści w związku z dochodzeniem?

- Nie. - Otworzył szklane drzwi i wprowadził Lucindę do cieplarni. - Przyszedłem, bo z powodu różnych wydarzeń nie mieliśmy dotąd okazji porozmawiać.

- O czym?

- O szopie do suszenia ziół.

Przerażona, odwróciła się twarzą do niego. Czowała, że się rumieni, lecz starała się, by głos jej był spokojny i opanowany, jak u kobiety światowej. Bo taką właśnie kobietą się stała w wyniku tego, co zaszło w szopie.

Odchrząknęła lekko.

- Nie wydaje mi się, żeby była potrzebna jakaś rozmowa. Tego typu rzeczy zdarzają się między dorosłymi kobietami i mężczyznami - stwierdziła.

- Nie mnie. Nigdy dotąd nie spotkałem się z nikim w szopie do suszenia ziół. - Zdecydowanym ruchem zamknął za sobą drzwi ciepłarni i wpatrywał się w Lucindę z jakimś niepokojącym natężeniem i surowością. - I wiem, że dla ciebie również było to nową rzeczą.

- Nie miałam zbyt wiele podobnych okazji - odrzekła niezadowolona. - O czymże tu rozmawiać?

- W normalnych okolicznościach o małżeństwie.

- O małżeństwie?

- Niestety, nie mogę ci go zaproponować.

Nogi się pod nią ugięły. Odruchowo chwyciła się stołu. Starła się oddychać spokojnie.

- Mogę cię zapewnić, że nigdy nie miałam podobnych oczekiwań. - Machnęła ręką, mając nadzieję, że wygląda to niedbale. - Nie jestem młodą niewinną dziewczyną jak Patrycja, która musi dbać o reputację. Wielki Boże! Moja reputacja legła w gruzach, gdy zmarł mój narzeczony.

- Byłaś niewinna - powiedział, jakby popełniła jakieś przestępstwo. - I wiedziałem o tym, zanim jeszcze zaprowadziłem cię do szopy, ale wolałem to zignorować.

Pojęła wreszcie. To nie ją obwiniał. To siebie oskarżał o popełnienie przestępstwa.

Lucinda się wyprostowała.

- Mam dwadzieścia siedem lat. Możesz mi wierzyć, że radości płynące z niewinności mają swoje granice. Przychodzi moment, gdy

niewiedza przestaje być błogosławieństwem. Wydarzenia ostatniej nocy bardzo mnie oświeciły i... I były kształcące.

- Kształcące? - powtórzył obojętnie.

- I oświeciły mnie.

- Miło mi słyszeć, że twoim zdaniem czas w szopie nie był zupełnie stracony.

Mrugnęła. Wprawdzie ton jego głosu nie uległ zmianie, lecz coś jej mówiło, że Caleb poczuł się urażony. No i dobrze. Niech się obraża. W tej chwili wcale nie była do niego życzliwie nastawiona. Wzięła do ręki nożyce i zaczęła obcinać martwe kwiaty na gałązce orchidei.

- Zapomnij o tym, co wydarzyło się w szopie - oświadczyła.

- Obawiam się, że będzie z tym pewien problem. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Tak ją to zaskoczyło, że omal nie ucięła młodego pączka. Serce zabiło jej szybciej. Ostrożnie odłożyła nożyce na bok.

- Co powiedziałeś? - spytała ostrożnie.

Caleb przecesał włosy palcami.

- Uświadomiłem sobie, że wspomnienia ostatniej nocy pozostaną we mnie na zawsze.

Odkrycie to nie zdawało się jednak go cieszyć.

- Przykro mi, jeśli stanowi to dla ciebie problem. - Działał jej na nerwy i zaczynała być cięta jak osa. - Prawdopodobnie powinieneś wziąć to pod uwagę, zanim zaproponowałeś mi spotkanie w szopie.

- Nie powiedziałem, że wspomnienia same w sobie stanowią dla mnie problem. Upłynie jednak trochę czasu, zanim się do nich przyzwyczaję. - Zmarszczył czoło. - Do tej pory udawało mi się odsuwać od siebie takie natrętne myśli, gdy chciałem się skoncentrować.

- A więc teraz jestem natrętną myślą? - Splotła ręce na piersi. - Calebie, może zainteresuje cię fakt, że nie jest to komplement, jaki kobieta chciałaby usłyszeć od mężczyzny po schadzce.

- Nie najlepiej mi idzie, prawda?

- Owszem - wycodziła przez zęby. - Nie najlepiej.

Pewnie dlatego, że staram się uniknąć tematu małżeństwa. Zmroziło ją.

- To ty poruszyłeś ten temat, nie ja.

- Lucindo, masz wszelkie prawa spodziewać się z mojej strony oferty małżeństwa. Uważam się za człowieka honoru. Powinienem ci się oświadczyć. Z przykrością jednak stwierdzam, że nie mogę tego zrobić - przerwał. - A w każdym razie jeszcze nie teraz. Może zresztą nigdy.

Ból przemieszał się w niej z oburzeniem, ściskając jej serce tak silnie, że z trudem mogła oddychać. Nie chodziło o to, że chciała go poślubić. Ale przyjemnie byłoby wiedzieć, że spotkanie w szopie było dla niego czymś więcej niż tylko płamą na honorze i natrętną myślą!

Postanowiła poszukać ratunku w dumie.

- Rozejrzyj się, Calebie. - Zatoczyła ręką krąg, wskazując cieplarnię i obszerny dom. - Czy to nie oczywiste, że nie muszę wychodzić za mąż? Sama uporałam się ze skandalem. Dobrze zarządzam spadkiem, jaki zostawili mi rodzice i prowadzę wygodne życie. Pasjonuje mnie botanika i czerpię ogromną satysfakcję, gdy mogę pomóc ludziom z Guppy Lane. To aż nadto, by wypełnić życie kobiety. Zapewniam, że komuś w mojej sytuacji romans odpowiada o wiele bardziej niż małżeństwo.

- Tak, rozumiem. - Jego ciemne brwi połączyły się ze sobą, nadając mu zawzięty wyraz twarzy. - Widzę wyraźnie, że nie spełniam większości twoich wymagań w stosunku do kandydata na męża.

- Nie w tym rzecz.

- A więc teoretycznie, co musiałby zrobić mężczyzna w mojej sytuacji, żeby skłonić cię do poślubienia go?

Lucinda zaczynała rozpoznawać to jego zimne, pełne skupienia spojrzenie. Caleb dostrzegł kolejną tajemnicę, którą pragnął rozwiązać.

- Musiałby mi zaoferować miłość. - Wsunęła podbródek. - A ja musiałabym odwzajemnić to uczucie.

- Rozumiem. - Odwrócił się nieco, jakby nagle zainteresowała rosnąca obok dziwaczna *Welwitschia mirabilis*. - Nigdy nie potrafiłem zmierzyć miłości ani też zdefiniować jej w jakiś jasny sposób.

To właśnie było logiczne, naukowe rozumowanie. Jeśli czegoś nie można zdefiniować, łatwiej udawać, że nie istnieje. Prawie było jej go żal.

Ale tylko prawie.

- Tak. - Uśmiechnęła się chłodno. - Miłości nie da się nazwać słowami. Podobnie jak paranormalnych barw kwiatów, jakie dostrzegam, gdy otwieram swe zmysły.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Więc skąd można wiedzieć, czy to miłość, czy nie?

To ją trochę zastanowiło. Nie mogła zwierzyć mu się ze swoich uczuć w stosunku do niego. W głębi duszy był człowiekiem uczciwym. Dlatego właśnie honor nie dawał mu spokoju. Nie miała wcale zamiaru potęgować jego poczucia winy. W końcu i ona była odpowiedzialna za to, co zaszło w szopie. A w dodatku ani trochę nie żałowała tego wydarzenia, mimo że teraz przyszło jej za nie zapłacić. Wzięła konewkę i zaczęła podlewać paproć.

- Zdaniem lady Milden to się po prostu wie. Intuicyjnie czuje się jakieś psychiczne powiązanie z drugą osobą.

Dokładnie tak, jak odczułam to w szopie, pomyślała.

Zmrużył oczy.

- Czy tak samo było między tobą a narzeczoną?

Bardzo zmieszana odstawiła konewkę ruchem może nieco zbyt gwałtownym. Otworzyła zmysły, by ożywcza energia cieplarni podniosła ją na duchu.

- Nie - odparła spokojnie. - Ale wydawał się dla mnie idealny pod każdym innym względem. Spełniał wszystkie moje wymagania. Dosłownie wszystkie. Byłam pewna, że stopniowo zrodzi się między nami miłość. Bo jakżeby inaczej? Obiecują to wszelkie książki na temat szczęścia małżeńskiego. Dobrze wybierz sobie męża, a miłość przyjdzie z czasem.

- Dobry Boże! To są książki na ten temat?

W innych okolicznościach jego zdziwienie mogłoby być zabawne, pomyślała.

- Nawet setki - oznajmiła wesoło. - Że nie wspomnę już o nieskończonej liczbie artykułów w czasopismach dla kobiet.

- Do diabła, nie wiedziałem o tym. Nigdy nie słyszałem, żeby istniały tego typu książki i artykuły dla mężczyzn.

- Mężczyźni prawdopodobnie w ogóle by ich nie czytali - odrzekła. - Bo i po co? Dla nich małżeństwo nie jest tak ryzykowne jak dla kobiet. Mężczyźni mają więcej praw i wolności. Nie muszą się obawiać wykluczenia z Towarzystwa tylko dlatego, że przyłapano ich w kompromitującej sytuacji. Mogą podróżować, kiedy i gdzie im się podoba, nie wzbudzając niczyjego zdziwienia. Mogą wybrać dowolny zawód. A nieszczęśliwe małżeństwo łatwo rekompensują sobie kosztowną kochanką. A jeśli już mężczyzna zdecyduje się opuścić żonę, prawo rozwodowe zapewni mu najlepszy dla niego wyrok.

- Możesz mi zaoszczędzić tego wykładu, Lucidno - powiedział Caleb oschle. - Zapewniam cię, że każdy Jones słyszał go wystarczająco często od kobiet w naszej rodzinie.

Lucinda się zarumieniła.

- Tak, oczywiście. Wybacz mi. Wiem, że wyznajesz bardzo nowoczesne poglądy na kwestię równouprawnienia kobiet.

To pewnie jeden z wielu powodów, dla których się w tobie zakochałam, pomyślała.

Caleb zmarszczył czoło.

- Powiedziałaś, że narzeczony spełniał wszystkie twoje wymagania?

Westchnęła.

- Znów patrzysz w ten sposób.

- Jak?

- Ten wzrok mówi, że właśnie natrafiłeś na jakąś tajemnicę. A odpowiadając na twoje pytanie: tak. Pan Glasson sprawiał wrażenie doskonałego. Teraz, z perspektywy czasu, to zadziwiające, że był taki perfekcyjny. Niestety prawdę odkryłam dopiero po zaręczynach. W rzeczywistości spełniał tylko jedno z moich wymagań.

- Które?
- Z pewnością posiadał paranormalny talent - odparła ponuro. -
Czułam to, gdy stałam blisko niego.

- Botaniczny?
- Nie, choć rzeczywiście miał pewną wiedzę w tej dziedzinie.
W końcu odkryłam, że niemal wszystko w nim było kłamstwem.
A jednak zdołał jakoś przekonać i mnie, i ojca, że będzie dla mnie
idealnym mężem.

- Innymi słowy, umiał oszukiwać.
- Tak, to naprawdę było zadziwiające. - Pokręciła głową, ciągle
zmieszana faktem, że tak łatwo dała się nabrać Ianowi. - Nawet oj-
ciec był nim oczarowany, a zapewniam cię, że potrafił doskonale
ocenić czyjś charakter.

To zastanowiło Caleba jeszcze bardziej.

- Wygląda na to, że Glasson miał talent kameleona.
- Co takiego? - zdziwiła się.
- W wolnym czasie próbuję sklasyfikować rozmaite talenty.
Towarzystwo potrzebuje bardziej praktycznych metod opisywania
i oszacowywania silnych zdolności paranormalnych.

- Zaskakujesz mnie - powiedziała rozbawiona. - Nie przysłoby
mi do głowy, że dysponujesz w ogóle wolnym czasem.

Zignorował jej uwagę, zaintrygowany chwilowo nową kwestią.

- U znacznej większości uzdolnionych psychicznie ludzi talent
nie wykracza poza bliżej nieokreśloną wrażliwość na pewne rzeczy.

- To intuicja.

- Tak. Lecz w wyniku badań dokumentów historycznych, posia-
danych przez Towarzystwo, oraz moich własnych obserwacji zauwa-
żyłem, że ilekroć pojawia się jakiś silny talent, jest on niemal zawsze
bardzo wyspecjalizowany.

Teraz ona była zaintrygowana.

- Podobnie jak moja zdolność do analizowania energii roślin?

- Właśnie. I jak umiejętność wprowadzania ludzi w stan hipnozy
albo czytania aury. Kameleony potrafią nie tylko wyczuć, czego ktoś

po nich oczekuje, ale nawet, na pewien krótki czas, stworzyć wrażenie, iż są w stanie spełnić wszystkie te oczekiwania. Lucinda zmarszczyła brwi.

- A skąd to ograniczenie w czasie?

- Aby podtrzymać wrażenie, potrzebna jest duża ilość energii. Zwłaszcza jeśli ofiara jest inteligentna lub bardzo wrażliwa. Wcześniej czy później złudzenie mija i prawdziwa natura kameleona wychodzi na jaw.

- To prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego Glasson nigdy nie zostawał w moim towarzystwie przez dłuższy czas. - Zawahała się. - Chociaż kilka razy byliśmy razem w teatrze czy na wykładzie i to przez kilka godzin.

- Wtedy twoja uwaga była skierowana gdzie indziej. Nie musiał korzystać ze swojego talentu przez dłuższy czas. - Caleb przyjrzał jej się uważnie. - Co sprawiło, że zaczęłaś podejrzewać, iż narzeczony nie jest ideałem?

Lucinda się zarumieniła i stanęła bokiem.

- Musisz wiedzieć, że na początku naszej znajomości byłam pod dużym wrażeniem jego powściągliwości.

- Powściągliwości? - powtórzył, nie rozumiejąc.

Caleb był człowiekiem błyskotliwym, ale czasami okazywał się zadziwiająco mało pojętny.

- Ian Glasson był w każdym calu dżentelmenem - starała się wytłumaczyć.

- Nie bardzo widzę, dlaczego miałyby to obudzić twoje podejrzenia.

Odwróciła się na pięcie, żeby stanąć twarzą do niego.

- Na miłość boską! Ian Glasson całował mnie, jakbym była jego siostrą albo niezamężną ciotką. Czystość i beznamiętność to za słabe słowa, by to opisać. Czy naprawdę muszę wyrażać się jaśniej?

Caleb wyglądał na zdezorientowanego, gdy nagle zrozumiał.

- Chryste Panie! Całował cię, jakbyś była jego ciotką?

- Zapewniam cię, że zawsze robił tylko to, co właściwe. - Dłoń, na której nosiła pierścień, zacisnęła w pięść. - Aż do dnia, kiedy

próbował mnie zgwałcić w ogrodzie Towarzystwa Botanicznego Carstairs.

24

W jednej chwili Caleb wszystko pojął.

- Zaatakował cię, ponieważ chciałaś zerwać zaręczyny - stwierdził.

- Tuż po śmierci mojego ojca zaszła jakaś zmiana w naszych wzajemnych stosunkach - wyjaśniła przyciszonym głosem. - Zaczęłam dostrzegać w Ianie wady. A kiedy już raz oczy mi się otworzyły, wiele spraw stało się oczywistych. Odkryłam, że miał romans z pewną wdową.

- Gdy zdał sobie sprawę, że cię straci, porwał się na jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Chciał cię skompromitować, żebyś nie miała innego wyjścia, jak tylko go poślubić.

Zaskoczyło ją to szybkie podsumowanie wypadków, lecz przytaknęła.

- Dokładnie tak było. Wyszło na jaw, że jedyne, czego ode mnie chciał, to spadek.

- Widziano, jak uciekałaś z ogrodu. Byłaś potargana i w rozerwanej sukni. Gdybyście się potem pobrali, takie zachowanie mogłoby ująć niezauważone. Ale kiedy rozeszła się pogłoska o zerwaniu zaręczyn, nagle zaczęto o tobie plotkować.

- Winszuję. Świetna analiza.

Coś w jej głosie mówiło mu, że te słowa nie były komplementem, ale był zbyt pochłonięty schematem, jaki układał w myślach, żeby zwrócić na to uwagę. Ruszył przed siebie najbliższą żwirową alejką.

- Obsypałaś go tym paprykowym pudrem? - spytał.

- Nie, to nie było konieczne.

- Więc jak wyrwałaś się z jego szponów?

- Uderzyłam go wachlarzem w oko. Był nieprzygotowany na taką reakcję. Instynktownie chciał zasłonić oczy, więc mnie puścił. Wtedy uciekłam.

Przez chwilę Caleb przyglądał się złożonemu wachlarzowi, który trzymała w ręku.

- Nigdy nie przypuszczałem, że ta rzecz może być tak niebezpieczna. - Ogarnął go podziw. - Bardzo sprytnie, Lucindo.

- Cóż, to chyba zasługa tych wszystkich ekspedycji w poszukiwaniu roślin. Człowiek się uczy.

- Ludzie mówią, że podróże kształcą - zauważył. - Ale kilka dni po zerwaniu zaręczyn znaleziono Iana Glassona otrutego - wróciła do tematu.

Ustyszał chrzęst żwiru, gdy szła za nim.

- Wszyscy uznali, że jestem za to odpowiedzialna- oznajmiła.

- I wszyscy się mylili.

Przyspieszyła nieco kroku, starając się za nim nadążyć

- Skąd ta pewność? Nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że Ian został otruty.

- Cyjankiem, sądząc z tego, co pisała prasa.

- Owszem.

- Ty nie użyłabyś tak pospolitej trucizny. – Rozejrzał się po roślinach wokół. - Postużyłabyś się czymś znacznie subtelniejszym i niewykrywalnym. Jestem pewien, że w tej cieplarni znalazłby się niejeden okaz, którego mogłabyś użyć.

Zapanowała chwila pełnej napięcia ciszy.

- Potraktuję to jako komplement - powiedziała Lucinda, nie zmieniając tonu.

- Stwierdziłem tylko fakt.

- Fakt, którego nikt wcześniej nie zauważył.

Zatrzymał się, usiadł na żelaznej ławce, wyciągnął przed siebie nogi i zapatrzył się na dużą palmę o wachlarzowatych liściach.

- Podobnie, jak nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że twój ojciec popełnił samobójstwo, strzelając do siebie, a jego współnik został otruty cyjankiem, trucizną nie pochodzącą z roślin.

Usiadła obok niego. Fałdy jej sukni otarły się o jego nogę. Otworzył zmysły na jej energię.

- Co sugerujesz? - spytała cicho.

Czuł, że znów jest spięta. Już odgadła, co miał zamiar powiedzieć. Czasami wydawało mu się, że potrafi czytać w jego myślach. Nikt inny do tej pory nie mógł nadażyć za jego rozumowaniem. Lucinda to umiała.

- We wszystkich trzech wypadkach morderca chciał, by śmierć budziła podejrzenia. I chciał, żeby te podejrzenia spadły na kogoś innego. Niestety użył niewłaściwej metody, by zabić twego ojca.

- Masz na myśli pistolet? Cóż, otrucie ojca graniczyło z niemożliwością. Miał ten sam talent co ja. Wyczułby każdą substancję toksyczną, nawet cyjanek, i to nie wiem, jak dobrze zamaskowaną.

- Z drugiej strony, jeśli twój ojciec naprawdę chciałby odebrać sobie życie, użyłby trucizny.

- Prawie na pewno.

- Morderca posłużył się cyjankiem w wypadku dwóch pozostałych ofiar, bo to działa szybko i w specyficzny sposób. Nie da się przypisać tych objawów jakiejś chorobie.

- Zostawił nawet buteleczki z trucizną na miejscu przestępstwa - dała Lucinda.

- Kiedy stwierdzono, że współlnik twego ojca został otruty, to on stał się pierwszym podejrzanym. A kiedy odnaleziono Glassona w podobnych okolicznościach, podejrzenie padło na ciebie. - Skinął głową. - Godny podziwu, gładki plan.

- Rzeczywiście dość staranny - przyznała Lucinda nagle jakby zaskoczona.

- Owszem,

Dużą satysfakcję przyniosło mu rozwiązywanie zagadek z jej pomocą. Właściwie to nie tylko satysfakcję. Rozmowa z Lucindą w jakiś sposób rozjaśniła jego myśli. Była... potrzebna.

- W twojej teorii brakuje tylko jednego elementu - zauważyła.

- Tożsamości morderców?

- Cóż, to też. Ale myślałam raczej o motywie.

- Uderzyłam go wachlarzem w oko. Był nieprzygotowany na taką reakcję. Instynktownie chciał zasłonić oczy, więc mnie puścił. Wtedy uciekłam.

Przez chwilę Caleb przyglądał się złożonemu wachlarzowi, który trzymała w ręku.

- Nigdy nie przypuszczałem, że ta rzecz może być tak niebezpieczna. - Ogarnął go podziw. - Bardzo sprytnie, Lucindo.

- Cóż, to chyba zasługa tych wszystkich ekspedycji w poszukiwaniu roślin. Człowiek się uczy.

- Ludzie mówią, że podróże kształcą - zauważył. - Ale kilka dni po zerwaniu zaręczyn znaleziono Iana Glassona otrutego - wrócił do tematu.

Usłyszał chrzęst żwiru, gdy szła za nim.

- Wszyscy uznali, że jestem za to odpowiedzialna - oznajmiła.

- I wszyscy się mylili.

Przyspieszyła nieco kroku, starając się za nim nadążyć.

- Skąd ta pewność? Nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że Ian został otruty.

- Cyjankiem, sądząc z tego, co pisała prasa.

- Owszem.

- Ty nie użyłabyś tak pospolitej trucizny. - Rozejrzał się po roślinach wokół. - Posłużyłabyś się czymś znacznie subtelniejszym i niewykrywalnym. Jestem pewien, że w tej cieplarni znalazłby się niejeden okaz, którego mogłabyś użyć.

Zapanowała chwila pełnej napięcia ciszy.

- Potraktuję to jako komplement - powiedziała Lucinda, nie zmieniając tonu.

- Stwierdziłem tylko fakt.

- Fakt, którego nikt wcześniej nie zauważył.

Zatrzymał się, usiadł na żelaznej ławce, wyciągnął przed siebie nogi i zapatrzył się na dużą palmę o wachlarzowatych liściach.

- Podobnie, jak nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że twój ojciec popełnił samobójstwo, strzelając do siebie, a jego współnik został otruty cyjankiem, trucizną nie pochodzącą z roślin.

Usiadła obok niego. Fałdy jej sukni otarły się o jego nogę. Otworzył swe zmysły na jej energię.

- Co sugerujesz? - spytała cicho.

Czuł, że znów jest spięta. Już odgadła, co miał zamiar powiedzieć. Czasami wydawało mu się, że potrafi czytać w jego myślach. Nikt inny do tej pory nie mógł nadażyć za jego rozumowaniem. Lucinda to umiała.

- We wszystkich trzech wypadkach morderca chciał, by śmierć budziła podejrzenia. I chciał, żeby te podejrzenia spadły na kogoś innego. Niestety użył niewłaściwej metody, by zabić twego ojca.

- Masz na myśli pistolet? Cóż, otrucie ojca graniczyło z niemożliwością. Miał ten sam talent co ja. Wyczułby każdą substancję toksyczną, nawet cyjanek, i to nie wiem, jak dobrze zamaskowaną.

- Z drugiej strony, jeśli twój ojciec naprawdę chciałby odebrać sobie życie, użyłby trucizny.

- Prawie na pewno.

- Morderca posłużył się cyjankiem w wypadku dwóch pozostałych ofiar, bo to działa szybko i w specyficzny sposób. Nie da się przypisać tych objawów jakiejś chorobie.

- Zostawił nawet buteleczki z trucizną na miejscu przestępstwa - dodała Lucinda.

- Kiedy stwierdzono, że współlnik twego ojca został otruty, to on stał się pierwszym podejrzanym. A kiedy odnaleziono Glassona w podobnych okolicznościach, podejrzenie padło na ciebie. - Skinął głową. - Godny podziwu, gładki plan.

- Rzeczywiście dość staranny - przyznała Lucinda nagle jakby zaskoczona.

- Owszem.

Dużą satysfakcję przyniosło mu rozwiązywanie zagadek z jej pomocą. Właściwie to nie tylko satysfakcję. Rozmowa z Lucinda w jakiś sposób rozjaśniła jego myśli. Była... potrzebna.

- W twojej teorii brakuje tylko jednego elementu - zauważyła.

- Tożsamości morderców?

- Cóż, to też. Ale myślałam raczej o motywie.

- Kiedy znajdziemy motyw, znajdziemy też mordercę.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Myślisz, że ta sama osoba zabiła całą trójkę?

- Biorąc pod uwagę czas oraz metody, prawdopodobieństwo, że osoba, która zabiła twego ojca i jego współnika, jest odpowiedzialna również za śmierć twego narzeczonego, oceniam na dziewięćdziesiąt siedem procent.

Uniosła brwi.

- Jesteś pewien, że nie dziewięćdziesiąt pięć lub sześć?

Pytanie było rozsądne, więc przeliczył pospiesznie.

- Zdecydowanie dziewięćdziesiąt siedem - zapewnił.

Wyraz lekkiego rozbawienia zniknął z jej twarzy.

- Masz pewność, prawda?

- Tak.

- Ale to nie ma sensu. Co mogłoby łączyć śmierć mojego narzeczonego z morderstwem ojca i jego współnika?

- Jeszcze nie wiem, ale cokolwiek to było, wiąże się z kradzieżą paproci i śmiercią pani Daykin. - Przyglądał się liściom przed sobą. - Ta cieplarnia to wspólny element dla całej tej sprawy. I odpowiedź znajduje się gdzieś tutaj.

- Hm...

Odwrócił się do niej.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale krótko przed śmiercią ojca i jego współnika miała miejsce pewna kradzież.

Energia rozsadzała jego zmysły.

- Rośliny? - spytał, chcąc się upewnić.

- Tak. To była dziwna, nieznana roślina przywieziona z ostatniej wyprawy do Amazonii. Wyczułam, że ma właściwości hipnotyczne. Myślałam, że będzie ją można wykorzystać w celach terapeutycznych. Ale zniknęła niedługo po naszym powrocie. Nie mieliśmy nawet czasu jej nazwać.

- Kiedy ją ukradziono?

- Jakieś dwa tygodnie po naszym powrocie. Gdy zauważyłam, że jej nie ma, od razu powiadomiłam ojca. Ogromnie go to przygnębiło, lecz z tego, co wiem, na tym się skończyło. W końcu trudno zgłosić w Scotland Yardzie kradzież rośliny.

- Tak, naturalnie. I tak dochodzenie przekraczałoby możliwości policji. Kradzież rośliny najlepiej powierzyć takim firmom jak Agencja Jonesa.

Lucinda się uśmiechnęła.

- Próbujesz żartować?

- Nie mam poczucia humoru. Każdy ci to powie.

- No cóż, założmy, że twoje rozumowanie jest słuszne.

- Zazwyczaj jest.

- Tak, oczywiście - rzekła oschle. - Zakładając więc, że nigdy się nie mylisz, jak wyjaśnisz fakt, że pierwsze trzy morderstwa miały miejsce prawie półtora roku temu, na długo przed kradzieżą paproci i śmiercią pani Daykin?

- Na razie nie potrafię tego wytłumaczyć. - Spojrzał na swoją dłoń splecioną z jej dłonią. - Ale to wszystko się łączy. Jesteśmy bliżej rozwiązania. Z każdym dniem.

Szukał słów, które mogły najdokładniej wyjaśnić to, co zrozumiał dzięki swemu talentowi, gdy nagle z przeciwnego końca cieplarni dobiegł ich głos pani Shute:

- Panie Jones? Czy pan tu jest?

Lucinda wstała szybko i ruszyła w kierunku szklanych drzwi.

- Jesteśmy tutaj, pani Shute. Pokazywałam panu Jonesowi zioła lecznicze.

Podnosząc się z ławki, Caleb zastanawiał się, dlaczego Lucinda uznała za konieczne wymyślenie niewinnego kłamstwa na wyjaśnienie ich obecności w odległej części cieplarni. Zauważył też, że twarz miała zarumienioną. Poniewczasie przyszło mu do głowy, że Lucinda nie chciała, by pani Shute doszła do wniosku, że jej pracodawczyni zajmowała się czymś niestosownym ukryta za liśćmi. Jego związek z Lucinda zaczynał się komplikować.

Wyszedł zza rogu i dostrzegł służącą. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

- O co chodzi, pani Shute? - spytał.

- Przy kuchennych drzwiach stoi chłopiec, sir. Mówi, że nazywa się Kit Hubbard i ma dla pana ważną wiadomość. Chodzi o trupa.

25

Ciało leżało w wąskiej alejce niedaleko rzeki. W tym miejscu nawet w słoneczny dzień panował wieczny półmrok, a we mgle atmosfera była nienaturalna i niezdrowa. Scena w sam raz dla śmierci, pomyślał Caleb. Włosy stanęły mu dęba na karku. Otworzył swe zmysły, chłonąc energię przemocy, jakiej dopuszczono się w tym miejscu.

- Ten dzieciak Kit powiedział, że opryszek był znany jako Sharpy - oznajmił Caleb. - Wygląda na to, że jego ulubioną bronią był nóż.

- To jeden z porywaczy - stwierdziła Lucinda.

- Jesteś pewna? - spytał nie dlatego, że powątpiewał w jej słowa. Po prostu ciekaw był wyjaśnień.

Nie chciał wcale, by mu towarzyszyła. Sprzeczka była krótka. Przegrał. Ale nigdy nie potrafił spierać się z logiką. Kiedy Lucinda spokojnie przypomniała mu, że miewała już do czynienia z wypadkami gwałtownej śmierci i że jej ekspertyza może okazać się pomocna, uznał się za pokonanego.

Prawdę mówiąc, część jego osobowości, kryjąca w sobie myśliwego, cieszyła się perspektywą tego wspólnego śledztwa. W dodatku czuł wyraźnie, że nie tylko on ekscytował się tą myślą. Jego i Lucindę łączyła jakaś energia. Nigdy do tej pory nie doświadczył czegoś podobnego z inną osobą.

- Jestem pewna - orzekła Lucinda. - Nie mogłam wprowadzić dobrze się przyjrzeć żadnemu z nich, lecz rozpoznaję tę szczególną mieszankę tytoniu, jaką palili.

Popatrzył na nią, pochyloną nad ciałem. Jej twarz przesłonięta była nieco kapturem płaszcza, ale zauważył, że maluje się na niej powaga.

- Masz niesamowity talent, Lucindo.
- W końcu tytoń to też trucizna. Działa powoli, ale to trucizna.
- Hm... Słyszałem, że bardzo dobrze wpływa na nerwy.
- Nie należy wierzyć wszystkiemu, co piszą w prasie.
- Wcale nie wierzę. - Skupił uwagę na martwym mężczyźnie. -

Cóż, wątpię, żeby Sharpy zmarł na skutek palenia tytoniu. Tyle że, podobnie jak w przypadku pani Daykin, nie ma żadnych oznak przemocy. Masz jakiś pomysł?

- Nie został otruty. - Lucinda spojrzała na ciało. - Tego jestem pewna.

Caleb kucnął przy trupie i przyglądał się jego wytrzeszczonym oczom i twarzy, na której malowało się przerażenie.

- Wygląda na to, że coś go wystraszyło.
- Jak panią Daykin?

- Tak. To by tłumaczyło krzyki, jakie według relacji Kita słyszano w tawernie.

- A także fakt, iż widziano jego towarzysza uciekającego z zaufką, jakby goniły go wszystkie piekielne demony - dodała Lucinda, cytując słowa Kita.

- Tylko kogo lub co ci ludzie zobaczyli? - Caleb przejrzał szybko ubranie Sharpy'ego. - Nie ma żadnych wątpliwości, że to było morderstwo. - Z pochwy ukrytej przy nodze zmarłego wyciągnął nóż. - Tylko w jaki sposób je popełniono? To był przecież twardy facet z ulicy, a nie miał nawet czasu, żeby wyjąć nóż i się bronić.

- Myślisz, że dosłownie umarł ze strachu?

Caleb się podniósł.

- Podejrzewam, że przyczyna śmierci ma charakter psychiczny.

Lucinda popatrzyła na niego poprzez szarawą mgłę spowijającą alejkę. Caleb wyczuł, że jest zaskoczona.

- A więc istnieją ludzie tak utalentowani, że potrafią zabić kogoś samą tylko siłą swej woli, nie zostawiając żadnego śladu? - spytała przestraszonym głosem.

- To niezwykle rzadka umiejętność - zapewnił. Przyjrzał się jeszcze ciału. - Ale zdarzyło mi się trafić na relacje tego typu w dziennikach i zapiskach Towarzystwa. Krótko mówiąc, zabójca tak bardzo przeraża ofiarę, że prowadzi to do wylewu czy ataku serca.

- Ale ten człowiek nawet nie próbował uciekać.

- Pani Daykin także nie uciekała. Z tego, co czytałem, ofiara jest dosłownie sparaliżowana strachem i nie może nawet unieść ręki, by się obronić, a cóż dopiero ratować się ucieczką.

- Moi rodzice byli formalnymi członkami Towarzystwa. Ja znalazłam się w nim z racji tego, że jestem ich córką. Ale nigdy nie słyszałam o takich okropnych talentach.

- A to z tego powodu, że zarówno rada, jak i cała moja rodzina robią wszystko, co w ich mocy, żeby ukryć tego rodzaju informacje.

- Ujął jej ramię i poprowadził ją w kierunku wyjścia z alejki. - Dokładamy też wszelkich starań, żeby recepturę eliksiru Sylvestra uważano jedynie za mit i legendę.

- Chyba rozumiem dlaczego.

- Większość ludzi traktuje zjawiska paranormalne jak coś zabawnego i ciekawego. Ci, którzy przypisują sobie posiadanie talentów psychicznych, są w przeważającej części uważani za magików, za tych, którzy dostarczają rozrywki, albo w najgorszym wypadku za oszustów. Ale wyobraź sobie reakcję ludzi, gdyby się wydało, że istnieją osoby, które potrafią popełnić morderstwo, nie zostawiając żadnych śladów czy dowodów.

Lucinda się wzdrygnęła. Caleb poczuł to, bo trzymał ją za łokieć.

- Trucizna doszła - powiedziała spokojnie. - Niewykrywalna, niepozostawiająca śladów.

- Właśnie.

Odwróciła głowę tak, żeby móc go obserwować, sama będąc skryta w cieniu kaptura.

Policja będzie w tej sprawie zupełnie bezradna. Nic znajdą nic, co wskazywałoby na zabójstwo. Mordercy tego biedaka nie zostanie wymierzona sprawiedliwość, dopóki my go nie znajdziemy.

Ścisnął mocniej jej łokieć.

- Ten biedak próbował cię porwać i zamordować.

- Zgadza się, że z pewnością chciał mnie porwać, ale nie mogę twierdzić, że zamierzał mnie zabić. To twoja teoria, i to tylko teoria.

- Możesz mi wierzyć w tej kwestii. Znam znacznie lepiej świat przestępczy niż ty, Lucindo.

- Biorąc pod uwagę, jakiego rodzaju konsultacji udzielam inspektorowi Spellarowi, nie można chyba powiedzieć, żeby twoje doświadczenie przewyższało moje.

- Stwierdzenie, czy ktoś został otruty, czy też nie, to nie to samo, co badanie czyjeś śmierci.

- Od kiedy działa Agencja Jonesa? - spytała głosem nieco zbyt słodkim. - Niecałe dwa miesiące? Ja współpracuję z inspektorem od roku.

- Nie mogę uwierzyć, że sprzeczamy się o coś takiego! - Uśmiechnął się ponuro. - Gdyby którekolwiek z nas przejmowało się tym, co powszechnie szanowane albo właściwe, niewątpliwie zaszokowałyby nas nasza wspólna fascynacja światem przestępczym.

- Wszyscy są zafascynowani światem przestępczym - odrzekła ożywionym głosem. - Tylko większość ludzi niechętnie się do tego przyznaje. Wystarczy policzyć, ile gazet i tanich szmatławców sprzedaje się każdego dnia na ulicach Londynu. Wszystkie na pierwszych stronach zamieszczają sensacyjne relacje przestępstw i nagłych zgonów.

- Zgadza się z tobą w tym punkcie. - Spojrzał przez ramię na ciało w alejce. - Wątpię jednak, żeby to morderstwo przyciągnęło wiele uwagi.

- To prawda - przyznała smutno Lucinda. Ona też się obejrzała. - Prasa lubi, żeby sprawie towarzyszył jakiś pikantny skandal. Śmierć ulicznego opryska, który najwyraźniej zmarł z przyczyn naturalnych, nie zrobi wrażenia na nikim przy jutrzejszym śniadaniu.

Następnego ranka główny artykuł na pierwszej stronie „Latającego Szpiega” nie miał nic wspólnego z odkryciem zwłok mężczyzny w alejce. Lucindzie dech zaparło i zachłysnęła się kawą. Chwyła serwetkę i zakryła nią usta, próbując odzyskać oddech.

Siedząca na wprost niej Patrycja zmrużyła oczy, wyraźnie zaniepokojona.

- Nic ci nie jest, Lucy?

Zajadający właśnie drugą porcję jajecznicy Edmund Fletcher odłożył widelec, wstał z krzesła i szybko okrążył stół. Następnie energicznym ruchem uderzył Lucindę w plecy, między łopatkami.

- Dziękuję. - Machnięciem serwetki Lucinda dała mu znak, że może wrócić na miejsce. - Nic mi nie jest, panie Fletcher - wybełkotała. - Naprawdę.

Patrycja uniosła wysoko brwi.

- Co takiego jest w tej gazecie?

- Jestem skończona - oświadczyła Lucinda. - Po raz drugi zresztą, choć może tracę już rachubę.

- Chyba nie jest aż tak źle - stwierdziła Patrycja. - Cokolwiek tam piszą, przeczytaj nam.

- Dlaczego nie? - odrzekła Lucinda. - W tej chwili robi to pewnie cały Londyn.

Zaczęła czytać artykuł na głos. Patrycja i Edmund słuchali w osłupieniu.

- „Doniesienie z próby porwania przy ulicy Guppy Lane

Przestępcy zamierzali sprzedać swą ofiarę do domu publicznego

Autorstwa

Gilberta Otforta

Dama, której nazwisko figurowało swego czasu na pierwszej stronie niniejszej gazety w związku z otruciem narzeczonego, o włos uniknęła obecnie straszliwego losu, jaki czyhał na nią przy Guppy Lane na początku tygodnia.

Panna Lucinda Bromley, córka znanego truciciela Arthura Bromleya, podejrzana później o spowodowanie śmierci narzeczonego, niemal została porwana przez dwóch łotrów zarabiających na życie sprzedawaniem porządnych kobiet do instytucji okrytych hańbą.

Zgodnie z zeznaniami świadków jedynie heroiczna postawa wielu obecnych na miejscu przestępstwa osób uchroniła pannę Bromley przed losem gorszym od śmierci. Dobre maniere i dogłębny szacunek dla wrażliwości naszych Czytelników powstrzymują Waszego korespondenta od przedstawienia szczegółów ponurej przyszłości, jaka oczekiwała pannę Bromley, gdyby porywaczom się udało. Niech wystarczającym będzie stwierdzenie, że nie ulega wątpliwości, iż dama ta trafiłaby do jednej z tych nikczemnych instytucji, zaspokajających najbardziej pożądlive i zdeprawowane pragnienia rozwiązłych przedstawicieli płci męskiej.

Wasz pokorny korespondent zastanawia się jednak, czy niedoszli porywacze nie wybraliby raczej innej ofiary, gdyby znali tożsamość tej, którą zaatakowali. W końcu zatrudnienie damy, której naręczony umiera otruty po wypiciu podanej przez nią herbaty, mogłoby się okazać ryzykowne dla pracodawcy, że nie wspomnę już o bywalcach instytucji”.

- Nie zgadzam się z tym - oświadczył poważnie Caleb, stając w drzwiach. - Moim zdaniem ciekawa przeszłość dodaje tylko pikanterii.

Lucinda, zaskoczona, rzuciła gazetę na stół i zgromiła go wzrokiem. W pokoju zapanowała cisza. Caleb miał minę człowieka, który właśnie bardzo rozsądnie skomentował poranne wiadomości, ale w jego oczach dostrzegła jakiś błysk. Lucinda uznała, że nie jest to odpowiedni moment na popisywanie się dziwnym, nazwijmy to, poczuciem humoru.

- Dzień dobry, panie Jones - powiedziała szorstko. - Nie słyszałam pukania.

- Przepraszam za spóźnienie. Jedna z pokojówek widziała, że idę, i uprzejmie otworzyła mi drzwi. - Podszedł do kredensu i przyglądał się stojącym tam półmiskom. - Jajecznicą wygląda dzisiaj wspaniale.

- I tak właśnie smakuje - zapewnił pospiesznie Edmund. - Niech pan też spróbuje dżemu agrestowego. Pani Shute sama go robi.

- Dziękuję za sugestię.

Caleb wziął do ręki łyżkę i nałożył sobie na talerz sporą porcję jajecznicy.

- Może kawy? - zaproponowała Patrycja, sięgając po dzbanek.

- Dziękuję, chętnie się napiję. - Usiadł u szczytu stołu. - Przez większą część nocy nie spałem, pracowałem w bibliotece.

Lucinda uderzyła palcem w tytuł okropnego artykułu.

- Rozumiem, że pan to czytał?

- Czytam każdy numer „Latającego Szpiega” - zapewnił ją Caleb. - To najlepsze źródło plotek w mieście. Czy mogłaby mi pani podać masło?

- To oburzające - stwierdziła gniewnie Lucinda. - Przyznam, że mam ochotę pójść do redakcji „Szpiega” i powiedzieć wydawcy, co o tym myślę.

- Mogło być gorzej - wtrąciła szybko Patrycja.

Lucinda zmrużyła oczy.

- Niby jak?

Znów nastała chwila ciszy, gdy wszyscy próbowali sobie wyobrazić bardziej bulwersującą historię.

- Porywaczom mogło się udać - powiedział w końcu Edmund.

Pozostali popatrzyli na niego.

Poczerwieniał.

- Ja tylko zgodziłem się z panną McDaniel. Mogło być znacznie gorzej.

Patrycja się skrzywiła.

- Pan Fletcher zrobił słuszną uwagę. Nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby tym okropnym rzezimieszkom udało się ciebie porwać.

- Ale im się nie udało - stwierdziła Lucinda ponuro. - Ty natomiast będziesz musiała ponieść konsekwencje tego artykułu. Czy też raczej lady Milden będzie musiała to zrobić. Dzisiejsze wydanie „Szpiega” na pewno ożywi dawny skandal.

Caleb sięgnął po grzanekę.

- Myślę, Lucindo, że nie docenia pani pozycji Victorii zarówno wśród członków Towarzystwa, jak i na salonach.

- Ma pan na myśli znaczenie rodziny Jonesów? - zagadnęła Patrycja.

- Krótko mówiąc, tak. - W jego głosie nie było dumy ani przeprosin. Po prostu stwierdził fakt.

Lucinda machnęła w jego stronę złożoną gazetą.

- Są sprawy, których nawet Jones nie jest w stanie załatwić.

- To prawda. - Zerknął na gazetę bez specjalnego zainteresowania. - Ale artykuł Otforda do nich nie należy.

Lucinda westchnęła, opuściła gazetę na stół i uśmiechnęła się lekko.

- Nigdy nie przestanę mnie pan zadziwiać, panie Jones - powiedziała z kwaśną miną.

- Ludzie często mi to mówią. - Wziął do ręki nóż. - Lecz zazwyczaj bez aprobaty.

- Skoro pan Jones ani lady Milden nie martwią się, że ten artykuł może wpłynąć na twoją reputację, Lucy, to wydaje mi się, że my też nie mamy się czym przejmować - oświadczyła Patrycja. Spojrzała na duży stojący zegar. - A jeśli mowa o lady Milden, to może się tu zjawić w każdej chwili. Mamy dziś wiele planów, a zaczynamy od zakupów.

Edmund się skrzywił.

- Wspaniale. Już nie mogę się doczekać.

Patrycja zgromiła go wzrokiem.

- Nikt nie powiedział, że musi nam pan towarzyszyć.

- Owszem, ktoś powiedział, że musi wam towarzyszyć. - Caleb nabrał na widelec nieco jajeczniczy. - Ja.

- Och, dobrze. - Patrycja odchrząknęła i kontynuowała wyliczanie. - Po południu idziemy na wykład poświęcony archeologii.

- Na którym pojawi się na pewno ten głupek Riverton - mruknął Edmund.

Patrycja uniosła podbródek.

- Pan Riverton zapewnił mnie, iż ten temat go pasjonuje.

Na twarzy Edmunda pojawił się chłodny uśmiech.

- Jedyne, co pasjonuje Rivertona, to spadek, który pani odziedziczy.

- Lady Milden nigdy by mi go nie przedstawiła, gdyby uważała, że nie jest godny zaufania - odparowała Patrycja. Z holu dało się słyszeć stukanie kołatki do drzwi wejściowych. - To na pewno ona.

- Co jest takiego fascynującego w archeologii? - spytał Edmund.

- To tylko góra gruzu.

- Niech pan słucha uważnie dzisiejszego wykładu, a może odkryje pan, jak interesująca może być archeologia. - Patrycja wróciła do swych planów. - A wieczorem odbędzie się duża impreza towarzyska, bal w Wrothmere.

Edmund się zachmurzył i popatrzył na Caleba.

- Jak mam pilnować panny Patrycji na balu?

- Przede wszystkim będzie pan musiał w nim uczestniczyć oświadczyła Victoria, wchodząc do pokoju. - A żeby dobrze odegrać rolę przyjaciela rodziny, będzie pan też musiał zatańczyć z panną Patrycją raz czy dwa.

Caleb i Edmund podnieśli się, by przywitać Victorię. Edmund wysunął dla niej krzesło. Wyglądał na zaskoczonego.

- O co chodzi? - spytała Victoria, siadając. - Nie ma pan stroju wieczorowego, panie Fletcher? Krawiec Caleba na pewno coś dla pana znajdzie.

- Ja... mam wieczorowy strój - odrzekł Edmund przyciszonym głosem. - Potrzebowałem go w poprzedniej pracy.

- Kiedy pracował pan jako magik, tak? - powiedziała Victoria. - Doskonale. Tak więc to nie stanowi problemu. - Zwróciła się do Lucindy: - Czy madame LaFontaine dostarczyła pani drugą zamówioną suknię balową?

- Przyniesiono ją wczoraj po południu - oznajmiła Lucinda. - Chyba musiała pani czytać tę nieszczęsną historię w porannej gazecie?

- Hm... - Lady Milden rzuciła okiem na egzemplarz „Latające-Szpiega”. - Ach, o tych dwóch, co chcieli panią porwać i sprzedać do domu publicznego. Bardzo ciekawa historia, przyznaję. Założę się, że dziś wieczorem wszyscy dżentelmeni ustawią się w kolejce, żeby z panią zatańczyć.

27

Godzinę później Lucinda wciąż nie wiedziała, czy jest bardziej zirytowana, czy zdumiona.

- Naprawdę nie pojmuję, jak lady Milden może myśleć, że moja reputacja może mi przysporzyć powodzenia na balu - zastanawiała się, niezadowolona.

- Nie oczekuj wyjaśnień ode mnie - odparł Caleb. - Nie znam tajników życia towarzyskiego.

Stali właśnie przed tajemniczym królestwem, do którego nie spodziewała się kiedykolwiek wkroczyć - przed biblioteką Caleba. Kiedy zaproponował, żeby pojechała z nim do domu po tym, jak lady Milden, Patrycja i Edmund wyruszyli na zakupy, była zaskoczona. Ale zaraz potem ją to zaintrygowało. Istotnie, status starej panny dawał jej niemal tyle samo wolności, ile miała wdowa. Nie musiała już strzec reputacji tak bardzo jak Patrycja. Niemniej jednak odwiedziny u samotnego dżentelmena były rzeczą bardzo śmiałą.

Tyle że w kwestii reputacji nie mam już naprawdę nic do stracenia, pomyślała.

Odwróciła się od najbliższej półki pełnej zakurzonych oprawionych w skórę tomów i popatrzyła na Caleba.

- Nie zgadzam się. Doskonale znasz tajniki życia towarzyskiego - powiedziała. - Nic nie uchodzi twojemu zmysłowi obserwacji. Może cię to nudzić albo męczyć, ale ani przez chwilę nie uwierzę, że nie jesteś obyty w towarzystwie. I wiesz, jak ono funkcjonuje.

Podejrzewam jednak, iż wolisz ignorować te zasady, chyba że akurat musisz je do czegoś wykorzystać.

Zamknął drzwi i odwrócił się, nie zdejmując silnej ręki z klamki. Skrzywił się lekko.

- To właśnie, moja droga, stanowi prawdziwy sekret siły w życiu towarzyskim - powiedział.

- Czy cała twoja rodzina wyznaje taki pogląd?

- To rodzinne motto. - Patrzył, jak Lucinda odwraca się do starych księzek. - Na tej półce stoją traktaty alchemiczne. Interesują cię?

- Starzy alchemicy zajmowali się głównie badaniem elementów, prawda? Rtęć, srebro, złoto. Ja skłaniam się raczej ku botanice, jak wiesz.

- Mój przodek, Sylvester Jones, uważał się za alchemika, lecz w rzeczywistości miał szerokie zainteresowania naukowe. Prowadził badania w dziedzinie botaniki. W gruncie rzeczy większość składników tego przeklętego narkotyku pochodzi z ziół i rozmaitych roślin.

- Czy przechowujesz jego dzienniki i zapiski w tej bibliotece? - spytała.

- Mam tu kilka jego dzieł, lecz na pewno nie wszystkie. Większość znajduje się w wielkiej krypcie w siedzibie Towarzystwa. Gabe nosi się z inicjatywą stworzenia projektu mającego na celu skopiowanie zapisków tego starego drania, żebyśmy mieli duplikaty na wypadek, gdyby coś zostało utracone czy zniszczone. Ale to nie jest zadanie szybkie ani łatwe do wykonania.

- Dlatego, że zapisków jest tak wiele?

- To także, ale chodzi też o to, że Sylvester pisał wszystko swoim prywatnym szyfrem. Podejrzewamy też, iż niektórych tomów nie mamy. Otwierając grobowiec Sylwestra, znaleźliśmy bogatą bibliotekę, lecz sądząc po datach, wielu zapisków brakowało.

- Co mogło się z nimi stać?

- Kto wie? Myślę, że niektóre trafiły do rąk trzech kobiet, z którymi Sylvester miał dzieci. Inne mogły zostać ukradzione. Sylvester miał wielu wrogów i rywali.

- A gdzie przechowujesz jego dzienniki?

Popatrzył na ciężkie stalowe drzwi wbudowane w gruby kamienny mur.

- Są w tym sejfie razem z... innymi książkami.

Intuicja podpowiedziała jej, że cokolwiek określił mianem „inne książki”, Caleb nie chciał o nich rozmawiać.

- Cóż za fascynujące miejsce. - Odłożyła gruby tom i ruszyła przed siebie korytarzykiem wyznaczonym przez dwie długie szafy z półkami, zatrzymując się od czasu do czasu, by przeczytać tytuły na skórzanych grzbietach. - Przypomina moją cieplarnię, samo w sobie tworzy osobny świat. I za każdym rogiem kryje się coś unikatowego i intrygującego.

Odpowiedziała jej cisza. Obejrzała się przez ramię na Caleba i zobaczyła, że patrzy na swoją bibliotekę, jakby znalazł się tu po raz pierwszy w życiu.

- Nie myślałem o tym miejscu w ten sposób - przyznał w końcu. - Ale masz rację. To rodzaj cieplarni. - Wyciągnął rękę, by dotknąć jakiejś starej książki. - Większości ludzi to pomieszczenie wydaje się przytłaczające. Dziwią się, że mogą tu spędzać tak dużo czasu. Zresztą co tam, wszędzie w tym domu czują się źle.

Lucinda się uśmiechnęła.

- Jesteś inny od większości ludzi, Calebie.

- Ty także.

Weszła w kolejny książkowy korytarz. Caleb szedł za nią.

- Ciągłe przejmujesz się tym artykułem w gazecie? - spytał.

- Nie tak bardzo, jak w chwili, gdy go przeczytałam - przyznała. Wzięła do ręki kolejną książkę. - Najbardziej martwiłam się tym, że może się to odbić na planach Patrycji. Jeśli jednak lady Milden uważa, że próba porwania kuzynki z zamiarem sprzedania jej do domu publicznego jest błahostką, to kimże jestem, żeby się z nią sprzeczać?

- A fakt, że jesteś teraz ze mną sam na sam? - spytał Caleb. - Czy to cię niepokoi?

W jego głosie i w nim samym znów pojawiło się coś mrocznego. Chłód uniósł jej delikatne włoski na karku. W jednej chwili

powietrze przesycała energia, którą on tylko potrafił emanować i która wyostrzała i zniewalała wszystkie jej zmysły. Intymne prądy, jak u między nimi przebiegały, zwłaszcza gdy znajdowali się blisko siebie, zdawały się przybierać na sile. Czy on też to odczuwał? Na pewno nie mógł tego nie zauważyć.

Próbowała się rozluźnić.

- Zapominasz, że o mały włos uniknęłam losu, który zmusiłby mnie do znoszenia najbardziej pożądlivych i zdeprawowanych męskich pragnień - powiedziała, otwierając książkę. - Zapewniam cię, że w porównaniu z taką perspektywą fakt, iż jestem z tobą sam na sam, nie niepokoi mnie specjalnie.

- Jestem mężczyzną - oświadczył. Nic nie kryło się w jego głosie. Mówił tonem zupełnie neutralnym.

- Tak, zauważyłam to. - Odwróciła kartkę. Łacińskie słowa zamazywały jej się przed oczami. Musiała się skupić, by je przetłumaczyć. *Historia alchemii*.

- I ilekroć o tobie myślę, przepelniają mnie pożądlive pragnienia - dodał Caleb tym samym spokojnym tonem.

Bardzo powoli zamknęła księgę i odwróciła się do niego twarzą. Pożądanie w jego oczach było równie silne, jak niewidzialne prądy energii, krążące wokół nich. Lucinda uświadomiła sobie, że jej serce wali jak młotem.

- Czy te pragnienia również mają zdeprawowany charakter? - spytała miękko.

- Nie wydaje mi się - odrzekł jak zwykle poważnie. - Słowo „zdeprawowany” oznacza chyba coś wbrew prawom natury, prawda?

Mocniej ścisnęła książkę.

- Sądzę, że to właściwa definicja.

- To, co czuję w twojej obecności, jest jak najbardziej naturalne.

- Podszedł do niej i ostrożnie zabrał jej gruby tom. - I bardzo potrzebne.

- W takim razie chyba nie mam się czym niepokoić - wyszeptała.

Jak zawsze, gdy był blisko niej, ogarnęło go trudne do opisania uczucie szczęścia. Wiedział, że kiedy tylko dotknie Lucindy, zapomni tamtych piekielnych książkach w sejfie i o poczuciu nieuchronnej zagłady, jakie go ogarniało, ilekroć je czytał. Drżącą z pożądania ręką odłożył na półkę *Historię alchemii*.

Wziął ją w ramiona. Przyłgnęła do niego chętnie, a w jej oczach widać było upajające pożądanie.

- Tamtej nocy w szopie uczyniłaś mnie na chwilę wolnym człowiekiem - powiedział z ustami na jej ustach. - Chcę tego znowu.

Ścisnęła jego ramiona.

- Calebie, o czym ty mówisz?

- O niczym, nieważne. Tylko ty jesteś ważna. Ciepły blask jej oczu przesłonił cię. Caleb wiedział, że zaraz zacznie się z nim sprzeczać, że będzie chciała uzyskać odpowiedzi, których on nie ma ochoty jej udzielić. Zamiast tego zaczął ją całować.

Robił to powoli, nie spiesząc się. Chciał, żeby pocałunki trwały jak najdłużej. Chciał rozkoszować się poczuciem słuszności i głębokiej pewności, jakie go ogarniały, gdy był razem z nią. Kiedy westchnęła i spłotła dłonie na jego karku, namiętność zapłonęła w nim z taką siłą, że zdawało mu się, iż cały się w niej spali. Przecucie krzychało wręcz do niego: „Może będziesz z nią bardzo krótko, nie wolno ci stracić tego czasu!”

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka przed kominkiem. Całą wieczność trwało zdejmowanie jej butów, ciężkiej sukni i wielu warstw bielizny.

Miała na sobie jedynie pończochy, gdy położył ją na wymiętej kołdrze przykrywającej wąskie pośladki.

Przez chwilę stał, sycąc się jej widokiem. W szopie w słabym blasku księżycy to dotyk i energia, jaką obydwoje emanowali, powiedziały mu, że Lucinda jest doskonała. Teraz mógł ją podziwiać. Widok leżącej i czekającej na niego kobiety go oszołomił.

- Jesteś taka piękna - powiedział.
- Uśmiechnęła się do niego drżącymi wargami.
- To ty sprawiasz, że czuję się piękna.
- A ty, że czuję się wolny.

Oswobodzony z klatki, która się wokół niego zamyka.

Chciał powiedzieć jej o dzienniku i notesie, ale bał się, że jeśli to zrobi, czar pryśnie. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, była litość. Istniała niewielka szansa, że uda mu się uniknąć przeznaczenia. Ilekroć był z nią, ogarniała go nadzieja. A niech to diabli! Musi uniknąć losu!

Zerwał z siebie surdut, szarpnął węzeł halsztuka i ściągnął koszulę. Potem przyszła kolej na buty i spodnie. Rzucił wszystko na podłogę w beładny stos. Zatrzymał się na moment, bo uświadomił sobie, że Lucinda przygląda mu się tak, jak on patrzył na nią chwilę wcześniej.

Przyszło mu do głowy, że najprawdopodobniej jedynymi nagimi mężczyznami, jakich w życiu widziała, były klasyczne posągi. A on nie przypominał *Dawida* wyciosanego z zimnego gładkiego marmuru, doskonałego w najmniejszym szczególe. Był zwykłym mężczyzną o kanciastym twardym ciele. I w dodatku miał silną, aż bolesną erekcję.

- Mężczyźni nawet w połowie nie stanowią tak pięknego widoku jak kobiety - powiedział.

Na jej ustach pojawił się leniwy uśmiech.

- Moim zdaniem, bardzo przyjemnie jest na ciebie patrzeć.

Wyciągnęła do niego rękę. Ogarnęła go ulga. Chwycił jej dłoń i pozwolił się pociągnąć na łóżko tuż obok niej, właśnie tam, gdzie chciał się znaleźć. Położył ją na pościeli i zaczął całować.

Oczarowany miękką, delikatną krągłością jej piersi, pochylił głowę i wziął do ust sutek. Zadrżała w jego ramionach. A kiedy głąskał jej wspaniałe krągłe poślądki, mruknęła coś niezrozumiale i położyła dłoń na jego nagiej klatce piersiowej. Zdawało mu się, że ciepło jej palców dotarło gdzieś głęboko do jego wnętrza, wprost do serca.

Powoli, ostrożnie zaczęła badać jego ciało. Drżał pod jej dotykiem.

Zbliżająca się burza wzajemnego pożądania zawirowała w powietrzu, porywając ich ze sobą. Chwila tej niesamowitej bliskości wstrząsnęła nim, jak nic w życiu. Może i spędzi z nią niewiele czasu, ale będzie rozkoszował się każdą chwilą, chłonąc ją wszystkimi zmysłami. Nieświadomie szukał tego uczucia przez całe swoje życie.

W końcu nie mógł dłużej powstrzymać naglącej potrzeby. Wszedł w nią powoli i głęboko, domagając się jej całym sobą.

Przy Lucindzie mógł uwolnić wszystkie niebezpieczne żywioły, jakie trawiły go do szpiku kości. Ich energie zderzyły się i zgrały w jeden rytm. Zorza, która przy tym powstała, rozświetliła wszystko wokół tyłoma barwami i płomieniami, że ogarnąć je można było tylko szeroko otwartymi zmysłami.

Przez moment Caleb, wciągnięty w sam środek burzy, dostrzegł siłę czystego chaosu. I roześmiał się z tego, co zobaczył.

Nieco później poczuł, że Lucinda pod nim się wierci. Przytulił ją mocniej. Tym bardziej usiłowała się uwolnić z jego ramion. Otworzył oczy i niechętnie ją puścił. Szybko usiadła, po czym zerwała się z łóżka i zaczęła się pospiesznie ubierać. Zaniepokoiło go to.

- Co się stało? - spytał, zerkając na zegar. Minęło niecałe czterdzieści minut. Usiadł i sięgnął po spodnie. - Czyżbyś miała jakieś spotkanie?

- Tak. - Wciągnęła koszulę przez głowę, założyła okulary i popatrzyła na niego surowo. - To spotkanie odbywa się właśnie teraz. Z tobą. I czas już, żebyś mi powiedział, co przede mną ukrywasz.

Poczuł ciężar w żołądku. Złocista poświata zniknęła, jakby w ogóle jej nie było.

- Dlaczego, u diabła, myślisz, że mam przed tobą jakieś sekrety?!

Weszła w środek rozpostartych na podłodze spódnic i podciągnęła stanik do góry, żeby zakryć piersi.

- Nie próbuj wykręcać się od odpowiedzi. Masz więcej sekretów niż inni mężczyźni. Mówiłam sobie, że szanuję twoje prawo do prywatności, ale zrozumiałam, że nie mogę znieść tej atmosfery ani chwili dłużej. Jesteśmy kochankami, mam swoje prawa.

- Kochaliśmy się tylko dwa razy. - Chwycił spodnie i, nie wiadomo dlaczego rozszluszczony, zaczął się ubierać. - Dlaczego uważasz, że to ci daje jakieś prawa?

- Może jestem trochę niedoświadczona w tych sprawach, ale na pewno nie jestem naiwna. - Zapinała suknię z przodu, przyglądając mu się zmrużonymi oczami. - Kochankowie nie mają między sobą sekretów.

- Nie wiedziałem, że istnieją jakieś reguły. Nigdy dotąd nie miałem problemu z utrzymaniem tajemnicy przed... - przerwał i odchrząknął.

- Przed innymi kobietami, z którymi utrzymywałeś intymne stosunki? - dokończyła spokojnie. - Ja się do nich nie zaliczam, Calebie.

Poczuł, że się rumieni.

- Nie musisz mi o tym przypominać. - Był tylko o krok od stracenia panowania nad sobą. A zdarzało mu się to bardzo rzadko. Chwycił koszulę i skupił się na zapinaniu guzików.

- Nie mogę tak dłużej żyć - powiedziała cicho Lucinda.

Czuł się wewnątrz tak zimny, że miał wrażenie, że już zawsze tak będzie.

- Rozumiem. - Z jakiegoś powodu guziki i dziurki w ogóle do siebie nie pasowały. - Masz wszelkie prawa, żeby chcieć małżeństwa. Ale powiedziałem ci już, że jest to jedyna rzecz, której nie mogę ci dać.

- Bzdury. Nie chodzi wcale o małżeństwo. To coś o wiele ważniejszego.

Oparł ręce o biodra.

- Co to, u diabła, jest twoim zdaniem?

- Prawda.

Odetchnął powoli, głęboko.

- Tego również nie mogę ci dać.
- Dlaczego?

Przezeszał włosy palcami.

- Bo zniszczyłbym uczucie, które jest między nami. A nie potrafię się na to zdobyć, za bardzo cię potrzebuję.

- Och, Calebie! Cokolwiek to jest, nie może być tak straszne, żebyśmy nie potrafili się z tym uporać. - Okrążyła łóżko i chwyciła go za koszulę. - Nie rozumiesz? Musimy razem stanąć z tym twarzą w twarz.

- Dlaczego?

- Bo to dotyczy nas obojga.

- To dotyczy mnie, nie ciebie. Nie martw się tym, Lucindo.

- Przestań. - Była naprawdę zdenerwowana. - Nie próbuj mi wmówić, że nie zauważyłeś, co nas łączy. Nawet gdybyś jutro odpłynął w najdalszy zakątek świata, to i tak nie mogłabym się od ciebie uwolnić.

Wtedy złość wzięła nad nim górę. Chwycił jej ręce w nadgarstkach, nie pozwalając jej się ruszyć.

- Ani ja nie mógłbym uciec od ciebie - powiedział. - Bez względu na to, co się ze mną stanie, jak bardzo pograżę się w szaleństwie, nigdy cię nie zapomnę, Lucindo Bromley. Przysięgam na moją duszę.

- W szaleństwie? - Otworzyła szeroko oczy. - O czym ty mówisz? Wiem, że masz tendencję do przewrażliwienia i prostolinijności. Że czasem miewasz obsesje. Ale na pewno nie jesteś szalony!

- Jeszcze nie.

Puścił ją i ruszył przed siebie korytarzem między półkami. Dotarł do sejfu i otworzył masywny szyfrowy zamek.

Gdy Lucinda do niego dołączyła, stalowe drzwi uchylały się ciężko, odsłaniając ciemną otchłań. Z mrocznego wnętrza pulsowała namacalna wręcz energia wydzielana przez nagromadzone tu przedmioty o paranormalnych właściwościach. Jego zmysły zareagowały natychmiast. Wiedział, że Lucinda również odbiera te prądy.

W miarę, jak drzwi się otwierały, blask najbliższej stojącej lampy rozpraszał przejmującą ciemność, wyłaniając z mroku półki, zastawione starymi książkami i dziwnymi przedmiotami. Caleb sięgnął do wnętrza i wyjął bogato zdobione stalowe pudełko, zawierające dziennik i notes.

Brwi Lucindy się zmarszczyły. Otoczyła się ramionami, drżąc, jakby owiał ją powiew chłodnego powietrza.

- Cóż to, u diabła, jest? - spytała ostrożnie.

- Powód, dla którego nie możemy być razem. - Przeszedł obok półek z książkami i postawił skrzynkę na stole przed kominkiem. Podniósł wieko i wyjął dwa oprawione w skórę tomy.

Lucinda przyglądała się książkom z ciekawością.

- Co to?

- Może zainteresuje cię fakt, że niedawno Agencja Jonesa rozwiązała tajemnicę dość dziwnego morderstwa. Zabójca nazywał się Barnabus Selbourne i nie żyje od prawie stu lat. Tylko że Selbourne nie należy do tych, których powstrzyma taki drobiazg jak śmierć. Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, iż niedługo znów kogoś zabije.

- Dobry Boże, kogo?

- Wygląda na to, że jestem następnym na jego liście.

29

Na twarzy Lucindy pojawiło się zrozumienie. Jej oczy zrobiły się intensywnie niebieskie, widać w nich było przejęcie.

- Wierzysz, że ta książeczka może zabić?

- Wierzę, że już raz to zrobiła. Ofiarą był mój pradziadek, Erasmus Jones.

Wrzucił notes z powrotem do stalowej skrzynki i sięgnął po karafkę.

- Powiedziałaś, że chcesz prawdy? - Nalał sobie brandy. - Dobrze więc, usiądź. Poznasz ją.

Lucinda powoli osunęła się na krzesło, patrząc z niepokojem, jak Caleb jednym łykiem wychyla połowę zawartości szklanki. Usiadł i wyjął notes.

- Najpierw opowiem ci o tym sprytnym morderstwie... - zaczął. Trzymał tomik w obydwu rękach i wpatrywał się w skórzaną oprawę. - Jego motyw stał się dla mnie oczywisty, gdy tylko rozszyfrowałem kod Erasmusa, którego użył, pisząc dziennik, wszystko zaczyna się od miłostnego trójkąta. - Spojrzał na nią z ironiczną miną. - Powiedziałem ci chyba, że nie mam romantycznej natury, prawda?

- Tak, zdaje mi się, że wspomniałeś o tym raz czy dwa.

- Erasmus Jones też nie wierzył w miłość. Rozumiał jednak, co to pożądanie, i chciał uchronić młodą kobietę od okropnego małżeństwa. Ojciec Isabel Harkin zamierzał ją wydać za naszego łotra.

- Za Barnabusa Selbourne'a?

- Tak. wygląda na to, że Selbourne znany był jako człowiek gwałtownego usposobienia. Zdążył owdowieć trzykrotnie, zanim zaproponował ojcu Isabel królewską zapłatę za rękę córki. Trzy poprzednie żony zmarły przedwcześnie, a ich małżeństwa były, jak mówiono, bardzo krótkie i nieszczęśliwe.

- Selbourne je zamordował? - spytała cicho.

- Do takiego wniosku doszedł Erasmus. I, jak już wspomniałem, postanowił uratować Isabel od podobnego losu. Tak więc uciekli razem. Gdy wrócili, jako małżeństwo, ojciec Isabel był wściekły, ale to było niczym w porównaniu z wściekłością Selbourne'a. Mój pradziadek napisał w dzienniku, że zachowywał się tak, jakby utracił upatrzony łup.

- Co za okropne porównanie.

- Erasmus zauważył, że między poprzednimi żonami Selbourne'a i Isabel istniało uderzające podobieństwo. Miały ten sam kolor włosów, oczu, sylwetkę...

- Innymi słowy, Selbourne miał obsesję na punkcie kobiet wyglądających jak Isabel.

- Od ślubu nie minął rok, gdy dwukrotnie próbowano zamordować mego pradziadka. Podejrzewał naturalnie, że kryje się za tym

Selbourne, ale nie miał na to dowodów. Potem Selbourne próbował zabić Isabel. Wówczas Erasmus uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko go zamordować.

- W jaki sposób to zrobić? - spytała Lucinda, zafascynowana historią.

- W ten najbardziej staromodny. Pojedynek o wschodzie słońca. Selbourne został poważnie ranny i dwa dni później zmarł. Tyle że zdążył przygotować zemstę na wypadek, gdyby nie przeżył pojedynku. I wymyślił sposób, który pozwala mu mścić się zza grobu.

- Co takiego?

- Kilka tygodni po pojedynku w ręce mego pradziadka wpadł ten oto niewielki tomik. Krążyły pogłoski, że to zaginiony notes, należący ni mniej, ni więcej tylko do Sylwestra Jonesa. Erasmus oczywiście ogromnie się nim zainteresował i zabrał się natychmiast do rozszyfrowania kodu.

- Udało mu się?

Caleb odłożył notes na stół.

- Po kilku tygodniach pracy zdołał przetłumaczyć pewne fragmenty, ale tekst nie miał sensu. Doszedł więc do wniosku, że w pierwszym kodzie kryje się jakiś inny szyfr, i próbował go odnaleźć. Mijały miesiące, a on miał coraz większą obsesję na punkcie odczytania kodu z notesu. Bardzo szybko postradał zmysły. A niedługo potem zmarł.

- Co się z nim stało?

- W końcu podpalił laboratorium, wyskoczył przez okno i skręcił sobie kark. - Caleb odchylił głowę, dotykając nią oparcia krzesła. Zamknął oczy. - Przedtem jednak upewnił się, że dziennik i ten notes zostaną przechowane w rodzinie dla tych, którzy urodzą się z takim talentem, jakim on sam dysponował.

Lucinda się wzdrygnęła.

- Co za tragedia.

Caleb otworzył oczy i upił nieco brandy. Odstawił szklanekę na stół.

- I tak zrodziła się rodzinna legenda.

- Ci mężczyźni w rodzinie Jonesów, którzy przychodzą na świat z talentem podobnym do twojego, zostaną doprowadzeni do obłądu przez ich własne zdolności psychiczne?

- Tak.

- Naprawdę myślisz, że w tym notesie jest coś, co przyprawiło twego pradziadka o utratę zmysłów?

- Tak. - Dołał sobie brandy.

- Wierzysz, że autorem tego notesu jest Sylvester?

- Nie. Prawie na pewno został sfabrykowany przez Barnabusa Selbourne'a.

- Ale jak książka może wpędzić kogoś w obłąd? - spytała.

- Myślę, że to jest związane z szyfrem. - Caleb obracał w dłoni szklanekę z brandy. - Złamanie go stało się dla Erasmusa koniecznością. Szukając go, coraz bardziej zagłębiał się w labirynt rozmaitych możliwości i nigdy niczego nie znalazł. Zdawał sobie sprawę, że traci zmysły, lecz w jakimś momencie nabrał pewności, iż jedynym sposobem na uniknięcie tego losu jest zbadanie tajemnicy notesu. W końcu to go zgubiło.

Lucinda pochyliła się i położyła dłoń na jego udzie. Ciepły dotyk jej ręki cudownie go uspokoił.

- Mówisz tak, jakby ta książeczka rzuciła na twego pradziadka jakiś urok - zauważyła łagodnym tonem. - A przecież nie wierzysz w magię, Calebie.

- Nie. Ale wierzę w siłę obsesji. Niech Bóg mi dopomoże, Lucindo. Od miesiący jestem pogrążony w chaosie tego okropnego notesu.

- Spal go - oświadczyła stanowczo.

- Gdybym tylko potrafił. Myślę o tym każdego dnia i każdej nocy. Nie zliczę już, ileż to razy rozpalałem ogień na kominku i próbowałem wrzucić notes w palenisko.

- Co cię powstrzymuje? - spytała.

Popatrzył na nią.

- To samo, co powstrzymywało Erasmusa. Wiem, że to brzmi dziwnie i nieracjonalnie, ale mój talent podpowiada mi, że nie odważę się zniszczyć tej książeczki, dopóki nie odkryję jej sekretów.

- Dlaczego?

- Nie umiem tego wyjaśnić, ale wierzę, że nawet jeśli ten notes może mnie doprowadzić do śmierci, to jednocześnie jest w nim jedyna moja nadzieja na uniknięcie ciężającej nade mną klątwy.

- Hm...

Dokończy! brandy i odstawił szklanę.

- Nie bardzo wiem, jakiej reakcji oczekiwałem, ale „hm...” to trochę za mało.

Poczuł się dziwnie rozczarowany. Wprawdzie powiedział sobie, że nie chce jej litości, lecz mogłaby mu okazać nieco więcej współczucia. Zanim zdołał się pogodzić z jej reakcją, Lucinda sięgnęła po notes i go otworzyła.

- Aha... - odezwała się, wolno przewracając kartki. - Interesujące.

Caleb chwycił poręcz krzesła i zerwał się na nogi. Potrzebował kolejnej porcji brandy.

- Miło słyszeć, że ta piekielna książka wydaje ci się interesująca - stwierdził. Podniósł karafkę i nalał sobie dużego drinka. - Zwłaszcza, że wątpię, żebyś była w stanie przeczytać choćby stronę tytułową. Napisana jest tym samym diabelnym szyfrem, co cały notes.

- Nie umiem jej przeczytać - powiedziała, spokojnie odwracając kolejną kartkę. - Ale mogę cię zapewnić, że nie doprowadzi nikogo do utraty zmysłów.

Niemal upuścił karafkę. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w nią.

- Skąd to wiesz? - odezwał się w końcu.

Przerzuciła jeszcze parę stron.

- Masz rację w kwestii notesu. Rzeczywiście to on przyprawił twojego pradziadka o obłąd, ale wcale nie przez to, że zwabił go w chaos wytworzony niemożliwym do rozszyfrowania kodem.

Zapomniał w jednej chwili o brandy. Stał, patrząc na nią niczym zahipnotyzowany.

- A więc jak? - spytał. Nawet dla niego samego jego głos brzmiał chrapliwie i dziko.

- Trucizna, oczywiście.

- Trucizna?

Zmarszczyła nos.

- Wszystkie kartki tej książki są nią nasączone. Najprawdopodobniej papier był najpierw moczony w jakiejś miksturze i, dopiero gdy wysechł, autor chwycił za pióro. Ilekroć twój pradziadek odwracał stronę, wchłaniał kolejną porcję trucizny. Podejrzewam, że Selbourne używał rękawiczek, gdy pisał te bzdury. Na szczęście dla ciebie te kartki mają już ponad sto lat.

Nagle uświadomił sobie, że Lucinda trzyma notes gołymi rękoma.

- Do diabła, Lucindo! Odłóż to!

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Dlaczego?

- Sama powiedziałaś, że ten notes jest zatruty. - Wyrwał jej tomik z ręki i rzucił na zimne palenisko. - Nie wolno ci go dotykać.

- Och, nie robi mi żadnej krzywdy. Ani mnie, ani większości ludzi. To trucizna działająca na psychikę, lecz jest tak przemyślnie spreparowana, że wywołuje efekt jedynie u osób posiadających twój talent. Wyczuwam ją wprawdzie, ale toksyna nie może mi zaszkodzić.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. - Spojrzała na notes. - Selbourne musiał być geniuszem w dziedzinie sporządzania trucizn, skoro udało mu się przygotować coś tak wyrafinowanego i śmiertelnie śmiertelnego. Podejrzewam, że miał podobne uzdolnienia jak ja.

- Nie miał z tobą nic wspólnego. Selbourne był alchemikiem, a mówiono o nim, że parał się okultyzmem.

- Bardziej prawdopodobne, że parał się niezwykle oryginalnymi substancjami o działaniu halucynogennym. Rozpoznaję niektóre składniki, ale nie wszystkie. Proponuję, żebyś to spalił.

- Doskonały pomysł. - Podeszedł do kominka i zabrał się do rozpalania ognia. - Dziwne, lecz nawet teraz, kiedy wiem, że ten notes był zatruty, jakaś częśćka mnie opiera się temu pomysłowi.

- Twoje nienaturalne zainteresowanie jest całkowicie zrozumiałe. Truczna straciła wprawdzie większą część swej mocy, ale zostało jej wystarczająco, żeby zachwiać twoją równowagę psychiczną i wytworzyć niezdrową fascynację. Twój pradziadek nie miał żadnych szans, gdy trucizna była świeża.

Caleb patrzył, jak płomienie przybierają na sile i zaczynają lizać notes.

- W jednej rzeczy miałem rację, ten piekielny notes był śmiertelnie bronią.

- Tak.

Caleb wstał i jedną ręką oparł się o obudowę kominka, a drugą chwycił żelazny pogrzebacz i otworzył nim notes, by ogień łatwiej go dosięgnął. Z całej siły powstrzymywał się, żeby nie wyciągnąć tej piekielnej książeczki z płomieni.

- Radziłabym ci odsunąć się od kominka - powiedziała Lucinda.

- Całkiem możliwe, że w dymie są jeszcze śladowe ilości trucizny.

- Sam powinienem być o tym pomyśleć. - Odszedł w stronę krzesła, usiadł i patrzył na palącą się książkę. - Zawdzięczam ci, Lucindo, moje zdrowie psychiczne i życie.

- Bzdury. Nie wątpię, że potrafiłbyś osłabić działanie trucizny.

Popatrzył na nią.

- Nie jestem tego taki pewien. Nawet jeśli nie postradałbym zmysłów, to i tak moje życie zamieniłoby się w piekło.

- Cóż, przyznaję, że rzeczywiście dobrze się składa, że jesteś człowiekiem tak silnym. Obawiam się, że ktoś o słabszej psychice nie oparłby się obłędowi.

Zmusił się, by odwrócić wzrok od książki.

- Czy już do końca życia będę czuł tę hipnotyczną fascynację, mimo że notes obrócił się w popiół?

- Nie, to przejdzie bardzo szybko. A kilka filiżanek mojego naparu znacznie przyspieszy ten proces, zwłaszcza że obecnie nie jesteś wystawiony na działanie trucizny. - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Bo pijasz mój napar, prawda?

- Tak. - Zerknął w stronę dzbanka i małych paczuszek na pobliskiej półce. - Zauważyłem, że po jednej czy dwóch filiżankach czuję się lepiej. Ale wystarczyło, żebym wziął do ręki notes, i znów pogrążyłem się w obsesji.

- Za każdym razem, kiedy otwierałaś książkę, wchłaniałaś kolejne porcję trucizny. - Lucinda się uśmiechnęła. - Winszuję rozwiązania sprawy, panie Jones.

- Nie - zaprzeczył. - To ty ją rozwiązałaś. Nie wiem, jak ci dziękować, Lucindo. Zawdzięczam ci więcej, niż ci się wydaje.

- Nie bądź śmieszny. - Jej głos stał się nagle szorstki. Ciasno spłótła dłonie na kolanach i wpatrywała się w płonącą książkę. - Nie jesteś mi nic winien.

- Lucindo...

Odwróciła głowę i spojrzała na niego chłodnym wzrokiem.

- To, co zrobiłam dla ciebie, nie jest niczym więcej niż to, co ty zrobiłeś dla mnie, rozwiązując sprawę Fairburna. Tak więc rachunki się wyrównały.

- Nie wiedziałem, że mieliśmy jakieś rachunki. - Znów zaczęła go ogarniać irytacja. - Chodzi o to, że moim zdaniem tworzymy bardzo dobry zespół.

- Zgadzam się. Wygląda na to, że obydwójce czerpiemy ogromną satysfakcję z rozwiązywania zagadek kryminalnych. Kiedy skończy się sprawa paproci, chętnie nadal współpracowałabym z Agencją Jonesa.

Złożył obie dłonie tak, by palce się stykały.

- Prawdę mówiąc, miałem na myśli bardziej formalny związek.

- Ach tak? - Uniosła brwi. - Cóż, możemy oczywiście podpisać umowę, ale nie widzę konieczności mieszania w to prawników. Wydaje mi się, że będzie nam się zupełnie dobrze współpracowało w układzie raczej nieformalnym, czyż nie?

- Do diabła, Lucindo, ja mówię o nas. O tobie i o mnie. Właśnie przyznaliśmy, że tworzymy bardzo dobry zespół.

Otworzyła szeroko oczy.

- Owszem.

Caleb rozluźnił się nieco.

- Dlaczego tego nie uprawomocnić?

Twarz jej się rozpromieniła. Wyglądała na zadowoloną. W jej oczach zapłonęły iskiarki.

- Cóż za doskonały pomysł - powiedziała z entuzjazmem. - Oczywiście muszę to przemyśleć.

- Zawsze mi się zdawało, że decydujesz się od razu.

- Owszem. Ale ta decyzja jest wiążąca. Formalna. Prawnicza...

- No, tak. O to przecież chodzi, prawda?

- Jestem niemal pewna, że mogę już teraz obiecać, że się zgodzę.

Pozwolił sobie na lekkie odprężenie.

- To dobrze.

- W końcu okazja, żeby stać się pełnoprawnym współnikiem twojej agencji jest naprawdę kusząca.

- Co takiego?

- Już to widzę. - Podniosła do góry obie ręce, jakby trzymała jakiś niewidzialny obraz. - Bromley & Jones.

Pochylił się w krześle do przodu, nie wierząc własnym uszom.

- Co takiego?

- Rozumiem, że wolałbyś raczej Jones & Bromley. W końcu to ty założyłeś firmę. Ale trzeba też brać pod uwagę inne sprawy. Bromley & Jones dobrze brzmi. Jest bardziej rytmiczne.

- Jeśli myślisz, że nazwę tę agencję Bromley & Jones, to przemyśl to raz jeszcze. Nie o tym mówię i dobrze o tym wiesz!

- No dobrze, skoro robisz takie trudności, może być Jones & Bromley. Ale to moje ostatnie słowo.

- Do diabła.

- O Boże! Chyba będziemy musieli odłożyć te negocjacje na później. - Podniosła się pospiesznie. - Robi się późno. Muszę wracać do domu.

- Lucindo...

- Dziś jest bal w Wrothmere. Muszę jeszcze dopilnować tylu spraw. Victoria prosiła, żeby fryzjer przyszedł o drugiej. - Uśmiechnęła się do niego radośnie. - Nie przejmuj się, jak przyzwyczaisz się do brzmienia Bromley & Jones, spodoba ci się.

Przecież panna Patrycja jest inteligentną kobietą - zżymał się Edmund, a każde jego słowo przesycone było frustracją. - Dlaczego nie widzi, że żaden z tych płaszczących się przed nią dandysów nie jest dla niej odpowiedni? Połowa ugania się za jej spadkiem, a druga połowa zbzikowała na punkcie jej urody. Ani jeden nie jest w niej naprawdę zakochany.

- Jeśli chcesz, żebym ci wyjaśnił, czego kobieta oczekuje od męża i dlaczego wybiera akurat tego, a nie innego kandydata, nie mam o tym bladego pojęcia. - Caleb nalał do szklanki trochę sherry. - Zapytaj mnie o coś łatwego, na przykład jakie jest prawdopodobieństwo, że zwariowany naukowiec Basil Hulsey pracuje w tej właśnie chwili nad ulepszoną wersją eliksiru Sylwestra. W takich rzeczach jestem dobry.

Zmusił się, by wypić łyk sherry. Nie cierpiał tego trunku, zwłaszcza tej niesamowicie słodkiej wersji, jaką Lucinda najwyraźniej lubiła. Niestety, wybór alkoholi był bardzo ograniczony. Siedzieli z Edmundem w bibliotece Lucindy i sherry stanowiła jedyny dostępny trunek. Lucinda i Patrycja stroiły się na górze na bal. Towarzyszyła im Victoria, doglądając ostatnich szczegółów.

Edmund przemierzał pokój dużymi krokami. W pewnej chwili zatrzymał się, gdyż coś zwróciło jego uwagę.

- Udało się panu trafić na ślad Hulsey'a?
- Być może. - Caleb oparł się o biurko Lucindy. - Ale to zbyt mało, żeby go odnaleźć. - wyciągnął z kieszeni zegarek. - Ale dziś wieczór spodziewam się dowiedzieć więcej.
- Czyli?
- Mam spotkanie z drugim porywaczem.

- Znalazł go pan? - Na moment w kipiących irytacją oczach Edmunda pojawiło się podekscytowanie. - Zgodził się z panem spotkać?

- Niezupełnie. Godzinę temu był u mnie mały Kit. Powiedział, że ten człowiek przychodzi co wieczór do pewnej tawerny i upija się do nieprzytomności, odkąd zmarł jego kumpel. Zamierzam z nim porozmawiać. Mam nadzieję, że element zaskoczenia będzie dla mnie okolicznością sprzyjającą.

Edmund zmarszczył czoło.

- Nie powinien pan iść tam sam. Niech mnie pan zabierze ze sobą.

- Nie. Pan musi pilnować Patrycji i Lucindy.

- To niech pan weźmie kogoś innego. Może jednego z pańskich kuzynów.

- Z tego, co mówił Kit, ten facet ma dosłownie zszarpane nerwy. Wygląda na to, że widok umierającego kumpla przeraził go nie na żarty. Gdyby zbliżyło się do niego dwóch obcych ludzi, pewnie by uciekł i musiałbym go znowu tropić. Nie, w tego rodzaju sytuacjach trzeba subtelności.

- Skoro pan tak twierdzi. - Edmund nie był zadowolony, ale nie upierał się przy swoim. Znowu zaczął chodzić po pokoju. - Czy naprawdę wierzy pan, że lady Milden wie, co robi z tym swataniem?

- Nie mam pojęcia. - Upił kolejny łyk okropnej sherry. Odstawił kieliszek. - Zajmuje się tym od niedawna i nie było dotąd okazji, żeby ocenić jej umiejętności.

- Całe lata może potrwać, zanim będzie wiadomo, czy ma do tego talent. A tymczasem panna Patrycja zostanie wydana za jakiegoś brutala albo łowcę fortun. I całe jej życie legnie w gruzach. Zwłaszcza Riverton wydaje mi się ohydny. Wątpię, by cokolwiek mogło go powstrzymać od poślubienia dziedziczki.

Caleb zastanowił się nad tym przez chwilę, patrząc, jak Edmund wydeptuje ścieżkę w dywanie.

- Ściśle rzecz biorąc, panna Patrycja nie jest dziedziczką - powiedział neutralnym tonem. - Z tego, co wiem, dostanie spadek zapewniający jej wygodne życie, ale na pewno nie wielką fortunę.

- Wiem tylko, że pieniądze, jakiegokolwiek by one były, kuszą tego Rivertona. I przysięgam, że jeśli jeszcze raz usłyszę, jak bardzo fascynuje go archeologia, wyrzucę go przez najbliższe okno.

- Wygląda na to, że bardzo pan się troszczy o szczęście panny Patrycji - stwierdził Caleb. - A miałem wrażenie, iż pańskim zdaniem jej podejście do małżeństwa jest zbyt wyrachowane.

Edmund się zachmurzył.

- Właśnie o to chodzi. Panna Patrycja wcale nie jest kobietą wyrachowaną. Właściwie to wprost przeciwnie. I obawiam się, że nie chcąc dać się zwieść emocjom, postanowiła postąpić wbrew swej życzliwej naturze. Ale to tak zwane naukowe podejście to istny nonsens. Czy widział pan tę jej piekielną listę wymagań, jaką wręczyła lady Milden?

- Tak, mówiła o swoich kryteriach. - Zmrużył oczy, zastanawiając się nad tym. - Przejęła ten pomysł od panny Bromley.

„Bromley & Jones”. Skąd, u diabła, przyszło jej to do głowy? Przecież jest zbyt inteligentna, by nie zrozumieć, że zaproponował jej dziś małżeństwo. Jeśli nie chciała go poślubić, dlaczego tego po prostu nie powiedziała? Po co całe to głupie gadanie o zostaniu współniczką w jego firmie?

Chyba że naprawdę nie rozumiała. Wielki Boże! Czy to możliwe, że nie wyraził się wystarczająco jasno?

- Tyle że taki mężczyzna nie istnieje - oświadczył Edmund.

- Co? - Caleb zmusił się, by słuchać rozmówcy. - Ach, tak! Lista. Wyraźnie jednak lady Milden nie miała kłopotu z wyszukaniem pokaźnej liczby odpowiednich kandydatów.

- Ale oni wszyscy nie nadają się dla panny Patrycji. Żaden z nich - upierał się Edmund.

- Jest pan tego pewien?

- Absolutnie. Myślę, że moim obowiązkiem jest ją uratować, ale ona na pewno mnie nie posłucha. Naprawdę traktuje mnie jak zwykłego opiekuna, jak psa. Cały czas wydaje mi polecenia albo głaszcze mnie po głowie.

- Głaszcze pana po głowie?

- W sensie przenośnym.
- Aha - mruknął Caleb.

Miał nieprzyjemne uczucie, że oczekuje się od niego dojrzałej męskiej rady, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Może dlatego, że wciąż szukał rozwiązania swoich problemów, a były one dokładnie tego samego rodzaju.

„Bromley & Jones”.

Może to ta piekielna lista stanowiła prawdziwy problem. Zdawał sobie sprawę, że nie spełnia wszystkich wymagań Lucindy, ale przecież ona sama zauważyła, że tworzą doskonały zespół. I najwyraźniej był dla niej atrakcyjny fizycznie.

A jeśli to za mało? Może nie chciała iść na kompromis? Czyżby musiał wykazać się każdą piekielną cechą charakteru, jakie wyliczyła na swojej liście? Do diabła! Będzie musiał się zdobyć na pogodne, pozytywne nastawienie do życia? Naprawdę są rzeczy, które trudno zrozumieć, mając największy nawet talent.

Gdyby chodziło o romans, element niepewności wcale by mu nic przeszkadzał. Ale gdyby pewnego dnia zjawił się mężczyzna spełniający wszystkie wymagania Lucindy i uwiódł ją wywodami na temat tajemnic rozmnażania paproci czy też zmysłowymi właściwościami słupeków i zapyłania?

Victoria wkroczyła do pokoju. Za nią podążały Lucinda i Patrycja.

- Panowie, jesteśmy gotowe - oznajmiła tonem generała wiodącego wojsko do walki.

Caleb odruchowo się wyprostował. Kątem oka zauważył, że Edmund zatrzymał się i zwrócił twarzą do kobiet.

Na moment zapanowała kompletna cisza, bo obaj wpatrywali się w damy.

Lucinda zmarszczyła czoło.

- Czy coś się stało, panie Jones?

Uświadomił sobie, że się na nią gapi. Ale nie mógł się przed tym powstrzymać, wyglądała oszałamiająco w ciemnofioletowej sukni ozdobionej aksamitnymi wstążkami i dyskretnie wszytymi kryształ-

kami, odbijającymi światło. Długie, obcisłe rękawiczki podkreślały łagodny zarys jej rąk. Aksamitny pasek wokół szyi także obszyty był błyszczącymi kryształkami.

Pojął wówczas, że przeznaczone mu było odczuwać ten dreszcz energii i bliskości do końca życia, ilekroć Lucinda wejdzie do pokoju. Tak jest dobrze. Należysz do mnie. Do diabła z twoim doskonałym mężem! Jeśli kiedykolwiek będzie na tyle głupi, by się zjawić, dopilnuję, by zniknął, pomyślał.

Wielki Boże, zaczynał upodabniać się do Fletchera. Tyle że naprawdę tak myślał. Ale chyba jeszcze nie nadszedł właściwy moment, żeby powiedzieć to na głos.

Kiedy ma się wątpliwości, trzeba się zdać na dobre manieri.

Zebrawszy myśli, przemierzył pokój i ujął dłoń Lucindy. Skłonił się.

- Nie - zapewnił. - Wszystko w porządku. Po prostu przez chwilę dech mi zapało. Pani i panna Patrycja wyglądacie oszałamiająco. Prawda, Fletcher?

Edmund wzdrygnął się lekko, jakby i on został nagle wyrwany z zamyślenia. Podeszedł do Patrycji, ujął jej dłoń i zdobył się na oficjalny ukłon.

- Prześlicznie - orzekł. Jego głos brzmiał, jakby nagle coś ścisnęło go w gardle. - W tej akwamarynowej sukni przypomina pani księżniczkę z bajki.

Patrycja spłonęła rumieńcem.

- Dziękuję panu.

Victoria odchrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę.

- Panie Fletcher, będzie pan towarzyszył Patrycji i mnie w moim powozie. Pan Jones natomiast zapewni eskortę Lucindzie. Biorąc pod uwagę niedawny artykuł w „Latającym Szpiegu”, jest bardzo ważne, żeby to właśnie on wprowadził ją dziś do sali balowej.

Lucinda się skrzywiła.

- Naprawdę nie sądzę, by to było konieczne.

- Proszę się nie sprzeczać z ekspertką - zażądał Caleb i wsunął sobie dłoń Lucindy pod ramię.

Przeszli do holu, gdzie pani Shute otworzyła przed nimi drzwi. Na ulicy czekały już dwa powozy. Caleb wsiadł za Lucinda do ciemnego wnętrza małego pojazdu i zajął miejsce na wprost niej.

- Co się stało? - spytała.

- Nie rozumiem...

- Czuję, że coś się wydarzyło - wyjaśniła. - W twojej aurze pojawiło się coś nowego, wypileś filiżankę lub dwie naparu, tak jak prosiłam, prawda?

- Obawiam się, że twój napar, choć wspaniały, nie upora się ze źródłem mojego obecnego napięcia.

- Przecież mówiłeś, że przynosi ci ulgę.

- Owszem, wtedy gdy chodzi o działanie trucizny. Lecz to, co się teraz ze mną dzieje, nie ma nic wspólnego z tym piekielnym no-tesem.

- O co chodzi? Może sporządzę jakiś inny lek. Uśmiechnął się.

- Tak się składa, że rzeczywiście możesz mi pomóc. Niestety mam tylko tyle czasu, by zażyć małą dawkę.

Pochylił się i ją pocałował. Był to szybki i zarazem silny, władczy pocałunek

- Na razie to musi wystarczyć - stwierdził, wracając na miejsce, zanim zdążyła coś powiedzieć. - Mam nowe wieści.

Opowiedział jej o relacji Kita i o tym, że zamierza spotkać się z porywaczem. Przestraszyło ją to.

- Nie wolno ci tam iść w pojedynkę - orzekła. - Weź ze sobą pana Fletchera.

- Proponował to samo. Ale jego praca polega na pilnowaniu ciebie i panny Patrycji. Dam sobie radę sam.

- Masz broń?

- Tak. Chociaż jestem pewien, że nie będę musiał po nią sięgać. Nie martw się o mnie. Wprowadzę cię do sali balowej i zatańczymy. Tak, żeby wszyscy mogli nas widzieć, a potem wymknę się na godzinę czy dwie. Wrócę na tyle wcześnie, żeby cię odprowadzić do domu.

- Jesteś ubrany jak na bal, a nie na spotkanie z łotrem w portowej tawernie.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale wziąłem to pod uwagę - rzekł. - Mam płaszcz i kapelusz, które ukryją wieczorowy strój.

- Nie podoba mi się ten plan. - W świetle lamp w powozie widać było, że na jej twarzy maluje się troska. - Mam złe przeczucia.

- Trochę więcej zaufania w moje zdolności, moja słodka. Prawdopodobieństwo, że spotkanie z łotrzykiem przebiegnie bezproblemowo, oceniam na ponad dziewięćdziesiąt trzy procent.

- Ale to znaczy, że wciąż zostaje siedem procent prawdopodobieństwa, że coś może pójść źle. - Ścisnęła mocniej wachlarz. - Obiecuj mi, Calebie, że będziesz ostrożny.

- Mogę obiecać ci więcej. Masz moje słowo, że wrócę wystarczająco wcześniej, żeby zatańczyć z tobą walca, zanim zabiorę cię do domu.

31

To demon, mówię panu - Perrett przerwał, żeby wychylić kolejny łyk dżinu. Otarł usta brudnym rękawem płaszcza. Nachylił się jeszcze bardziej nad stołem i zniżył głos. - Prosto z piekła. Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie widział na własne oczy. Miał skrzydła jak jakiś gigantyczny nietoperz. I szpony zamiast palców. A oczy błyszczały mu jak rozżarzone węgle. Naprawdę.

Caleb wątpił, by opis okazał się zgodny z rzeczywistością, ale było jasne, że Perrett bardzo się wystraszył. I, o dziwo, umierał z chęci opowiedzenia o swoich przeżyciach komuś obcemu. Caleb odniósł wrażenie, że jego kompani uznali, iż postradał zmysły, i traktowali go jak szaleńca. Pewnie dlatego tak chętnie mu się zwierzał. Perrett natknął się na kogoś, kto wreszcie traktował jego opowieść poważnie i dał upust swym uczuciom.

Siedzieli na tyłach dość zatłoczonej tawerny. Caleb zdawał sobie sprawę, że szeroki szal, kapelusz z opuszczonym rondem, długi płaszcz i wysokie buty nie były najlepszym przebraniem, ale spełniały swoją funkcję. Nikt obecny w tawernie nie zdoła szczegółowo opisać jego wyglądu. A o to przecież chodziło.

- Powiedziałeś, że demon wynajął cię, żebyś porwał pannę Bromley? - dopytywał się.

Perrett popatrzył na niego spode łba.

- Zaraz, zaraz... Kto tu mówił o porywaniu? Chodziło o zwykły, prosty interes. Powiedział nam, że pracuje dla pewnej instytucji, która zapewnia dżentelmenom usługi eleganckich dam. Wie pan, o co chodzi. Niektórzy klienci mają specjalne wymagania.

- Wiem.

- Ja tam tego nie pojmuję. Wystarcza mi krzepka dziewczka, co się nauczyła swojej roboty na ulicy. Taka dziewczucha wie, jak zadowolić mężczyznę. Te damy są zupełnie niewyrobione. Strata pieniędzy, takie jest moje zdanie.

- Człowiek, który cię zatrudnił, nie chciał jakiegokolwiek damy, czy tak? Zapłacił ci, żebyś mu przywiózł pannę Bromley?

Perrett wzruszył ramionami.

- Tak to działa. Klient wybiera sobie kobietę, zwykle taką, która nie ma rodziny ani pieniędzy, ani męża, który by poszedł na policję. Połowę płacą od razu, a resztę po dostarczeniu towaru.

- Dlaczego spotkaliście się z nim po raz drugi? Przecież nie mogliście mu przywieźć panny Bromley?

- Myśleliśmy, że da nam inne zlecenie. W końcu to nie nasza wina, że ta czarownica sypnęła nam w twarz jakimś palącym proszkiem. Sharpy i ja myśleliśmy, że oślepnjemy. Że się zadusimy na śmierć na tej ulicy.

- Ale klient nie miał dla was innych zleceń.

- Nie miał. - Perrett wzruszył ramionami. - Po prostu się wściekł. Powiedział coś, że śmierć jest ceną za porażkę w pracy dla Zakonu. On ma nie po kolei w głowie, jak pan chce znać prawdę. A potem użył jakiejś magicznej sztuczki, żeby zabić Sharpy'ego.

- Oczy Perretta zwilgotniały. - I niby za co? Nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy. Do diabła! Nie dostaliśmy pieniędzy, ledwie uszliśmy z życiem, po tym co zrobiła ta czarownica... a on ukatrupił Sharpy'ego!

Caleba przeszył dreszcz. Głęboko w kryształowym labiryncie, jaki sobie zbudował, jedna ze ścieżek zabłysła jasnym światłem. Szedł w dobrym kierunku.

- Użył słowa „zakon”? - spytał ostrożnie.

- Tak... - Szerokie ramiona Perretta zadrżały. Wypił nieco dzinu, żeby uspokoić zszarpane nerwy, po czym odstawił butelkę. - To na pewno jakieś stowarzyszenie. - Skrzywił się z pogardą. - Dżentelmeni tworzą różne stowarzyszenia tak jak my gangi. Tylko oni spotykają się w eleganckich klubach zamiast w tawernach i ciemnych alejkach. I używają wymyślnych słów, jak konsorcjum czy spółka, żeby nazwać swoje interesy.

- Tak - przyznał Caleb. - Tak robią. - Gdy ostatnio zastanawiał się nad sprawą Hulseya i niewielkiej grupy zdrajców, o których był przekonany, że działali w ramach Towarzystwa Wiedzy Tajemnej, przyszło mu do głowy słowo „kabała”.

- Sharpy i ja nie wiedzieliśmy, że pracujemy dla jakiegoś Zakonu. Do diaska! Myśleliśmy, że to zlecenie od tego człowieka, co się z nami spotkał. Tylko że wtedy nie wiedzieliśmy, że jest demonem. Bo na pewno byśmy odmówili...

- Może powiedział coś jeszcze o Zakonie?

Perrett pokręcił głową.

- Nie, nic. Tylko gapił się na Sharpy'ego. I wtedy biedny Sharpy zaczął wrzeszczeć. Przeraziłem się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Byłem pewien, że będę następny. Przysięgam, że coś wisiało w powietrzu. Jakby jakaś elektryczność. Wiedziałem, że już po Sharpym, więc uciekłem. Żeby się ratować.

- Czy ten mężczyzna demon dotknął Sharpy'ego? Może dał mu coś do picia albo do zjedzenia? Miał jakąś broń?

- Nie. I o to chodzi! - Perrett rozejrzał się po tawernie i zniżył głos do szeptu. - Nikt nie chce mi wierzyć. Myślał, że oszalałem. Ale

mówię panu, ten potwór nie wyciągnął żadnego noża czy pistoletu. A jak robił te swoje czary, stał od nas jakieś dziesięć kroków.

- Pamiętasz coś jeszcze? - spytał Caleb. - Oprócz tego, że demon miał ogniste oczy, skrzydła i szpony.

Perrett wzruszył ramionami i upił łyk dżinu.

- Niewiele.

- Wyrażał się jak ktoś wykształcony?

Szeroka twarz Perretta się ściągnęła.

- Trochę jak pan, skoro już o tym mowa. Mówiłem panu, to džentelmen. Demon przecież nie udawałby robotnika.

- Nie, chyba nie. A był ubrany jak džentelmen?

- Jeszcze jak.

- Przyjrzałeś się jego twarzy?

- Nie. Spotykaliśmy się w nocy, w ciemnej alejce. Miał na sobie kapelusz, szal i płaszcz z wysoko postawionym kołnierzem - Perrett przerwał na chwilę, zmieszany. - Całkiem jak pan.

- Przyjechał swoim powozem?

Perrett pokręcił rozczochną głową. Nawet dżin nie mógł całkowicie stłumić niepokoju, który go ogarniał.

- To był dwukołowy powóz - oznajmił. Skrzywił się. - A tak w ogóle, po co to panu wiedzieć, czym przyjechał?

Caleb zignorował pytanie.

- Miał jakieś kosztowności?

Zawodowy złodziej, choćby w sztok pijany, na pewno nie zapomni niczego, co dotyczy biżuterii. Oczy Perretta aż zabłyśły z emocji.

- Miał bardzo ładną małą tabakierkę. Błyszczała w świetle latarni, gdy wyciągnął ją z kieszeni. Wyglądała na złotą. I była wysadzana kamieniami. W ciemności nie widziałem, jakimi. Ale to nie były diamenty. Może szmaragdy albo szafiry. Dostałbym za nią niezłą sumkę od pasera.

- Tabakierkę? Zażył tabaki?

- Tak. Wziął szczyptę tuż przed tym, jak zaczął odprawiać czary na Nedzie.

- Ciekawe.

Perrett znów pograżył się w pijackiej rozpacz.

- Pan jest jak inni. Nie wierzy mi pan.

- Wierzę w każde twoje słowo. - Caleb sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął kilka banknotów. Rzucił je na stół.

Pieniądze przykuły wzrok łotrzyka.

- A to za co?

- Zapłata za twoją pouczającą opowieść. - Caleb wstał. - Dodam do tego jeszcze dobrą radę. Na twoim miejscu unikałbym spotkania z tym demonem.

Perrett się wzdrygnął.

- Niech pan się nie martwi. Schowam się w mysią dziurę, żeby mnie nie znalazł.

- To znaczy?

Perrett wzruszył ramionami.

- Może i jest demonem, ale to dżentelmen. Tacy jak on nie zapuszczają się w najgorsze dzielnice. Nie wiedzą, jak się tu poruszać, rozumie pan.

- Nie bądź tego taki pewien - powiedział spokojnie Caleb. - Ktoś, kto bardzo chce cię znaleźć, na pewno tu trafi.

Perrett znieruchomiał. Jego zamroczone dżinem oczy otworzyły się szeroko i najpierw odmalowało się w nich zrozumienie, a potem panika. Caleb czekał spokojnie, aż bandyta uświadomił sobie, że pewien szczególnie dżentelmen odnalazł go dzisiaj w tawernie pod Czerwonym Kapturem.

- Kim pan jest? - wyszeptał Perrett.

- Pamiętasz tę damę, którą próbowałeś porwać na Guppy Lane?

- Co z nią?

- Należy do mnie - oznajmił Caleb. - I fakt, że jeszcze żyjesz, zawdzięczasz jedynie temu, że potrzebowałem od ciebie informacji. Ale przysięgam, że jeśli kiedyś się do niej zbliżysz, odnajdę cię równie łatwo, jak to zrobiłem dzisiaj.

Uśmiechnął się.

Perrett kilkakrotnie otwierał i zamykał usta. Ale nie powiedział ani słowa. Zaczął się trząść.

Caleb, usatysfakcjonowany, ruszył w stronę drzwi. Może i nie mógł się poszczycić talentem drapieżcy, dość powszechnym w rodzinie Jonesów, niemniej jednak w głębi duszy był myśliwym. I potrafił zapolować na ofiarę z uśmiechem.

32

Godzinę później Lucinda, Victoria, Patrycja i Edmund zasiedli w małej alkwie przylegającej do sali balowej. Obserwowali gości, którzy przybyli na bal.

- Jest dokładnie tak, jak pani zapowiedziała, lady Milden - oświadczyła Patrycja, uradowana. - Mam wrażenie, że każdy dżentelmen chce zatańczyć z Lucinda. Pojawiała się na parkiecie częściej niż ja!

- Zupełnie tego nie pojmuję. - Lucinda sięgnęła po kolejną szklankę lemoniady. Umierała z pragnienia. Przyjmowała każde zaproszenie do tańca, głównie dlatego, że musiała się czymś zająć. Narastało w niej poczucie, że zdarzy się jakaś katastrofa. Że Caleb popełnił poważny błąd, idąc na spotkanie z porywaczem. - Dobry Boże, co pociąga mężczyzn w kobiecie, którą chciano sprzedać do domu publicznego?

Na twarzy Victorii pojawił się uśmiech.

- Zdaje się, że nie doceniasz uroku kobiety, o której się plotkuje i którą w dodatku adoruje mężczyzna z rodziny Jonesów.

Lucinda aż się zachłysnęła lemoniadą.

- Adoruje? - wyjąkała. - O czym, na litość boską, pani mówi? Caleb Jones zatańczył ze mną tylko raz dzisiejszego wieczoru, po czym wyszedł.

- Może mi pani wierzyć, że już od wielu dni krążą plotki o pani związku z Calebem - stwierdziła pogodnie Victoria.

Lucinda poczuła, że rumieniec wykwitła jej na twarzy.

- Zatrudniłam go, żeby zajął się pewną sprawą. Łączą nas wyłącznie wspólne interesy.

Victoria zachichotała.

- Nikt, kto widział was tańczących na poprzednim balu albo na dzisiejszym, nie uwierzy, że wasz związek ogranicza się do wspólnych interesów.

- Sytuacja robi się niezręczna - odrzekła Lucinda.

- Nonsens. - Victoria zbagatelizowała całą sprawę szybkim machnięciem wachlarza. - Nie ma w tym nic niezręcznego. - Zerknęła znacząco na Edmunda. - Panie Fletcher, czas już, żeby zatańczył pan z Patrycją. Musimy podtrzymać wrażenie, iż jest pan przyjacielem rodziny.

Lucinda mogła przysiąc, że Edmund spiekł raka. Patrycja natomiast na pewno oblała się lekkim rumieńcem i, ni stąd, ni zowąd, zaczęła poprawiać haftki przytrzymujące tren sukni.

Edmund wyprężył się i bardzo formalnym ruchem skłonił głowę przed Patrycją.

- Panno Patrycjo, czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt?

Dziewczyna zostawiła w spokoju suknię, wzięła głęboki oddech i podała mu dłoń. Edmund poprowadził ją na parkiet.

Victoria promieniała entuzjazmem.

- Prawda, że tworzą uroczą parę?

Lucinda popatrzyła na Edmunda i Patrycję.

- Jeśli akurat się nie kłóć. Naprawdę, nigdy jeszcze nie widziałam, żeby dwójka młodych ludzi bardziej się czubiła. Przecież to... - przerwała i spojrzała na Victorię. - Chyba nie chce pani powiedzieć, że są dobraną parą?

- Są doskonałą parą. Naturalnie wiedziałam to od momentu, gdy zobaczyłam ich razem. Popatrzmy, co się teraz stanie. Nie ma to jak walc, żeby pobudzić romantyczny nastrój.

Lucinda obserwowała Edmunda. Mężczyzna przysunął Patrycję bliżej siebie i poprowadził w takt walca. Nawet z tej odległości widać było, że dziewczyna jest ożywiona i uśmiechnięta.

- Hm... - zauważyła Lucinda. - Cóż, to chyba tłumaczy te wszystkie sprzeczki i chichoty. Ale nie obejdzie się bez problemów. Pan Fletcher jest, owszem, bardzo miły i szczerze oddany sprawie ochrony Patrycji, ale obawiam się, że nie spełnia wymagań, jakie ona ma w stosunku do przyszłego męża. Nie wygląda na przykład na to, by miał stale przyzwoite dochody. Z tego, co zrozumiałam, jego współpraca z Agencją Jonesa ma charakter raczej dorywczy i nie da się przewidzieć, jak długo potrwa. No i nie zna się wcale na archeologii.

- To drobiazgi, zapewniam panią.

- Nie jestem pewna, czy Patrycja albo jej rodzice uznają te kwestie za drobiazgi.

- Kiedy energia przepływa jak należy, miłość pojawia się sama.

Lucinda popatrzyła na nią.

- Miłość może się pojawić, lecz może też doprowadzić do katastrofy. Kobieta w pewnym wieku może sobie pozwolić na romans, ale nie młoda dziewczyna, taka jak moja kuzynka. Zdaje sobie pani z tego sprawę równie dobrze, jak ja.

- Zapewniam panią, że nie zajmuję się inicjowaniem romansów.

- Victoria była szczerze obrażona. - Jestem swatką i traktuję moją pracę bardzo poważnie. Przypomni sobie pani moje słowa, gdy Patrycja i Edmund staną na ślubnym kobiercu.

- Mimo oczywistych przeszkód?

- Nie - odrzekła Victoria. - Dzięki nim. Narodziny miłości przypominają uprawianie dobrej winorośli.

- W tym sensie, że im trudniejsze warunki klimatyczne musiała pokonać winorośl, tym słodsze wyda owoce?

- Trafnie ujęte.

33

W pobliżu tawerny Pod Czerwonym Psem nie zapuszczały się żadne powozy ani dorożki. I to wcale nie z powodu gęstej mgły. Po prostu woźnice wiedzieli, że mało który z mieszkańców słabo

oświetlonych okolicznych domostw mógł sobie pozwolić na luksus wynajęcia pojazdu.

Caleb ruszył przed siebie, w dali było widać słabe światło pojedynczej lampy gazowej. Intuicja odpowiedziała mu, że ktoś go śledzi, zanim jeszcze usłyszał kroki. Drzwi tawerny nie otworzyły się powtórnie. Ktokolwiek czaił się w ciemnościach, musiał obserwować wejście, czekając na niego.

Pomyślał, że ten ktoś śledził go od momentu, gdy wyszedł z balu. Wyjaśniałoby to z pewnością niepokój, który towarzyszył mu od tego czasu.

Czuł podekscytowanie i energię pulsującą w jego żyłach tak samo jak w chwilach, gdy kolejne elementy śledztwa układały się w jego głowie w jedną spójną całość. Być może ktoś, kto go śledził, był zwykłym złodziejaszkiem szukającym łatwej ofiary, ale talent podpowiadał Calebowi coś innego. Prawdopodobieństwo, że wkrótce spotka demona, o którym mówił Perrett, oceniał na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Starał się iść równym zdecydowanym krokiem, jakby był nieświadomy tego, że ktoś za nim podąża. Prześladowca przyspieszył kroku. Caleb nie musiał się odwracać, żeby go zobaczyć. Zresztą tylko prawdziwy myśliwy, mający talent widzenia w nocy, mógłby dojrzeć w gęstej mgle coś więcej niż ciemną sylwetkę.

Zdjął rękawiczkę, wsunął dłoń do kieszeni i wyjął pistolet. Trzymając go przy nodze tak, by nie rzucał się w oczy, stanął w świetle ulicznej lampy. Mgła lekko połyskiwała.

Strach przyszedł znikąd. Na moment zaparło mu dech, zmysły stępały zupełnie, nerwy napięły się do granic. Rozległ się głuchy hałas. Dopiero po chwili Caleb zrozumiał, że upuścił pistolet.

Zatrzymał się zmrożony strachem, który - jak podpowiadał mu umysł - nie miał żadnego logicznego uzasadnienia. Serce waliło mu w piersi. Płuca się ścisnęły. Rozpaczliwie próbował złapać oddech.

Nagle pogrzyżył się w koszarze. Jedynie cienka granica dzieliła go od otchłani, jaką był chaos. Niemalże czuł, jak panika pali go w żyłach niczym ogień.

Instynkt kazał mu wyostrzyć zmysły i odpowiedzieć na atak. Jego talent zadziałał. Zepchnął chaos gdzieś na bok, pozwalając dostrzec rzeczy, które dawały mu oparcie w tej otchłani niepojętej ciemności, jaka go otaczała.

Ten człowiek używa swojego talentu, pomyślał Caleb. Tak właśnie zamordował Sharpy'ego i Daykin. Wpędza swoje ofiary w panikę. Muszę odepchnąć jego atak albo pograżę się w chaosie, powiedział sobie.

Nie chciał odejść z tego świata w taki sposób - jako ofiara wciągnięta w wir jakiejś zupełnie przypadkowej, pozbawionej znaczenia energii. Musi odnaleźć jasność i porządek, na tym polegał jego talent. Użyje go, żeby walczyć z napastnikiem, nawet gdyby przyszło mu za to zapłacić śmiercią.

Musiał zdobyć się na najwyższy wysiłek woli, ale zdołał odwrócić się twarzą do zabójcy. Zdawało mu się, że trwa to całą wieczność - tak silnej koncentracji było potrzeba, by mięśnie zaczęły słuchać poleceń umysłu.

Napastnik wyłonił się z mgły i stanął w rozproszonym świetle. Jego oczy nie ziały ogniem, nie miał szponów ani gigantycznych skrzydeł nietoperza. Ale Caleb ani przez chwilę nie wątpił, że to potwór.

- Jestem zaskoczony, widząc cię tu, panie Jones. - Prześladowca zatrzymał się ledwie jard czy dwa od niego. - W tego rodzaju okolicach nie spotyka się dżentelmenów twojego pokroju. Cóż to sprawdza cię na ulicę? Czyżby chęć cielesnej rozrywki, której nie da się zaspokoić w lepszej części miasta? Jakaś spelunka handlarzy opium?

Caleb nie odpowiedział. Nie był pewien, czy uda mu się wykrztusić choćby słowo. Energia zalewająca jego zmysły zdawała się też paraliżować mu język. Ale talent Caleba nie zawiódł. Labirynt w głębi jego umysłu stawał się wyraźniejszy, jaśniejszy, bardziej zrozumiały. Jedyne, co musiał zrobić, to znaleźć sposób, żeby oświetlone części połączyły się w całość.

- Pozwól, że się przedstawię - powiedział nieznajomy. Niedbającym ruchem zdjął rękawiczkę, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął

niewielki przedmiot, połyskujący złotem w słabym świetle. - Nazywam się Allister Norcross.

Otworzył tabakierkę i wziął w palce szczyptę proszku. Przysunął specyfik do nosa i wciągnął głęboko.

Chwilę później zmysły Caleba zalała kolejna paląca fala paniki. O mało nie upadł na bruk pogrążony w niepojętym strachu.

- Tak, nowa wersja eliksiru Sylvestra działa rzeczywiście doskonale - stwierdził Norcross. - Hulsey miał rację.

W głowie Caleba coraz więcej korytarzy rozbłyскиwało światłem. Odepchnął od siebie falę strachu i skupił się na labiryncie. Jeszcze trochę i mu się uda. Wiedział, w jaki sposób stłumić emocje, gdy wykorzystywał swój talent. Większość życia poświęcił na naukę kontrolowania tej dzikiej niebezpiecznej energii, jaka była źródłem jego siły psychicznej.

- Zawiodłeś mnie, muszę to przyznać. - Norcross zamknął tabakierkę i wrzucił ją do kieszeni. - Spodziewałem się więcej po członku legendarnej rodziny Jonesów.

- Czego ode mnie chcesz? - odezwał się Caleb.

- Ach, odezwałeś się wreszcie? - Norcross był zadowolony. - Bardzo dobrze. Jestem nawet pod wrażeniem. Niewiele osób potrafi się zdobyć na jakieś logiczne zdanie, gdy pokazuję, co umiem.

Caleb nie odpowiedział.

- Powiem ci, czego od ciebie chcę. - W głosie Norcrossa dało się słyszeć podekscytowanie. - Chcę widzieć, jak szalejesz ze strachu, jak umierasz z czystego przerażenia.

- Dlaczego?

- Bo to dla mnie zabawa. Jeśli to cię pocieszy, testuję na tobie działanie najnowszej wersji eliksiru Sylvestra. Hulsey dostarczył mi ją dziś po południu i jak dotąd nie miałem okazji eksperymentować. Tyle że sam jeden będę musiał obserwować rezultaty. Przykre to, lecz wiedza o tym, co potrafię zrobić samą tylko potęgą mego umysłu, powinna pozostać w bardzo wąskim gronie.

- To znaczy pośród członków jednego z kręgów Zakonu Szmaragdowej Tablicy.

Psychiczny atak osłabł na chwilę. Caleb zrozumiał, że jego słowa zaskoczyły Norcrossa. Zdekoncentrował się. Wzbudzenie tak ogromnego strachu wymaga wielkiej ilości energii i skupienia.

Ale już w następnej chwili fala paniki uderzyła Caleba ze zdwojoną siłą. I choć był na nią przygotowany, czuł zbliżający się chaos.

- A więc dowiedziałeś się czegoś o Zakonie - stwierdził Norcross. - Może nawet więcej niż udaje się niektórym. Brawo, Jones! A odpowiadając na twoje pytanie, jestem członkiem Siódmego Kręgu. Ale to się wkrótce zmieni. Niektórzy z nas wyniesieni zostaną na piedestał.

- Ale najpierw musisz mnie zabić? To cena?

Norcross się roześmiał.

- Nie, Jones. Zabicie ciebie to konieczność. Uznano, iż zagrażasz naszemu Zakonowi. Skoro natrafiłeś na ślad Hulseya, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko się ciebie pozbyć. Nie możemy pozwolić, żebyś go odnalazł, przecież rozumiesz. To by wszystko zniszczyło. Najpierw pozbędę się ciebie, a potem tej Bromley i wszystkie przeszkody zostaną usunięte.

W tym momencie tuzin nowych korytarzy labiryntu zabłysnął światłem. Caleb poczuł już nie strach, a przerażenie. Teraz nie chodziło już tylko o to, by zachować zdrowe zmysły aż do ostatniego tchu. Musiał przeżyć to spotkanie, żeby ochronić Lucindę. Zebrał wszystkie siły.

- Panna Bromley nie stanowi dla was zagrożenia - powiedział.

- Może i nie, ale naprawdę nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Opinia publiczna ani prasa nie będą zbyt zaskoczone na wieść, że Bromley cię otruła, podobnie jak wcześniej pozbyła się narzeczonego. A potem ona sama odbierze sobie życie, zupełnie jak to zrobił jej ojciec. Wszystko doskonale pasuje, nieprawdaż?

- Lucinda nie wie nawet o istnieniu waszego przeklętego Zakonu.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś rozumieć, iż nie wolno niczego zaniedbać. A teraz, mimo że ta rozmowa bardzo mnie ubawiła, zakończymy ją. Żegnaj, Jones.

Z otchłani wyłonił się chaos, ciemna fala niekontrolowanej potęgi. Caleb schronił się w najjaśniejszej części labiryntu w swoim umyśle. Tam, gdzie najważniejsza dla niego prawda płonęła blaskiem słońca. Musiał przeżyć, bo tylko on stał między tym potworem a Lucinda. Rozwiązania, jeśli już się je znalazło, okazywały się zadziwiająco proste.

Wirująca ciemność zwała się na budowlę, którą wzniósł w swoim umyśle, i ją otoczyła. Caleb przyglądał się temu, bezpiecznie ukryty w krystalicznej strukturze. Ogarnęła go dziwna radość. Nieczęsto miało się okazję obserwowania potęgi czystego chaosu. Był oczarowany.

Zdawało mu się, że słyszy czyjś krzyk, lecz zignorował go, skupiając się na szalejących wokół niego prądach. Skoncentrował się jeszcze bardziej, pewien teraz, że uda mu się dostrzec najstabsze nawet światełka w samym sercu tej energetycznej burzy.

Zrozumiał wówczas, że wszystkie rozwiązania były właśnie tam i czekały na niego. Pojął także, iż nikt nie może uświadomić sobie tak wielkiej prawdy i pozostać przy zdrowych zmysłach. Nieważne. Wystarczy jedno spojrzenie, żeby zrozumieć.

- Przestań, do cholery!

Caleb zignorował ten krzyk. Któż by pomyślał, że w chaosie może się kryć tak oszałamiające piękno? Nigdy nie uda mu się go zrozumieć, a już na pewno nie kontrolować. Miał jednak prawo delektowania się szalejącą potęgą ognistej energii zasilającej jego talent.

- Moje serce... Moje serce! Nie możesz tego zrobić. Przestań!

Ostatnie słowo przerodziło się w straszliwy wrzask.

Nie mógł dłużej tego tolerować, musiał coś zrobić z Norcrosssem. Caleb oderwał się od hipnotyzujących prądów chaosu.

Norcross wyciągnął pistolet. Ale choć trzymał go oburącz, broń się trzęsła. Twarz Norcrossa wykrzywiona była przerażeniem.

- Co ty mi robisz? - wykrztusił. - Rozerwie mnie na kawałki. Zabijesz mnie! - Spróbował wycelować w serce Caleba. - To ty masz umrzeć, draniu. Nie ja!

Norcross zamierzał zrobić Lucindzie krzywdę. Pozostawało więc tylko jedno.

Caleb chwycił garść chaosu i cisnął nim w Norcrossa, jakby chciał rozgnieść uprzykrzonego owada.

Alister Norcross otworzył usta po raz ostatni, lecz nie wydobył się z nich żaden krzyk. Zwałił się na bruk i znieruchomiał.

34

Jesteś pewien, że nie żyje? - spytała Lucinda.

- W tej kwestii raczej trudno się pomylić - odrzekł Caleb. W jego głosie nie było żadnych emocji.

- Czasami ktoś nieprzytomny sprawia wrażenie martwego.

- Wierz mi, Lucindo, nie żyje. Za chwilę sama się o tym przekonasz.

Jechali powozem Lucindy na miejsce konfrontacji. Chwilę wcześniej, kiedy zobaczyła Caleba wchodzącego do sali balowej, tak jej ulżyło, że aż się rozplakała. Jednakże gdy tylko stanął przy niej, wyczuła unoszącą się wokół niego, iskrzącą energię przemocy.

Upewniła się wtedy, że niepokój, jaki czuła przez cały wieczór, nie był wytworem jej wyobraźni. Caleb omal nie umarł. Wstrząsnęło nią to. Pomyślała, że sporo czasu upłynie, zanim zdoła uspokoić nerwy.

Bardziej jednak martwiła się o Caleba. Stało się coś strasznego. Czuła to. Dopiero co walczył o życie i zabił przy tym człowieka. Takie rzeczy mocno odbijały się na psychice.

- Powiedział, że nazywa się Allister Norcross? - spytała.

- Tak.

- Znałeś go?

- Nie.

- Co zrobiłeś z ciałem?

- Zostawiłem je w jakimś opuszczonym budynku. - Wyrzwał przez okno w mglistą noc. - Nie miałem wyboru. W tej części miasta

trudno znaleźć jakiś powóz, o ile w ogóle ma się szczęście ująć z życiem. I nie sądzę, żeby woźnica przyjął martwego pasażera.

- Dlaczego chcesz, żebym obejrzała ciało? - spytała.

- Bo dzięki twojemu talentowi może uda ci się dostrzec coś, co mi umknęło. - Odwrócił się do niej. - Przykro mi, że cię na to narażam, Lucindo. Ale sądzę, że to ważne.

- Rozumiem. - Mocniej otuliła się płaszczem. Trzęsa się cała, ale nie była to wina nocnego chłodu, lecz lodowato-ognistych prądów w aurze Caleba.

Shute zatrzymał powóz przy opustoszałej ulicy przed ciemnym budynkiem. Caleb wysiadł pierwszy, Lucinda zaraz za nim.

- Proszę tu zostać i trzymać straż - powiedział Caleb do Shute'a.

- Dobrze, proszę pana - odrzekł woźnica. - Proszę, będziecie państwo potrzebować lampy.

Caleb wziął lampę i zapalił. W blasku żółtawego światła jego oczy przypominały sadzawki bezdenne mroku. Kolejny chłodny dreszcz przeszył Lucindę. Uczucie, że stało się coś bardzo złego, się nasiliło.

Caleb odwrócił się bez słowa i ruszył przed siebie wąską alejką. Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i je popchnął. Lucinda zebrała się w sobie i zmobilizowała wszystkie siły tak, jak zawsze, gdy wiedziała, że czeka ją spotkanie ze śmiercią. Weszła ostrożnie do wnętrza.

Zdecydowanie Norcross nie mógł być po prostu nieprzytomny. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że leżący na podłodze człowiek nie żyje.

- Znasz go? - spytał Caleb.

- Nie.

- To nie jakiś botanik albo naukowiec? Może widziałaś go na jakimś wykładzie czy spotkaniu? Może to znajomy twego ojca?

Pokręciła głową.

- Nie znam go, Calebie.

- Co możesz mi powiedzieć o jego śmierci?

Spojrzała na niego zaskoczona pytaniem.

- Powiedziałeś, że go zabiłeś.

- Owszem.

- Zakładałam... że go zastrzeliłeś - odparła z wahaniem.

- Nie.

- Użyłeś noża?

- Przyjrzyj się, Lucindo - powiedział spokojnie. - Nie ma tu żadnej krwi.

Niechętnie podeszła bliżej ciała.

- Może podczas walki uderzył o coś głową?

- Nie - rzekł Caleb tym samym monotonnym, ponurym tonem.

Zachowując ostrożność, Lucinda otworzyła swe zmysły na psychofizyczne ślady pozostałe przy ciele. Od razu wyczuła unoszącą się wokół dziwną i niebezpieczną energię. Szybko wciągnęła powietrze i odsunęła się od leżącego.

- O co chodzi? - spytał Caleb.

- Czuję truciznę - odparła spokojnie. - Nie przypomina niczego, z czym się do tej pory spotkałam. Jednakże zdecydowanie oddziałuje na psychikę i musiała wpływać na talent tego człowieka w sposób trudny do przewidzenia. Jest bardzo żrąca i wyrządza duże szkody, choć czasowo wzmacnia zmysły.

- To eliksir Sylwestra. - W głosie Caleba była pewność. - Ten człowiek powiedział, że dziś po południu Hulsey dał mu nową, ulepszoną wersję.

- Możesz być pewien, że gdybyś go nie zabił, to i tak by umarł. Trucizna zabiłaby go w ciągu kilku dni.

Caleb wyjął chustkę do nosa i przykucnął przy Norcrossie. Miał wprawdzie rękawiczki, ale i tak użył grubej chustki do wyjęcia niewielkiego przedmiotu z płaszcza zmarłego.

Blask lampy oświetlił elegancką złotą tabakierkę ozdobioną małymi zielonymi kamykami ułożonymi w kształcie trójkąta.

- Zażywał tabaki? - Zmarszczyła czoło. - Nie poczułam przy nim tytoniu.

- W tym pudełku jest coś innego. Myślę, że to sproszkowany eliksir.

Lucinda poprawiła okulary i przyjrzała się uważniej wieczku tabakierki.

- Te kamyki wyglądają jak szmaragdy.

- I na pewno nimi są. - Caleb oglądał pudełko, jakby to była mała bomba. - Ten symbol wywodzi się z alchemii i oznacza ogień.

Lucinda ponownie wyostrzyła zmysły.

- To, co jest w tabakierce, zawiera te same składniki co trucizna, którą zażywał ten człowiek - oświadczyła.

- Czy dotykanie tabakierki jest niebezpieczne?

- Nie. Wątpię, żeby samo dotknięcie narkotyku spowodowało jakieś poważne czy długotrwałe efekty. Trzeba by go zażyć, żeby zaczął oddziaływać na zmysły. Na początku odczuwałoby się pobudzenie. Ofiara na pewno uznałaby, że narkotyk wyostrza jej zdolności.

- Choć w rzeczywistości byłaby już na drodze do śmierci.

- Tak. - Lucinda zawahała się, próbując ocenić śmiertelne działanie sproszkowanego eliksiru. - Młody silny mężczyzna, jak Norcross, mógłby przeżyć najwyżej trzy lub cztery dni. Ktoś starszy i słabszy umarłby szybciej.

Caleb wpatrywał się w tabakierkę.

- Jak można zniszczyć ten proszek?

- Niemal wszystko może pozbawić go szkodliwych właściwości. Wyczuwam, że mieszanka jest bardzo delikatna i niestabilna. Coś kwaśnego, jak na przykład ocet, zniszczy jej moc, podobnie zresztą jak alkohol. Wysoka temperatura również go unieszkodliwi.

- Co by się stało, gdyby ktoś to zjadł?

- Nic poważnego, jak sądzę. Proces trawienia zneutralizowałby truciznę. Ale nie polecałabym próbować.

- Wcale nie zamierzałem tego robić. - Caleb starannie owinął tabakierkę w chusteczkę. Podniósł się. - Pozbędę się tego najszybciej, jak będę mógł.

Lucinda spojrzała na Norcrossa.

- A co z nim?

- Powiadomię inspektora Spellara. Zajmie się nim.
- Ale jak wyjaśnisz sposób, w jaki umarł?
- To już problem Spellara, nie mój. - Caleb podniósł lampę. - Co w tej sytuacji jest mi bardzo na rękę.

Ruszyła za nim ku drzwiom.

- Rozumiem, że nie chcesz być zamieszany w śledztwo w sprawie morderstwa, ale w końcu działałeś w obronie własnej.
- Nie w tym leży problem, Lucindo.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Że nie wiem, w jaki sposób zabiłem tego człowieka.

35

Stali obydwój w laboratorium Caleba, wpatrując się w kryształowy puchar na stole. Puchar był pełen brandy błyszczącej ciepłym światłem w blasku płomieni. Na jego dnie spoczywała tabakierka, otwarta i pusta, szmaragdowo-złoty klejnot zatopiony w płynnym bursztynie.

Caleb załał sproszkowany narkotyk i unieszkodliwił go, zanurzając kilkakrotnie tabakierkę w brandy. Wprawdzie Lucinda zapewniła go, że trucizna zostanie całkowicie zniszczona już przy pierwszym kontakcie z alkoholem, ale nie chciał podejmować jakiegokolwiek ryzyka. Po każdym zanurzeniu wylewał zużytą brandy prosto w ogień na kominku.

- Jesteś pewna, że teraz można tego dotykać bez ryzyka? - dociękał.

- Och, tak - uspokoiła go Lucinda. - Już po pierwszym zanurzeniu było zupełnie bezpieczne. Mówiłam ci, ten narkotyk jest bardzo niestabilny. A kiedy ulegnie rozkładowi, natychmiast traci swoje właściwości. Nawet gdybyśmy nic nie zrobili, wątpię, żeby zachował swoją moc dłużej niż kilka dni.

Popatrzył na nią.

- Ty to czujesz?

- Tak. Ten proszek jest jak ścięty kwiat. Od razu zaczyna się psuć. Ale dlaczego ktoś chciałby zażywać mieszanek, która jest tak śmiertelna i niestabilna?

- Już ci powiedziałem. Norcross twierdził, że to nowa wersja narkotyku. Może nie mieli czasu na przeprowadzenie eksperymentów.

- A może eksperymenty przeprowadzano na Norcrossie? - zasugerowała Lucinda.

- Może masz rację. Był zdecydowanie zadowolony z działania tego specyfiku. Na pewno nie zdawał sobie sprawy, że go zabija.

Caleb zamilkł i pogrążył się w myślach.

- Sądziś, że mogłabyś wyprodukować antidotum na ten narkotyk? - spytał w końcu.

Lucinda pokręciła głową.

- Przykro mi. Nie znam żadnej rośliny czy zioła, które mogłyby zwalczyć dziwną energię tego, co było w tabakierce. Nie znaczy to oczywiście, że pewnego dnia nie będzie można czegoś takiego sporządzić, ale to przekracza moje umiejętności. Podejrzewam, że potrzebny jest jeszcze spory postęp w dziedzinie chemii oraz wiele badań i eksperymentów.

- Nie masz za co przepraszać. Sylvester twierdził, że wynalazł skuteczne antidotum na pierwotną wersję proszku. Wygrawerował nawet recepturę na złotej płytce przytwierdzonej do sejfu. Zastrzegł jednak, że należy je zażywać jednocześnie z narkotykiem. Z oczywistych przyczyn nie było sposobu, żeby sprawdzić skuteczność antidotum.

Odczuła przyływ ciekawości.

- Masz recepturę?

- Oryginał przechowywany jest w siedzibie Towarzystwa, ale zrobiłem sobie kopię.

Zniknął gdzieś między półkami. Chwilę później Lucinda usłyszała, że otwiera drzwi sejfu. Kiedy zobaczyła go znowu, trzymał w ręku notes.

- Przepisałem recepturę dokładnie tak samo, jak była wygrawerowana - zastrzegł.

Otworzył zeszyt, odwrócił kartkę i stanął tak, żeby Lucinda mogła zobaczyć jego notatki. Poprawiła okulary, pochyliła się lekko do przodu i szybko przebiegła wzrokiem łaciński spis rozmaitych roślin.

- Hm... - mruknęła.

- O co chodzi?

- Większość tych składników jest mi znajoma i wiem, że mają właściwości paranormalne. Jestem jednak całkiem pewna, że żaden z nich nie mógłby zwalczyć działania narkotyku, który znaleźliśmy w tabakierce, ani zresztą żadnej innej trucizny. Prawdę mówiąc, antidotum zadziałałoby odwrotnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Lucinda się wyprostowała.

- Filiżanka tego tak zwanego antidotum zabiłaby każdego w ciągu zaledwie kilku minut.

Powoli wypuścił powietrze z płuc i skinął głową.

- Miałem takie przeczucie. To było oczywiste, ten przebiegły stary drań zastawił pułapkę na wrogów.

- Powiedziałaś, że on wrył recepturę na sejfie?

Caleb zamknął notes.

- Sylvester wiedział, że któregoś dnia ktoś może ukraść recepturę jego cennego eliksiru. Dlatego zostawił ostrzeżenie, że jest to trucizna o spowolnionym działaniu, i usłużnie dołączył antidotum. I to wygrawerowane w złocie, jakżeby inaczej. Który alchemik mógłby się temu oprzeć?

- Rozumiem, co masz na myśli.

Caleb stanął przed kominkiem i wpatrywał się w płomienie.

- Teraz musimy jak najszybciej odszukać adresy Norcrossa i tych, którzy są z nim powiązani - stwierdził. - To nasza jedyna nadzieja na odnalezienie Hulseya i pozostałych członków Siódmego Kręgu.

Przeszedł ją chłodny dreszcz.

- Co zrobisz, jak ich znajdziesz, Calebie? Wątpię, żebyś odnalazł jakiegokolwiek dowody popełnionych przez nich przestępstw.

Ciągle wpatrywał się w płomienie.

- Omówię tę sprawę z Gabe'em, ale zdaje mi się, że to zupełnie jasne. Trzeba powstrzymać Hulseya i tych, którzy go zatrudnili, by wytwarzał narkotyki.

Splotła ręce i patrzyła na niego uważnie.

- Chcesz powiedzieć, że trzeba ich zabić?

Nic nie odpowiedział.

- Nie. - Opuściła ręce i podeszła do niego. - Posłuchaj mnie, Calebie. Prowadzić dochodzenia w imieniu Towarzystwa to jedno. Ale nie możesz stać się katem. Coś takiego zniszczy cię równie skutecznie, jak śmiertelna trucizna.

Caleb oparł się o obudowę kominka.

- To co, u diabła, mam zrobić z ludźmi takimi jak Hulsey. I z tymi, którzy go wynajęli? Trzeba być potworem, żeby poszukiwać receptury na eliksir Sylvestra.

- Zgadza się, tych szaleńców trzeba powstrzymać. Ale ten narkotyk jest tak atrakcyjny, że zawsze znajdą się ludzie, którzy będą chcieli zdobyć potęgę, jaką oferuje. Nie możesz przecież zabić ich wszystkich. Nie pozwolę na to.

Wbił w nią wzrok.

- Ty?

Uniosła podbródek.

- Zdaję sobie sprawę, że nie mogę ci dyktować, co masz zrobić. Ale nie potrafisz stać z założonymi rękami i patrzeć, jak się zmieniasz w takiego samego potwora.

- Znasz lepsze rozwiązanie?

Zaczerpnęła tchu.

- Myślę, że leży ono w naturze samej trucizny. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że ludzie zażywający eliksir, pozbawieni go, nie pożyją długo.

- Zniszczyć narkotyk kiedykolwiek i gdziekolwiek się na niego natknę, przez co ci, którzy go używają, również będą zniszczeni. To proponujesz?

- Zgadza się, że obowiązkiem Towarzystwa jest powstrzymać tych, którzy dążą do wytworzenia narkotyku. Rozumiem też, że

czasem będziesz musiał postąpić tak jak dzisiaj. Ale ilekroć to możliwe, powinieneś pozwolić, żeby narkotyk załatwił tę okropną sprawę za ciebie.

Przyglądał się jej uważnie.

- Myślisz, że wtedy moja odpowiedzialność będzie mniejsza?

- O tak! - potwierdziła zdecydowanie. - Jestem o tym przekonana. To nie jest idealne rozwiązanie. Niczyja śmierć, bez względu na to, co stanie się jej bezpośrednią przyczyną, nie będzie dla ciebie łatwa. Każdy przypadek sprawi ci ból. Ale ci, którzy wytwarzają narkotyk, nie są niewiniątkami, Calebie. Są świadomi tego, że parają się niebezpiecznymi i zakazanymi rzeczami. Jeśli tak się złoży, że zakończy się to ich śmiercią, trudno. Jakie przestępstwo, taka kara.

- Jesteś wspaniałą kobietą, Lucindo Bromley.

- A ty wspaniałym mężczyzną, Calebie Jonesie.

Ujął jej twarz obydwoma rękami.

Jego pocałunek był gorący i tak namiętny, że ją to zaskoczyło. Energia jaśniała intensywnie, ale było zupełnie inaczej niż poprzednio. Lucinda wyczuwała w nim zmysłowość tak jak wcześniej, ale teraz mieszał się z nią szaleńczy głód.

- Calebie, jesteś chory? - zatroskała się.

- Chyba tak. Nie jestem pewien. Wiem tylko, że potrzebuję cię teraz.

Zaczął ściągać z niej fioletową suknię. Słyszała, że delikatne haftki odrywają się, a cieniutki jedwab rwie się w strzępy.

Zaniepokojona ujęła jego twarz w dłoń. Był tak rozpalony, że na moment zapało jej dech w piersiach. Gorąco emanowało nie tylko z jego ciała, ale także z aury.

- Masz gorączkę - wyszeptła.

Wiedziała jednak, że jest to wynikiem przeżyć psychicznych, a nie jego kondycji fizycznej. I nagle pojęła.

- Ten człowiek... Uważasz, że go zabiłeś...

- Bo to zrobiłem. I co więcej, zabiłbym go jeszcze raz bez żadnego wahania. Ale przekonałem się, że wykorzystywanie mego talentu w podobny sposób wymaga pewnych kosztów.

Zszokowana próbowała spojrzeć mu w twarz.

- Calebie, chcesz powiedzieć, że uśmierciłeś tego człowieka, posługując się jedynie talentem?

- Tak.

Nagle zrozumiała. Pałaca go psychiczna gorączka była reakcją na to, co Caleb zrobił tego wieczoru. Jeśli rzeczywiście zabił Norcrossa, wykorzystując talent, to bez wątpienia musiał sięgnąć po cały swój potencjał. Wkrótce dopadnie go wyczerpanie. Na razie próbował kontrolować wzburzoną energię powstałą na skutek tak ogromnego wysiłku.

- W porządku, Calebie. Jesteś ze mną.

- Lucindo. - Miał oczy człowieka stojącego na krawędzi przepaści. - Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek i czegokolwiek w moim życiu.

Objęła go, starając się przekazać mu swoją własną energię i światło.

- Jestem przy tobie - wyszeptwała.

Położył ją na łóżku i szybkim ruchem rozpiął spodnie. Nie zwracał sobie głowy rozbieraniem się. Przykrył ją swoim ciałem. Łóżko skrzypiało i zgrzytało pod jego ciężarem.

Tym razem nie było czułych wstępnych pieszczot. Caleb nie zważał na nic, jak człowiek zdesperowany. Lucinda wiedziała, że jej kochanek zdobył się na ogromny wysiłek, by nie być brutalny. Jego nagła potrzeba zrodziła w niej nowy, inny rodzaj podniecenia.

Ścisnęła jego ramiona.

- Nie jestem taka delikatna.

- Wiem. - Ukrył między jej piersiami rozpaloną gorączką twarz.

- Wiem. Jesteś silna.

Wszedł w nią zdecydowanym ruchem, a ich aury zdawały się rozbiły się.

Wbił się w nią raz, drugi i trzeci, a potem znieruchomiał.

Kiedy było po wszystkim, osunął się nagle i głęboko zasnął.

Odczekała kilka minut, zanim oswobodziła się z ciężaru jego ciała. Poruszył się, ale nie otworzył oczu. Dotknęła jego szyi, żeby sprawdzić puls. Był silny i regularny, i to ją uspokoiło. Poza tym Caleb nie był już taki rozpalony.

Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. W oknach jaśniało szare światło poranka. Wiedziała, że powinna wracać do domu, ale nie miała odwagi zostawić Caleba samego. Usadowiła się więc w fotelu przed kominkiem i czekała.

W końcu otworzył oczy. Ulżyło jej, gdy się przekonała, że po psychicznej gorączce nie pozostało ani śladu.

- Która godzina? - spytał.

- Dochodzi piąta. Dobrze, że odesłałam Shute'a do domu po tym, jak nas tu przywiózł. Miałabym wyrzuty sumienia, gdyby musiał spędzić noc w powozie, czekając na mnie.

Caleb usiadł i opuścił nogi na podłogę.

- Nie przejmuj się. W wyższych sferach powrót z balu o świcie jest rzeczą najzupełniej normalną. Twoi sąsiedzi nawet tego nie zauważą.

- Najwyraźniej nie znasz moich sąsiadów.

Caleb się podniósł i spojrzał na siebie, zdziwiony faktem, że jest niemal kompletnie ubrany. Skrzywił się i zapiął spodnie.

- Naprawdę przejmujesz się tym, co powiedzą sąsiedzi? - spytał.

- Nie - odparła.

- Tak mi się zdawało. - Popatrzył na nią. - Wybacz mi mój brak delikatności, Lucindo. Czy ja...?

- Nie zrobiłeś mi krzywdy - powiedziała łagodnie. - Nie potrafiłbyś.

Odetchnął głęboko.

- Czuję się, jakby nagle ogarnęła mnie gorączka. Nie umiem tego wyjaśnić.

- Zastanawiałam się nad tym. Myślę, że rozwiązania należy szukać w tym, co zrobiłeś wczoraj temu szaleńcowi.

Caleb znieruchomiał.

- Mówiłem ci już, nie wiem, co mu zrobiłem.

- Ale masz absolutną pewność, że spowodowałaś jego śmierć samą tylko siłą talentu.

- Co do tego nie mam wątpliwości. - Zacisnął usta. - Czułem... czułem, gdy to się stało.

- Chciałeś go zabić, zanim to zrobiłeś? Czy siłą woli kazałeś mu umrzeć?

- Coś takiego jest niemożliwością. Nie można zabić kogoś siłą swej woli.

- Wygląda na to, że on próbował zrobić coś takiego z tobą.

- Nie, to nie była siła jego woli. - Caleb potarł kark. - Posłużył się tylko swymi spotęgowanymi zdolnościami, żeby zaburzyć moją aurę. Wszystko, co wydarzyło się ostatniej nocy, można wyjaśnić psychicznymi aspektami praw fizyki, a nie czarnoksięstwem.

- Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Caleb opuścił rękę.

- Wiedziałem, że za chwilę umrę. Wiedziałem też, że Norcross zamierza zabić i ciebie. Nie mogłem do tego dopuścić. Ledwie byłem w stanie się poruszyć, nie udało mi się nawet sięgnąć po pistolet, który wcześniej upuściłem. Jakiś wewnętrzny głos odpowiedział mi, że jedyna moja nadzieja leży w sile mego talentu. Chciałem wykorzystać go jak tarczę, by się obronić przed prądami jego energii.

- Innymi słowy: zwalczałeś ogień ogniem?

- W zasadzie tak. Ale kiedy moje zmysły wyostrzyły się do granic możliwości, nagle wiedziałem, co trzeba zrobić. To było trochę jak sięganie do serca burzy, Lucindo. Miałem wrażenie, że chwyciłem garstkę chaosu. I w sposób, którego nie potrafię wyjaśnić, udało mi się cisnąć tę energię w Norcrossa, druzgocząc jego aurę. W jednej chwili był martwy. I doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że on umiera.

Lucinda namyślała się przez chwilę.

Caleb czekał.

- Hm...

Popatrzył na nią ponuro.

- Cóż, u diabła, ma to znaczyć?

- Moim zdaniem, udało ci się tak pokierować swoim talentem, żeby zaczął oddziaływać jako broń.

- Wierz mi lub nie, ale tyle potrafiłem wydedukować zupełnie sam - zachnął się. - Pozostaje jednak pytanie, jak to zrobiłem i dlaczego wcześniej nie wiedziałem, że jestem do tego zdolny.

- Nie znam odpowiedzi na te pytania, ale mogę zgadywać.

- I co byś powiedziała?

- Podejrzewam, że dlatego nie wiedziałeś wcześniej, iż potrafisz tak manipulować energią twego talentu, że nigdy dotąd nie walczyłeś o życie, nie mając do dyspozycji innej broni. - Rozłożyła szeroko ręce. - Stałeś u wrót śmierci. Odezwał się instynkt.

Wpatrywał się w przygasający na kominku ogień.

- To dziwne mieć świadomość, że jest się w stanie zabić w taki sposób.

- Sądzę, że tak naprawdę martwi cię to, że nie miałeś kontroli nad sobą ani nad swoim talentem. Polegałeś wyłącznie na instynkcie, a nie na logice i rozumie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Kiedy odwrócił twarz od ognia, malował się na niej podziw.

- Już to kiedyś powiedziałem. Ale powtórzę, że jesteś bardzo mądrą kobietą.

Lucinda wskazała otaczające ich książki.

- Wspominałeś, że bywały już przypadki osób posiadających ogromny talent i zdolnych zabijać samą tylko energią psychiczną.

- Owszem. Ale takie przypadki odnotowywano tak rzadko, że stały się raczej legendą.

Lucinda się uśmiechnęła.

- Jesteś Jonesem. W prostej linii potomkiem Sylvestra Alchemika. Ten fakt czyni z ciebie legendę.

- Ale nie mam jakiegoś szczególnie niezwykłego talentu. Posiadam po prostu silną intuicję, a do tego zdolność łączenia ze sobą różnych elementów tak, by tworzyły całość. Jak tego rodzaju umiejętność może być wykorzystana jako broń?

- Nie wiem - odrzekła. - Ale siła pozostaje siłą niezależnie od tego, jak zostanie pokierowana.

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

- Masz rację - przyznał w końcu. - To nie wyjaśnia wszystkiego, lecz będę się musiał tym zadowolić. Tyle że zachowamy to dla nas, Lucindo. Rozumiesz? Nie chciałbym, żeby nawet członkowie mojej rodziny dowiedzieli się, co rzeczywiście zaszło ostatniej nocy.

- Mówiąc inaczej, twoje świeżo odkryte zdolności pozostaną sekretem Agencji Jonesa?

- Dobrze by było, żebyś przywykła do zachowywania tajemnic - stwierdził. - Coś mi mówi, że Agencja Jonesa nagromadzi ich całkiem sporo w najbliższych latach.

37

Będziesz współpracowniczką pana Jonesa w jego firmie? - Patrycja szła spieszenie jedną z alejek cieplarni, starając się nadążyć za Lucindą. - Ale ty się zajmujesz botaniką i leczeniem, nie jesteś prywatnym detektywem.

- Powiedziałam, że to rozważam. - Lucinda przystanęła, żeby podlać bromelie. - Wiesz przecież, że potrafię wykryć, jeśli ktoś użyje trucizny. Tego rodzaju umiejętność jest bardzo użyteczna w różnych dochodzeniach.

- Owszem, ale żeby stać się prawdziwą współpracowniczką Agencji Jonesa?! To fantastyczne. - Patrycja pełna była podziwu. - Zawsze byłaś dla mnie inspiracją, Lucy.

- Dziękuję. - Lucinda się uśmiechnęła. - Zdaniem pana Jonesa mój talent bardzo się przyda agencji w nadchodzących latach. No wiesz, chodzi o Zakon i nową kabałę.

- Doskonale to rozumiem. Edmund wspominał mi, że on także spodziewa się wielu zleceń ze strony agencji.

Lucinda znieruchomiła.

- Edmund?

Patrycja splonęła rumieńcem.

- Pan Fletcher.

- Rozumiem. Zauważyłam przy śniadaniu, że ty i pan Fletcher wcale się dziś nie kłóciliście.

- To bardzo interesujący dżentelmen - oznajmiła Patrycja. - Rozmowy z nim są ogromnie ciekawe.

- Ach tak?

- Zdaję sobie sprawę oczywiście, że nie spełnia on wszystkich moich wymagań - dodała pośpiesznie Patrycja.

- Hm...

- Ma też dość szczególny talent.

- Pan Jones nam o tym wspominał.

- I bogatą przeszłość.

Lucinda popatrzyła na kuzynkę.

- Jak to bogatą?

- No cóż, zanim został magikiem, musiał zarabiać na życie zbieraniem poniewierających się tu i ówdzie kosztowności.

- Wielki Boże! Był złodziejem?

- Wszystko mi wyznał, Lucy. Okradał tylko innych złodziei i paserów. I zawsze zabierał jedynie małe przedmioty, których braku nikt nie zauważy.

- Innymi słowy, jego ofiarami byli ci, którzy nie mogli pójść na policję.

Twarz Patrycji pojaśniała.

- Dokładnie tak. On ma talent do otwierania zamkniętych drzwi i wyczuwa, gdzie ukryte są cenne przedmioty. Dzięki tym umiejętnościom będzie użyteczny dla Agencji Jonesa.

- Wydajesz się ogromnie przejęta karierą pana Fletchera.

Patrycja się wyprostowała.

- Lucy, ja... zamierzam wyjść za niego za męża.

- Och, Patrycjo! - Lucinda odstawiała konewkę i rozłożyła ramiona. - Co powiedzą na to twoi rodzice? Fletcher był złodziejem, potem magikiem. Patrycja miała łzy w oczach. Rzuciła się w ramiona Lucindy.

- Nie wiem - łkała. - Ale ja go kocham, Lucy.

- Wiem. - Lucinda ją przytuliła. - Lady Milden też to zauważyła.

Zaskoczona Patrycja uniosła twarz zalaną łzami.

- To ona wie?

- Ostatniej nocy na balu powiedziała mi, że ty i pan Fletcher tworzycie doskonałą parę.

- O Boże! - Patrycja wyciągnęła delikatną chusteczkę i otarła nią oczy. - Co ja mam robić? Jak przekonać tatę i mamę, że powinni mi pozwolić na poślubienie pana Fletchera?

- Wynajęliśmy lady Milden, żeby znalazła ci męża. A, jak mówi pan Jones, trzeba zdać się na ekspertów. Dlatego ten problem zostawimy twojej swatce.

Patrycja wsunęła wilgotną chusteczkę do kieszonki sukni i uniosła podbródek.

- Jeśli mama i tata nie dadzą swojego błogosławieństwa, to przysięgam, że ucieknę z panem Fletcherem.

- Hm...

- Lucindo, naprawdę myślisz, że lady Milden zdoła przekonać rodziców?

- Sądzę, że jest w stanie osiągnąć wszystko, co sobie zaplanuje.

Patrycja uśmiechnęła się i mrugnięciem strąciła ostatnią łzę z rzęs.

- Och, Lucy, tak bardzo go kocham.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie Lucinda. - Lepiej niż to sobie wyobrażasz.

Edmund wyłonił się z ciemności na tyłach sklepu jubilerskiego. Caleb czuł w powietrzu trzaski jego energii. Fletcher może i miał dobre intencje, ale to włamanie sprawiało mu przyjemność. Z drugiej strony, kto nie lubi wykorzystywać swoich zdolności?

- Po jubilerze spodziewałbym się lepszych zamków - stwierdził Edmund. W jego głosie słyhać było triumf i satysfakcję.

- Ma pan to? - spytał Caleb.

- Naturalnie. - Edmund wyciągnął przed siebie oprawiony w skórę zeszyt. - Spis zamówień Ralstona.

- Dobra robota. - Caleb odebrał łup. - Przejrzymy go w powozie. A potem odłóży go pan dokładnie na to samo miejsce. Przy odrobinie szczęścia jubiler nawet się nie zorientuje, że ktoś go odwiedził.

- Może pan być tego pewien, panie Jones. - Edmund był wyraźnie obrażony sugestią, że nie potrafi wykonać tak prostego zadania. - Jutro rano nikt niczego nie zauważy.

- Wierzę panu. Chodźmy już.

Ruszyli alejką do powozu, w którym czekał Shute. Wczesnym wieczorem Caleb wezwał jednego ze swoich licznych krewnych, młodego myśliwego, żeby pilnował Lucindy. Wprawdzie poradziłby sobie sam z włamaniem do sklepu jubiera, ale nie ulegało wątpliwości, że umiejętności Fletchera w tej dziedzinie przewyższają jego własne.

To Edmund rozpoznał stempel probierczy jubiera na tabakierce. Caleb powstrzymał się od pytania, gdzie magik zaznajomił się ze znakami używanymi przez drogich jubilerów. Wiedział jednak dość dobrze, czym Fletcher zarabiał na życie, zanim zaczął dawać przedstawienia na scenie.

Wewnątrz ciasnego powozu Caleb zasłonił okna, zapalił lampy i otworzył spis zamówień. Nie musiał długo szukać, by znaleźć to, co go interesowało.

- Jedna złota tabakierka zdobiona szmaragdami wysokiej jakości ułożonymi w kształcie trójkąta - przeczytał. - Ma być identyczna z dwiema poprzednimi.

- Czyli jest ich więcej? - spytał Edmund.

- Wygląda na to, że co najmniej trzy.

- A kto ją zamówił?

Caleb przesunął palcem po kartce. Teraz nadeszła jego kolej na radosny przyływ energii, gdy coraz więcej korytarzy labiryntu wyłaniało się z mroku.

- Lord Thaxter. Mieszka przy Hollingford Square.

- Zna go pan?

- Niezbyt dobrze, ale się spotkaliśmy. - Caleb podniósł wzrok. - Jest bardzo bogaty i należy do Towarzystwa Wiedzy Tajemnej. Zdaje mi się, że jego talent wiąże się z botaniką. A mówiłem Gabe'owi, że ta konspiracja sięga głęboko w szeregi członków Towarzystwa. Możemy tylko zgadywać, ile jeszcze osób działa na rzecz Zakonu Szmaragdowej Tablicy.

- Co teraz?

- Złożymy wizytę w domu przy Hollingford Square.

- Ale jest już po północy.

- Nie będziemy pić herbatki z Thaxterem.

Światło księżycy oblewało Hollingford Square. Caleb i Edmund zostawili powóz i Shute'a ukrytych w głębokim cieniu, a sami obeszlą ogród, żeby podejść do domu od tyłu. Edmund szybko uporał się z bramą.

- W domu nie ma żadnych świateł - zauważył przyciszonym głosem. - Wszyscy śpią. Mamy szczęście. Nie słyszę też psów, więc nie będziemy potrzebować tej pieczeni, którą kupiliśmy w oberży.

- W takim razie możesz ją później zjeść. Potraktuj to jako premię ze strony Agencji Jonesa.

Edmund nie odpowiedział. Skupił się na tym, co miał zrobić.

- Największe niebezpieczeństwo to służba - ciągnął Fletcher. - Nie da się przewidzieć, czy ktoś z nich nie postanowi zajrzeć do

kuchni po nocną przekąskę. Trzeba też wziąć pod uwagę możliwość, że właściciel domu jest wyjątkowo ostrożny i w szafce przy łóżku trzyma pistolet. Ale z grubsza rzecz biorąc, zazwyczaj w nocy nikt się nie budzi.

- Dziękuję za rady - powiedział Caleb. - Zawsze lepiej pracować z profesjonalistą.

- No cóż, powinienem był chyba wyznać panu, że robiłem już takie rzeczy raz czy dwa.

- Domyśliłem się tego.

- Wiem, że pochodzi pan z rodziny myśliwych i potrafi się poruszać bardzo cicho, lecz ciągle twierdzę, że byłoby lepiej, gdybym poszedł tam w pojedynkę.

- Nie. - Przyglądając się pogrążonemu w mroku domowi, Caleb czuł, że coś go tam czeka. Podejrzewał, że znajdzie tam odpowiedzi na swoje pytania. - Muszę wejść do środka.

- Niech mi pan powie, co spodziewa się pan znaleźć. Odszukam to.

- W tym właśnie rzecz - odrzekł Caleb. - Nie wiem, co chcę znaleźć, dopóki tego nie zobaczę.

- Dobrze zatem. - Edmund się rozejrzał. - To niesamowity ogród.

- Mówiłem ci, że Thaxter jest zdolnym botanikiem. I właśnie sobie uświadomiłem, że logicznie rzecz biorąc, ktoś próbujący odtworzyć eliksir Sylvestra zapewni sobie usługi kilku przynajmniej osób z tego rodzaju talentem.

- Nie wydaje mi się, żeby Allister Norcross interesował się botaniką.

- Nie, raczej nie. Myślę, że jego rola w Siódmym Kręgu miała nieco inny charakter.

- To on zabił aptekarkę i jednego z porywaczy, prawda? - spytał Edmund przyciszonym głosem.

- Tak.

Weszli do domu przez kuchnię. I od razu obaj się zatrzymali. Caleb wiedział, że Edmund ma to samo dziwne wrażenie co on, że nie są zupełnie sami.

- Nie ma na dole służących - stwierdził cicho Fletcher. - Jestem tego pewien. Ale ktoś tu jest. Czuję to.

- Ja też.

- To mi przypomina noc, kiedy włamałem się do domu Jaspera Vine'a i znalazłem go martwego. Służba miała tego dnia wolne. Dom był opustoszały, ale panowała taka dziwna atmosfera.

- Obrabowałeś najpotężniejszego lorda podziemi w Londynie?

- I to wiele razy. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek to zauważył. Zazwyczaj zabierałem drobiazgi, rozumie pan, na przykład poniewierający się kieszonkowy zegarek albo pierścionek.

- Czyli rzeczy, które ktoś bogaty mógł po prostu gdzieś zostawić i zapomnieć.

Edmund przytaknął.

- Vine i tak nie wezwałby policji.

- Gdzie znalazłeś ciało?

- W bibliotece. Chętnie panu opowiem, to była bardzo niepokojąca przygoda, wyglądał, jakby zobaczył przed śmiercią ducha. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Zabrałem ładny zegarek i sznur pereł, które kupił dla jednej ze swych kobiet, po czym wyszedłem.

- Gnida - powiedział spokojnie Caleb. Kolejna część labiryntu zapłonęła światłem. - To wygląda na robotę Allistera Norcrossa.

- Ale co Vine miał z nim wspólnego?

- Jeszcze nie wiem. Ale miał. Czuję to.

Przeszli przez kuchnię i znaleźli się w długim holu. Caleb zatrzymał się na chwilę przed drzwiami biblioteki. Szufladki biurka były powyciągane. Większość z nich została opróżniona z dokumentów.

- Ktoś tu był przed nami - zauważył.

- Niechlujna robota - stwierdził Edmund.

- Ktokolwiek to zrobił, bardzo się spieszył.

Zarówno pokój poranny, jak i salon były ciche i puste. Blask księżyca i światło ulicznych lamp wpadały do środka przez niezastłonięte okna. Służący wyszli, nie zawracając sobie głowy zaciągnięciem zasłon.

Weszli na szerokie schody. Gdzieś z góry z przytłaczającej ciszy dobiegł ich nagle słaby głos.

Jakiś mężczyzna, pomyślał Caleb. Zwracał się do kogoś, tyle że nie było słychać żadnej odpowiedzi.

Wyjął pistolet z kieszeni płaszcza i ostrożnie ruszył wzdłuż korytarza. Edmund szedł tuż za nim.

Gdy znaleźli się przed ostatnią sypialnią po lewej, głos stał się lepiej słyszalny. Czuć było chłodny powiew dochodzący z pokoju. Okno było otwarte.

- Widzisz, zostałem otruty. Dlatego właśnie mogę rozmawiać z duchami. To Hulsey mnie zamordował. Obwinia mnie o jej śmierć. A skąd miałem wiedzieć?

Głos mówiącego brzmiał dziwnie normalnie, jakby z kimś rozmawiał. Tym samym tonem mógłby snuć rozważania o pogodzie w swoim klubie.

- A przecież nie miałem wyboru. Nie po tym, jak wmieszał się Jones. Nie wiadomo było, na czym stoimy. Nie wiadomo, ile wiedziała aptekarka. Trudno przewidzieć, co Hulsey jej powiedział...

Caleb zatrzymał się przy drzwiach ostatniej sypialni i przyłgnął płasko do ściany. Edmund minął go niczym milczący cień i zajął pozycję po drugiej stronie drzwi.

Caleb zajrzał do pokoju. Przed wygasłym kominkiem siedział w fotelu jakiś człowiek. Nogi trzymał założone jedna na drugą, a łokcie oparł na poręczach fotela. Dłonie miał splecione i przemawiał do księżycowej poświaty wpadającej przez okno.

- Patrząc wstecz, wiem, że wielkim błędem było sprowadzenie go do Zakonu. Powinienem być to wiedzieć. Ale wydawało mi się, że potrzebuję jego talentu, rozumiesz. Naturalnie nie wiedziałem, że w rodzinie były wypadki choroby umysłowej. Gdybym był tego świadom, nigdy bym się nie zgodził, by został członkiem Siódmego Kręgu, możesz być tego pewien...

Caleb dał Edmundowi znak, by pozostał w ukryciu, a sam opuścił pistolet wzdłuż nogi i wszedł do pokoju.

- Dobry wieczór, Thaxter - powiedział, starając się mówić spokojnie i bez cienia groźby. - Przykro mi, że panu przerywam.

- Co to? - Thaxter obrócił głowę. Był lekko zaskoczony, ale nie przestraszony. - Jest pan kolejnym duchem?

- Na razie nie - odrzekł Caleb. Stał w kręgu księżycowego światła. - Nazywam się Jones. Spotkaliśmy się już.

Thaxter przyjrzał mu się uważnie i skinął głową.

- Tak, oczywiście - odezwał się tym samym lekkim tonem, jakim prowadził konwersację z duchami. - Caleb Jones. Spodziewałem się pana.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Wiedziałem, że wcześniej czy później pan się tu pokaże. - Palcem wskazującym popukał się w głowę. - Ludzie obdarzeni talentem wyczuwają takie rzeczy. Ale chyba sam pan o tym dobrze wie. Ma pan niepospolite zdolności. Obawiam się jednak, że jest już za późno. Bo widzi pan, zostałem otruty.

- Eliksiem Sylvestra?

- Nonsens. Basil Hulsey mnie otruł. Wczoraj wieczorem dał mi ulepszoną wersję narkotyku. Powiedział, że jest o wiele bardziej stabilna od poprzedniej. Nic się nie stanie, jeśli wyjawię panu, że poprzednia przysparzała mi pewnych problemów. Wszyscy je mamy.

- Hulsey dał panu nową wersję sproszkowanego eliksiru?

- Owszem. - Machnął niecierpliwie ręką. - Nie ulegało wątpliwości, że był bardzo przybity faktem, że usunęliśmy tę Daykin. Tylko że coś innego mogliśmy zrobić? To była jego wina.

- Jak to?

- Hulsey nie powinien był kraść paproci z cieplarni panny Bromley ani sporządzać trucizny dla Daykin. To przez niego pojawił się pan na scenie. Powstało ryzyko, że w końcu dotrze pan do aptekarki. Trzeba ją było usunąć, to oczywiste. Nie powiedziałem o tym Hulseyowi, ale on się od razu domyślił.

Caleb przypomniał sobie fotografię w pokoju pani Daykin.

- Daykin i Hulsey byli kochankami. Aptekarka była matką jego syna. Hulsey otruł pana, żeby się zemścić za jej śmierć.

- Powinienem był wiedzieć, że nie należy zadawać się z człowiekiem pokroju Hulseya. Na takich jak on nie można polegać. Nie wiedzą, gdzie ich miejsce. Problem polegał na tym, że talent i umiejętności Hulseya są niezwykle rzadko spotykane. Nie da się po prostu pójść do jakiejś pracowni i wynająć naukowca z uzdolnieniami psychicznymi, prawda?

- Ale to nie pan zamordował panią Daykin, prawda Thaxter? Posłał pan Allistera Norcrossa.

- Miał do tego talent. Dlatego zresztą zgodziłem się, by przyjęto go do Zakonu. Wiedziałem, że się nam przyda.

- Nie przejmował się pan jego przeszłością?

- Oczywiście, że nie. Norcross był dżentelmenem. A jak wspominałem, nie wiedziałem, że jest chory umysłowo. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Wszyscy popełniamy błędy. - Wyjął z kieszeni złoty zegarek i przyglądał mu się uważnie. - Widzę, że niewiele czasu mi pozostało.

- Gdzie jest Hulsey? - spytał Caleb.

- Co to takiego? - Coś odwróciło uwagę Thaxtera. Z trudem wstał z fotela i podszedł do komody w pobliżu otwartego okna. - Hulsey? On i jego syn byli tu dzisiaj. Chcieli zobaczyć, jak przebiega eksperyment. Najwyraźniej trucizna zabija dopiero po kilku dniach. Hulsey powiedział, że chciał mi dać trochę czasu na przemyślenie wszystkiego, zanim odejdę w zaświaty.

- Hulsey i jego syn byli tu dzisiaj?

- Zabrali ze sobą wszystkie moje dzienniki i zapiski. Powiedziałem panu, że na ludziach ich pokroju nie można polegać.

- Wie pan, gdzie się udali?

- Przypuszczam, że znajdzie ich pan w laboratorium przy Slater Lane. Hulsey praktycznie tam mieszka. Cóż, muszę już odejść. Cały ten projekt to kompletna klęska. A członek Zakonu Szmaragdowej Tablicy płaci śmiercią za taką porażkę. To było jasne od samego początku.

- Niech mi pan opowie o Zakonie - poprosił Caleb.

- W skład Zakonu wchodzi dżentelmeni, a dżentelmenowi w mojej sytuacji nie pozostaje nic innego, prawda?

Thaxter sięgnął do szuflady.

- Do diabła, nie! - Caleb rzucił się w jego stronę.

Był szybki, ale niewystarczająco. Thaxter wyjął pistolet z szuflady biurka, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust.

Ciemność przeszła miniaturowa błyskawica. Huk wystrzału był ogłuszający.

A potem zapanowała nagła dotkliwa cisza.

39

Laboratorium огоłocone było z wszelkich przyrządów i notatek. Zostało tylko nieco potłuczonego szkła i kilka buteleczek z pospolitymi, łatwo dostępnymi chemikaliami.

- Można by powiedzieć, że Hulsey i jego syn chcieli jak najszybciej zniknąć po tym, jak dali Thaxterowi i Norcrossowi zatruty narkotyk - osądził Edmund.

Caleb zapalił lampę i obrzucił wzrokiem bałagan.

- Coś tu niedawno umarło.

- Na tyłach pokoju jest klatka. - Edmund ruszył ostrożnie w jej kierunku, krzywiąc nos. - To szczury. Jest ich sześć. - Odwrócił się. - Cóż, Agencja Jonesa będzie chyba teraz szukać dwóch szalonych naukowców.

- Obydwoj zaczną się wkrótce rozglądać za kimś, kto by finansował ich prace. Tak to już jest z naukowcami. Nie da się prowadzić badań naukowych bez pieniędzy, wcześniej czy później Hulsey znajdzie sobie nowego mecenasa. A gdy to zrobi, my go też znajdziemy.

- Przyszło mi właśnie do głowy, że będzie pan potrzebował pomocy w szukaniu Hulseya, jego syna i innych członków Zakonu.

- Nie musi mi pan przypominać o zadaniach, jakie nas czekają - jęknął Caleb.

- Chciałem tylko skorzystać z okazji i powiadomić pana, że jestem gotów w każdej chwili zaoferować moje usługi pańskiej agencji.

- Nie prowadzę agencji pośrednictwa pracy, panie Fletcher.

- No cóż. - Edmund odchrząknął. - Pomyślałem tylko, że panu o tym wspomnę. Co teraz?

- Przeszukamy laboratorium. Kiedy poprzednim razem Hulsey musiał uciekać, zapomniał różnych papierów. Jeśli dopisze nam szczęście, może znajdziemy coś, co powie nam, dokąd się udał.

- Jestem ciekaw, czy trzymał tu paproć panny Bromley - powiedział Edmund, rozglądając się. - Ale nic na to nie wskazuje.

- Zaraz sprowadzę Lucinę. Może uda jej się wykryć jakieś ślady natury botanicznej.

- Wątpię, by cokolwiek znalazła.

Caleb podszedł do klatki. Popatrzył na znieruchomiałe ciała szczurów.

- Nie jestem tego taki pewien - powiedział.

- Moja *Ameliopteris amazoniensis* tu była - oznajmiła Lucinda. - Czuję to. Ten wstrętny złodziej zabrał ją, opuszczając laboratorium. To czyni z niego podwójnego złodzieja.

- Szczury, Lucindo - przypomniał jej cierpliwie Caleb.

Wzdychając, Lucinda przemierzyła pokój i przyjrzała się szczurom. Jej zmysły zadrgały. Mocniej otuliła się płaszczem.

- Dawał im tę samą zatrutą wersję narkotyku, którą znaleźliśmy w tabakierkach lorda Thaxtera i Allistera Norcrossa - oznajmiła. - Musiał ją testować na szczurach, żeby się upewnić, że zabija.

- Hulsey chciał mieć pewność, że jego zemsta się powiedzie - dodał Caleb.

Przyniosłem nową wersję narkotyku, sir. - Hulsey wyciągnął paczuszkę z kieszeni wymiętego płaszcza. Położył ją na stole laboratoryjnym. - Myślałem, że pan Norcross wpadnie po nią dziś rano, ale skoro nie przyszedł, postanowiłem sam ją panu przynieść. Wiem, że ostatnimi czasy nie może pan wychodzić z domu.

Ellerbeck spojrział na zawiniątko, starając się opanować rosnącą rozpacz. Allister wyszedł z domu dwa dni temu wieczorem, mówiąc, że zamierza śledzić Caleba Jonesa. Do tej pory nie wrócił.

Pomyślał, że sprawy przybrały bardzo zły obrót, ale sam niczego nie mógł się dowiedzieć. Zazwyczaj to Allister przynosił mu wieści z zewnątrz. Teraz, kiedy został sam, właściwie nic nie mógł zrobić. Nie ośmielił się skontaktować ze Scotland Yardem, żeby zapytać, czy przypadkiem na ulicach Londynu nie odnaleziono ciała pewnego dżentelmena. Nie mógł też zwrócić się z prośbą o pomoc do Agencji Jonesa.

Szperał w pamięci bez przerwy, ale nie przypominał sobie, żeby jego syn nosił przy sobie cokolwiek, co ujawniałoby fakt, że mieszka przy Ransley Square. Jeśli Allister zmarł lub został zamordowany, to najprawdopodobniej dowie się tego z notatki w gazecie, zawiadamiającej o tajemniczej śmierci niezidentyfikowanego mężczyzny.

- Jest pan pewien, że ta nowa wersja będzie skuteczna? - zwrócił się do Hulsey'a.

- O tak, sir. - Hulsey skłonił lekko głowę. - Szczury cieszą się wspaniałym zdrowiem. Nie widać żadnych efektów ubocznych. Zapewniam pana, że za dzień czy dwa poczuje się pan o wiele lepiej. Niech pan spróbuje. Sam pan się przekona. Ten specyfik działa bardzo stymulująco i jest stabilniejszy niż poprzedni.

Ellerbeck wziął paczuszkę do ręki i ją otworzył. Ujął szczyptę proszku w palce i przed zażyciem zbadał ją uważnie, wykorzystując resztki swych zdolności. Stwierdził, że emanuje z niego silna energia, lecz to było wszystko. Problem polegał na tym, iż jego zmysły

były tak bardzo osłabione, że nie potrafił już wyczuć niuansów botanicznych prądów.

- Mam wrażenie, że jest o wiele silniejszy - powiedział. Zabłysła w nim maleńka iskierka nadziei. Może jeszcze nie było za późno.

- W rzeczy samej - potwierdził Hulsey. - Zapewniam też pana, że w tej nowej formie specyfik przechowuje się o wiele dłużej.

- Jak długo?

- Och, myślę, że jakiś miesiąc czy dwa. - Hulsey zafascynowany obrzucił wzrokiem cieplarnię. - Widzę, że ma pan tu bardzo interesującą kolekcję, sir. Czy mogę się trochę rozejrzeć?

- Może innym razem - uciął krótko Ellerbeck. - Nie czuję się dziś dobrze. Nie jestem w nastroju na oprowadzanie gości.

Hulsey wzdrygnął się lekko, słysząc odmowę, ale szybko się opamiętał.

- Tak, oczywiście, sir. Przepraszam. Nie chciałem się narzucać.

Ellerbeck wciągnął nosem szczyptę proszku. Nie mam nic do stracenia, pomyślał.

Poczuł nagle, że zmysły jego wyostrzyły się, odsuwając na bok niepokój. Ogarnęło go poczucie mocy. Po raz pierwszy od wielu tygodni mógł wyczuć przepływające przez cieplarnię prądy, a było ich mnóstwo. Wpadł w euforię. Mimo wszystko nie jest za późno.

Nie tylko przeżyje, ale zostanie najpotężniejszym członkiem Zakonu. W notatkach Stilwella znalazł informację, że narkotyk był w stanie przywrócić potencję i siłę. Stilwell wierzył także, iż może on wydłużyć życie o parę dziesięcioleci. Ellerbeck pomyślał, że zdąży jeszcze spłodzić kilku synów - zdrowych synów - by zastąpili mu Allistera.

- Ma pan rację, Hulsey - wyszeptał, starając się nie pokazać po sobie ekstazy, jaka odświeżała właśnie jego przytłumione zmysły. - Zdaje się, że jest bardzo skuteczny.

- Owszem, sir. Tak jak obiecałem. - Hulsey odchrząknął. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Ellerbeck, obawiam się, że jestem zmuszony prosić o swoje wynagrodzenie. Ostatnimi czasy miałem duże wydatki w laboratorium, musiałem zaopatrzyć się w nowe składniki, niezbędne do ulepszenia mieszanki.

Ellerbeck poczuł do niego pogardę, lecz zaraz potem ogarnęło go rozbawienie.

- Może i jest pan błyskotliwym naukowcem, Hulsey, ale Thaxter miał rację. W głębi duszy jest pan sklepikarzem. Zupełnie jak ta aptekarka.

- Tak, sir. - Skryte za szklami okularów oczy Hulseya błyszcząły. - Zupełnie jak ta aptekarka.

41

Caleb oparł się o stół w cieplarni Lucindy i przyglądał się, jak za pomocą jakiegoś małego przyrządu bada spód paprociowego liścia. Lubił obserwować ją podczas pracy. Energia wokół niej była taka orzeźwiająca. Chociaż... widok Lucindy pijącej poranną kawę działał na niego równie orzeźwiająco. Co tam, do diabła! wystarczyło, że o niej pomyślał, by wpłynęło to na niego orzeźwiająco.

- Cóż to jest, u licha? - spytał.

- *Gymnogramma triangularis* - odparła Lucinda, nie podnosząc wzroku. - Żłota paproć.

- Nie paproć miałem na myśli, tylko narzędzie, którego używasz. Wygląda jak mała lupa.

- To składany miedziany czytnik włókna. Ludzie pracujący w przemyśle tekstylnym używają go do liczenia liczby nitek na określonej powierzchni tkaniny. Jest bardzo przydatny w obserwacji spór paproci. Można go nosić w kieszeni. Pan Marcus E. Jones gorąco go poleca w swojej książce *Paprocie Zachodu*.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę?

Lucinda zamyśliła się na chwilę.

- Zastanawiałam się, czy to może twój krewny?

- Marcus E. Jones? Chyba nie.

- Szkoda - odrzekła. - Jest szanowanym specjalistą w dziedzinie nauki o paprociach.

- Jones to często spotykane nazwisko.
- Tak - przyznała. - Rzeczywiście. Jest tak pospolite, że firmie specjalizującej się w czymś tak niezwykłym jak dochodzenia bazujące na psychice przydałaby się bardziej przyciągająca uwagę nazwa niż po prostu Agencja Jonesa
- Wcale się z tym nie zgadzam. Obecna nazwa zapewnia firmie pewną anonimowość, a to może się okazać w przyszłości bardzo użyteczne.
- Hm... - Lucinda wróciła do przerwanej czynności. - Masz jakieś wieści w sprawie Hulsey'a?
- Niech to licho, nic zupełnie. On i jego syn zniknęli. Ale wkrótce będą się pewnie rozglądać za nowym mecenasem.
- Chyba że rozejdzie się wieść, iż otruli swoich poprzednich pracodawców.
- Przy odrobinie szczęścia nic takiego się nie stanie. Powiedziałem Gabe'owi o truciznie, którą Hulsey podał Thaxterowi i Norcrossowi, ale postanowił nie powiadamiać o tym rady. Jest przekonany, że są jeszcze inni wysoko postawieni członkowie Towarzystwa, którzy należą do Zakonu. Nie chce ich ostrzegać, że Hulsey jest niezbyt uczciwym pracownikiem.
- Tak więc sprawa zatrutego eliksiru Sylvestra stała się kolejnym głębokim, mrocznym sekretem Agencji Jonesa.
- W takim tempie szybko stracimy rachubę wszystkich sekretów agencji.
- Lucinda znów się zamyśliła, a jej mała lupa zawisała w powietrzu.
- Hm...
- Co takiego?
- Zastanawiałam się, czy Hulsey i jego syn też zażywają mieszankę.
- Dobre pytanie. Mnie również przyszło coś do głowy.
- Co? - zachęciła go.
- Ciągle myślę o trzeciej tabakierce.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Pewnie Thaxter dał ją Hulseyowi. A ten na pewno zabrał ją, uciekając, nawet jeśli nie prze-

chowował w niej narkotyku. W końcu to wartościowy przedmiot, a Hulseyowi zawsze brakuje pieniędzy.

- Może - odrzekł Caleb.

Zmarszczyła brwi.

- Calebie, ty nigdy nie mówisz „może”. Ilekroć trzeba ocenić możliwości czy prawdopodobieństwo, zawsze podajesz konkretne liczby.

- Czasami.

Podniosła oczy ku dachowi cieplarni w cichym błaganiu o cierpliwość.

- No więc, czy twoim zdaniem Hulsey i jego syn wyjechali z Londynu?

- Jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że jeśli wyjechali, to przez jakiś czas nie znajdą żadnego zajęcia.

- Dlaczego przez jakiś czas?

- Bo w dalekiej Szkocji czy Walii trudno im będzie znaleźć pracodawców, jakich potrzebują. Problem polega na tym, że Agencja Jonesa to policja, do licha. Ja nie mam setek agentów, których mógłbym rozesłać, żeby przeszukiwali ulice, a już na pewno nie całe wsie. A w dodatku mam jeszcze inne sprawy do załatwienia. Choćby dziś rano przyjąłem nową.

Szybko spojrzała na niego, a w jej oczach iskrzyła ciekawość.

- Czy w grę wchodzi otrucie?

Jej entuzjazm go zachwycił.

- Obawiam się, że nie. Wygląda na to, że ktoś posiadający dość dużą dozę talentu podaje się za medium.

- A cóż w tym niezwykłego? Gdyby chciał zliczyć ludzi podających się obecnie za medium, w samym tylko Londynie uzbierałoby się kilka tysięcy. I to wszystko oszuści.

- Ta osoba posiada spory talent.

Lucinda prychnęła.

- Ale na pewno nie pomaga jej on kontaktować się z duchami z zaświatów. To niemożliwe. Każdy, kto twierdzi, że może rozmawiać ze zmarłymi, jest szarlatanem.

- Wygląda na to, że to medium ma swoje własne duchy do dyspozycji.

- Co to znaczy?

- Mój klient jest przekonany, że medium zamordowało jedną z osób biorących udział w seansie. Tylko dlatego zgodziłem się zająć tą sprawą.

Lucinda schowała szkło powiększające i popatrzyła na niego.

- Calebie, nie masz wystarczająco dużo czasu, by osobiście zajmować się wszystkimi sprawami. Musisz nauczyć się powierzać niektóre przypadki innym. A poza tym rzeczywiście musimy stworzyć sieć agentów, których można by było wezwać do współpracy w różnych sytuacjach.

Spojrzał na nią.

- My? - powtórzył ostrożnie.

- Postanowiłam przyjąć ofertę i zostać twoją współpracowniczką. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Pod warunkiem oczywiście, że moje nazwisko będzie figurować na wizytówkach.

- Jeśli ci się zdaje, że każę wydrukować wizytówki z nazwą Bromley & Jones....

- No dobrze. - Podniosła rękę w geście pojednania. - Jestem gotowa pójść na kompromis. Niech będzie Jones & Bromley, ale naprawdę to nie brzmi dobrze, Calebie. Przyznaj to.

- Nie - powiedział. - Do diabła ciężkiego, nie brzmi! Na pewno.

- Agencja Jonesa i Spółka także nie...

- Do diabła, Lucindo!

Jakiś ruch przy drzwiach sprawił, że się obejrzał. Zobaczył Victorię. Na jej twarzy malowała się determinacja.

- Victorio - powiedział. - Miło panią widzieć. Tylko dlaczego od razu ogarnęły mnie jakieś złe przeczucia?

- Pewnie dlatego, że jest pan utalentowany psychicznie. - Victoria weszła do cieplarni. Rozejrzała się dokoła i jej twarz złagodniała. - Jestem tu po raz pierwszy. I muszę przyznać, że panuje tu bardzo ożywcza atmosfera.

- Dziękuję - odrzekła uprzejmie Lucinda. - Zakładam, że chciałaby pani porozmawiać z Calebem. Pójdę więc, będziecie czuli się swobodniej.

- Nie ma takiej potrzeby - Victoria przerwała na chwilę, by obejrzeć dużą kępę paproci. - Tak się składa, że pani obecność przy tej rozmowie byłaby bardzo wskazana.

Caleb spoglądał z obawą na krewną.

- Co pani chce, żebym zrobił, Victorio?

Lady Milden odwróciła się od paproci.

- Chciałabym, żeby znalazł pan stanowisko w Towarzystwie dla pana Fletchera.

- Już jest członkiem.

- Dobrze pan wie, że nie o to mi chodzi. Potrzebny mu przyzwoity, stały dochód.

- A to dlaczego? - zaciekawił się Caleb.

- Ponieważ wkrótce się ożeni.

42

Nieco później tego samego dnia Lucinda piła herbatę w bibliotece w towarzystwie Victorii.

- Chciałabym przedstawić pana Fletchera rodzicom Patrycji za jakiś tydzień - oświadczyła Victoria. - Do tego czasu będę już miała wszystko przygotowane.

- Jak wyjaśni pani McDaniel przeszłość pana Fletchera? - spytała zaciekawiona Lucinda.

- W gruncie rzeczy nie ma wiele do wyjaśniania. Pan Fletcher jest bardzo utalentowanym dżentelmenem, sierotą z dobrej rodziny, wszedł do Towarzystwa Wiedzy Tajemnej przez urodzenie, podobnie jak Patrycja. Od pewnego czasu prowadzi tajne dochodzenia na zlecenie rady. Bardzo tajne, prawdę mówiąc. Mistrz uważa jego usługi za nieocenione.

- W pani ustach brzmi to tak, jakby pracował na rzecz samej królowej.

- Wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. Nie będę oczywiście wdawać się w szczegóły w kwestii wcześniejszych osiągnięć pana Fletchera w tej dziedzinie. - Victoria podniosła filiżankę. - Patrycji i panu Fletcherowi również doradziłam, żeby nie wspominali o takich detalach.

- Jestem pewna, że nic nie powiedzą.

- Nie omieszkałam też nadmienić, że pan Fletcher jest przyjmowany w domach wielu znakomitych członków rodziny Jonesów.

- Innymi słowy, ma powiązania.

- I to na bardzo wysokim szczeblu - dodała Victoria gładko. - To powinno uspokoić ewentualne wątpliwości, jakie McDanielowie mogliby mieć co do jego pozycji w społeczeństwie.

- Znakomicie, madame. Absolutnie bez zarzutu. Jestem pod wrażeniem.

Victoria pozwoliła sobie na uśmiech samozadowolenia.

- Mówiłam pani, że w takich sytuacjach wszystko samo się układa.

Lucinda sięgnęła po filiżankę.

- O nie. To pani zaaranżowała pomyślny finał dla mojej kuzynki i pana Fletchera.

- No cóż, trudno stać i patrzeć, jak dwoje młodych ludzi jest nieszczęśliwych tylko dlatego, że rodzice nie zgadzają się na małżeństwo.

- Wie pani równie dobrze jak ja, że większość arystokratów nie widziałyby niczego złego w takim postępowaniu. Uznaliby, że takie rzeczy, jak pozycja społeczna, dziedzictwo i dochody, są sprawami o wiele ważniejszymi.

- Cóż, chyba rzeczywiście potrafię skierować tego rodzaju sprawy na właściwą drogę.

- Właśnie - stwierdziła Lucinda z podziwem. - Widzieć eksperta przy pracy to zawsze czysta przyjemność.

- Na koniec poinformuję McDanielów, że pan Fletcher przedstawia sobą tak wielką wartość, iż rada postanowiła mianować go

szefem nowego Biura Ochrony Muzeum, działającego pod auspicjami Agencji Jonesa.

- To powinno upewnić rodziców Patrycji, że pan Fletcher dysponuje własnymi dochodami i nie zamierza poślubić ich córki dla pieniędzy.

- Przyznaję, że w tej kwestii dopomógł mi Caleb. - Victoria uniosła brwi. - I pani również, jak przypuszczam.

- Może pani być pewna, że nie było trudno przekonać Caleba o konieczności utworzenia Biura Ochrony Muzeum. Zaczął zdawać sobie sprawę, że aby spełnić swoje zadanie, Agencja Jonesa potrzebuje wielu środków oraz pewnej liczby konsultantów i agentów. Caleb nie może przecież osobiście nadzorować każdego dochodzenia.

- To prawda. - Victoria upiła łyk herbaty i popatrzyła na Lucindę znad brzegu filiżanki. - Zakończyłam już sprawę Patrycji i pana Fletchera, kolej na panią i pana Jonesa.

- Jak to?

- Naprawdę, Lucindo. Wie pani równie dobrze jak ja, że pani i Caleb tworzycie parę.

Lucinda się zarumieniła.

- Dziwne, że pani o tym wspomina. Ale tak się składa, że jestem tego samego zdania. Tyle że pan Jones musi jeszcze się opamiętać.

- Rozumiem.

- A tymczasem może zainteresuje panią fakt, że zostanę wkrótce współniczką Agencji Jonesa.

- Wielki Boże - rzekła Victoria.

- Od tej pory firma będzie się nazywała Bromley & Jones. Czy może Jones & Bromley. Nie doszliśmy jeszcze do porozumienia w tej kwestii.

Victoria osłupiała.

- Wielki Boże - powtórzyła. - Tak czy owak, nie wyobrażam sobie, żeby Caleb Jones chciał zmienić nazwę swojej agencji.

Lucinda się uśmiechnęła.

- Ja też nie.

To bardzo miło z pani strony, panno Bromley, że zechciała pani odwiedzić mnie dzisiaj - powiedział Ira Ellerbeck.

- Przybyłam, gdy tylko otrzymałam wiadomość - odparła Lucinda. - Było mi ogromnie przykro, gdy dowiedziałam się o pańskiej chorobie.

Siedzieli w przytłaczającej, pogrążonej w cieniu wielkiej biblioteki Ellerbecka. Wysokie okna, wszystkie z wyjątkiem jednego, zasłonięte były ciężkimi kotarami z niebieskiego aksamitu, skutecznie blokując światło popołudniowego słońca. Wkrótce po przybyciu Lucindy przyniesiono dzbanek herbaty.

- Dziękuję za troskę - rzekł Ellerbeck. Siedział za biurkiem, jakby potrzebował oparcia w jakimś ciężkim meblu. Upił nieco herbaty i odstawił filiżankę. - Przyznaję, że od kilku miesięcy nie mam siły przyjmować wizyt, lecz teraz czuję, że koniec jest bliski. Chciałem pożegnać się z najbliższymi przyjaciółmi.

- To honor zaliczać się do nich, sir.

- Nie mógłbym zapomnieć o córce jednego z najbliższych mi znajomych. Chciałbym, aby pani wiedziała, że mimo tego, co się stało, zawsze żywiłem do pani ogromny szacunek.

- Dziękuję panu.

- Muszę wyznać, że poza chęcią pożegnania się, zaprosiłem panią również w nadziei na to, że udzieli mi pani porady. Lekarze powiedzieli, że nic już nie da się zrobić. I w rzeczy samej dzięki memu talentowi wiem, że mają rację. Nie spodziewam się więc naturalnie żadnego lekarstwa.

- Rozumiem - przyznała Lucinda.

- Choć obydwójce mamy podobne uzdolnienia, to jednak istnieją między nimi pewne zasadnicze różnice. I przyszło mi do głowy, że może pani potrafiłaby znaleźć dla mnie jakieś zioła czy rośliny, które złagodziłyby ból.

- Zrobię co w mojej mocy. Proszę opisać objawy.

- Są one natury zarówno psychicznej, jak i fizycznej. Moje zmysły gasną bardzo szybko, panno Bromley. Często zawodzą i nie mogę na nich polegać. Dokuczają mi okropne halucynacje i niepokojące sny. Nerwy mam kompletnie zdruzgotane. W dodatku cierpię na bóle głowy.

- Zakładam, że próbował pan już zażywać morfinę czy jakiś inny środek na bazie opium?

- Sama pani wie, jak to jest z mlekiem makowym. Ilość niezbędna do uśmierzenia dolegliwości fizycznych działa usypiająco.

- Skrzywił się. - I wtedy właśnie nacierają mnie sny. Nie chcę skończyć życia w jakimś koszmarze. Dlatego szukam czegoś innego.

Lucinda zerknęła na torbę, która stała na dywanie blisko jej stóp. Potem spojrzała na chorego i napotkała jego wzrok.

- Przykro mi. Niestety nie mam nic, co byłoby w stanie złagodzić pańskie dolegliwości.

- Tego się obawiałem. Ale warto było spróbować.

- Czy mogę nalać panu jeszcze filiżankę herbaty? - spytała, podnosząc się.

- Poproszę, moja droga. I proszę mi wybaczyć, że nie wstaję. Ale czuję się dziś wyjątkowo osłabiony.

- Niech się pan nie przejmuj. - Lucinda zbliżyła się do biurka, wzięła filiżankę Ellerbecka i podeszła do tacy z dzbankiem. - Wie pan, co wywołało tę rzadko spotykaną chorobę? Poprzedzała ją może wysoka gorączka albo jakaś infekcja?

- Nie. Pierwsze objawy pojawiły się kilka miesięcy temu, ale na początku udawało mi się panować nad nimi. Jednakże stopniowo sytuacja zaczęła się pogarszać. Lekarze nie wiedzą, co o tym myśleć. Ja sam także nie... Dość już tej przygnębiającej rozmowy, moja droga. Doszły mnie słuchy, że łączy panią bliska przyjaźń z panem Calebem Jonesem.

Lucinda przyniosła filiżankę z powrotem na biurko.

- Widzę, że fakt, iż nie wychodzi pan z domu, nie pozbawił pana dostępu do najświeższych wiadomości.

- Plotki potrafią dotrzeć wszędzie, czyż nie?

Lucinda wróciła na swoje miejsce, usiadła i podniosła filiżankę.

- To prawda.

- Czy muszę powołać się na starą przyjaźń z pani ojcem, żeby móc zapytać, czy pan Jones ma wobec pani uczciwe zamiary?

- Pan Jones jest bardzo uczciwym człowiekiem - odrzekła uprzejmie.

Ellerbeck zacisnął usta. Zdawał się wahać. W końcu westchnął głęboko.

- Proszę mi wybaczyć, moja droga, lecz jeśli rozważa pani przyjęcie propozycji małżeństwa ze strony pana Jonesa, czuję, że muszę poruszyć bardzo nieprzyjemny temat.

- O co chodzi?

- Od lat już krążą pogłoski, że potomkowie tej gałęzi rodziny, z której wywodzi się Caleb Jones, dotknięci są często pewnym brakiem równowagi psychicznej.

- Może lepiej zmienimy temat - stwierdziła chłodno Lucinda.

Ellerbeck się zarumienił.

- Tak, oczywiście. Widzę, że nie do mnie należy udzielanie pani ojcowskich rad.

- Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że był pan zamieszany w śmierć mego ojca, jak również w sprawę zabójstwa George'a Woodhalla i mego narzeczonego.

Ellerbeck zerwał się z fotela tak gwałtownie, że rozlał herbatę na biurko. Wbił wzrok w Lucinę.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- Jestem też prawie pewna, że jest pan zamieszany w niedawną próbę zamordowania pana Jonesa. Może wolałby pan porozmawiać o tym?

- Zaskakuje mnie pani, panno Bromley.

- Bo i po co kłamać. Przecież jest pan umierający.

- Tak. Ma pani rację, moja droga. Zupełną rację.

- Wiem, że zażywa pan najnowszą wersję eliksiru Sylwestra przygotowaną przez Hulseya. Wyczułam to w pańskiej aurze, jak tylko weszłam do pokoju. To śmiertcionośny specyfik.

- Rzeczywiście ma pani niesamowity talent.

Machnęła niedbale ręką.

- To trucizna. Jestem bardzo dobra w wykrywaniu trucizn.

Z ust Ellerbecka dobyło się drwiące prychnięcie. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą złotą tabakierkę. Na jej wieczku połyskiwały zielone kamienie. Położył pudełko na biurku i przyglądał mu się, jakby miał przed sobą jakiś dziwaczny przedmiot z innego świata.

- Wczoraj po południu Hulsey dał mi, jak twierdził, nową, bardziej stabilną wersję mieszanki - powiedział. - Zażyłem trzy dawki i byłem bardzo zadowolony. Okazała się znacznie silniejsza niż poprzednie wersje. Dopiero po czwartej dozie ostatniej nocy uświadomiłem sobie, co ten drań mi zrobił. I wszystkim nam, podejrzewam.

- Otruł Thaxtera i Norcrossa, jeśli o tym pan mówi. Obydwaj nie żyją.

- Tak też myślałem. Daję sobie jeszcze dzień, najwyżej dwa.

- Oryginalna wersja narkotyku także była trująca. Powiedział pan, że dolegliwości zaczęły się kilka miesięcy temu.

- Pierwsza wersja pogarszała mój stan zdrowia o wiele wolniej. - Zacisnął dłoń w pięść. - Miałem jeszcze czas. Teraz już go nie mam.

- Skoro wiedział pan, że eliksir Sylvestra jest niebezpieczny, po co go pan zażywał?

Popatrzył na nią ponuro.

- Wszelkie znaczące postępy w nauce wymagają ryzyka. Nie wyobraża sobie pani siły tego narkotyku. Ma się wtedy naprawdę fantastyczne doznania. Moje zdolności osiągnęły niespotykany dotąd poziom. Mogłem widzieć barwy roślin, których wcześniej nie umiałem dostrzec. Mogłem zrozumieć pewne aspekty ich życia, które przedtem leżały poza moim zasięgiem. Mógłbym dokonać wielkich rzeczy, panno Bromley.

- Gdyby nie to, że ten narkotyk prowadzi pana ku śmierci. Co za nieszczęście - dokończyła ironicznie Lucinda.

- Okazało się, że jestem na niego uczulony.

- Innymi słowy, zabijał szybciej pana niż pozostających z Zakonu.
- Znacznie szybciej. Tamci mają jeszcze lata życia przed sobą. Wystarczająco dużo czasu, żeby wynaleźć bardziej stabilną wersję narkotyku. Ja szybko pojąłem, że zostało mi tylko kilka miesięcy.

- Ale skoro jest pan uczulony, to jak udało się panu dożyć aż do dzisiaj?

- Wykorzystałem mój talent, żeby kupić sobie trochę czasu, podczas gdy Hulsey pracował nad ulepszeniem narkotyku. Wczoraj przyniósł mi wynik swoich najnowszych badań. - Usta Ellerbecka się wykrzywiły. - Ten drań zapewnił mnie, że mieszanka usunie wkrótce wszystkie objawy alergii. Zamiast tego wpędzi mnie do trumny w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zamordował mnie!

- Dlaczego pan po mnie posłał?

- Bo nie umrę dopóty, dopóki się na pani nie zemszczę, panno Bromley.

- Mnie pan obwinia za to, co się stało?

- O, tak! Właśnie panią.

Z wielkim trudem dźwignął się na nogach. Lucinda dostrzegła w jego rękę pistolet.

- Chce mnie pan zastrzelić tu w bibliotece? - spytała, podnosząc się powoli. - Zrobi się straszny bałagan i trudno będzie to wyjaśnić policji, nieprawdaż?

- Nie dbam już o policję, panno Bromley. To już nie ma sensu. Wszystko pani zniszczyła. Ale zemszczę się na pani, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię tu na ziemi. Ale najpierw pójdzie pani ze mną. Prawdopodobnie jest pani jedyną osobą w Londynie, która potrafi docenić to, co stworzyłem.

Lucinda się nie poruszyła.

Ellerbeck machnął pistoletem w stronę cieplarni, po czym wycelował broń w Lucinę.

- Niech pani otworzy drzwi, panno Bromley. Natychmiast! Albo zastrzelę panią tu na miejscu, bez względu na plamy na dywanie.

Lucinda przeszła przez pokój i otworzyła drzwi cieplarni. Przygotowała się na szok, ale pomieszane ze sobą złowrogie prądy naparły na jej zmysły z taką siłą, że aż się zachwiała na nogach.

Chwyciła się futryny, instynktownie starając się zablokować zmysły.

Ellerbeck był tuż za nią i wepchnął ją do szklanego pomieszczenia, w którym rosły botaniczne straszycła.

- Witam w moim prywatnym piekle, panno Bromley.

Ciągle się chwając, Lucinda zrobiła kilka kroków przed siebie. Omal nie upadła. Zatoczyła się, w ostatniej chwili łapiąc się krawędzi stolika. Suknia płątała jej się zdradliwie wokół kostek.

Odgłos klucza przekręcanego w zamku ją zmroził. Ellerbeck zamknął ich oboje w cieplarni. Rozejrzała się zdziwiona i przerażona.

Pomieszczenie ze szkła i stali wypełniały zdeformowane rośliny o połyskliwych ciemnozielonych liściach. Lucinda rozpoznała kilka dziwacznych krzyżówek, liczne odmiany i dziesiątki rozmaitych niebezpiecznych i trujących roślin. Były tam też okazy tak zniekształcone, że nie można ich było zidentyfikować. Kiedy ostrożnie odblokowała swoje zmysły, zorientowała się, że pochodzą od znanych jej gatunków, ale energia produkowana przez dziwaczne nowe stwory mroziła jej krew w żyłach.

- Co pan zrobił, panie Ellerbeck? - wyszeptała oszołomiona. - Nic w tej cieplarni nie jest takie, jak trzeba.

- Natura nie rozpoznaje tego, co trzeba i co nie trzeba, panno Bromley. Liczy się tylko to, co potrafi przetrwać.

- Wszystko pan tu wynaturzył.

- Kiedy wystąpiła u mnie reakcja alergiczna na sproszkowany eliksir Sylvestra, odkryłem, że atmosfera panująca w tym pomieszczeniu łagodzi najbardziej dotkliwe z efektów ubocznych narkotyku. Prawdę mówiąc, to jedyne, co trzymało mnie przy życiu przez ostatnie miesiące. Nie mogłem przebywać poza tym miejscem dłużej niż godzinę, najwyżej dwie. Byłem zmuszony tu spać. W rezultacie ta cieplarnia przerodziła się w więzienie.

- Co to za rośliny?

- Ta cieplarnia to dzieło mojego życia. Lata temu poświęciłem się badaniu psychicznych właściwości roślin, próbując znaleźć lekarstwo dla mojego syna, który popadł w obłąd. To co pani tu

widzi, to rezultat mojej pracy.

- Wynałazł pan to lekarstwo? - Mimo strachu nie mogła się powstrzymać od pytań. Odezwał się w niej naukowiec.

- Nie, panno Bromley. To także mi się nie udało. A teraz Allister nie żyje.

Nagle Lucinda zrozumiała.

- Allister Norcross był pańskim synem?

Ellerbeck skinął głową ze smutkiem.

- Tak, panno Bromley.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego zamordował pan mojego ojca i jego wspólnika?

Ellerbeck wyjął chusteczkę i otarł spocone czoło.

- Bo odkryli, że to ja ukradłem jedną z roślin, które przywieźliście z Amazonii.

- Caleb miał rację - stwierdziła Lucinda. - Wszystko wiąże się z ostatnią ekspedycją.

44

Thaxter był chory umysłowo, ale przed śmiercią miał przebłycki świadomości - stwierdził Caleb. - Był szefem Siódmego Kręgu Zakonu Szmaragdowej Tablicy. Podobnie jak to było w wypadku Trzeciego Kręgu i tu nie znaleźliśmy żadnych powiązań z innymi kręgami czy przywódcami Zakonu.

On i Gabe znajdowali się w bibliotece Caleba. Caleb starał się zdać kuzynowi relację z ostatnich wydarzeń, ale nie mógł się skupić. Dręczył go jakiś niepokój. Ale nie było to takie samo uczucie, jakiego doznawał, gdy wiedział, że nie potrafi dostrzec jakiegoś ważnego fragmentu układanki. Tym razem niejasne wrażenie wiązało się z Lucinda.

- Musimy założyć, że nie odnaleźliśmy wszystkich notatek i dokumentów Stilwella - powiedział Gabe. - Na pewno istnieje więcej

kopii receptury Sylvestra. I członkowie Zakonu musieli przechwycić jedną z nich.

- Dżinn wydostał się z butelki, Gabe.

- Tak. - Gabe splótł ręce. - Myślisz, że Hulsey celowo zmienił recepturę narkotyku tak, by uśmiercił on Norcrossa i Thaxtera? Że to miała być zemsta za zamordowanie pani Daykin?

- Aptekarka od dawna była jego kochanką i współpracowniczką w interesach. Miał z nią syna. Odkrył, że Siódmy Krąg zlecił Norcrossowi zlikwidowanie jej. Nietrudno zrozumieć, że chciał się zemścić.

- Wciąż nie masz pewności, ilu ludzi należało do Siódmego Kręgu?

- Według rejestru zleceń jubilera zamówiono trzy tabakierki. Dwie pierwsze sporządzone zostały jakieś sześć miesięcy temu. Trzecią zakupiono miesiąc później. Nie ulega wątpliwości, że Thaxter rozdał je współpracownikom.

- Trzy tabakierki oznaczają, iż Siódmy Krąg liczył trzech członków - stwierdził Gabe w zamyśleniu.

- Do tej pory odnaleźliśmy dwie. Tę, która należała do Norcrossa, i drugą, będącą własnością Thaxtera.

- Trzecią musi mieć Hulsey. Kiedy go wytropimy, dotrzemy do tabakierki.

Caleb nie mógł przestać myśleć o Lucindzie. Musiał się z nią zobaczyć. Natychmiast.

- Jestem pewien na dziewięćdziesiąt siedem procent, że to nie Hulsey ma trzecią tabakierkę - powiedział.

Uspokój się. Jest bezpieczna we własnym domu! - Odganiał od siebie natrętne myśli.

- Skąd ta pewność?

- Thaxter nie uważał Hulsey'a za równego sobie. Jego zdaniem ten człowiek stanowił po prostu wykwalifikowaną siłę roboczą. Twierdził, że do Zakonu Szmaragdowej Tablicy mogły należeć jedynie osoby pochodzące z odpowiedniego środowiska.

- Innymi słowy, Thaxter gotów był zatrudnić człowieka pokroju Hulsey'a ze względu na jego zdolności, ale nigdy nie zaproponowałby mu wstąpienia do Zakonu?

- W jego pojęciu równałoby się to zaproszeniu do klubu ogrodnika albo woźnicy. Nie sądzę, żeby podarował Hulseyowi kosztowną złotą tabakierkę, która, jego zdaniem, sporządzona została dla dżentelmena.

- Może Hulsey zażądał, by traktowano go w Zakonie na równi z innymi i poprosił o tabakierkę jako część zapłaty - zaproponował Gabe.

- Z tego, co zdążyłem się o nim dowiedzieć, Hulsey nie przywiązuje wagi do statusu społecznego. Wszystko, co go interesuje, to jego badania. Ale jest jeszcze coś, co mnie martwi. Trzecia tabakierka została zamówiona pięć miesięcy temu. W tym czasie Hulsey nie pracował jeszcze dla Siódmego Kręgu.

- Jeśli masz rację, to znaczy, że jest trzeci członek kręgu, którego wciąż nie znamy.

- No i kradzież rośliny pozostała jeszcze niewyjaśniona. - Caleb popatrzył na kartkę leżącą na stole. - Musi istnieć jakieś powiązanie z ostatnią wyprawą Bromleyów do Amazonii.

- Co tam masz?

- Przygotowaną przez Lucinę listę botaników, którzy oglądali okazy przywiezione z ostatniej ekspedycji zaraz po powrocie Bromleya i Woodhalla z Amazonii.

- Czego tam szukasz?

- Osoby, która ukradła pierwszą roślinę półtora roku temu. Zdasz sobie sprawę, jak ciężko jest ustalić, czy ktoś był lub nie w Londynie konkretnego dnia osiemnaście miesięcy temu?

- Wygląda to na trudne zadanie - przyznał Gabe.

- To więcej niż trudne. Do diabła, to prawie niemożliwe. Będę potrzebował więcej ludzi, Gabe. I więcej pieniędzy.

- Tylko po to, żeby znaleźć złodzieja rośliny?

- Nie tylko po to, dla agencji. Klienci płacą za dochodzenia, jakie dla nich prowadzę, ale wytropienie członków pozostałych kręgów Zakonu Szmaragdowej Tablicy i odnalezienie przywódców będzie wymagać zaangażowania znacznej liczby konsultantów. A okazuje się, że konsultanci kosztują. I to dużo.

- Myślałem, że uzgodniliśmy już budżet dla Agencji Jonesa.
- Trzeba go będzie powiększyć.

Przerwało im pukanie do drzwi.

- Tak, pani Perkins, o co chodzi? - zawołał.

Służąca otworzyła drzwi.

- Przyszedł inspektor Spellar.

- Proszę go do nas wprowadzić.

- On już tu jest, sir. - Pani Perkins się wyprostowała. - Pamięta pan, panie Jones, że złożyłam wypowiedzenie? Odchodzę pod koniec tygodnia.

- Tak, tak, pani Perkins - mruknął Caleb. - wspominała pani o tym.

- Chciałabym dostać moją zapłatę, sir.

- Nie ma obawy, pani Perkins, dostanie pani swoje pieniądze.

- Panie Jones. - Spellar wszedł do pokoju. Zajadał pasztecik.

Spojrzał na Gabe'a, potem na Caleba. - I panie Jones. Dzień dobry obu panom

- Jakie wieści, inspektorze? - zapytał Caleb.

Spellar przełknął ostatni kęs pasztecika i strząsnął okruchy z rąk.

- Pomyślałem, że może panów zainteresuje fakt, iż znalazłem w końcu adres Allistera Norcrossa. Wyśledziłem go przez jego krawca.

- Krawiec go pamiętał? - zdziwił się Gabe.

- Krawcy nigdy nie zapominają dobrze płacących klientów - odrzekł Spellar. - Ten poinformował mnie, że wysłał rachunek Norcrossa pod numer 14 przy Ransley Square.

Caleb zmarszczył czoło.

- W tej okolicy mieszczą się duże domy. To nie miejsce, gdzie samotny mężczyzna wynajmowałby mieszkanie.

- Norcross mieszkał u swego wuja, który najwyraźniej jest bardzo chory, wstąpiłem tam, idąc tutaj, żeby popytać, ale powiedziano mi, że właściciel domu jest zbyt schorowany, by przyjmować gości. - Spellar się uśmiechnął. - Przyszło mi do głowy, że może komuś z nazwiskiem Jones łatwiej byłoby się tam dostać.

Caleb zerknął na listę nazwisk i adresów. Pozostałe korytarze labiryntu nagle się rozświetliły.

- Ransley Square - powiedział. - Ten drań podobno jest umierający. A jeśli zażywał najnowszą wersję narkotyku Hulseya, to na pewno tak właśnie jest.

Powiedział kiedyś Lucindzie, że nie zawsze rozumiał, dlaczego ludzie postępują w taki, a nie inny sposób, ale niektóre motywy rozumiał doskonale. I jednym z nich była zemsta. W dodatku zemsta była wszystkim, co zostało człowiekowi w sytuacji Ellerbecka.

Zerwał się na nogi i rzucił w stronę drzwi, nie myśląc nawet o tym, co robi, bo kierowała nim czysta intuicja.

- Z drogi, Spellar - mruknął.
- Dokąd idziesz?! - krzyknął za nim Gabe.
- Na Ransley Square. Lucinda tam jest.

45

To pan ukradł tę pierwszą roślinę z mojej cieplarni - stwierdziła Lucinda. - Dlaczego pan to zrobił?

- Może przypomina pani sobie, że zaraz po waszym powrocie z ostatniej ekspedycji, pański ojciec i Woodhall pokazali mi okazy, które ze sobą przywieźli. Dzięki swemu talentowi szybko pojąłem, jaki potencjał drzemie w jednym z nich. Wiedziałem też, że pani ojciec i Woodhall nigdy nie pozwolą mi jej hodować do celów, jakie sobie zamierzyłem.

- Robił pan z niej truciznę?

- Sporządziłem z niej bardzo interesujący narkotyk, panno Bromley. Wprowadza on człowieka w stan hipnozy i czyni go wyjątkowo podatnym na sugestię. W tym stanie zrobi wszystko, co mu się każe, nie kwestionując tego. Gdy narkotyk przestaje działać, ofiara nie ma pojęcia, co się z nią działo. Wyobraża sobie pani na pewno, że istnieją ludzie gotowi drogo zapłacić za taką władzę nad innymi.

- Sprzedawał pan ten narkotyk?

- To nie było takie proste - odparł szeptem Ellerbeck. Jego głos zaczął się przeradzać w bełkot. - Zdawałem sobie sprawę z tego, że dysponuję specyfikiem o ogromnej wartości, ale nie wiedziałem, jak znaleźć nabywców. W końcu jestem dżentelmenem, nie sklepikarzem. Ale pewnego dnia poszedłem do apteki i odkryłem panią Daykin. Wyczułem, że pod ladą trzyma truciznę, i doszedłem do wniosku, że uda mi się z nią dojść do porozumienia.

- Znajdowała panu klientów?

- Znalazła mi jednego dość szczególnego klienta - wyjaśnił Ellerbeck. - Kogoś z ciemnego światka, kto gotów był zapłacić bardzo wysoką cenę za mój specyfik. Był gotów zakupić każdą ilość, jaką mogłem sporządzić. To był bardzo dobry interes dla wszystkich zainteresowanych, dopóki trwał.

- A kiedy się skończył?

- Sześć miesięcy temu, kiedy wstąpiłem do Siódmego Kręgu.

- Wyobrażam sobie, że ten człowiek był bardzo niezadowolony, gdy się dowiedział, że dostawy narkotyku się skończyły

- Allister zajął się panem Vine'em. - Usta Ellerbecka się wykrzywiły. - Wywołało to sporą sensację w prasie. Zarówno wspólnicy tego łotra, jak i Scotland Yard byli przekonani, że dostał ataku serca. Wyświadczyłem społeczeństwu wielką przysługę, może pani być tego pewna.

- Jak doszło do tego, że związał się pan z Zakonem Szmaragdowej Tablicy?

- Pewnego dnia przyszedł do mnie lord Thaxter. Był już członkiem Zakonu i dostał pozwolenie na zwerbowanie osób utalentowanych w botanice na potrzeby nowego kręgu.

- Zakładam, że Zakon chciał, żeby pracował pan nad eliksirem Sylvestra.

- Było dla nas jasne, że wersja sporządzana według notatek Johna Stilwella miała duże wady - powiedział Ellerbeck. - Członkom Pierwszego Kręgu ogromnie zależy na ustabilizowaniu narkotyku.

- Dlatego Zakon prowadzi badania, mające na celu ulepszenie specyfiku?

- Tak. Chętnie zająłem się tym projektem. Byłem pewien, że przy moich zdolnościach szybko uda mi się znaleźć rozwiązanie. Ale kiedy i ja, i mój syn zaczęliśmy odczuwać efekty uboczne narkotyku, praca nad nim stała się jeszcze pilniejsza.

- Dawał pan narkotyk własnemu synowi? Jak mógł pan tak postąpić? Eksperymentować na sobie to jedno. Ale dlaczego ryzykował pan jego życie?

- Nic pani nie wie o moim synu - wyszeptał Ellerbeck. - Elixir Sylvestra był jego jedyną nadzieją.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Jak już wspomniałem, panno Bromley, mój syn stracił zmysły. Musiałem umieścić go w ośrodku dla obłąkanych, kiedy miał zaledwie dwanaście lat. Zrobiłem to następnego dnia po tym, jak kuchennym nożem zamordował własną matkę i siostrę.

- Wielkie nieba!

- Policji powiedziałem, że Allister zginął z rąk nieznanego mordercy, który zabił resztę mojej rodziny. Kiedy oddawałem go do szpitala, podałem inne nazwisko. Dla świata Allister Ellerbeck zmarł wiele lat temu. A teraz za sprawą pani i Caleba Jonesa straciłem go naprawdę.

- Dlaczego pan sądził, że eliksir Sylvestra uleczy pańskiego syna?

- Byłem pewien, że jego choroba ma swoje źródło w niestabilności zmysłów psychicznych. Pomyślałem, że jeśli uda się je wzmocnić, to może chłopak odzyska zdrowie. I przez jakiś czas wyglądało na to, że kuracja działa. Mogłem zabrać go ze szpitala i sprowadzić do domu, żeby ze mną mieszkał. Znajomym i współpracownikom przedstawiłem go jako siostrzeńca, bo raczej trudno byłoby poinformować ich, że zmartwychwstał.

- Tyle że po niedługim czasie wyszło na jaw, że narkotyk ma efekty uboczne? - spytała Lucinda.

- Na moich oczach pogrążał się z powrotem w obłądzenie. Ale tym razem stał się o wiele bardziej niebezpieczny, gdyż sproszkowany

eliksir wyostrzył jego zmysły tak bardzo, że Allister zdolny był zabijać dzięki swemu talentowi. Wiedziałem, że obydwaj jesteście skazani na śmierć, chyba że uda się ustabilizować narkotyk i stworzyć mniej toksyczną wersję.

- Ale nie poczynił pan żadnych postępów w ulepszaniu receptury. I wtedy odkrył pan, że Zakon karze za niepowodzenie śmiercią?

- Tak, panno Bromley.

- I to był moment, kiedy pan i Thaxter zaczęliście się rozglądać za pomocą współczesnego alchemika, czy tak?

- Może pani wierzyć lub nie, ale zamierzałem zaproponować, żeby wstąpiła pani do Zakonu, panno Bromley. Ale Thaxter nie chciał nawet o tym słyszeć, żeby kobieta była jedną z nas. W każdym razie bałem się, że gdy tylko pozna pani prawdę o śmierci swego ojca i Woodhalla, pójdzie pani na policję albo do rady.

- Nigdy nie zgodziłabym się pomagać w pracy nad eliksirem Sylvestra - stwierdziła ostro Lucinda.

- Jest pani taka sama jak pani ojciec - mruknął Ellerbeck zmęczonym głosem. - Cała ta piekielna gadanina o zasadach przyzwoitości jest ogromnie nudna. Zdesperowany poprosiłem o radę panią Daykin. Wiedziałem, że zna w Londynie ludzi uzdolnionych w dziedzinie botaniki, którzy nie boją się sięgnąć po mniej etyczne rozwiązania. Zasugerowała, żebym porozmawiał z doktorem Basilem Hulseym, który, tak się dobrze składało, szukał nowego pracodawcy.

- Dlaczego polecił pan Hulseyowi ukraść *Ameliopteris* z mojej cieplarni?

- Wcale nie kazałem mu kraść tej przeklętej paproci - syknął Ellerbeck. - Zrobił to, żeby przeprowadzić jakieś prywatne badania. To Daykin powiedziała mu o tej roślinie. Zupełnie zwariował na punkcie tej paproci.

- Ale przecież miał pracować nad ulepszeniem eliksiru Sylvestra - odrzekła Lucinda.

- Żeby zwerbować go do pracy dla nas, musieliśmy ubić z nim interes. - Ellerbeck oparł się ciężko o stół i otarł czoło. - Zgodziliśmy

się finansować jego prywatne badania dopóty, dopóki czyni postępy w ulepszaniu narkotyku.

- Nie bardzo mu się to udawało, prawda?

- Nie mam pojęcia, panno Bromley. I nigdy się tego nie dowiem, bo wkrótce umrę. Wszystko poszło źle. Po co wciągnęła pani do sprawy Caleba Jonesa?!

Trzymająca pistolet ręka się trzęsła.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedziała łagodnym głosem. - Dlaczego zabił pan mojego narzeczonego?

- Bo nie miałem wyboru. - Ellerbeck prychnął. - Glasson był zwykłym tchórzem. Podejrzywał, że to ja zabiłem pani ojca i Woodhalla. Śledził mnie. Widział, że byłem w aptece pani Daykin, i zrozumiał, że handluję trucizną. Próbował mnie szantażować. Musiałem się go pozbyć. Sprzeczka między wami w ogrodzie Towarzystwa Botanicznego Carstairs tylko ułatwiła mi zadanie.

- Jest pan odpowiedzialny za śmierć wielu osób, panie Ellerbeck. Mnie też pan zabije?

- Nie myli się pani, panno Bromley. - Pistolet w dłoni Ellerbecka chwiał się niebezpiecznie. - Zrealizuję moją zemstę, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

- Nie jest pan w stanie wycelować we mnie ani pociągnąć za spust. Jest pan bardzo wyczerpany i wkrótce zapadnie w głęboki sen.

- O... o czym pani mówi?

- Wsypałam panu coś do herbaty - odparła łagodnie. - Działa bardzo szybko.

Ellerbeck trząsnął się cały, jakby dostał gorączki. Zamrugwał gwałtownie, żeby lepiej widzieć. Pistolet wyslizgnął mu się z ręki. Mężczyzna wpatrywał się w Lucindę, nic nie rozumiejąc.

- Otruła mnie pani? - wyszeptał.

- Kiedy weszłam dziś do pańskiego domu, od razu wyczułam złą energię emanującą z cieplarni. Zrozumiałam, że grozi mi niebezpieczeństwo, więc kiedy służąca poszła powiadomić pana, że przyszłam, wyjęłam z torby środek nasenny. Ta substancja nie ma smaku ani zapachu. Bez trudu dosypałam go panu do herbaty.

I wypił pan dwie pełne filiżanki.

- Niemożliwe - powiedział z trudem. - Patrzyłem, jak pani nalewała herbaty. Nie miała pani żadnych buteleczek ani paczuszek, które mogły zawierać truciznę.

Rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Caleb wkroczył do cieplarni. W rękę trzymał pistolet wycelowany w Ellerbecka.

- Nic ci nie jest? - zwrócił się do Lucindy, nie spuszcżając wzroku z Ellerbecka.

- Nie, nic - odrzekła.

Ellerbeck osunął się na kolana.

- Jak pani to zrobiła? - zapytał. - Jak zatrula pani moją herbatę?

Podniosła rękę, na której nie było rękawiczki, tak żeby wyraźnie mógł widzieć jej pierścień zdobiony lapis-lazuli i bursztynem. Powoli otworzyła maleńkie wieczko, ukazując tajny schowek.

- Część z tego, co o mnie opowiadają, jest prawdziwa, panie Ellerbeck.

46

Dobrze się złożyło, że Hulsey nie mógł wrócić do domu Ellerbecka, żeby zabrać stamtąd swoje papiery i zapiski - stwierdził Caleb. - Pośród tego, co skonfiskowaliśmy, może się trafić coś użytecznego.

Caleb chodził w tę i z powrotem przed kominkiem w bibliotece Lucindy. Robił to cały czas, odkąd przybyli do domu. Lucinda siedziała za biurkiem z rękoma splecionymi na kolanach, starając się zachować cierpliwość.

- Hulsey na pewno czekał, aż trucizna zadziała - stwierdziła Lucinda. - Niewątpliwie zamierzał wrócić w nocy, mając już pewność, że Ellerbeck jest umierający. Na szczęście zjawiłam się tam wczoraj po południu.

- Chyba żartujesz! - Caleb obrzucił ją groźnym spojrzeniem. - Do diabła, Lucindo, on mógł cię zabić! Cóż, u licha, sobie wyobrażałaś, wybierając się tam sama?

- Zadajesz mi to pytanie już chyba po raz pięćdziesiąty - odrzekła. - A ja udzielam ci za każdym razem tej samej odpowiedzi. Poszłam tam, ponieważ przysłał mi wiadomość, że jest umierający i chciałby się ze mną pożegnać.

- Powinnaś była poczekać i pójść tam ze mną - odparł Caleb.

- O czymś zapominasz - stwierdziła Lucinda, ledwie znosząc ten niekończący się wykład. - Mówimy o Irze Ellerbecku. Byłam przekonana, że to przyjaciel mego ojca. Zresztą wcale nie poszłam tam sama. Był ze mną Shute.

- Jakby to się na coś przydało - mruknął Caleb. - Shute czekał na ulicy przed domem. Nie mógł wiedzieć, że grozi ci niebezpieczeństwo. Powinnaś była wyjść, jak tylko poczułaś złowrogą energię.

Zacisnęła usta.

- Przypuszczam, że to by było rozsądne podejście do sprawy.

- Przypuszczasz? - Stanął przed biurkiem, oparł się o nie rękoma i pochylił do przodu. - To dość kiepskie rozumowanie, nie sądzisz? - powiedział groźnym tonem.

- Nigdy nie powiedziałam, że postąpiłam logicznie. Gdy tylko przekroczyłam próg rezydencji Ellerbecka, wiedziałam, że kryje się tam rozwiązanie zagadki śmierci mego ojca. Nie mogłam odejść, dopóki go nie poznałam.

- Chciałbym, żeby to było jasne, Lucindo. Nie będę w przyszłości tolerował równie lekkomyślnego zachowania. Zrozumiałaś?

Tego już nie wytrzymała. Zerwała się na nogi.

- Nie jestem jedyną osobą, której postępowanie można uznać za lekkomyślne. A jak zorganizowałaś spotkanie z porywaczem?! Uparłeś się iść tam sam i w rezultacie omal nie zostałeś zamordowany przez Allistera Norcrossa.

- To była inna sytuacja.

- Jakoś tego nie widzę.

- Do licha, Lucindo, jeśli chcesz być współniczką w mojej firmie, musisz się nauczyć słuchać poleceń.

- Mam być współniczką, a nie pracownikiem. A współpracownicy, siłą rzeczy, nie słuchają poleceń.

- A więc, do diabła ciężkiego, nauczysz się naradzać ze swoim współpracownikiem! I nie będziesz podejmować tak pochopnych działań.

- Daj spokój, Calebie. Wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo.

- Zdaje się, że czegoś nie rozumiesz. Pamiętaj, nigdy więcej nie wolno ci zrobić czegoś takiego bez konsultacji ze mną. - Okrążył biurko, chwycił Lucindę za ramiona i przycisnął do siebie. - Zrozumieliliśmy się, moja droga?

Lucinda pomyślała o tym, jaki był zdenerwowany wczorajszego popołudnia, gdy wdarł się do cieplarni Ellerbecka. Wprost szalał z niepokoju o jej bezpieczeństwo. A Caleb Jones w tym stanie był człowiekiem niebezpiecznym, trzeba to przyznać. Nie chciała więcej narażać go na podobne przejścia.

- Tak - odparła łagodnie. - Rozumiemy się.

Dyskretne kasznięcie, dobiegające od strony drzwi, kazało im przerwać rozmowę. Zobaczyli Edmunda i Patrycję patrzących na nich z wystudiowaną obojętnością na twarzach.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego - odezwał się Caleb, nie wypuszczając Lucindy z uścisku.

- Inspektor Spellar przysłał właśnie wiadomość, że Ellerbeck zmarł tej nocy - wyjaśnił Edmund. - Do końca nie odzyskał przytomności.

- A niech to diabli! - zezłościł się Caleb. - Niczego się już nie dowiemy.

- To ja go zabiłam - wyszeptała Lucinda oszołomiona. - Dałam mu tylko silną dawkę środka nasennego, ale w połączeniu z morderczym działaniem narkotyku to było aż nadto. Boże, wybacz mi, przecież o tym wiedziałam.

- Nie dręcz się tym - uspokajał ją Caleb, przytulając bardziej do siebie. - I tak by umarł za dzień czy dwa.

- Owszem, ale nie z mojej ręki.

Caleb rzucił szybkie, znaczące spojrzenie w kierunku Edmunda i Patrycji. W jednej chwili zniknęli bez słowa, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Powoli poprowadził Lucindę do krzesła. Sam zajął miejsce obok. Sięgnął po jej dłoń i splótł jej palce ze swoimi.

Przez dłuższą chwilę siedzieli tak razem, wpatrując się w ogień.

W końcu Caleb się odezwał:

- Miałaś rację tamtego wieczoru, kiedy powiedziałaś, że w najbliższych latach czekają nas sytuacje takie jak ta - powiedział. - Kiedy trudno będzie nam się pogodzić z konsekwencjami naszych działań.

- Tak - przyznała.

- Żeby móc się z tym uporać, muszę wiedzieć, że zawsze będziesz przy mnie, Lucindo. Wyjdź za mnie, proszę.

- Och, Calebie - odrzekła łagodnie. - Jesteś gotów posunąć się aż do tego, byle tylko twoja firma nadal nazywała się tak samo?

- Jestem gotów pójść do piekła, byle cię poślubić, Lucindo.

Nagle poczuła się szczęśliwa. Pomyślała, że Caleb naprawdę gotów był to zrobić. I to bez wahania.

Wstał. Wyciągnął do niej rękę, a gdy stanęła obok niego, wziął ją w objęcia.

- Powiedziałem ci kiedyś, że nie bardzo wierzę w istnienie czegoś takiego jak miłość, bo nie potrafię tego zdefiniować - powiedział przyciszonym głosem. - Ale wreszcie pojąłem, co to znaczy kogoś kochać. To wszechogarniające uczucie, jakie oładnęło mną w chwili, gdy cię ujrzałem. A nawet wcześniej. Kiedy otworzyłem list, w którym prosiłaś o spotkanie. Nie wiem jak, lecz wiedziałem, że będę cię potrzebował. Jak powietrza. Kocham cię, Lucindo. Teraz i potem, gdziekolwiek będziemy.

Lucinda go objęła.

- Zakochałam się w tobie w chwili, gdy po raz pierwszy wszedłeś do tego pokoju. I zawsze będę cię kochać. I oczywiście wyjdę za ciebie za męża.

Lucinda wspięła się na palce i musnęła ustami jego wargi. Caleb objął ją mocno i pocałował, pieczętując w ten sposób uroczystą

przysięgę, jaką sobie złożyli. Stali tak, przytulając się jeszcze bardzo długo.

47

Miesiąc później...

Dobiegające z dołu odgłosy budowy w ogrodzie niosły się po całym domu, ale dzień był zbyt piękny, żeby zamykać okna.

Caleb i Gabe stali przy długim stole laboratoryjnym. Przeglądali wspólnie stopy notatek, papierów, dzienników i zapisków, jakie przywieziono z domu Ellerbecka.

- Większość tych materiałów dotyczy doświadczeń botanicznych Ellerbecka - stwierdził Caleb. - Widać, że próbował pracować nad eliksirem Sylvestra, lecz zupełnie się na tym nie znał. Ani on, ani Thaxter. Dlatego właśnie zatrudnili Hulseya i jego syna.

- Cóż, przypuszczam, że oczekiwać, iż znajdziemy elegancki spis wszystkich kręgów Zakonu łącznie z nazwiskami przywódców, to by jednak było zbyt wiele - stwierdził Gabe, przerzucając stos papierów.

- Zakon jest bardzo dobrze zorganizowany i ma dalekosiężne plany. Właściwie można podejrzewać, że przywódca i jego najbliżsi współpracownicy mają szczególny talent do drobiazgowego planowania i utajniania spraw.

- Talenty strategiczne? - Gabe wyglądał na zaintrygowanego. - To ma sens.

- A niech to licho! Przydałby nam się kompletny rejestr talentów, jakie posiadają poszczególni członkowie Towarzystwa.

- To nie będzie łatwe. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że nie uda nam się zidentyfikować talentów nawet części członków. Towarzystwo istnieje od dwustu lat. I wszyscy, łącznie z nami, tobą, kuzynie, i mną, mamy obsesję na punkcie tajemnic. Weszło nam to w krew.

Caleb potarł kark i westchnął.

- Muszę wrócić do wykresu taksonomii psychicznej.

- Lucinda ma rację. Nie powinieneś wszystkiego robić sam.

Musisz się nauczyć koncentrować na sprawach najważniejszych.

Z holu dobiegł odgłos lekkich kroków. Caleba ogarnęło przyjemne uczucie oczekiwania. Rozpoznałby wszędzie ten delikatny stukot bucików na wysokich obcasach.

Drzwi się otworzyły. Do pokoju weszła Lucinda, wnosząc ze sobą świeżą energię i ciepło słońca. W ręku trzymała niewielkie pudełko. Caleb zauważył, że wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną.

- Dzień dobry, panowie - powiedziała wesoło. - Piękny mamy dzień, prawda?

Gabe się uśmiechnął.

- Rzeczywiście. Mam wrażenie, że jest pani w doskonałym humorze, pani Jones.

Wesele odbyło się tydzień wcześniej. Zaproszeni zostali cała rodzina Jonesów i mieszkańcy Guppy Lane - cieplarnia była pełna ludzi. Caleb podejrzewał, że sąsiedzi Lucindy będą je komentować przez wiele miesięcy.

- Dobrze, że wróciłaś, kochanie. - Caleb wstał i podszedł do żony. Pocałował ją. To było naprawdę przyjemne uczucie. - Robotnicy wciąż proszą o wskazówki. Wyjaśniałem im już kilkakrotnie, że budują twoją cieplarnię, więc to ty decydujesz o wszystkim.

- Mam nadzieję, że prace posunęły się do przodu. - Lucinda zebrała spódnice i podbiegła do okna. - Och, dobrze. Skrzydło przeznaczone na zioła wygląda już całkiem nieźle.

Gabe uśmiechnął się do Caleba.

- Cieplarnia to niezwykły prezent ślubny dla panny młodej.

- To nic w porównaniu z niesamowitym prezentem, jaki dała mi Lucinda - odparł Caleb głosem przepełnionym uczuciem.

- Siebie samą? - Gabe wyglądał na rozbawionego. - Jakież to romantyczne, kuzynie. Nie przypuszczałem, że jesteś zdolny do takich poetyckich fantazji.

Lucinda odwróciła się od okna i podeszła do mężczyzn.

- Caleb wcale nie miał na myśli mojej osoby. W prezencie ślubnym podarowałam mu państwa Shute'ów. Uprzejmie zgodzili się zajmować jego domem. Na szczęście mieli już do czynienia z ekscentrycznym pracodawcą. Teraz Caleb nie będzie musiał szukać nowej służby co miesiąc.

Gabe skinął głową.

- To dlatego jest ostatnio taki zadowolony.

Caleb zerknął na pudełko w ręku Lucindy.

- Co tam masz?

- Nowe wizytówki dla naszej firmy. - Lucinda zdjęła pokrywkę.

- Są na nich oba nasze nazwiska.

Gabe zachichotał.

- A więc wygrałaś bitwę?

- Oczywiście - przyznała. Wyjęła z pudełka biały sztywny kartonik.

- „Jones & Jones” - roześmiał się Gabe. - Nieźle brzmi.

Caleb uśmiechnął się do Lucindy, rozkoszując się pełną światła, ciepła i radości życia energią, unoszącą się w powietrzu wokół niej.

- To prawda - przyznał. - Brzmi dobrze.

